

JOAN WOLF

OPIEKUN

Mój Boże, mój Boże, on czyta testament Geralda.

Czułam się tak, jakby ktoś niespodziewanie wymierzył mi ogłuszający cios w głowę.

Patrzyłam na prawnika stojącego przed ciasno stłoczoną rodziną i konwulsyjnie zaciskałam splecione na kolanach dłonie.

Mój Boże, on czyta testament Geralda, pomyślałam jeszcze raz.

Dopiero teraz dotarł do mnie ten bolesny fakt.

Chyba po raz pierwszy naprawdę zrozumiałam, że mój mąż nie żyje.

- Dobrze się czujesz, kochanie? - Tuż obok mnie zabrzmiał cicho niski głos.

Mocno zacisnęłam usta i skinęłam głową. Wuj Adam lekko poklepał mnie po zaciśniętych dłoniach i znów zwrócił uwagę na pana MacAllistera. Suchy, beznamiętny, prawniczy wywód trwał nadal:

- „Jeśli mój syn, Giles Marcus Edward Francis Grandville, obejmie w posiadanie jakąkolwiek część mojego majątku, zanim ukończy dwudziesty pierwszy rok życia, zostanie dla niego ustanowiony oddzielny fundusz powierniczy, którym będzie zarządzał wyznaczony w tym dokumencie opiekun, na następujących warunkach i dla następujących celów”.

Jako że Giles miał dopiero cztery lata, nie zaskoczyło mnie, że jego majątek zostanie oddany w zarząd powierniczy.

Giles był teraz hrabią Weston. Gerald nie żył. Wzięłam głęboki, urywany oddech i wbiłam wzrok we wspaniale rzeźbione, mahoniowe obramowanie kominka, które wyrastało za długą, wąską głową pana MacAllistera.

Nie sądziłam, że tak emocjonalnie zareaguję na odczytanie testamentu i byłam tym faktem ogromnie poruszona.

Przez ostatnie kilka dni czułam się tak, jakbym przeżywała koszmar.

Po śmierci Geralda służba przybrała dom czernią, a ciało mojego męża zostało wystawione na dwadzieścia cztery godziny w głównej sali. Przez cały dzień sąsiedzi i dzierżawcy przesuwali się przed trumną. Wczoraj setki żałobników w czerni utworzyły długi pogrzebowy kondukt, który przeszedł od domu do kościoła. Giles był przy moim boku podczas całego nabożeństwa, a jego mała rączka mocno trzymała moją dłoń, kiedy pastor odmawiał modlitwy nad trumną. Potem spuszczone ją do krypty, gdzie spoczywało już sześciu hrabiów Weston.

Giles bardzo mi pomógł. To dla niego starałam się zachować spokój.

Ale dzisiaj go tutaj nie było. Nie było też setek obserwujących mnie oczu, a pan MacAllister odczytywał testament Geralda. Wciągnęłam głęboko powietrze, zwróciłam wzrok na twarz pana MacAllistera i starałam się skupić uwagę.

Wciąż czytał fragment dotyczący zarządu powierniczego.

- „Wyznaczony tu opiekun będzie miał prawo zarządzać powierzonym mu majątkiem, sprzedać go w drodze sprzedaży publicznej lub prywatnej, wydzierżawić na ustalonych przez siebie warunkach lub dysponować nim w inny sposób bez przyzwolenia jakiegokolwiek sądu, może też dokonywać inwestycji i reinwestycji ... „

Trudno mi było uwierzyć, że mój mały synek jest teraz hrabią Weston.

Atmosfera w pokoju nieznacznie się zmieniła. Wyczułam lekkie poruszenie, jak wtedy, gdy słuchacze skupiają baczniejszą uwagę na mówcy. To sprawiło, że znów przeniosłam wzrok na MacAllistera i zdałam sobie sprawę, że za chwilę poda imię opiekuna Gilesa.

Pan MacAllister zauważył dramatyczne napięcie chwili i na moment zamilkł. Zerknął znad długiego prawniczego dokumentu i zatoczył wzrokiem półokrąg po twarzach osób zgromadzonych przed nim w bibliotece Weston Hall.

Nie było nas wiele. Siedziałam w środku, między wujem Adamem i jego żoną, Fanny, z jednej strony a moją matką z drugiej. Za matką usadowił się wuj Geralda, Francis Putnam, a obok zaś jego kuzyn, Jack Grandville. Reszta rodziny Grandville'ów wróciła do swoich domów zaraz po pogrzebie.

Pan MacAllister znów spojrzał na testament Geralda i zaczął czytać wolno i wyraźnie:

- „Niniejszym ustanawiam mojego brata Stephena Anthony'ego Francisa Grandville'a zarządcą majątku i opiekunem mojego syna, Gilesa Marcusa Edwarda Francisa. Wyznaczam go także na wykonawcę mojej ostatniej woli ... „

MacAllister czytał dalej, ale więcej nie usłyszeliśmy.

- Stephen! - Okrzyk Jacka całkowicie zagłuszył nosowy, monotonny głos pana MacAllistera. - Ależ to niemożliwe!

Pan MacAllister opuścił dokument i spojrzał na Jacka sponad szkieł okularów.

- Zapewniam pana, panie Grandville, że hrabia bez wątpienia wyznaczył opiekunem swojego brata, Stephena. To ja sporządziłem jego testament, więc wiem najlepiej.

Dał się słyszeć wyraźny, chłodny głos mamy.

- Stephen jest na Jamajce - oznajmiła. - Przebywa tam od pięciu lat. Nie może odgrywać roli opiekuna Gilesa z drugiego końca świata. Będzie pan musiał wyznaczyć kogoś innego, panie MacAllister. Nie mam pojęcia, co Gerald sobie wyobrażał, kiedy wybierał Stephena.

MacAllister odpowiedział jej spokojnie, jakby nie zdawał sobie sprawy, że wrzuca między nas beczkę zapalonego prochu.

- Trzeba będzie wezwać pana Stephena Grandville'a do powrotu do domu, żeby mógł wypełnić swoje obowiązki. W rzeczy samej, pozwoliłem sobie zawiadomić go o treści ostatniej woli lorda Westona. - Pozwoliłeś sobie na zbyt wiele, MacAllister. - W głosie Jacka zabrzmiała tłumiona wściekłość. Jego przystojna twarz poczerwieniała z gniewu.

- Poinformować Stephena o śmierci brata powinien był ktoś z rodziny .. - Chociaż raz moja matka zgodziła się z Jackiem. Zawsze przywiązywała wielką wagę do przestrzegania odpowiednich form. - To niewłaściwe, żeby taką wiadomość przesyłał prawnik.

- Ja również napisałem Stephenowi o śmierci Geralda - wtrącił cicho wuj Francis. - Zapewne oba listy dotrą na Jamajkę tym samym statkiem.

- A jeśli odmówi powrotu? - zapytał Jack. - W końcu nadal mogą go aresztować za ten wybryk sprzed pięciu lat, prawda?

- Aresztowanie nigdy nie wchodziło w rachubę - chłodno oznajmił pan MacAllister. - Władzom wystarczyło zapewnienie jego ojca, że Stephen opuści kraj.

- Nie postawiono mu żadnych zarzutów - zgodził się wuj Adam.

- Stephen może w każdej chwili wrócić do Anglii, jeśli tylko zechce.

- Annabello, wiedziałaś, że Gerald wyznaczył Stephena? - zwróciła się do mnie matka.

- Nie, nie wiedziałam. - Spojrzałam na MacAllistera. - Kiedy ten testament został spisany?

- Wkrótce po narodzinach Gilesa, lady Weston - odparł łagodnie.

Zacisnęłam usta i starałam się, żeby na mojej twarzy nie odbiło się żadne uczucie. MacAllister próbował mnie pocieszyć: - Pan Stephen Grandville został prawnym opiekunem pani syna, ale zapewniam, że zawsze było intencją lorda Westona, żeby to pani zajmowała się synem.

Skinęłam głową.

- Nie rozumiem, dlaczego Gerald nie wyznaczył Adama - odezwała się moja matka.

Wstałam.

- Ta dyskusja nie ma sensu. Gerald wyznaczył Stephena. Ale jestem pewna, że kiedy

sporządzał testament, sądził, że dożyje do dnia pełnoletności syna. - Głos zdradziecko odmówił mi posłuszeństwa. - Idę na górę - zakończyłam.

- Annabelle, pan MacAllister nie skończył jeszcze czytać - zauważyła mama.

Nie odpowiedziałam. Po prostu wyszłam.

Psy czekały na mnie w holu i jak zwykle podążyły tuż za mną, kiedy udałam się na górę, do pokoi dzieciennych, znajdujących się na drugim piętrze. Najpierw zajrzałam do sali lekcyjnej i stwierdziłam, że jest pusta. Razem z psami minęłam pokój guwernantki i weszłam do pokoju zabaw. Tam znalazłam swojego syna i jego opiekunkę, pannę Eugenię Stedham - siedzieli przy stole nad układanką w formie mapy. pozwoliłam mu dzisiaj wrócić do normalnego rozkładu zajęć w nadziei, że znany tryb życia po pięciu dniach żałoby pomoże dziecku uporać się ze smutkiem.

Kiedy tylko mnie zobaczył, zerwał się z miejsca.

- Mama! - zawołał i rzucił mi się w ramiona. Psy ułożyły się na niebieskim dywaniku przed wygaszonym kominkiem.

Pogłaskałam syna po głowie, ciesząc się dotykiem jego mocnego, jędrnego ciała, które przyłgnęło do moich nóg, i jego buzi, wtulającej się w mój brzuch. Spojrzałam na guwernantkę.

- Panno Stedham, po południu zabiorę Gilesa na spacer.

Mały odsunął się ode mnie i klasnął w ręce.

- Spacer! Właśnie na to miałem największą ochotę! - Zjadłeś obiad? - zapytałam.

Skinął głową. Jego szarozielone oczy błyszczały z przejęcia na myśl o czekającym go spacerze.

- Zjadłem wszystko - odparł. Guwernantka wstała z miejsca.

- Rzadko kiedy trzeba namawiać go do jedzenia - powiedziała.

Uśmiechnęłam się pierwszy raz tego dnia.

- Niech panna Stedham ciepło cię ubierze - zwróciłam się do syna. - Świeci słońce, ale nadal jest raczej chłodno.

- Na kiedy mam go przygotować, lady Weston? - zapytała guwernantka.

- Natychmiast. - Zmierwiłam gładko uczesane włosy syna. - Przyjdź do mojej garderoby, kiedy będziesz gotowy. Ja też muszę się przebrać.

- Dobrze, mamu. - Zwrócił się do panny Stedham. - Chodźmy, Eugenio!

Ruszyłam do wyjścia. Psy poderwały się i pobiegły za mną•

Marcowy dzień był słoneczny, ale wietrzny i chłodny. Giles podskakiwał obok mnie, zachwycony, że wreszcie wyszedł na dwór po ranku spędzonym na nauce pisania i liczenia. Wyszliśmy z domu południowymi drzwiami. Psy biegły przed nami, szaleńczo podskakując, zawracały i znów nas wyprzedzały. Ścieżka wiodła nas przez uporządkowaną część ogrodu, gdzie rosły niebieskie i różowe hiacynty, a na kilku wcześnie zakwitających drzewach widać było pączki.

Wąski strumień znaczył granicę tej części ogrodu. Oparliśmy się o poręcz drewnianego mostka i podziwialiśmy dzikie aksamitki, fiołki i rzeżuchę łąkową, które zdobiły brzegi strumyka. Poszliśmy dalej, między dwoma ogrodzonymi paddockami, gdzie na świeżo zazielenionej trawie pasły się niektóre z moich folblutów. Przystanęliśmy, żeby przywitać się z końmi i poklepać je po szyjach, a potem ruszyliśmy dalej na zalesione zbocze, które było naszym celem.

W lesie również widać było wiosnę. Ptaki śpiewały, dostrzegłam też żonkile, barwinki, pierwiosnki i niebieskie przetaczniki, których barwę tak uwielbiam. Zakwitły już bazie na wierzbie, więc zerwałam kilka gałązek dla panny Stedhilm.

Podobnie jak syn, cieszyłam się, że wyszliśmy z domu. Spędziłam ciągnący się bez końca tydzień przy łożu chorego Geralda, trzymając go za rękę i bezsilnie słuchając jego oddechu, który przychodził mu z coraz większą trudnością. Potem odbył się pogrzeb.

Wciągnęłam rześkie, chłodne powietrze w zdrowe płuca i poczułam, że w moim ciele tętni życie. Spojrzałam na intensywnie niebieskie niebo, po którym jak żaglówki przemykały białe obłoki, i pomyślałam o tym, że Stephen wraca do domu.

- Mamo, gdzie jest teraz tata? - zapytał Giles.

Spojrzałam na syna. Policzki miał zaróżowione, spodnie na kolanach ubrudzone. Usiadłam na zwałonym pniu drzewa, nie zważając na to, że kraj spódnicy nurza się w błocie.

- Tata jest w niebie, kochanie - odparłam cicho.

- Ale przecież wczoraj zanieśliśmy go do krypty w kościele. Jak może być w niebie, kiedy jest w kościele?

- Dusza taty jest w niebie - wyjaśniłam: - Kiedy umieramy, dusza opuszcza nasze ciało i wraca do Boga. Tata już nie potrzebuje ciała, dlatego zostawił je w kościele.

Giles zmarszczył czoło.

- Nie chciałem, żeby tata umarł.

Przyciągnęłam go do siebie. Zawsze lubił się do mnie przytulać i teraz też ukrył twarz na mojej piersi.

- Wcale mi się nie podoba, że leży w kościele.

Łzy zakłuły mnie pod powiekami, więc zacisnęłam je mocno, żeby słone krople nie wypłynęły na policzki.

- Mnie też się to nie podoba, ale tata poważnie zachorował. Nic nie mogliśmy zrobić, żeby został z nami.

- Ty nie umrzesz, prawda? - Jego głos tłumili fałdy mojego ubrania.

- Nie, kochanie, nie umrę. - Udało mi się wypowiedzieć te słowa wyraźnie i zdecydowanie.

Uniósł twarz z mojej piersi i spojrzał na mnie.

- Nigdy?

Na policzkach miał zdrowy rumieniec, ale w jego jasnych, szarzielonych oczach dojrzałam niepokój.

- Wszyscy kiedyś umrzemy, Giles, ale ja to zrobię w bardzo dalekiej przyszłości. - Wciąż widziałam niepokój w jego spojrzeniu; więc dodałam: - Nie wcześniej, niż dorośniesz i sam będziesz miał dzieci.

Nie mieściło mu się w głowie, że kiedykolwiek będzie dorosłym mężczyzną, ojcem rodziny, więc uspokoił się i jego oczy znów patrzyły spokojnie. Chciał się odsunąć, ale położyłam mu ręce na ramionach i odwróciłam go twarzą do siebie.

- Tata zostawił testament. Pan MacAllister odczytał go nam dzisiaj rano.

To go zaciekało.

- Co to jest testament?

- To ... to lista spraw, które tata polecił załatwić po swojej śmierci. Życzy sobie między innymi, żeby jego brat, a twój wuj, Stephen, wrócił do domu i w twoim imieniu opiekował się Weston.

- Wuj Stephen? - zdziwił się Giles. - Nie znam wuja Stephena. Mieszka gdzieś daleko.

- Od pięciu lat przebywa na Jamajce, więc nigdy go nie poznałeś, ale tata nakazał mu wrócić do domu i zająć się Weston do czasu, kiedy będziesz wystarczająco duży, żeby robić to samodzielnie. Teraz ty jesteś hrabią, kochanie. Wiem, że trudno to zrozumieć, ale zająłeś miejsce taty.

Giles poważnie spojrzał mi w oczy.

- Wiem. Eugenia powiedziała, że jestem teraz lordem Weston.

- Tak, jesteś lordem Weston - zgodziłam się. - Jednak wuj Stephen dopilnuje prowadzenia Weston Hall i farm, dopóki nie skończysz dwudziestu jeden lat. Ludzie będą się do ciebie zwracali „milordzie”, ale jeszcze przez wiele lat nie będziesz musiał ponosić odpowiedzialności za posiadłość.

Giles zmarszczył brwi. .

- Ale przecież wuj Adam zajmuje się Weston Hall i farmami. Skinęłam głową.

- Wydaje mi się, że nadal będzie to robił.

- W takim razie, po co nam wuj Stephen? - zapytał mój syn.

- Tata wyznaczył go na twojego opiekuna.

Giles, tak czuły na moje nastroje jak kamerton na dźwięki, spojrzał na mnie uważnie.

- Nie lubisz wuja Stephena, mamu? Roześmiałam się i wstałam. Uściskałam syna.

- Oczywiście, że lubię. Ty też go polubisz. Jest bardzo miły. Ruszyliśmy z powrotem do domu.

- Lubi się bawić? - zapytał z ciekawością Giles.

Głęboko wciągnęłam powietrze. Czułam, że zbliża się ból głowy.

- Tak, lubi się bawić. - Kątem oka zauważyłam jakiś ruch.

- Spójrz, Giles - zawołałam z entuzjazmem. - To chyba zajaczek.

- Gdzie? Gdzie? - dopytywał się. Tak jak miałam nadzieję, gładko udało mi się odwrócić jego uwagę od tematu wuja Stephena.

Kiedy jakieś czterdzieści minut później weszłam do swojej garderoby, zastałam tam mamę. Garderoba, połączona z sypialnią, którą kiedyś dzieliłam z Geraldem, była moim sanktuarium, ale nie udało mi się wytłumaczyć tego mojej mamie. Oczywiście, pokój ten należał do niej przez te wszystkie lata, kiedy była żoną ojca Geralda i chyba nadal jej się wydawało, że jest jej własnością.

Siedziała teraz przed kominkiem w obitym perkalem fotelu i popijała herbatę.

- Nie mogę zrozumieć, dlaczego wszystko tu zmieniłaś - powiedziała, jak za każdym razem, kiedy się tu zjawiała. - Kiedy ja tu mieszkałam, to wnętrze wyglądało bardzo elegancko. Teraz jest takie pospolite. - Jej doskonale prosty nos zmarszczył się, jakby dotarła do niego jakaś nieprzyjemna woń. - Kwiecisty perkal! - prychnęła z obrzydzeniem.

Kiedy ten pokój należał do mamy, meble były obite kremowym jedwabiem. Rzeczywiście, wyglądało to bardzo elegancko, ale zawsze się bałam, że siadając zniszczę obicia a psy stale brudziły błotem jedwabne draperie. Wolałam perkal.

Zielone oczy mamy spoczęły na mnie.

- Doprawdy, Annabelle ! - W jej głosie słyhać było coraz głębsze obrzydzenie. - Jak możesz się pokazywać w tak okropnych strojach?

- Zabrałam Gilesa na spacer - odparłam. Usiadłam na sofie, naprzeciw fotela mamy, wyciągnęłam nogi i spojrzałam na swoje zabłocone buty. - Oboje potrzebowaliśmy świeżego powietrza. Przeżyliśmy trudne chwile.

Z szacunku dla mojej żałoby mama powstrzymała się od komentarza na temat błota, niedbałej postawy oraz psów, które ułożyły się na plamie słońca pod oknem.

- Biedny Gerald - stwierdziła. - Jak to się stało, że młody, silny mężczyzna zapadł na zapalenie płuc tak poważne, że aż śmiertelne?

W jej ustach zabrzmiało to tak, jakby Gerald był sam winien własnej śmierci.

- Nie wiem, mam - odparłam znużonym głosem. Ból głowy umiejscowił się teraz na stałe między oczami. - Lekarz mówił, że takie przypadki się zdarzają.

- A nie powinny.

Nie znalazłam odpowiedzi.

Przełknęła kolejny łyk herbaty. Cisza przedłużała się. Spojrzałam na matkę i po raz pierwszy zauważyłam kilka srebrnych pasm w jej pięknych, jasnozłotyach włosach.

- Nie rozumiem, dlaczego Gerald wyznaczył Stephena na opiekuna Gilesa - odezwała się.

Znowu wbiłam wzrok w buty i odparłam starannie kontrolowanym, niedbałym tonem.

- Stephen to jego jedyny brat. Wydaje mi się to naturalne.

- Bzdura. Gerald i Stephen nigdy nie byli sobie bliscy.

Wzruszyłam ramionami i powiedziałam coś o więzach krwi. Mama w końcu przeszła do sedna.

- Czy ty masz coś wspólnego z tą decyzją Geralda? Uniosłam oczy i napotkałam jej wzrok.

- Nie, mam. Nie mam.

Po chwili spojrzała w bok.

- Gerald chyba oszalał. Co Stephen wie o prowadzeniu takiej posiadłości jak Weston?

- Przez pięć lat zarządzał plantacją trzciny cukrowej na Jamajce - zauważyłam. - Nie jest pozbawiony doświadczenia.

Matka spojrzała na mnie z politowaniem.

- Ojciec wysłał go tam, ponieważ plantacja była w tak złej kondycji finansowej, że nawet Stephen nie mógł jej bardziej zaszkodzić.

- 'Wiem od Geralda, że Stephen świetnie się spisał. W każdym razie plantacja nie zbankrutowała, jak całe mnóstwo innych w tamtych okolicach. - Słyszając własne słowa skrzywiłam się tak mocno jak Giles. Dlaczego broniłam Stephena? - Jakkolwiek jest - ciągnęłam chłodno - jestem pewna, że Stephen poprosi wuja Adama, żeby nadal zajmował się Weston, jak to robił do tej pory.

- Mam taką nadzieję. Stephen zawsze był taki niestały. Nie potrafił nawet wytrwać w szkole. Ciągłe wdawał się w jakieś awantury.

Otworzyłam usta, ale zaraz je zamknęłam., Nie wpadnę w tę pułapkę i nie będę broniła Stephena przed moją matką.

- Jeśli on rzeczywiście wróci do kraju - ciągnęła - to nie będzie mógł mieszkać z tobą pod jednym dachem. - Patrzyłam na nią oniemiała ze zdziwienia.

- Nie udawaj niewiniątka - warknęła. - Nie możecie mieszkać w jednym domu bez przyzwoitki.

Moje zaskoczenie przerodziło się w odrazę•

- Mamo, Gerald jeszcze nie ostrygł w grobie!

Matka uniosła brodę. Jest niewiarygodnie piękną kobietą, ale całe jej piękno ogranicza się do powierzchowności. Nigdy jej nie lubiłam.

- Chodzi mi tylko o twoją reputację - odrzekła.

Chyba jeszcze nigdy tak mnie nie rozzłościła. Wstałam.

- Proszę cię, wyjdź - powiedziałam.

Zobaczyła moją minę i rozważnie doszła do wniosku, że pora na odwrót. Doszła do drzwi i tam zatrzymała się na moment. Spojrzała na mnie, wyraźnie nie chcąc rezygnować z ostatniego słowa.

- Powinnaś być w czerni - wytknęła mi.

Zdecydowanie zamknęła za sobą drzwi, zostawiając mnie samą z bólem głowy.

Zwykle o tej porze, w marcu, kończyłabym właśnie sezon łowiecki i przygotowywałabym się do wyjazdu do Londynu, ale Gerald nie żył i nic nie było normalne. Znałam już to bolesne uczucie pustki i zagubienia, więc dużo czasu spędzałam z Gilesem. Powtarzałam sobie, że syn mnie potrzebuje, ale tak naprawdę to ja go potrzebowałam.

Miłe uczucie normalności wróciło do mnie wraz z wizytą pana Matthew Stanhope'a, szanowanego ziemianina i prezesa klubu myśliwskiego Sussex, który odwiedził mnie dwudziestego dziewiątego marca, dwa dni po oficjalnym zamknięciu sezonu łowieckiego. Spotkaliśmy się w niewielkim pokoju za schodami, zamienionym kilka lat temu na moje biuro. Zaproponowałam mu coś do picia. Poprosił o białe wino, ja wybrałam herbatę.

- Kilka dni temu zniszczono ogród Fentonów - oznajmił, sadwiąc się w starym, obitym aksamitem fotelu i jednym haustem wypił pół kieliszka wina. - Jakiś przekłety głupiec, kuzyn Watsonów, pozwolił, żeby koń go poniósł.

Dbanie o dobre stosunki z okolicznymi farmerami należało do moich obowiązków.

- O, mój Boże - westchnęłam. Fenton był jednym z naszych dzierżawców i wiedziałam, jaki jest dumny ze swojego ogrodu. - Czy ktoś już mu powiedział, że klub naprawi szkody?

- Sam się z nim spotkałem - poinformował mnie pan Matthew.

- To go jednak nie uspokoiło. Jego żona zapytała mnie, co by było, gdyby w ogrodzie bawiło się dziecko. Twierdzi, że zostałyby stratowane.

Niestety, pani Fenton miała rację. Zirytowana odstawiłam filiżankę.

- Jak, u diabła, temu człowiekowi udało się wjechać do ogrodu Fentonów? Polowanie odbywało się co najmniej trzy pola dalej!

- Owszem, Annabello, owszem. Ale ten przekłety głupiec dosiadał pożyczonego konia, bardzo narowistego folbluta. Nie potrafił go utrzymać. Koń poniósł go prosto do tego ogrodu.

Był równie oburzony jak ja. Pan Matthew ma ascetyczną twarz średniowiecznego uczonego, ale to typowy ziemianin i miłośnik koni, a w dodatku najlepszy łowczy, jakiego można sobie wymarzyć. Zna mnie, odkąd skończyłam osiem lat.

- Nie przysłuży się to klubowi, jeśli okoliczni farmerzy poczują, że nie są bezpieczni nawet we własnym ogrodzie.

- Wiem, wiem. - Mój gość dopił wino, nalał sobie następny kieliszek i przeszedł do

głównego punktu swojej wizyty. - Mogłabyś odwiedzić Fentonów i wytłumaczyć im, że to był wypadek, który nigdy się nie powtórzy? - Chrząknął. - Ta prośba przychodzi mi z trudem w tak niefortunnym momencie. Wiem, że jesteś w żałobie. - Jego szczupła, surowa twarz przybrała odpowiednio poważny wyraz. - Jednak Fentonowie to wasi dzierżawcy, a jeśli pani Fenton podburzy inne żony farmerów ...

- To klub Sussex będzie miał kłopoty - dokończyłam. Spoglądaliśmy na siebie w milczeniu.

Klub myśliwski był naszą wspólną pasją. Jak już wcześniej wspomniałam, przewodził mu pan Matthew i naszą sforę bardzo kosztownych psów myśliwskich trzymał u siebie, w Stanhope Manor. Koszt utrzymania takiej sfory jest olbrzymi, więc trudno było oczekiwać, że będzie ponosił wszystkie koszty. Dlatego właśnie nasz klub, jak wiele innych, utrzymywał się ze składek członkowskich.

Żeby należeć do klubu, trzeba było co roku wpłacać pewną sumę pieniędzy. Członkowie mogli wprowadzać gości, ale ci, oczywiście, również musieli płacić. Potrzebowaliśmy pieniędzy na urządzenie polowań, ale zezłościł się, kiedy wprowadzano do klubu jeźdźców, którzy nie potrafili zapanować nad swoimi wierzchowcami. W listopadzie, na początku sezonu, zdarzył się inny wypadek tego rodzaju: koń gościa kopnął psa. Myślałam, że pan Matthew dostanie na miejscu apopleksji.

- Oczywiście, porozmawiam z Fentonami - odparłam.

- Dziękuję, moja droga. Zapewniam cię, że bardzo ostro rozmówiłem się z Watsonem. Powiedziałem mu, że jeśli jeszcze raz dopuści do podobnego wybryku, nie będzie zapraszany na nasze polowania.

Skinęłam głową z aprobatą.

Zapadła cisza. Słońce akurat w tej chwili wyszło zza ciężkiej zasłony szarych chmur, która cały ranek zasnuwała niebo, i pokój się rozjaśnił, jakby nagle zapalono wszystkie lampy. Biuro zawsze należało wyłącznie do mnie i zwykle codziennie spędzałam trochę czasu pracując za wielkim biurkiem, stanowiącym główny mebel w tym pomieszczeniu. To tutaj księgowałałam wydatki domowe i klubowe.

Uniosłam wzrok, jak to często robiłam, na wiszący na przeciwległej ścianie olejny obraz George'a Stubbsa. Przedstawiał konie pełnej krwi angielskiej na Newmarket Heath. Gerald podarował mi go na dwudzieste pierwsze urodziny i bardzo go lubiłam. Poczułam, że oczy

zaczynają mnie piec.

- Jak sobie radzisz, Annabello? - zapytał pan Matthew. - Jak to znosi Giles?

Spróbowałam się uśmiechnąć.

- Wszyscy trzymamy się tak dobrze, jak to w tych okolicznościach możliwe. To był wielki wstrząs. Jeszcze chyba w pełni do mnie nie dotarło, że Gerald odszedł.

Potrząsnął głową.

- Taki młody człowiek, tak pełen życia. Ile miał lat? Dwadzieścia dziewięć?

- Dwadzieścia osiem - odparłam.

- Ile razy polował dniem i nocą, przemakał do suchej nitki i nigdy z tego powodu nawet nie miał kataru? - zastanawiał się pan Matthew. - Jak to możliwe, że nabawił się zapalenia płuc w Londynie?

Ze zmęczeniem przetarłam oczy.

- Nie wiem. To się po prostu stało.

- Przepraszam, moja droga. Wybacz, że stary gaduła zamęcza cię takimi pytaniami. Wiesz jednak, że jeśli będziesz. ode mnie czegokolwiek potrzebować - czegokolwiek - wystarczy tylko poprosić.

Uśmiechnęłam się do niego szczerze.

- Wiem i jestem za to wdzięczna. W takich okolicznościach przyjaciele są niezbędni.

Spojrzał na mnie z zastanowieniem.

- Czy księżna nadal tu jest? - zapytał.

Miał na myśli księżnę Saye, czyli moją matkę. Dwa lata po śmierci szóstego hrabiego Weston, ojca Geralda, mama złowiła księcia Saye na swojego męża numer trzy. Uwielbiała, kiedy zwracano się do niej „wasza miłość”.

- Wyjeżdża dzisiaj po południu. - Dobrze.

Uśmiechnęliśmy się do siebie z pełnym zrozumieniem.

- Słyszałem od Adama, że zgodnie z testamentem twojego męża, opiekunem Gilesa został Stephen - zmienił temat pan Matthew.

- Tak.

Skinął głową z aprobatą. Kiedyś Stephen uchronił jedną z jego pokazowych suk przed rogami jelenia, więc dla pana Matthew brat mojego męża na zawsze miał pozostać bohaterem.

- Dobrze pomyślane - stwierdził. - Adam to doskonały strzelec, ale trochę za stary, żeby

się opiekować małym chłopcem, takim jak Giles. - Przeczesał dłonią siwiejące czarne włosy i zapewnił mnie: - Wiesz, zawsze wierzyłem, że za tą historią z przyłapaniem Stephens na przemyście kryło się coś więcej.

- Być może - odparłam obojętnie. - To wszystko zdarzyło się pięć lat temu i sądzę, że teraz dla nikogo nie ma już żadnego znaczenia.

- Pewnie nie.

Postanowiłam zakończyć ten temat.

- Czy to prawda, że Durham sprzedaje swoje psy? - zapytałam.

Pan Matthew zareagował z ożywieniem.

- Już je sprzedał. - Zrobił dramatyczną przerwę i dodał: - Za dwa tysiące gwinei.

- Co takiego?

Poważnie skinął głową, nalał sobie kolejny kieliszek wina i usadowił się wygodniej, żeby mi o tym opowiedzieć.

Następnego ranka wybrałam się z wizytą do Fentonów. Ich farma leżała w pobliżu wsi Weston, więc pojechałam do drogi jedną z szerokich, trawiastych alei do konnej jazdy, przecinających Weston Park. Przed świtem spadł deszcz i otaczający mnie las ociekał wodą. Powietrze miało świeży, czysty zapach, wygięta w łuk, wypielegnowana szyja mojej kasztanki połyskiwała, a sprężysty chód świadczył o jej energii i dobrej kondycji. W taki poranek człowiek cieszy się, że żyje. Po prostu nie mogłam znieść więcej wspomnień o Geraldzie, więc lekko trąciłam Nimfę piętami i pogalopowałam do wiejskiej drogi.

Farma Fentonów wyglądała dostatnio. Stały tu dwie obszerne stodoły, wozownia, spichlerz i chlew. Gospodarstwo prezentowałoby się jeszcze lepiej, gdyby przylegający do domu niewielki kwadratowy ogródek, pełen krzewów bukszpanu, nie sprawiał wrażenia ofiary jakiegoś szalonego ogrodnika. Obejrzałam go z grzbietu Nimfy, wyobrażając sobie, co tu się zdarzyło: koń wpadł z jednej strony, z impetem przegalopował przez mały trawnik i wypadł z drugiej strony, tratując krzewy.

Na myśl o dziecku bawiącym się w tej ogrodzonej przestrzeni i o morderczych, podkutych żelazem kopytach, krew zastygła mi w żyłach.

- Milady! - Pani Fenton stała w drzwiach domu, wycierając ręce w fartuch. Uśmiechnęłam się do niej, zeskoczyłam z siodła, przywiązałam Nimfę do bramy i weszłam do środka.

Susan Fenton, córka jednego z dzierżawców i żona innego, była ode mnie kilka lat

starsza. Zaprosiła mnie do kuchni i zaczęła parzyć herbatę, a jej wyrazy smutku z powodu śmierci Geralda niewątpliwie brzmiały szczerze. Podziękowałam jej i przeszłyśmy z herbatą do małego, chłodnego saloniku, którego używano tylko dla gości. Susan postawiła dzbanek na rozkładanym stoliku i wskazała mi dębowe krzesło, którego twardość łagodziła wyszywana, niebiesko - biała poduszka.

Starannie ułożyłam fałdy mojej obszernej szarej spódnicy do konnej jazdy.

- Przyjechałam, żeby przeprosić za zniszczenie ogródka - wyjaśniłam.

Jej ładna twarz, o cerze niczym płatek kwiatu jabłoni, przybrała surowy wyraz.

- Wiem, że wynagrodzi mi pani stratę, więc nie to mnie martwi.

Mój Robby często sam się tam bawi. Przecież to bezpieczne, ogrodzone miejsce. - Upiła łyk herbaty. - Przynajmniej tak mi się wydawało.

- Obejrzałam je z drogi. Koń przegalopował przez cały ogródek?

- Tak. Z przerażenia mało nie stanęło mi serce. Doskonale ją rozumiałam.

- Susan, to nie był żaden z członków klubu - zapewniłam ją.

- Zrobił to jakiś głupiec, zaproszony gość, który nie potrafił zapanować nad koniem.

- Nie ma dla mnie znaczenia, kto to był - odparła stanowczo.

- Wiem, że to ziemia Grandville'ów, ale Fentonowie ją dzierżawią i więcej sobie nie życzę, żeby jakiegokolwiek polowanie zbliżyło się do mojego domu.

Stojący zegar zaczął wydzwaniać godzinę, więc zaczęłam, aż umilknie i dopiero wtedy się odezwałam:

- W myśl zasad, polującym w ogóle nie wolno zbliżać się do domów. Pan Matthew twierdzi, że reszta grupy znajdowała się o pół kilometra stąd.

- Niewielka to byłaby pociecha dla pogrążonych w żałobie rodziców, że koń nie powinien był się zbliżyć do ich domu - szybko odcięła Susano - Myśliwy jednak wpadł do mojego ogrodu i mógł zabić dziecko.

Może powinnam tu wyjaśnić, że Susan i mnie łączą inne stosunki, niż się to zwykle zdarza między właścicielką majątku a żoną jednego z dzierżawców. Susan zna mnie od czasów, kiedy przybyłam do Weston Hall jako samotne i nieszczęśliwe dziecko. Zabierała mnie na jagody i uczyła mnie, jak się uprawia ogród warzywny. To ona pierwsza powiedziała mi o comiesięcznej kobiecej przypadłości.

- Oczywiście, masz rację - odrzekłam z rezygnacją. Od kuchni uniósł się smakowity

zapach pieczonego chleba i z przyjemnością pociągnęłam nosem. - Czy ten chleb nie jest już czasem gotowy?

Susan wiedziała, jak uwielbiam jej wypieki.

- Będzie gotowy za kilka minut, milady, więc jeśli może pani poczekać

- Na twój chleb mogłabym czekać całą wieczność. - Wyglądała na zadowoloną, zatem niechętnie wróciłam do sprawy, która mnie tu przywiodła. - Stali członkowie naszego klubu nigdy nie sprawiali ci kłopotów, prawda?

Susan z namysłem zmarszczyła brew, spoglądając na rząd cynowych talerzy, ustawionych dekoracyjnie w dębowym kredensie. - Nie - przyznała w końcu.

- A gdybym poleciła, żeby w przyszłości w polowaniach brali udział wyłącznie członkowie klubu? - Spojrzała na mnie niepewnie. - Przecież znasz wszystkich - przekonywałam. - Nie ma wśród nich nikogo, kto złamałby zasady i zbliżył się do domostw.

Klub Sussex był wyjątkowo demokratyczny i Susan rzeczywiście znała wszystkich jego członków. Polowało z nami kilku najzamożniej szych dzierżawców, jak również właściciel miejscowej karczmy. Dezaprobaty tego ostatniego, Harry'ego Blackstone'a, Susan obawiała się najbardziej. Gdyby Susan Fenton zepsuła Harry'emu przyjemność polowania, jej mąż Bob stałby się niemiłe widzianym gościem przy szynkwasiu w karczmie. A to by mu się nie spodobało.

- Członkowie klubu odnosiliby się do was z niechęcią, gdybyście zabronili im przejeżdżać przez swoje pola - bezlitośnie wykorzystywałam ten argument.

Spojrzała na mnie, jakby mówiła: punkt dla ciebie. Uśmiechnęłam się niewinnie.

- Czy reszta członków zgodzi się, żeby nie wolno było wprowadzać gości? - zapytała.

- Nie ucieszą się - odparłam szczerze. - To będzie zapewne oznaczało podniesienie składek. Jednak uważam, że twoje zastrzeżenia są bardzo słuszne. Albo będziemy polować wyłącznie na wzgórzach Downs, albo staranniej dobierać myśliwych. Twój Robby rzeczywiście mógł zostać poważnie ranny, gdyby wtedy bawił się w ogrodzie.

Przy drugiej filiżance i kromce upieczonego przez Susan chleba obiecałam przysłać ludzi z Weston Hall, żeby zastąpili stratowane krzewy nowymi. Skończyłam pić herbatę i przygotowywałam się do odjazdu, kiedy Susan powiedziała:

- Czy pani wie, milady, że Jem Washburn wrócił? Opadłam z powrotem na krzesło.

- Nie, nie wiedziałam, że Jem wrócił - odparłam zaskoczona. Jeden z kotów Susan, widząc, że moje kolana nie są zajęte, wskoczył na nie i wygodnie się ułożył. Zaczęłam głaskać

jego szare, miękkie futerko.

- Washburn umiera, ale Jem chyba nie wrócił po to, żeby pożegnać starego ojczulka - ironicznie stwierdziła Susana.

- Stary Washburn to łajdak - odrzekłam. - Wszyscy wiedzieli, że często bił Jema, ale nikt nic nie zrobił, żeby go powstrzymać. - Pan Stephen próbował.

Moja dłoń zamarła w pół ruchu, a kot spojrział na mnie z przyganą i miauknął cicho, niezadowolony. Znow zaczęłam go głaskać.

- Bob twierdzi, że Jem wrócił, żeby przejąć dzierżawę ojca - ciągnęła Susan - Boi się tylko, że pan Grandville mu jej nie przedłuży. Jem w młodości trochę rozrabiał, ale słyszałam, że z wiekiem się ustatkował.

Podrapałam kota po szyi i mruczenie stało się głośniejsze.

- To nie pan Grandville podejmie decyzję o tym, kto dostanie farmę Washburnów - wyjaśniłam.

Ładna twarz Susan ożywiła się.

- A więc to prawda? Pan Stephen rzeczywiście wraca do domu?

- Lord Weston wyznaczył go na opiekuna Gilesa. W tych okolicznościach nie ma żadnego powodu, żeby pozostał na Jamajce. - Wszyscy bardzo się ucieszą z powrotu pana Stephena - oznajmiła Susan.

Kiedy siedziałam w domu Susan, słońce rozproszyło resztę chmur. Napiłam Nimfę, zacieśniłam jej popręg i wsiadłam. Jednak zamiast wrócić do domu wiejską drogą, skierowałam klacz na wydeptaną przez konie ścieżkę, wiodącą ze wsi na wzgórze Downs. Nimfa postawiła czujnie uszy, kiedy spostrzegła gdzie jedziemy, i ruszyła sprężystym krokiem.

Kiedy zbliżyliśmy się do wyniosłości terenu, rysujących się na północnym horyzoncie, pozwoliłam jej przejść w krótki galop i już po chwili dojeżdżałyśmy do wzgórz. Kiedy zaczęłyśmy się wspinać, poczułam, jak mięśnie klaczy się napinają. Siedziałam w siodle po damsku, jak zwykle, z wyjątkiem polowań, i starałam się przenieść ciężar ciała naprzód, żeby nie utrudniać Nimfie wspinaczki.

Dotarliśmy na płaski wierzchołek łańcucha wzniesień i zwróciliśmy się ku podwójnemu szpalerowi krzaków jałowca, który tworzył rodzaj naturalnej alei, szerokiej na jakieś czterdzieści pięć metrów, biegnącej wzdłuż szczytu.

Nimfa postawiła uszy, tak że niemal się stykały. Wiedziała, co za chwilę nastąpi, i kiedy

tylko przesunęłam dłonie do przodu, przyśpieszyła do pełnego galopu. Wiatr świstał mi w uszach. Ponagliłam Nimfę do szybszego biegu. Wyciągnęła krok jak prawdziwy koń pełnej krwi angielskiej, jedno z najszybszych stworzeń na ziemi, a ja pochyliłam się nisko nad jej szyją. Ziemia pod nami uciekała w tył, krew tętniła mi mocno w żyłach i nie chciałam, żeby to się kiedykolwiek skończyło.

Z największą szybkością pędziłyśmy niemal kilometr, a potem zaczęłyśmy zwalniać. Wkrótce Nimfa przeszła w swobodny kłus, a kiedy dotarliśmy do punktu, skąd odchodziła droga do domu, Nimfa zwolniła do stępa.

Niebo przybrało kobaltową barwę i tylko kilka białych obłoków z wielką gracją sunęło wysoko po' niezmiernym obszarze błękitu. Zatrzymałam klacz i razem spojrzaliśmy na małą, słoneczną dolinę, która była naszym domem.

Weston Hall i otaczający go park zajmowały niemal całą wschodnią część doliny. Wyraźnie widziałam wielki kamienny dom, stajnie, pastwiska dla koni i jezioro. Dostrzegłam nawet pawilon wędkarski na jego brzegu i lodownię.

Wioska Weston leżała na zachód od parku. Z mojego miejsca na wzgórzu wyglądała jak garstka drzew i domów wśród rozległych pól. Kościół stał na skraju wsi, a jego wieża śmiało wznosiła się ku błękitnemu niebu.

Na północ od wsi, przytulony do podnóża wzgórz Downs, stał drugi co do ważności dom w okolicy: Stanhope Manor, posiadłość pana Matthew. Widziałam otaczający go park, ale sam dom krył się przed moim wzrokiem.

Resztę doliny zajmowały żyzne pola, których większość należała do hrabiego Weston i została oddana w dzierżawę. Mój wzrok nie sięgał poza południowy kraniec doliny, ale wiedziałam, że za wznoszącym się tam stromym, zalesionym zboczem teren opadał i w odległości kilku kilometrów dochodził do kanału La Manche i portowego miasteczka West Haven. Właśnie to wzniesienie chroniło dolinę przed wiatrami od kanału i sprawiało, że jej klimat był jednym z najłagodniejszych w całej Anglii.

Po kilku minutach ponagliłam Nimfę i zjechałyśmy w dół, do ścieżki prowadzącej do Weston Park.

Kiedy dotarłam do domu, Hodges, nasz kamerdyner, powitał mnie w drzwiach i oznajmił, że przyjechał z wizytą kuzyn Geralda, Jack Grandville. Hodges wprowadził go do biblioteki.

- Przyjechał z kufrem, milady, ale jeszcze nie zaniósłem jego bagażu na górę. - Hodges miał wielki ptasi nos, który fascynował mnie od dzieciństwa. Był doskonałym wskaźnikiem nastroju właściciela, a w tej chwili trząsał się z oburzenia.

Jak tylko sięgnę pamięcią, Jack odwiedzał Weston. Jako jedyny syn brata ojca Geralda zajmował trzecie miejsce, po Gilesie i Stephenie, w kolejce do tytułu. Jako potomek młodszego syna hrabiego chronicznie cierpiał na brak pieniędzy i dawno już uczynił zwyczaj ze swoich wizyt w Weston. Przyjeżdżał tu, kiedy musiał przez jakiś czas oszczędzać na utrzymaniu. Nie rozumiałam, dlaczego Hodgesa nagle zaczęło to tak oburzać.

- Nie zaniósł jego kufra na górę? - zapytałam, zdejmując rękawiczki.

- To kawaler i nie powinien przebywać pod tym samym dachem, kiedy panią jest sama, panno Annabelle - odparł kamerdyner. Był do tego stopnia wzburzony, że zwrócił się do mnie tak jak wtedy, kiedy byłam dzieckiem.

- Nonsens - odparłam. - Pan Jack to rodzina. Ptasi nos wręcz zadygotał z gniewu.

- Tak nie wypada, panno ... milady. Jeśli tutaj zostanie, ludzie zaczną gadać.

Kiedy tak patrzyłam na nos Hodgesa, przyszło mi na myśl, że wcale bym nie chciała, żeby Jack plątał mi się pod nogami od rana do wieczora. Uderzyłam rękawiczkami o spódnicę i powiedziałam: - Wydaje mi się, że może się zatrzymać u pana Adama.

Nos przestał się trząść.

- Natychmiast każę wysłać kufer pana Jacka do Dower House - odrzekł kamerdyner z uśmiechem.

- Lepiej zapytaj najpierw panią Grandville - poradziłam.

- Oczywiście.

Rzuciłam rękawiczki na delikatny stolik w stylu Ludwika XIV.

- Każ przynieść lemoniadę do biblioteki, dobrze? Po przejeździe trochę chce mi się pić.

Teraz, kiedy postawił na swoim, Hodges stał się uosobieniem łagodności.

- Tak jest, milady. - Uśmiechnął się do mnie dobrotliwie. - Jak miło znów widzieć rumieniec na pani policzkach.

Nie mogłam się oprzeć. Rozejrzałam się po marmurowym holu, o suficie wspartym na rzymskich kolumnach, ozdobionym klasycznymi rzeźbami, ustawionymi w jasnozielonych niszach.

- A gdzie jest kufer pana Jacka? - zapytałam niewinnie.

- Pod schodami - odparł natychmiast.

Spojrzeliliśmy na siebie. Wiedziałam, i on był tego świadom, że jeszcze przed moim powrotem odesłał kufer do wuja Adama.

- Jak to miło z twojej strony, że chociaż z pozoru pozwalasz mi być tu panią - stwierdziłam pogodnie.

Był na tyle uprzejmy, że zrobił skruszoną minę. Uśmiechnęłam się i minąwszy główne schody, po lśniącej posadzce z białego - czarnego marmuru poszłam do bocznego korytarza. Nie skierowałam się jednak do salonu, tylko skręciłam w lewo, do rodzinnej części domostwa. Drzwi naprzeciw schodów prowadzących do sypialni były otwarte. Weszłam do biblioteki, wielkiego, wyłożonego drewnem kasztanowca pokoju z półkami sięgającymi do zdobionego złoceniami sufitu. Nad marmurowym, zielono - białym kominkiem wisiał portret ubranego w wykwintny, barwny strój z czasów Restauracji pierwszego hrabiego Weston, który wyglądem bardzo przypominał Geralda.

Przyoknie stał mężczyzna i chociaż moje stopy bezgłośnie stąpały po grubym, tureckim dywanie, odwrócił się do mnie. Słońce zabłysło na jego jasnych włosach. Chociaż dobrze wiedziałam, kto to jest, na chwilę serce skoczyło mi do gardła.

- Annabello - odezwał się Jack. Zbliżył się do mnie i z niepokojem zmarszczył brew. - Co się stało?

- To tylko ... słońce na twoich włosach ... Przez moment wydawało mi się, że to Gerald.

- O, mój Boże. Tak mi przykro. Usiądź. Zrobiłaś się niepokojąco blada.

Udało mi się uśmiechnąć.

- Nic mi nie jest. - Jednak pozwoliłam mu wziąć się za ramię i poprowadzić do jednego z czterech foteli, ustawionych wokół wielkiego globusa. Usiadłam i spojrzałam w tę jasną, niebieskooką twarz, równie przystojną jak twarz Geralda, ale pozbawioną jego dobrotliwości. Usta Jacka układały się w twardą linię, nos miał nieco drapieżny wykrój, a tych cech twarzy mojego męża była pozbawiona.

- Pozwól, że naleję ci kieliszek madery - zaproponował. Kolana lekko mi drżały.

- Dobrze - zgodziłam się. Patrzyłam, jak podszedł do kredensu, w którym zawsze stało kilka butelek wina i kieliszki. W milczeniu nalał trunek i wręczył mi kieliszek. Pociągnęłam raz, potem drugi. Spozstrzegłam zatroskaną minę Jacka, więc powtórzyłam: - Nic mi nie jest.

Delikatnie dotknął grzbietu mojego nosa.

- Znów jeździłaś konno bez kapelusza. Wyszły ci piegi. - Podszedł do kredensu i nalał sobie trochę wina; Wzmocniłam się następnym łykiem madery i patrzyłam, jak kuzyn zajmuje miejsce naprzeciw mnie. - Myślisz pewnie, że przyjechałem tutaj, żeby nieco podreperować stan swoich finansów - zagaił i przechylił kieliszek.

- Taka myśl przeszła mi przez głowę - odparłam szczerze. Uśmiechnął się.

- Nie tym razem. Prawdę mówiąc, w zeszłym tygodniu dopisało mi szczęście. Wygrałem tyle pieniędzy, że starczy mi na dłuższy czas.

- Gratuluję.

Oparł szerokie ramiona o obity jedwabiem fotel.

- Przyjechałem, bo się o ciebie martwię.

Obróciłam w palcach nóżkę kieliszka.

- Nie trzeba się o mnie martwić. Doskonale daję sobie radę.

- Londyn bez ciebie to już nie to samo. - Spojrzał na mnie znad brzegu kieliszka. - Nawet ten zakuty łeb, Byron, napisał o tobie wiersz. Zatyłował go Żegnaj Światłości, czy jakoś tak.

- Czyżbyś zaczął czytywać poezję? - zdziwiłam się.

Znów się uśmiechnął.

- Co to, to nie.

Otworzyły się drzwi i wszedł lokaj, niosąc tacę z dzbankiem lemoniady i dwiema szklankami.

- Lemoniada? - zawołał ze zgrozą Jack.

- Dziękuję, Williamie - odezwałam się stanowczo. - Postaw tacę tutaj, na stole.

William umieścił tacę na stoliku obok mnie. Wyprostował się i powiedział drewnianym głosem:

- Pan Hodges kazał powiedzieć, że kufer pana Jacka został odesłany do Dower House.

Hodges, ten przebiegły stary lis, chciał wyraźnie dać Jackowi do zrozumienia, że nie jest tu mile widziany.

- Dziękuję, Williamie - odrzekłam cicho, a moje słowa zagłuszyło głośne pytanie Jacka.

- Co to, u diabła, ma znaczyć? Jasny gwint, nie zgadzam się zatrzymać u Adama!

Skinieniem głowy nakazałam Williamowi, żeby wyszedł, co pośpiesznie uczynił. Potem zwróciłam się do Jacka.

- Hodges twierdzi, że nie możesz mieszkać ze mną pod jednym dachem bez przyzwoitki. Jego niebieskie oczy rozbłysły gniewem.

- Do diabła, Annabello. Jesteśmy rodziną! Oczywiście, że mogę się tu zatrzymać.

- Nie jesteś moją rodziną, tylko Geralda. A Gerald ...

Nie potrafiłam wymówić tego słowa.

Porywcza złość zniknęła z twarzy Jacka. Pochylił się ku mnie i zamknął moje palce w twardym uścisku.

- Przepraszam cię, moja droga. Wiesz, że nie zrobiłbym nic, żeby cię zasmucić.

Przez chwilę zostawiłam rękę w jego dłoni, a potem delikatnie ją cofnęłam. Hodges ma rację, pomyślałam, nie powinnam zostawać z nim sam na sam.

Obdarzył mnie swoim czarującym uśmiechem.

- Jeśli cię to uszczęśliwi, to zamieszkać u Adama.

Wzięłam drżący, głęboki oddech.

- To przecież nie jest żadna kara. - Jeszcze raz nabrałam powietrza i przemówiłam już spokojniejszym głosem: - Zawsze był dla mnie bardzo dobry.

Jack wstał z fotela i niespokojnie podszedł do okna.

- Nie rozumiem, dlaczego Gerald wyznaczył Stephena, a nie Adama, na opiekuna Gilesa. Na samą myśl, że Stephen miałby się kimś opiekować, przechodzi mnie dreszcz.

- Przez ostatnie pięć lat bardzo dobrze sobie radził na Jamajce.

- Nalałam lemoniadę do szklanki. - Gerald mi mówił, że nasza plantacja jako jedna z niewielu nie musiała ogłaszać bankructwa.

- Mój dziadek zbił fortunę na tej plantacji, ale jej czas dobiega już końca. Napoleon zniszczył rynek cukrowy, kiedy zakazał sprowadzania produktów brytyjskich na kontynent. Właściwie lepiej by było, gdyby Stephen ogłosił bankructwo plantacji i pozbył się jej.

Wypiłam trochę lemoniady i nic nie odrzekłam.

- Chyba nie zniosę ciotki Fanny dłużej niż dwa dni - ponuro oznajmił Jack.

- Dlaczego nie? - zdziwiłam się. Żona Adama była trochę gadatliwa, ale miała wyjątkowo dobre serce i kiedy dorastaliśmy, jej drzwi stały otworem dla wszystkich dzieci Grandville'ów.

Lubiliśmy ciotkę Fanny o wiele bardziej niż moją matkę.

- Ponieważ będzie mi opowiadać, i to z licznymi szczegółami, o debiucie towarzyskim Nell, chociaż wszystko mi już o nim powiedziała podczas naszych trzech ostatnich spotkań.

- Nell odniosła w Londynie duży sukces. Miała trzy propozycje małżeństwa!

- Wiem o tym - odparł Jack. - Znam nawet kolor oczu wszystkich kawalerów starających się o jej rękę.

Musiałam zagryźć wargę, żeby się nie roześmiać.

Jack podszedł do kredensu z winem i nalał sobie następny kieliszek.

- Trudno się tylko nie zastanawiać, dlaczego Nell nie przyjęła niczyich oświadczeń - skomentował, zwracając się ku mnie.

Wzruszyłam ramionami.

- Może żaden ze starających się nie przypadł jej do gustu.

- Mówiła ci coś na ten temat?

- Potrząsnęłam głową. - Cóż, z pewnością będzie miała inne propozycje. Chodzą słuchy, że Adam przeznaczył dla niej całkiem niezły posag.

Psy, które żałośnie skomlały pod drzwiami do biblioteki, teraz zaczęły szczekać. Wpuściłam je do środka.

- Te utrapione wyżyły - powiedział Jack z rezygnacją, kiedy go otoczyły i zaczęły obwąchiwać, przypominając sobie jego zapach.

- To spaniele, nie ogary.

- Ale czy muszą obśliniać mi buty?

Strzeliłam palcami i psy podbiegły do mnie. Jack zapytał:

- Kogo to Fanny wynalazła, żeby pomógł wprowadzić Nell do towarzystwa? Zdaje się, że jakąś kuzynkę, zasuszoną staruszkę.

- Tak. - Wróciłam na fotel, a psy usadowiły się na podłodze, u moich stóp. - Nazywa się Dorothy Grandville i mieszka w Bath. - Nachyliłam się, żeby podrapać długie, pokryte jedwabistą sierścią uszy Portii. - Zaoferowałam swoją pomoc, ale ciotka Fanny nie była nią zainteresowana.

Staralam się, żeby w moim głosie nie było słychać rozzalenia, ale prawdą jest, że czułam się urażona. W końcu Nell była mi niemal jak młodsza siostra. Spodziewałam się, że to ja pomogę wprowadzić ją w wielki świat.

Jack przyglądał mi się z rozbawieniem w jasnoniebieskich oczach.

- Kochana Annabello, żadna matka przy zdrowych zmysłach nie chciałaby pokazywać światu córki w twoim towarzystwie, żeby uniknąć porównań. Cały sens debiutu towarzyskiego polega na tym, że ludzie mają zwrócić uwagę na debiutantkę, a nie na jej przyzwoitkę. - Merlin trącił nosem moją rękę, więc teraz jego zaczęłam drapać po uszach. Nic nie odrzekłam. - Jak myślisz, czy udałoby ci się namówić tę Dorothy Grandville, żeby zamieszkała z tobą w Weston Hall? - zapytał Jack.

Spojrzałam na niego zdziwiona.

- Dlaczego miałabym to zrobić?

- Oczywiście po to, żeby mieć przyzwoitkę. Nie możesz wymagać ode mnie, żebym zawsze zatrzymywał się u Adama. Przez ciotkę Fanny trafię do domu wariatów.

- Nie przypuszczałam, że planujesz tak częste wizyty - odparłam cierpko. - Sezon łowiecki już się skończył.

- Stephen zechce tu zamieszkać, kiedy wróci do domu - zauważył Jack.

Ostatni raz poklepałam Merlina po głowie i złożyłam ręce na kolanach.

- Nawet nie wiem, czy Stephen w ogóle wróci.

- Gerald nie żyje. Oczywiście, że Stephen wróci.

Spuściłam wzrok na własne splecione dłonie.

- Pewnie będzie musiał. W końcu jest prawnym opiekunem Gilesa.

- I tak wróciłby do domu, Annabello. Dobrze o tym wiesz.

Poczułam, że zapuściłam się na niebezpieczne wody, więc żeby wybrnąć z niewygodnej sytuacji, szybko odparłam:

- Weston to rodzinny dom Stephena. Oczywiście, że tu zamieszka.

- Twoja matka dostanie szału, jeśli ty i Stephen zamieszkacie sami pod jednym dachem - stwierdził Jack.

Przypomniałam sobie, co powiedziała mama w dniu, kiedy odczytano testament Geralda, i musiałam przyznać, że Jack najprawdopodobniej ma rację.

- Skończyłam dwadzieścia trzy lata - powiedziałam z goryczą.

- Mam czteroletnie dziecko, a mój mąż zmarł niecały miesiąc temu. Dlaczego wszyscy traktują mnie jak dziewczynę, która dopiero wchodzi w życie?

- Nie jesteś głupia - bez ogródek odparł Jack. - Wiesz przecież, ilu mężczyzn bardzo by

chciało zająć miejsce Geralda.

Czułam, że krew w skroniach zaczyna mi pulsować. Wstałam. - Wybacz mi, ale obiecałam Gilesowi, że razem zjemy obiad. Jack z godnością przyjął tę odprawę.

- Dobrze, posłusznie zamieszkać w Dower House. - Spojrzał na mnie z udręczoną miną. - Czy kolacje też będę musiał tam jadać?

Udało mi się uśmiechnąć.

- Nie, przyjdź do nas. Właściwie, jeśli chwilę zaczekaasz, napiszę krótki liścik do ciotki Fanny i zaproszę ją wraz z Adamem i Nell.

Jack skrzywił się, ale zaczekał, aż napiszę zaproszenie. Razem wyszliśmy z biblioteki i w korytarzu przy schodach wpadliśmy na Gilesa i pannę Stedham.

- Byliśmy w ogrodzie, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza przed obiadem - wyjaśniła guwernantka.

- Panno Stedham, chcę pani przedstawić mojego kuzyna, pana Jacka Grandville'a - powiedziałam.

Uścisnęli sobie dłonie, a oczy Jacka rozbłyły, kiedy z uznaniem patrzył na ciemnokasztanowe włosy i jasną jak płatki magnolii cerę panny Eugonii. Lekki rumieniec zabarwił jej policzki, kiedy dostrzegła ten szczery podziw w jego oczach.

- Do widzenia, Jack - pożegnałam go rozbawiona.

Odchodząc szepnął do mnie:

- Annabelle, zaprosz pannę Stedham na kolację. Uznałam, że to dobry pomysł i spełniłam jego prośbę.

Moja pokojówka, Marianna, przygotowała mi wieczorową, prostą suknię z czarnej krepy, jedną z kilku zamówionych dla mnie przez matkę po śmierci Geralda. Rzadko je nosiłam, ponieważ kiedy byłam w domu sama z synem, zwykle jadałam kolacje razem z nim, w sali lekcyjnej.

- Taki zgrzebnny materiał - powiedziała Marianna, przeciągając ręką po matowym gorsie sukni.

- Jeszcze miesiąc i będę mogła nosić czarny jedwab - odparłam.

Marianna ponuro skinęła głową i odgadłam, że myśli o wszystkich tych barwnych kreacjach, które bym nosiła, gdybym była w Londynie. Moja młoda pokojówka uwielbiała ładne suknie, jednak ja, kiedy byłam w domu, zwykle chodziłam w stroju do konnej jazdy.

- Pewnie żałujesz, że w tym roku ominie nas sezon towarzyski, prawda, Marianno? - zapytałam ze zrozumieniem.

- W Londynie jest tak ciekawie, milady. Tyle różnych strojów, tyle miejsc. Bale, rauty ... - Urwała nagle i zagryzła dolną wargę. - Bardzo przepraszam. Nie. powinnam mówić o przyjemnościach, kiedy pani ... kiedy pan ... - Opanowała się i dokończyła z godnością: - Przepraszam za to, co powiedziałam. Pani teraz nie interesują przyjęcia.

Prawdę mówiąc, przyjęcia nigdy mnie nie interesowały. To Gerald lubił bywać w Londynie, nie ja. Byłabym o wiele szczęśliwsza mogąc od kwietnia do czerwca mieszkać na wsi, gdzie piękno tworzy natura, a nie ludzka ręka.

Przebrałam się i poszłam do głównego salonu trochę przed umówioną godziną, jako że wuj Adam słynął z niesłychanej punktualności.

Kiedy w połowie zeszłego wieku budowano Weston Hall, część rodzinną rozplanowano wokół klatki schodowej w zachodnim skrzydle domu, a część oficjalną wokół drugich schodów, we wschodnim skrzydle. W części rodzinnej mieściła się biblioteka, mały salon, główna sypialnia z przylegającymi do niej garderobami pana i pani domu oraz pokój, który stał się teraz moim biurem. We wschodnim skrzydle znajdował się wielki hol, salonik, główny salon, długa galeria i jadalnia.

Główny salon, w którym przyjmowałam gości, był dużym, eleganckim pokojem, pomalowanym na jasnoszary kolor, o okrągłym suficie ozdobionym złotymi medalionami. Cztery wysokie okna wychodziły na południowy taras, skąd widać było starannie przycięte krzewy bukszpanu i klomby kwiatowe oraz ustawione między nimi marmurowe rzeźby.

Wybrałam złocone, obite dekoracyjną tkaniną krzesło i usiadłam, żeby zaczekać na gości. Dokładnie o szóstej trzydzieści do salonu wkroczyła ciotka Fanny, a za nią wuj Adam, Jack i Nell.

- Annabello, moja droga - odezwała się ciotka swoim łagodnym, lekko zdyszonym głosem. - Jak to miło z twojej strony, że nas zaprosiłaś. Musisz być samotna w tak wielkim domu. Proszę, jeśli tylko będziesz miała ochotę mnie odwiedzić, nie wahaj się ani chwili. Oczywiście, zawsze też możesz mnie zaprosić. Wiesz, jak bardzo cię lubię. ..

Mogłaby jeszcze co najmniej przez dziesięć minut wygłaszać ten przyjacielski monolog, ale na szczęście przerwał jej mąż.

- Fanny, daj i nam szansę przywitać się z Annabellą. - Kiedy ciotka odsunęła się ode

mnie, wziął mnie za rękę i ucałował w policzek. - Jak się miewasz, moja droga? - zapytał. - Miło, że nas zaprosiłaś.

Jestem wysoka, więc nie musiałam specjalnie unosić wzroku, żeby napotkać spokojne, doświadczone spojrzenie wuja Adama. Dobiegał sześćdziesiątki, w jasnych włosach widać było siwe pasma, a jego kwadratowa, życzliwa twarz wyglądała jak twarz człowieka zadowolonego z otaczającego go świata i umiejącego się w tym świecie poruszać.

Gerald i Stephen zawsze nazywali Adama wujem, chociaż nie był bratem ich ojca, a tylko kuzynem. Zarządzał posiadłością Westonów przez ostatnie dwadzieścia lat, najpierw w imieniu ojca Geralda, a potem samego Geralda. Wraz z rodziną mieszkał w Dower House, stojącym na wschodnich obrzeżach parku Weston.

Zawsze odnosił się do mnie z wielką dobrocią, więc uśmiech, którym go obdarzyłam, był szczery.

- Zawsze się cieszę na twój widok, wuju Adamie - powiedziałam i podeszłam do jego dziewiętnastoletniej córki, Nell.

Była drobną dziewczyną o jasnych włosach Grandville'ów, których piękno podkreślały niezwykle, brązowe, lekko skośne oczy. Zawsze przywodziła mi na myśl elfa. Uśmiechnęłam się do niej i wymieniliśmy siostrzany pocałunek.

Jack rozejrzał się po pokoju; zapytał:

- Czyżby dzisiaj oszczędzono nam towarzystwa psów?

Spojrzałam na niego poirytowana.

- Przed niektórymi eleganckimi damami zawsze podążają paziowie w liberiach, a przed Annabellą psy - odparł dowcipnie Adam.

Jego wypowiedź wszystkich rozśmieszyła. Spostrzegłam pannę Stedham stojącą niepewnie w drzwiach i dałam jej znak, żeby weszła. Reszta rodziny przywitała ją po przyjacielsku. Guwernantka miała na sobie szarą suknię, obszytą czarnymi wstążkami. Kasztanowe włosy ściągnęła w gładki węzeł na karku. Ja także ubierałam się tak prosto, kiedy jadłam kolację w domu.

Teraz, gdy wszyscy byliśmy w komplecie, w drzwiach zjawił się Hodges i zaanonsował, że obiad podano. Ustawiliśmy się i w formalnym szyku ruszyliśmy do jadalni. Adam prowadził mnie, Jack ciotkę Panny, a pochod zamykały Nell i panna Stedham. W tej kolejności wkroczyliśmy do jadalni, gdzie zajęliśmy miejsca za mahoniowym stołem, od którego odłączono

boczne klapy.

Po raz pierwszy do czasu pogrzebu usiadłam za tym stołem.

Spojrzałam przed siebie, jakbym się spodziewała, że po drugiej stronie wypolerowanego blatu zobaczę Geralda.

Podczas towarzyskich spotkań, takich jak prośzone kolacje, Gerald był w swoim żywiole. Miał pogodne usposobienie i mnóstwo uroku - „słoneczny dzieciak”, jak nazywał go Jack nie bez goryczy. Zapewne mężczyznom mniej hojnie obdarowanym przez los trudno było nie zazdrościć Geraldowi.

Głos Adama przywołał mnie do teraźniejszości.

- Rozmawiałem dzisiaj z Matthew Stanhopem. Powiedział mi, że składka musi zostać podwyższona do tysiąca funtów.

- Annabelle, nie możesz zakazać gościom polowania z klubem Sussex - oznajmił ostro Jack. - Co ja wtedy pocznę?

Jack był zapalonym myśliwym i często przyjeżdżał do Weston, żeby brać udział w naszych polowaniach. Nie kosztowało go to drogo i zawsze mógł liczyć na to, że zapewnię mu konia.

- Obawiam się, że będziesz musiał zapisać się do klubu, jeśli w przyszłym roku zechcesz z nami zapolować - powiedziałam.

Jego niebieskie oczy rozbłyły nagłą złością. Uderzył pięścią w stół, aż podskoczyła zastawa.

- Nie stać mnie na zapłacenie tysiąca funtów! Dobrze o tym wiesz!

Zdenerwowana ciotka Panny zaczęła coś paplać, a lokaj zbliżył się pośpiesznie, żeby wytrzeć wino, które za sprawą Jacka wylało się z jej kieliszka.

- Jeśli nie nauczysz się panować nad nerwami, Jack, któregoś dnia napytasz sobie biedy - ponuro stwierdził wuj Adam. - Annabella ma rację. Dziecko Fentonów było w niebezpieczeństwie. Mogło nawet zginąć.

- Kogo obchodzi bachor byle farmera? - szorstko zapytał Jack. Zaszokowana Nell głośno złapała powietrze.

- Na pewno pan tak nie myśli, panie Grandville - odezwała się cicho panna Stedham.

Jack spojrzał na nią i jego groźnie zaciśnięte wargi trochę się rozluźniły .

- Chyba nie - przyznał niechętnie.

- Oczywiście, że nie - powiedziałam. Z namysłem przebierałam palcami po leżącej na moich kolanach serwetce. Nie chciałam pozbawiać Jacka możliwości polowania. Pomagał mi utrzymać konie w dobrej formie. - Już wiem - oznajmiłam radośnie. - Twoją składkę opłaci się z funduszków Weston. - Wiedziałam, że Gerald nigdy by się na to nie zgodził, ale tysiąc funtów to była niewielka suma w porównaniu z dochodami, jakie przynosiła ta wielka posiadłość. Spojrzałam na Adama. - To da się zrobić, prawda, wuju Adamie?

- Ja już nie mam prawa głosu, jeśli chodzi o te sprawy - odparł poważnie. - Zgodnie z ostatnią wolą Geralda, jedynym człowiekiem, który może podejmować decyzje co do wydatków, jest Stephen.

Rozpogodziłam się.

- Od dwudziestu lat zajmujesz się naszą posiadłością. Nie sądzę, żeby Stephen chciał cię w tym zastąpić.

- Mam nadzieję, że nie - wtrąciła ciotka Panny, niezwykle jak na nią zdecydowanym tonem.

- No, cóż - z namysłem odezwał się Jack. - Nie jestem pewien, czy się z tobą zgadzam, Panny. O wiele łatwiej przyjdzie mi wyciągnąć tysiąc funtów od Stephena niż od Adama.

Wszyscy wybuchnęliśmy śmiechem.

- To prawda, Jack - z westchnieniem zgodziła się ciotka. - Trudno o chłopca o bardziej miękkim sercu niż Stephen. Wciąż nie rozumiem, jak to się stało, że zaplątał się w przemyt.

- Od dawna się zastanawiam, czy dowody przeciwko niemu nie zostały sfalszowane - odezwała się Nell.

- Stephen sam się przyznał - odparłam obojętnym, stanowczym tonem. - Wiem, bo sama słyszałam.

Ścisłe mówiąc, podsłuchiwałam pod drzwiami łączącymi mały salon z biblioteką, kiedy hrabia i oficer straży celnej przeszukiwali Stephena.

„Ja jestem za wszystko odpowiedzialny, tato. Nikt inny nie był w to zamieszany.”

Tak brzmiały jego słowa. Nie zmienił zeznań, nawet kiedy mu powiedziano, że władze nie wniosą oskarżenia, jeśli opuści kraj i wyjedzie na Jamajkę.

Wybrał Jamajkę.

A ja wybrałam Geralda.

- ... co o tym sądzisz, Annabello? Zamrugałam i powróciłam do rzeczywistości.

- Przepraszam, ciociu. Nie usłyszałam, co mówiłaś.
Powtórzyła zdanie i obiad dalej przebiegał spokojnie.

Pod koniec maja do portu Southampton zawinął statek wiozący listy od Stephena. Jeden był zaadresowany do wuja Adama, drugi do mnie.

Schroniłam się w zacisze swojej garderoby, z irytacją stwierdzając; że bardzo trzęsą mi się ręce i z trudnością otwieram kopertę. Wreszcie udało mi się wyjąć pojedynczą kartkę papieru, tylko w połowie zapisaną. Znajomym, zamaszystym pismem Stephen zawiadamiał mnie, że z przykrością dowiedział się o śmierci Geralda, rozumie i dzieli mój smutek, do domu przyjedzie, gdy tylko załatwi do końca interesy związane z plantacją. Miałam przekazać pozdrowienia Gilesowi.

Pozdrowienia.

Zmiałam list i cisnęłam go do kominka.

Tego samego dnia odwiedził mnie Adam, przynosząc swój list, który - jak stwierdziłam z zainteresowaniem - składał się z pięciu ciasno zapisanych stron.

- Stephen pisze, że pozbywa się plantacji cukru - przemówił Adam drewnianym głosem i zajął swój zwykły fotel w bibliotece. - Pozbywa się plantacji? - Zamrugalam. - Chcesz powiedzieć, że jednak ogłasza bankructwo?

- Nie - z mocą odparł wuj. - Zawiadamia mnie, że oddaje posiadłość niewolnikom.

Potarłam nos i spojrzałam na jego kamienną twarz .

- Oddaje? - zapytałam po chwili.

- Tak pisze. - Zaszleścił kartkami w zaciśniętej dłoni. - Z listu wynika, że od kilku ostatnich lat Stephen nie uprawiał trzciny cukrowej. Podzielił plantację na działki, które przekazał niewolnikom. Uprawiali je na własne potrzeby i na sprzedaż. W dodatku - ciągnął ponuro - sprowadził dla nich z Anglii zwierzęta hodowlane.

- Czy niewolnikom wolno posiadać jakąś własność? - zaciekawiałam się.

- Rzecz jasna, Stephen najpierw obdarzył ich wolnością - odparł Adam.

- Cały Stephen. - Nie mogłam powstrzymać uśmiechu.

- Nie ma w tym nic zabawnego, Annabello.

Rzeczywiście, wcale nie był rozbawiony. Nozdrza mu drżały, a twarz się zaczerwieniła.

- Ta posiadłość jest warta wiele pieniędzy.

- Była wiele warta - poprawiłam go. - Od dziesięcioleci żadna plantacja na Jamajce nie

przynosi dochodu. Najpierw zaszkodziła im wojna w Ameryce, a potem, kiedy Napoleon zamknął Europę przed Anglikami, nie było tak dużego rynku, by mógł wchłonąć cały cukier produkowany na Jamajce. Rzeczywiście, kiedyś ta plantacja była dla Weston żyłą złota, ale od wielu lat przynosi wyłącznie straty.

Adam wydawał się poirytowany.

- Przecież to wszystko wiem. Plantacja znów może stać się dochodowa teraz, kiedy Napoleon w końcu został pobity. - Adam stuknął złożonymi kartkami listu o mahoń fotela. - Powiadam ci, Annabello, że działania Stephena nie są zgodne z najlepiej pojętym interesem Gilesa. Nie wolno mu na to pozwolić.

- Pytanie brzmi: czy on może to zrobić?

- Chcesz wiedzieć, czy przysługują mu takie uprawnienia?

- Skinęłam głową.

- Owszem - odparł kwaśno. - Ma prawo oddać plantację.

Wzruszyłam ramionami.

- W takim razie, nie powstrzymamy go.

Popatrzył na mnie inteligentnymi, szarymi oczami, potem wypuścił powietrze i opadł głębiej na fotel. Napięcie wyraźnie go opuściło. - Chyba masz rację. Zanim list od ciebie dotrze na Jamajkę, Stephen pewnie będzie już w drodze do domu.

Nie potrzebujemy tej plantacji - powiedziałam. Nagle przyszła mi do głowy nieprzyjemna myśl. - A może jednak potrzebujemy? Czyżbyśmy popadli w finansowe tarapaty?

Merlin usłyszał niespokojną nutę w moim głosie, podniósł głowę i spojrzał na mnie czujnie. Pochyliłam się i uspokajająco poklepałam go po czarnej, pokrytej jedwabistą sierścią szyi.

- Nie, moja droga, nic podobnego. Nie chciałem cię niepokoić.

Przyszłość Gilesa jest bardzo dobrze zabezpieczona.

Łeb Merlina znów opadł na łapy.

- Nie mamy obciążonej hipoteki ani żadnych okropnych długów, o których bym nic nie wiedziała?

- Nic z tych rzeczy - stanowczo zaprzeczył Adam. - Dochód hrabiego wynosi około dwudziestu tysięcy funtów rocznie; tyle zostaje po uregulowaniu kosztów utrzymania posiadłości i wypłaceniu emerytur starym służącym.

To rzeczywiście był całkiem spory dochód.

- Bardzo dobrze się nam przysłużyłeś, wuju Adamie - oświadczyłam ciepło.

W odpowiedzi uśmiechnął się niewyraźnie. - Dziękuję, kochana.

Portia wstała, przeciągnęła się i poszła ułożyć się pod oknem, w promieniach słońca.

- Czy miałeś jakieś wiadomości od Jaspera? - zapytałam. Jasper był synem wuja, kapitanem kawalerii, który przez ostatnie dwa lata służył u Wellingtona w Hiszpanii.

- Wczoraj dostaliśmy od niego list. - Adam uśmiechnął się. - Zdaje się, że Stephen to nie będzie jedyny Grandville, który wkrótce zawita w domu.

- Jasper wraca?

Adam skinął głową.

- To wspaniała wiadomość! Ciotka Fanny pewnie nie posiada się z radości.

- Owszem. Wszyscy bardzo się cieszymy.

Merlin doszedł do wniosku, że jego siostra znalazła sobie lepsze miejsce. Wstał, po tureckim dywanie podreptał do słonecznej plamy, gdzie Portia smacznie sobie drzemała, i wyciągnął się obok. Wyglądali jak dwa bliźniacze kleksy na czerwonym tle.

- Ta straszna, straszna wojna - stwierdziłam. - Ale wydaje się, że wreszcie dobiega końca.

- Teraz, kiedy armie sprzymierzone zajęły Paryż, to chyba nieuchronne - odparł Adam.

- Jak dobrze będzie znów zobaczyć tu Jaspera - powiedziałam.

Wuj Adam spojrzał na mnie nieprzeniknionym wzrokiem i nic nie odpowiedział. - Ciekawe, czy Jasper zechce się zapisać do naszego klubu łowieckiego?

Wuj odchylił głowę i wybuchnął śmiechem.

- Annabello, twoje reakcje są łatwe do przewidzenia!

- Myślałam tylko o Jasperze - broniłam się. - Nie będzie mógł z nami polować, jeśli nie zapisze się do klubu.

- Ja wpłacę składkę Jaspera - zadeklarował wuj. - Nie chciałbym, żeby chłopaka ominęła taka świetna zabawa. Ostatnie lata w Hiszpanii były dla niego wystarczająco ciężkie. - Podniósł się z fotela. - Kto zbiera składki - ty czy Stanhope?

Byłam w siódmym niebie.

- Ja, wuju. Ale nie musisz mi płacić aż do sierpnia. - Wstałam, żeby go odprowadzić do drzwi; oba psy otworzyły oczy i ziewnęły.

Adam spojrzał na mnie figlarnie.

- Jestem pewien, że nie muszę cię prosić, żebyś mi przypomniała o terminie płatności.

- Dokuczasz mi - odparłam.

Roześmiał się i poklepał mnie po ramieniu.

- Wybacz staruszkowi, który cię zna od czasów, kiedy byłaś małą poważną dziewczynką.

Uśmiechnęłam się do niego z sympatią.

- Cieszę się, że Jasper wraca.

- Ja też. - Jeszcze raz poklepał mnie po ramieniu i wyszedł.

Zawołałam psy i poszłam na górę, do pokoju dziecinnego, żeby zjeść obiad z Gilesem.

W dniu powrotu Stephena zamglone sierpniowe słońce opromieniało złote pola pszenicy, dojrzałej do żniw. Powietrze było słodkie od zapachu skoszonej trawy, a konie na wybiegach stały obok siebie, leniwie odganiając ogonami muchy. W oddali wzgórza Downs wyglądały jak zielony aksamit rozwinięty pod błękitem nieba.

Ostatnimi czasy Giles zainteresował się wędkowaniem, więc oboje spędziliśmy popołudnie nad jeziorem. Miałam na sobie starą suknię z plamami od trawy, włosy splotłam w jeden warkocz na plecach, a bosc stopy wsunęłam w parę okropnych, przedpotopowych skórzanych pantofli. Widząc mnie w takim stroju Gerald zwykł mnie ganić, że wyglądam jak chłopka.

Gdy tylko wróciliśmy do domu, wysłałam Gilesa na górę, do pokoju dziecinnego, a sama na chwilę zatrzymałam się w wielkim holu, żeby ustalić z panią Nordlem, naszą gospodynią, jak przyrządzić ryby, które złowił Giles. Wciąż tam byłam, kiedy na podjazd wjechał wynajęty powóz i zatrzymał się przed imponującymi schodami, wiodącymi do frontowych drzwi Weston Hall.

Hodges usłyszał turkot powozu, podszedł do jednego z wąskich okien tuż obok drzwi, i wyrzwał na zewnątrz. Cmoknął z dezaprobatą, widząc zdezelowany ekwipaż. Potem nagle się wyprostował.

- Dobry Boże! - zawołał. - To pan Stephen.

Stałam jak wrośnięta w marmurową posadzkę.

- Pan Stephen? - Drobna, kształtna sylwetka pani Nordlem aż drżała z radości. - Słyszała pani, milady? Przyjechał pan Stephen!

- Tak, słyszałam.

Hodges już z rozmachem otworzył drzwi tak szeroko, jak się tylko dało i wyszedł przed

próg, w ciepłe, popołudniowe słońce.

Słyszałam, jak woła:

- Pan Stephen! - Jego nogi zatupotały na kamiennych schodach.

- Witamy w domu!

Potem, po raz pierwszy od pięciu lat, usłyszałam głos Stephena:

- Dziękuję, Hodges. Dobrze cię znowu widzieć.

Nogi ugięły się pode mną. W ustach mi zaschło, a serce waliło jak młotem.

Przestań, Annabello, nakazałam sobie w duchu. Oddychałam wolno i głęboko, starając się opanować.

Stephen wkroczył do środka, zobaczył mnie i zatrzymał się nagle, jak rażony gromem. Patrzyliśmy na siebie z daleka ponad czarno - białymi płytami marmuru.

Wyglądał tak samo, a jednak coś się w nim zmieniło. Czarne jak mahoń włosy, proste brwi, wąski, trochę garbaty nos, z wyraźnym śladem po złamaniu, wąskie, pięknie wykrojone wargi, znajome ciemnobłękitne oczy; to wszystko pozostało nie zmienione. Jednak spojrzenie było ostrzejsze niż to, które zapamiętałam, jakby łagodność wieku chłopięcego wypaliło gorące słońce Jamajki.

Niepewnym głosem wypowiedział moje imię.

Portia, która kiedyś należała do Stephena, rozpoznała go i rzuciła się do niego, szczekając jak oszalała.

- Portia! Jak się masz? - Pochylił się, żeby ją pogłaskać, ale była zbyt podekscytowana, żeby stać w jednym miejscu. Pomknęła z powrotem do mnie, zaszczekała trzy razy, żeby mi oznajmić cudowną nowinę o przyjeździe Stephena, a potem znów pobiegła do niego, w pośpiechu ślizgając się na marmurowej posadzce. Merlin postanowił przyłączyć się do zabawy i również podbiegł, żeby powitać Stephena. Psie ogony poruszały się tak szybko, że trzęsły się od tego całe zwierzaki.

Reakcja psów dała mi czas na zapanowanie nad sobą. Ich śladem podeszłam do Stephena i świadoma uważnych spojrzeń Hodgesa oraz pani Nordlem, wyciągnęłam rękę na powitanie.

- Portia się za tobą stęskniła - powiedziałam. - Witaj, Stephenie. Nawet w moich uszach mój chłodny głos nie brzmiał zbyt gościnnie.

Poczułam na dłoni uścisk jego znajomych szczupłych, mocnych palców. Zaraz wypuścił moją rękę, jakby ten krótki dotyk go sparzył.

- Przykro mi z powodu śmierci Geralda - powiedział. Jego wzrok powędrował w górę, tam gdzie znajdowała się dawna sypialnia mojego męża. - Wciąż nie mogę uwierzyć, że już nigdy go nie zobaczę.

Skinęłam tylko głową, bo nie mogłam znaleźć słów, które pocieszyłyby go po śmierci rodzzonego brata.

Dwóch lokajów wniosło bagaże Stephena.

- Do którego pokoju kazać zanieść kufry pana Stephena, milady? - zapytała pani Nordlem.

- Nie mogę zająć swojego starego pokoju? - zdziwił się Stephen.

- Teraz zajmują go Giles i guwernantka - wyjaśniła.

Dostrzegłam nieobecne spojrzenie, które widywałam u niego tak często, kiedy dorastaliśmy.

- Ach, tak. Oczywiście, rozumiem.

Nigdy przedtem nie obdarzał tym spojrzeniem mnie.

- Proszę zanieść bagaże do niebieskiej sypialni - nakazałam, a lokaje posłusznie ruszyli korytarzem, prowadzącym do rodzinnej części domu. Pani Nordlem i Hodges podążyli za nimi.

Zostaliśmy sami.

Przyjrzał się mojej twarzy.

- Wcale się nie zmieniłaś - stwierdził zdziwiony.

Bliska, fizyczna obecność Stephena zaczęła znów burzyć mój spokój.

- Mylisz się, bardzo się zmieniłam - odparłam twardo.

Jedynie lekkie zmrużenie oczu świadczyło, że usłyszał otwartą wrogość brzmącą w moim głosie.

Drzwi wiodące z biblioteki bezpośrednio do zachodniej części holu nagle się otworzyły i rażnym krokiem wszedł wuj Adam.

- Stephen ! Hodges mi powiedział, że przyjechałeś! Drogi chłopcze, jak cudownie znów cię widzieć!

- Wuju Adamie. - Stephen uśmiechnął się pierwszy raz od chwili, kiedy wszedł do domu; poczułam ukłucie w sercu. Wyciągnął dłoń, ale Adam ją zignorował i zamknął Stephena w mocnym niedźwiedzim uścisku. Potem położył mu dłonie na ramionach i uważnie mu się przyjrzał.

- Urosłeś. Jesteś wyższy ode mnie! - stwierdził zaskoczony.

- To chyba dzięki słońcu - odparł Stephen.

- Albo dzięki rumowi - zaripostował wuj i obaj wybuchnęli śmiechem.

Rozległ się za mną zdyszany głos ciotki Fanny.

- Czy to prawda, co powiedział mi Hodges? Czy Stephen naprawdę przyjechał do domu? -

Usłyszałam, jak bierze głęboki oddech. - Ależ, Stephenie, jesteś smagły jak Indianin!

Wyciągnął dłoń; nie ramiona.

- Ciociu Fanny! Cieszę się, że cię widzę. Podbiegła, żeby ją uściskał.

- Czy wiesz, że Jasper też jest w domu? - zapytała, kiedy wyswobodziła się z jego objęć.

- Doprawdy? To wspaniała wiadomość.

Ciotka Fanny krążyła wokół niego, paplając z przejęciem ci tym, że „obaj jej chłopcy wrócili do domu”, a on patrzył na nią z pełnym czułości rozbawieniem. Kiedy dorastaliśmy, Adam i Fanny zawsze bardzo lubili Stephena.

- Chodźcie do małego salonu. Napijemy się herbaty - powiedziała Fanny. Stephen zerknął na mnie, najwyraźniej zaskoczony, że ciotka odgrywa rolę gospodyni w moim domu.

- Adam i Fanny chwilowo mieszkają u mnie, bo Dower House jest właśnie odnawiany - wyjaśniłam.

Wymyśliłam takie wyjście, żeby uspokoić moją matkę co do stosowności przebywania pod jednym dachem ze Stephenem. Ciotka Fanny była zachwycona, kiedy zasugerowałam remont Dower House i chociaż jej nie kończąca się paplanina była czasami trudna do zniesienia, i tak przedkładałam jej obecność nad towarzystwo jakiejś nieznanej kuzynki z Bath.

Adam i Fanny wraz z Nell wprowadzili się w zeszłym tygodniu.

Jasper pojawił się poprzedniego dnia.

Wokół mnie i Stephena krążyło wystarczająco dużo przyzwoitek.

- Z chęcią napiję się herbaty, ciociu - stwierdził Stephen.

- Jak minęła ci podróż? - zapytał Adam. Ruszyli do drzwi wiodących do biblioteki, przez którą prowadziło przejście do małego salonu.

Nie poruszyłam się. Ciotka Fanny zapytała zdziwiona:

- Nie idziesz z nami, Annabello.

Potrząsnęłam głową i wskazałam na swój ubiór.

- Najpierw chciałabym się przebrać.

- Czy złowiliście coś z Gilesem? - zaciekawiał się wuj.

- Tak, Giles złowił cztery ryby. Był zachwycony.

Fanny i Adam uśmiechnęli się. Stephen nic nie powiedział.

- Jasper i Nell pojechali na przejażdżkę, ale wkrótce wrócą - oznajmiła ciotka Fanny. - Bardzo się ucieszę na twój widok. Muszę ci opowiedzieć o debiucie Nell. Wiesz, miała czterech starających się ...

Ich głosy zamarty w oddali, za drzwiami biblioteki. Zdałam sobie sprawę, że od dłuższej chwili nie oddycham, więc nabrałam głęboko powietrza.

Wstępne spotkanie dobiegło końca. Przeskoczyłam pierwszą przeszkodę. Teraz musiałam tylko pozostać na torze.

Wybrałam jedną z pięciu niemal jednakowych sukien z czarnego jedwabiu i z pomocą Marianny włożyłam ją, żeby w tym stroju wystąpić na kolacji. Siedziałam przed lustrem toaletki i patrzyłam, jak pokojówka układa mi włosy.

- Może jednak je zetnę - odezwał się, kiedy Marianna układała mi na czubku głowy gładki węzeł. - Długie włosy są już od lat niemodne.

- Ma pani takie cudowne włosy, milady - powiedziała Marianna. Upięła na miejscu ostatni kosmyk. - Szkoda by było je skracać.

- Nie ścięłam ich, ponieważ Gerald sobie tego nie życzył. Lubił rozpuszczać mi je w łóżku ... Zamknęłam oczy, nie chciałam wspominać. - Mają dokładnie taki sam kolor jak miód.

Patrzyłam na siebie w lustrze, oceniając swoją twarz, starając się stwierdzić, czy zmiany wewnętrzne odbiły się na moim wyglądzie.

Miałam siedemnaście lat, kiedy Stephen wyjechał na Jamajkę, a dzisiejszego popołudnia, w starej muślinowej sukience we wzorki z liści i z włosami splecionymi w warkocz pewnie nie wyglądałam o wiele doroślej. Ale przecież skończyłam dwadzieścia trzy lata i byłam wdową z czteroletnim synem. Cierpiałam. Te zmiany musiały jakoś się uwidocznic:

- Czy moja twarz wydaje ci się szczuplejsza, Marianno? - zapytałam. - Wyglądam starzej?

Obie popatrzyłyśmy w lustro. Spoglądała na nas twarz o szarych oczach mojego ojca, lekko opalona, z garścią złotych piegów na grzbiecie prostego nosa. Opalenizna i piegi były oburzająco niemodne, ale niewątpliwie dzięki nim wyglądałam młodo i zdrowo.

- Nie, milady. Nie wygląda pani starzej. Do licha, pomyślałam ze złością.

Pokojówka wyjęła kolczyki ze szkatułki na biżuterię. Wsunęła mi je w uszy, potem wzięła pojedynczy sznur pereł i zapięła mi pod szyją.

Wstałam.

- Dzięki Bogu, nie muszę już nosić krepy - powiedziałam.

- Udusiłabym się w niej podczas dzisiejszej ciepłej, letniej nocy.

Przez otwarte okno garderoby wpadał lekki wietrzyk, ale mimo to noc była rzeczywiście ciepła. Jednak nie tylko pogoda wywołała drobne paciorki wilgoci na mojej górnej wardze. Dzisiaj musiałam zasiąść przy jadalnym stole twarzą w twarz ze Stephenem.

Nagle ucieszyłam się, że Adam i Fanny też tam będą.

Przez sypialnię wyszłam z garderoby na korytarz. Przez chwilę patrzyłam na szerokie, dębowe schody, a potem zdecydowanie postawiłam stopę na pierwszym stopniu.

Musiałam to zrobić, a im szybciej się na to zdecyduję, tym wcześniej przestanę się tym dręczyć. Zdusiłam niepokojące myśli i poszłam do pierwszej sypialni na piętrze. Zapukałam krótko do drzwi.

Nie usłyszałam kroków, ale drzwi nagle się otworzyły i stanął w nich Stephen.

Rzeczywiście, jest wyższy, pomyślałam. Kiedy odjeżdżał, moje oczy znajdowały się na poziomie jego kości policzkowych. Teraz były na wysokości jego ust.

Serce waliło mi w piersi jak młotem. Patrzył na mnie i nic nie mówił.

- Zanim zejdziemy na kolację, chciałabym, żebyś poznał Gilesa - odezwałam się pierwsza. Wciąż nic nie mówił. Usztywniłam kolana, żeby przestały dygotać.

- Pójdiesz ze mną do pokoju dzieciennego?

Wszedł na korytarz i zamknął za sobą drzwi.

- Tak - zgodził się.

W milczeniu weszliśmy na drugie piętro, gdzie znaleźliśmy Gilesa samego w pokoju zabaw, zajętego nową układanką•

- Mama! - ucieszył się i podbiegł, żeby mnie uściskać. Pogładziłam jego błyszczące, jasne włosy.

- Giles, to jest twój wuj Stephen. Przywitaj się.

Z ciekawością odwrócił się do gościa i Stephen po raz pierwszy zobaczył dziecko, za sprawą którego stracił szansę na tytuł hrabiowski. .

- Dzień dobry, wuju Stephenie - powiedział nieśmiało mój syn.

- Cieszę się, że wróciłeś do domu.

W oczach Stephena znów pojawiło się to nieobecne spojrzenie, jednak wysunął rękę i

powiedział:

- Miło mi cię poznać. - A kiedy mała rączka Gilesa zniknęła w jego uścisku, dodał: -
Odziedziczyłeś wspaniałą urodę po matce.

Giles nie miał zbyt zadowolonej miny. Od pół roku coraz mocniej zdawał sobie sprawę, że jest chłopcem, więc nie cieszył się, kiedy go porównywano do dziewczyny, choćby tą dziewczyną była jego uwielbiana mama.

Stephen natychmiast spostrzegł niezadowolenie dziecka - zawsze szybko rozpoznawał nastroje innych.

- Chodziło mi o to, że masz takie same jasne włosy - poprawił się gładko. - Natomiast rysy twarzy odziedziczyłeś po Grandville'ach.

Ułagodzony Giles uśmiechnął się.

- Będziesz z nami mieszkał, wuju? Mama mówi, że zostałeś moim opiekunem.

- Na jakiś czas z wami zamieszkam - potwierdził Stephen.

- Twój tata chciał, żebym zarządzał posiadłością, dopóki ty nie będziesz na tyle dorosły, żeby się tym zająć samodzielnie.

- Wuju, lubisz łowić ryby? - zapytał z zapałem Giles.

- Tak, lubię. - Po raz pierwszy Stephen uśmiechnął się do swojego syna. - Na Jamajce często to robiłem.

- Możemy łowić tutaj, w parku, w naszym własnym jeziorze - powiadomił go chłopiec. - Można też łowić w West Haven. Na oceanie!

- Wuj Stephen wychował się w Weston Hall, kochanie - wyjaśniłam synkowi. - Wie wszystko o wędkowaniu.

- Może wybrałbyś się na ryby z mamą i ze mną. - Wyraz nadziei na twarzy syna poruszył moje serce. - Dzisiaj złapałem cztery duże ryby! Zjadłem je n~ obiad, mamó - dodał, zwracając się do mnie.

Dziecięca paplanina Gilesa zmiękczyła trochę początkową sztywną postawę Stephena.

- Na pewno nie udało ci się zjeść wszystkich czterech - powiedział.

- Ależ tak. Zjadłem wszystkie.

- Nie były takie duże, jak sobie pewnie wyobrażasz - wymamrotałam pod nosem.

Na chwilę zwrócił na mnie spojrzenie niebieskich oczu i serce mimo woli podskoczyło mi w piersi.

Giles, z niewzruszonym uporem, powrócił do swojego pytania.

- Pójdiesz z nami na ryby, wuju?

Stephen popatrzył na Gilesa. Część mojej duszy chciała, żeby się zgodził, bo wtedy mój syn nie czułby się odrzucony, jednak druga część pragnęła, żeby odmówił i oszczędził mi udreki znoszenia swojego towarzystwa.

- Z przyjemnością pójdę z wami na ryby - odparł Stephen. Zerknął na mnie. - Z jeziorem wiąże mnie wiele szczęśliwych wspomnień.

Ogarnął mnie nagły, silny gniew, z czego się nawet ucieszyłam.

- Wydaje mi się, że jeszcze milej spędzicie czas, jeśli wybierzecie się beze mnie - oznajmiłam stanowczo. - To wam da okazję, żeby się lepiej poznać.

. Gilesowi, spragnionemu męskiego towarzystwa, ten pomysł się bardzo spodobał.

- Dobrze, wujku?

Dostrzegłam wahanie na twarzy Stephena. Jednak zobaczył nadzieję w oczach mojego syna, a nigdy względem nikogo nie był okrutny. Oczywiście, z wyjątkiem mnie.

- Jasne, że tak - zgodził się. - Będzie świetna zabawa.

Kolacja nie wypadła tak okropnie, jak się spodziewałam. Jasper i wuj, Adam zasiedli po moich bokach, Nell i Fanny siedziały obok Stephena. Panna Stedham musiała więc siedzieć sama pośrodku, mając przed sobą puste krzesło, ale ponieważ było to rodzinne spotkanie, wszyscy rozmawiali ze wszystkimi i nie czuła się niezręcznie.

Moja matka przemeblowała wszystkie oficjalne pomieszczenia Weston Hall. Jadalnię urządziła z przepychem, na jasnozielono i złoto. Duży, wsparty na dwóch piedestałach stół mahoniowy otaczały krzesła, obite złoto - zielonym jedwabiem, z kopulastego sufitu zwieszał się wielki, kryształowy żyrandol. Przy północnej ścianie stał rzeźbiony, mahoniowy kredens, w którym ustawiono imponującą kolekcję srebrnych sztuczków. Jednak najbardziej przykuwającą uwagę rzeczą w tym pomieszczeniu były dwa portrety w bliźniaczych ramach, mojej matki i ojca Stephena, zawieszane obok siebie na wschodniej ścianie, naprzeciw kredensu.

Thomas Lawrence namalował te podobizny wkrótce po drugim ślubie mojej matki. Hrabia, jasnowłosy i przystojny, wyglądał tak, jak wyglądałby Gerald, gdyby dożył czterdziestki. Jednakże nie tylko uroda portretowanego przyciągała uwagę. Lawrence uchwycił arystokratyczną pewność siebie, charakteryzującą tego człowieka. Taką pewnością siebie cechują się jedynie ludzie głęboko przeświadczeni o własnej wartości i wysokiej pozycji w świecie.

Portret mojej matki już zyskał sławę. Uważano go za jedno z arcydzieł Lawrence' a, i zapewne tak było. Artysta namalował ją w jasnozielonej sukni, ze spanielem King Charlesem w objęciach. (Pożyczyła go od lady Morton. Moja matka nie lubi psów.) Portret doskonale współgrał z portretem hrabiego. Matka, w całej pełni swojej kobiecej urody i elegancji, wydawała się uosobieniem wielkiej arystokratki.

Była bardzo dumna z tego obrazu, podziwiała go tłumy.

Czasami zastanawiałam się, czy tylko ja zobaczyłam coś jeszcze, co udało się uchwycić Lawrence'owi i co dowodziło jego geniuszu jako prawdziwie wielkiego artysty, a nie tylko malarza znanych ludzi. Po dokładniejszym przyjrzeniu się sportretowanej postaci • można było dostrzec w jej twarzy egoizm, w jej uśmiechu chłód i płytkość spojrzenia pięknych, zielonych oczu.

Lokaje wkroczyli z pierwszym daniem, delikatnym wołowym rosółem, który zawsze doskonale udawał się naszemu kucharzowi. William i James napelniali talerze na kredensie i po

kolei stawiali je na stole.

- Jesteś taki brązowy, Stephen! - powiedziała ciotka Fanny.

- Nigdy bym nie pomyślała, że twoja skóra może tak mocno się opalić.

- Słońce na Jamajce jest bardzo ostre - odparł Stephen i ujął łyżkę, gdy postawiono przed nim talerz.

- Znam kilka osób, które przebywały w Indiach - włączył się Jasper. - Wszyscy wracają stamtąd tak ogorzali jak Stephen.

- W dzieciństwie skóra Stephena łatwo ulegała poparzeniu, jeśli zbyt długo przebywał na słońcu - przypomniała sobie ciotka.

- Po kilku miesiącach przestała tak reagować. - odparł Stephen.

- Mamo, mnie się wydaje, że z opalenizną bardzo mu do twarzy - pośpieszyła mu z pomocą Nell. Zawsze była wobec niego lojalna.

Uśmiechnął się do niej przyjacielsko i zwrócił się do panny Stedham.

- Mam na Jamajce dobrego przyjaciela. Nazywa się Stedham. Czy to jakiś pani krewny?

- To mój brat - odparła panna Eugenia cicho i spokojnie, jak przystało dobrze ułożonej pannie.

Spojrzałam na nią zaskoczona.

- Nigdy pani nie wspominała, że ma brata na Jamajce - powiedziałam.

- Jest tam zatrudniony jako administrator plantacji należącej do pewnego Anglika, milady - wyjaśniła krótko. - Kiedy zmarł nasz ojciec, Tom musiał znaleźć pracę, a lord Northrup zaoferował mu tę posadę.

Panna Stedham pochodziła z rodziny o nieskazitelnym rodowodzie, ale bez grosza przy duszy. Jej ojciec stracił całą swoją fortunę w grach hazardowych, a następnie się zabił. Jego dzieci musiały same sobie radzić na świecie. Panna Eugenia została guwernantką. Jej brat, jak się okazało, zdobył posadę administratora plantacji.

- Tom Stedham to jeden z bardzo niewielu przyzwoitych białych ludzi, z którymi się zetknąłem przez lata spędzone na tej wyspie - oznajmił z naciskiem Stephen. - Piekielnie się cieszyłem, że został moim przyjacielem.

- Stephen! - zaprotestowała ciotka Fanny. Spojrzał na nią zdziwiony.

- Nie wymawiaj słowa „piekielny” przy stole - wytłumaczyłam. - Aha. - Uśmiechnął się do ciotki przeprasząco. - Przepraszam, ciociu Fanny. Obawiam się, że odwykłem od

towarzystwa dam.

Egzotyczne oczy Nell wpatrywały się w niego. - Z pewnością na Jamajce były jakieś damy:

Wzruszył ramionami.

- Nie mogłem znieść towarzystwa ich mężów, więc i samych dam nie widywałem zbyt często.

Ze złością spostrzegłam, że cieszę się, słysząc te słowa.

- Chyba nie było aż tak źle - łagodnie zaprotestował Adam.

- Niestety, właśnie tak było - odparł Stephen z goryczą• - Nigdy nie spotkałem bardziej odrażającej grupy ludzi niż administratorzy, prawnicy i nadzorcy, zatrudniani przez nieobecnych właścicieli do prowadzenia plantacji trzciny cukrowej. - Odłożył łyżkę. - Pierwszą rzeczą, którą zrobiłem po przybyciu na Jamajkę, było zwolnienie naszego nadzorcy. To był po prostu potwór.

Ciotka Fanny uśmiechnęła się do niego.

- Mój drogi, nic się nie zmieniłeś.

- Czy on źle traktował niewolników? - zapytała Nell. Stephen zacisnął wargi w sposób, który wszyscy znaliśmy.

- Tak.

- To, oczywiście, niewybaczalne - stwierdził Adam.

- Naprawdę niewybaczalne jest to, że z istoty ludzkiej czyni się niewolnika - odezwała się cicho panna Stedham.

Stephen spojrział na nią z aprobatą.

- Jest pani bardzo podobna do brata.

- Handel niewolnikami został zakazany na terytoriach brytyjskich w tysiąc osiemset siódmym roku - przypomniał jej Jasper.

- Ustawa być może powstrzymała przywożenie nowych niewolników, ale nic się nie zmieniło dla dawniej sprowadzonych niewolników i dzieci, które się im rodzą. - W głosie Stephena znów słychać było gorycz.

Ciotka Fanny zerknęła na mnie i widząc, że nie zamierzam interweniować, jeszcze raz przejęła inicjatywę.

- To raczej nie jest odpowiedni temat do rozmowy przy kolacji.

Jest z nami młoda dama.

- Ależ, mammo! - zaprotestowała Nell.

- Przepraszam, ciociu Fauny. Przepraszam, Nell - powiedział Stephen.

- Wcale nie czuję się urażona - odparła. Puścił do niej oko.

Do stołu podeszli lokaje, żeby zebrać talerze po zupie. Wniesiono pieczeń i postawiono ją przed Stephenem.

Jego twarz zastygła i patrzył na mięso, jakby nie wiedział, co to jest. Zapadła niezręczna cisza, a potem wuj Adam zapytał ze współczuciem:

- Może chciałbyś, żebym ja pokroił pieczeń za ciebie? Potrząsnął raz głową i nic nie odpowiedział.

Rozumiałam, z jakimi uczuciami zмага się Stephen. Kiedy poprzedni raz jadł przy tym stole, mięso dzielił jego ojciec. Podczas jego pobytu na Jamajce tę rolę przejął Gerald.

Jego ojciec i brat. Nigdy ich więcej nie zobaczy.

Stephen oderwał wzrok od pieczeni i spojrzał na mnie. Poblądł mimo opalenizny.

- Wydaje mi się, wuju Adamie, że Stephen potrafi kroić mięso - odezwałam się łagodnie.

- Tak - potwierdził Stephen. Wziął nóż, widelec i prawidłowo odkroił pierwszy plaster.

Lokaje zebrali talerze i zanieśli je do Stephena, który kładł na nich plastry mięsa. Kiedy talerze znów do nas wróciły, a kieliszki napełniono winem i ustawiono na stole półmiski z dodatkami, zagadnęłam:

- Powiedz nam, Jasper, co sądzisz o tym planie, żeby ustanowić Napoleona władcą Elby. Myślisz, że to go zadowoli?

Jasper odłożył widelec i zwrócił się do mnie.

- Sam nie wiem. - Jego zdecydowana, kwadratowa twarz przybrała poważny wyraz, szare oczy patrzyły z namysłem. Od czasów dzieciństwa jedynym jego pragnieniem było wstąpienie do wojska. Kiedy ukończył osiemnaście lat, wuj Adam wykupił mu patent oficerski i od tego czasu nie bawił w Weston dłużej niż kilka tygodni pod rząd. Dobrze było widzieć go znowu bezpiecznym w domu. - Taki człowiek, który niemal zawładnął całym światem ... - mówił po zastanowieniu. - Wątpię, czy zadowoli się jedną małą wyspą•

Rozmowa skupiła się na zakończeniu wojny, a potem na miejscowych zbiorach.

Dzięki Bogu, pomyślałam, za wuja Adama i jego rodzinę. Dzięki Bogu, że ktoś stanął między Stephenem a mną.

Po kolacji zebraliśmy się w dużym salonie, gdzie Adam, Jasper, Fanny i ja zasiedliśmy do

gry w wista. Nell i Stephen . poszli obejrzeć ogród różany. Panna Stedham wróciła na górę, do Gilesa.

Nękał mnie ból głowy, więc grałam źle, co drażniło Adama, mojego partnera.

- Przepraszam, wuju - odezwałam się, kiedy dorzuciłam złą kartę do jego asa. - Jestem trochę zmęczona. Chyba pójdę do łóżka.

W tej samej chwili Stephen i Nell weszli przez przeszklone drzwi wiodące na taras. Nell bardzo się ożywiła, jej ciemne oczy błyszczały. Stephen uśmiechał się.

- Księżyc wzeszedł - oznajmiła Nell. - Niebo wygląda pięknie. Poczułam w głowie bolesne pulsowanie.

- Biedną Annabellę boli głowa - rzuciła w przestrzeń ciotka Fanny.

Spojrzałam na nią zaskoczona; nic nie mówiłam o mojej dolegliwości.

- Można łatwo poznać, kiedy dostajesz bólu głowy - wyjaśniła ze współczuciem. - Pod oczami występują ci wtedy sine kręgi.

- To musi ładnie wyglądać - odparłam lekko. Wstałam. - Rozlejesz herbatę, ciociu?

- Ależ oczywiście, moja droga. Nie martw się o nas. Odpocznij. Uśmiechnęłam się do niej i powiedziałam ogólne dobranoc wszystkim zgromadzonym. Przez wielki hol przeszłam do rodzinnej części domu. Główna sypialnia znajdowała się w południowozachodnim narożniku. Weszłam do garderoby, zamknęłam za sobą drzwi i oparłam się o nie plecami, jakbym zagradzała komuś drogę do środka.

Miałam wrażenie, że ktoś mi ściska w imadle tył głowy.

Nie mogę tak żyć, pomyślałam. To jest nie do wytrzymania, mimo towarzystwa innych osób.

Stephen będzie musiał się wynieść.

Z żalem pomyślałam, że przecież nie mogę go wyrzucić. Jest opiekunem Gilesa. Ma prawo mieszkać w tym domu.

Stephen. Mój Boże, Stephen. Dlaczego wszystko tak się poplątało?

Zadzwoiłam na Mariannę, żeby przysłała pomoc mi się rozebrać.

Kiedy odeszła, nie położyłam się jednak do łóżka, tylko podeszłam do otwartego okna. Noc była ciepła i pokój wypełniał słodki zapach ściętych róż, które pani Nordlem ustawiła w kryształowym wazonie na moim nocnym stoliku.

Nie chciałam wchodzić do wielkiego łóża, które dzieliłam z Geraldem. Ustawiłam jeden z

obitych perkalem foteli przodem do okna, zwinęłam się w nim i w tę wonną, ciepłą letnią noc powróciłam do .przeszłości.

Jeszcze raz miałam osiem lat; mama zabrała mnie do Weston Hall i oznajmiła, że teraz będę tutaj mieszkać.

Mój ojciec nie żył od roku, kiedy mama wyszła za hrabiego Weston. Tata był żołnierzem. Pochodził z dobrej rodziny, ale jako młodszy syn młodszego syna nie miał pieniędzy. Mama poślubiła go w wieku lat osiemnastu, a kiedy skończyła dwadzieścia, urodziła mnie. Kiedy zmarł, postanowiła, że następnym razem znajdzie sobie lepszą partię. Zamieszkała w Bath, pokazywała swoją piękną twarz w rzymskich łaźniach i na spotkaniach towarzyskich, aż pod koniec sezonu udało się jej usidlić owdowiałego hrabiego Weston.

Na tydzień przed ślubem hrabia przysłał do Bath powóz, żeby zabrał mamę i mnie do Weston. Nigdy nie zapomnę strachu, jaki czułam, kiedy jechałyśmy długim, kolistym podjazdem i po raz pierwszy zobaczyłam, jak wyrasta przede mną wielki dom z szarego kamienia. Później odkryłam, że Weston zostało zaprojektowane w sposób bardziej ludzki i przytulny niż wiele innych wiejskich siedzib arystokracji, ale za pierwszym razem widok tych symetrycznych murów, błyszczących okien i licznych kominów sprawił, że zaniemówiłam z przerażenia.

Kamerdyner wprowadził nas do rozległego holu, większego niż pokoje, w których dotychczas mieszkałam. Potem przez pełen złocen wielki pokój, nazwany przez niego salonikiem, zawiódł nas do dużego salonu, gdzie czekał na nas hrabia wraz z synami.

Wszystkie pomieszczenia były tu, bardzo wysokie, a ich sufity zdobiły malowidła i sztukaterie, albo i jedno, i drugie. Dom wydawał mi się wielki jak pałac i na myśl, że mam tu zamieszkać, robiło mi się niedobrze.

Hrabia uścisnął mi rękę, pocałował w czoło i powiedział, że wyglądam tak samo jak mama. Wbiłam wzrok w czubki swoich zbyt ciasnych pantofelków i coś wymamrotałam w odpowiedzi.

Pamiętam, że mama bardzo się starała być miłą dla obu synów hrabiego. Gerald patrzył na nią jak zaczarowany, co rzecz jasna natychmiast sprawiło, że go polubiła. Rozwodziła się nad jego urodą, inteligencją, urokiem; wypytywała o szkołę.

Stephen stał w milczeniu i słuchał. Miał poważną twarz i wydawało mi się, że kiedy patrzył na moją matkę, w jego oczach dostrzegłam leciutki błysk politowania. Potem spojrzął na mnie.

Zobaczyłam ciemnoniebieskie oczy w szczupłej, chłopięcej twarzy.

Patrzyły na mnie. Widziały mnie.

- Ile masz lat? - zapytał.

- Osiem - odparłam.

- Ja dziewięć.

Skinęłam głową.

Hrabia usiłował zwrócić uwagę mamy na swojego młodszego syna.

- Stephen nie chodzi jeszcze do szkoły, Regino - oznajmił.

- Jednak pastor twierdzi, że będzie z niego dobry uczeń.

- Jak to miło - odrzekła matka. - A dlaczego nie chodzisz jeszcze do szkoły, Stephen?

Nie odpowiedział, tylko spojrzał na nią poważnie, z lekkim politowaniem.

- W zeszłym roku chorował i uznaliśmy, że najlepiej będzie, jeśli jeszcze przez rok zostanie w domu - wyjaśnił hrabia.

Matka oszacowała szczupłe ciało Stephena.

- Przykro mi to słyszeć.

- Dziękuję - odparł Stephen.

- Co ci było?

- Przez długi czas gorączkowałem, ale teraz już jest mi lepiej.

Matka uniosła doskonale zarysowane brwi i popatrzyła na hrabiego.

- Nie stwierdziliśmy, co to było, ale rzeczywiście wrócił do zdrowia - potwierdził ojciec Stephena. Potem dodał ciszej: - Choroba miała chyba związek z tęsknotą za matką.

Stephen spojrzał na ojca z wyraźną irytacją.

Pomyślałam sobie, że pewnie dlatego moja matka nie wywarła na nim zbyt dobrego wrażenia. Nie polubił jej z tego samego powodu, z którego ja nie polubiłam hrabiego.

- Dziwnie będzie mówić mamie do takiej pięknej i młodej pani - odezwał się Gerald.

Stephen miał taką minę, jakby wolał umrzeć, niż nazwać tak swoją matkę. Z każdą chwilą podobał mi się coraz bardziej.

- Jeśli wolisz, możesz zwracać się do mnie po imieniu - powiedziała do Geralda matka.

Ja wiedziałam, że do hrabiego będę mówiła wyłącznie „proszę pana”.

Do salonu wszedł ubrany w niebiesko - złotą liberię lokaj z tacą.

- Ach - ucieszył się hrabia. - Coś do picia. - Popatrzył na mnie i na Stephena. - Siadajcie,

dzieci, mama należy wam lemoniady.

Przed wychodzącymi na taras oknami ustawiono w kole wyjątkowo niewygodne złożone krzesła. Kamerdyner postawił stolik przed jednym z nich, żeby lokaj mógł umieścić tam tacę. Hrabia usiadł obok mojej matki, Gerald po drugiej stronie. Stephen i ja automatycznie zajęliśmy miejsca naprzeciwko.

Matka naląła dzieciom lemoniady ze srebrnego dzbanka, a potem napełniła herbatą filiżankę swoją i hrabiego. Dzień był upalny, po podróży czułam mdłości, ale ona wyglądała tak świeżo i elegancko, jakby przed chwilą wyszła z garderoby.

Hrabia nie mógł oderwać od niej oczu.

Stopami nie sięgałam podłogi, siedziałam prosto, nie dotykając plecami oparcia krzesła. W lepkich, spoconych rękach trzymałam szklankę lemoniady. Patrzyłam na bogato rzeźbiony kominek, sztukaterie, kosztowne, niewygodne meble. Przez oszklone drzwi widziałam całe akry soczystozielonej trawy i ogrodów kwiatowych.

Z przerażeniem pytałam sama siebie, czy będę umiała tu żyć.

- Chodzisz do szkoły, Annabello? - zapytał mnie Stephen. Zwróciłam na niego wzrok. Na czole miał kropelki potu i wypił już pół szklanki lemoniady. Potrząsnęłam głową.

- Mama mówi, że zatrudni dla mnie guwernantkę - powiedziałam. Przed śmiercią ojca przez krótki czas miałam guwernantkę, ale potem mamy nie było na to stać.

Obcy dom.

Obca guwernantka.

Rozwarłam szeroko oczy, starając się powstrzymać łzy. Wolałabym raczej umrzeć, niż rozplakać się w obecności hrabiego.

- Wiesz, nie musisz się obawiać przeprowadzki do Weston - powiedział Stephen. Jego głos brzmiał stanowczo i zasadniczo.

- Będę przy tobie, żeby ci pokazać, jak sobie tu radzić.

Na nosie i wysokich kościach policzkowych chłopca widać było smugi opalenizny.

Matka coś powiedziała i hrabia wraz z Geraldem roześmiali się. - Masz kucyka? - zapytałam Stephena.

Spojrzał na mnie, zdziwiony tym pytaniem, jakby w jego świecie kucyki były tak samo powszechne jak lemoniada. Skinął głową.

- Nazywa się Brzoskwinka.

- Brzoskwinka? - powtórzyłam zdziwiona.

- Lubi brzoskwinie.

- To chyba ... niezwykle.

- Bardzo. - Wypił duży łyk lemoniady. - A ty masz kucyka?

- Potrząsnęłam głową. - W takim razie, będziemy musieli ci jakiegoś znaleźć.

Wstrzymałam oddech. Spojrzał na mnie trochę zaniepokojony.

- Boisz się koni?

Energicznie potrząsnęłam głową, łapiąc na nowo oddech.

- Nie umiem jeździć konno - wyznałam zduszonym szeptem.

- Zbyt często się przeprowadzaliśmy, żebyśmy mogła dostać własnego kucyka. - Za żadne skarby nie powiedziałabym synowi hrabiego, że mojego taty nie stać było na kuca dla córki. - Myślisz, że mogłabym się nauczyć? - zapytałam.

Znów spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

- Oczywiście. Poproszę Grimesa, żeby cię nauczył. To nasz stajenny, i to bardzo dobry. Musiał zauważyć moją reakcję na te słowa, bo nagle się uśmiechnął.

Cud uśmiechu Stephena.

Również odpowiedziałam mu uśmiechem.

- Mam też psa - dodał. - Śpi w moim pokoju.

- Pozwalają ci trzymać psa w sypialni? - zapytałam z niedowierzaniem. Moja mama nigdy nie wpuściłaby psa nawet za próg domu.

- Mama mi pozwoliła - odparł.

Zerknęłam na swoją.

- Musiała być bardzo dobra - powiedziałam. Zacisnął usta i potaknął. - Jak się nazywa twój pies?

- Gałgan.

- Jak myślisz, czy ja też mogłabym mieć psa? - zapytałam śmiało.

- Jeśli trafi ci się odpowiednia guwernantka.

Spojrzelśmy na siebie z pełnym zrozumieniem, już zjednoczeni przeciwko światu dorosłych.

Te wspomnienia sprawiały mi ból. Usadowiłam się wygodniej w fotelu, zamknęłam oczy i głęboko w płuca wciągałam zapach letniej nocy. Te dzieci, które wspominałam, dzieliła od

ludzi, na których wyrosli, przepaść nie do przeskoczenia. Nic nie mogło zwrócić nam niewinności. Nic nie mogło powtórnie nas zjednoczyć.

Dopiero kiedy przesunęłam dłonią po policzku, zdałam sobie sprawę, że płaczę.

Następnego ranka zabrałam Gilesa na wczesną przejażdżkę.

Zanim umarł Gemie, Giles bez sprzeciwu odbywał ze mną przejażdżki na jednym koniu, usadowiony na przedzie siodła. Jednak przez ostatnie miesiące nalegał, żeby jeździć na własnym kucu. Od kilku tygodni nie pozwalał mi nawet prowadzić swego kuca za wodze.

- Jestem już duży. - To były jego ulubione słowa. Za parę tygodni miał skończyć pięć lat.

Pojechaliśmy przez park w kierunku Brighton Road, ponieważ Giles chciał sprawdzić, czy jakiś niezwykły ptak, którego dostrzegł kilka dni temu, wciąż siedzi na tym samym drzewie.

Nie siedział.

- Ciekawe, gdzie on jest? - zapytał, kiedy jechaliśmy obok siebie po zielonej trawie. Drzewa pokryte gęstym listowiem tworzyły baldachim nad naszymi głowami. Kukułki kukały w głębi lasu, a wiewiórki biegały po drzewach w szaleńczych susach.

- Może poleciał szukać nasion albo robaków.

- Był taki ładny - powiedział z żalem. - Wszystkie pióra miał niebieskie. Ale to chyba nie był drozd?

- Raczej nie. Nie wiem, co to był za ptak, ale zgadzam się, że bardzo ładny.

Kilka minut jechaliśmy w milczeniu. Nagle odezwał się Giles.

- Wuj Stephen jest bardzo miły, prawda, mamo?

- Tak sądzisz?

- Ma oczy takiego samego koloru jak pióra tego ptaka.

Chrząknęłam, żeby głos mi nie drżał. - Tak, chyba masz rację.

Wyjeżdżaliśmy właśnie z parku na miejscowy gościniec, prowadzący do głównej drogi do Brighton. Wzdłuż północnej strony traktu widać było farmy; na południu wyrastało zalesione zbocze, które oddzielało dolinę od kanału La Manche.

Te farmy należały do hrabiego Weston, ale zostały wydzierżawione farmerom. Sierpień to pora żniw, więc pola roiły się od ludzi pracujących w porannym słońcu. Nawet rzemieślnicy z wioski dołączyli do żniw.

Zatrzymaliśmy konie i patrzyliśmy na mężczyzn, kobiety i dzieci trudzących się na polach w rozedrganym, upalnym powietrzu. Pracowali sierpami i kosami. Całe zboże trzeba było ścinać ręcznie i przed, zapadnięciem zmroku związać w snopy. Nie można było zostawić go na noc

rozrzuconego po polu.

Podczas wojny zboże przynosiło rolnikom znaczące dochody, ale teraz, po jej zakończeniu, ceny spadały. Ta ciężka praca przyniesie mniej dochodu niż w przeszłości, a naszym dzierżawcom zapewne zacznie się powodzić znacznie gorzej.

Topper, mój gniady wałach, wierzgnął tylnym kopytem w przód, próbując dosięgnąć muchy, która usiadła mu na brzuchu.

- Pojedźmy trochę dalej, mamó - poprosił Giles i ponaglił swojego kuca.

Następna farma przy drodze należała do Washburnów i nie chciałam się do niej zbliżać.

- Nie, Giles, pora wracać - zawołałam do syna. Jednak jego kucyk nie zatrzymał się, tylko przyspieszył do galopu i zaraz potem przeszedł w cwał.

Serce skoczyło mi do gardła. Ruszyłam w pogoń za kucykiem Gilesa.

Tętent kopyt Toppera jedynie ponaglił kuca do szybszego biegu.

Wydużył krok jeszcze bardziej, a Giles stanął w strzemionach i uchwycił się grzywy kuca.

Dwoma susami przegoniłam syna, ustawiłam się tuż przed jego kucykiem i zaczęłam zwalniać. Z cwału przeszłam w galop, potem klus i wreszcie do stępa. Potem odwróciłam się i spojrzałam na Gilesa.

Oczy mu błyszczały, cały promieniał.

- Jeszcze nigdy nie jechałem tak szybko. Ale świetna zabawa! W końcu był moim synem.

- Nie powinienesz jeździć tak szybko, dopóki nie nauczysz się trzymać wodzy i kierować koniem - oznajmiłam surowo.

- A kiedy to będzie?

- Nie wcześniej niż za rok.

Miał przerażoną minę.

- Jeszcze cały rok?

- No, jeśli będziesz pilnie ćwiczył trzymanie się w siodle, może nastąpi to trochę prędzej.

A teraz zawracamy.

Wzrok Gilesa przyciągnęły zarośnięte chwastami pola po północnej stronie drogi.

. - Dlaczego na tej farmie nic nie rośnie? - zaciekawił się.

- Pan Washburn, dzierżawca, jest bardzo chory - tłumaczyłam.

- W tym roku nic nie zasiał.

- Nikt mu nie pomógł? - Giles bardzo się zdziwił. Dolinę zamieszkiwała niewielka społeczność i ludzie zazwyczaj pomagali sobie w kłopotach.

- Obawiam się, że nikt zbytnio nie przepada za panem Washburnem. To nie jest miły człowiek.

Wciąż staliśmy na drodze, zwróceniu ku zachodowi. Nagle spostrzegłam wóz ciągnięty przez nie znanego mi konia. Ponieważ droga kończyła się w Weston Park, wóz musiał zmierzać albo do farmy Mapshawów, albo do tej zaniedbanej. Z rezygnacją postanowiłam nie unikać spotkania z przyjezdnym.

Koń zatrzymał się przed nami i ujrzałam twarz Jema Washburna.

- Panno Annabello - powitał mnie i zdjął czapkę. Jego czarne jak skrzydło kruka włosy lśniły w porannym słońcu. Koścista twarz była teraz twarzą mężczyzny, a nie chłopca, jednak głęboko osadzone, jasnoniebieskie oczy nie zmieniły się.

- Jak się miewasz, Jem? - zapytałam.

- Dobrze, dziękuję. - Spojrzał na Gilesa, który przyglądał mu się z nieukrywaną ciekawością.

- To jest mój syn - wyjaśniłam. - Giles, to pan Washburn.

Kiedy byliśmy dziećmi, blisko przyjaźnił się z twoim wujem, Stephenem.

- Przykro mi, że pana tata choruje - powiedział grzecznie Giles. Jem zerknął na mnie zdziwiony.

- Giles dziwił się, dlaczego na waszych polach nic nie rośnie.

Wytłumaczyłam mu, że twój ojciec zachorował.

- Zmarł dzisiaj rano - powiadomił nas Jem beznamiętnym głosem. - Właśnie byłem we wsi, u pastora.

- Nie mogł wybrać gorszego czasu - stwierdziłam szczerze.

- Wszyscy są zajęci przy żniwach.

Jem wzruszył ramionami.

- To nie ma znaczenia. Jutro go pochowamy i jeśli nikt nie przyjdzie na pogrzeb, to trudno. Ojciec za życia z nikim się nie zaprzyjaźnił, więc nie ma powodu, żeby ludzie się dla niego poświęcali teraz, kiedy już nie żyje.

Giles słuchał z rozszerzonymi oczami tej chłodnej oceny ojca Jema.

- Wczoraj wrócił do domu Stephen - oznajmiłam. - Powiem mu, że jesteś. - Usłyszałam

chłodną nutę we własnym głosie, ale nic nie potrafiłam na to poradzić.

Jem spojrzał na mnie ponuro.

- Jeśli nie będzie chciał mnie widzieć, powiedz mu, że to zrozumiem.

- Ależ oczywiście, że zechce cię zobaczyć. - Ściągnęłam wodze i zawróciłam konia. -
Jeśli możemy coś dla ciebie zrobić, wystarczy, że dasz znać Adamowi.

Jego oczy patrzyły równie zimno jak moje.

- Dziękuję, ale wątpię, czy będzie mi pani mogła w czymkolwiek pomóc ... - przerwał znacząco - ... milady.

- Jedziemy, Giles. - Ruszyliśmy stępa w kierunku Weston Park.

Giles jechał obok mnie, wystraszony tym, co zapewne wyczytał z mojej twarzy. Przez całą drogę do stajni nie zadał mi żadnego pytania.

Popołudnie było ciepłe, więc postanowiłam zabrać psy nad jezioro, żeby trochę popływały. Jasper zaproponował, że pójdzie ze mną. Razem wyruszyliśmy zwirową ścieżką, wiodącą przez wspaniały park, który po północnej stronie domu stworzył dla ojca Geralda sam Capability Brown. Stado ponad stu jeleni pasło się w bujnej trawie pod grupami wspaniałych buków, kasztanowców i dębów. Jezioro, jak drogocenny kamień, leżało pośrodku tego wspaniałego, leśnego krajobrazu. Za jeziorem teren wznosił się nieznacznie w stronę wzgórz Downs.

Doszliśmy na brzeg wody, gdzie Jasper - ku uciesze psów podniósł krótki kawałek gałęzi. Medin i Portia dyszały w oczekiwaniu, ze wzrokiem wlepionym w patyk. Jasper rzucił go, a oba psy z pluskiem wskoczyły do jeziora i zaczęły płynąć. Z zadowoleniem zauważyłam, że Jasper rzucał o wiele dalej niż ja; psy będą miały więcej ruchu.

Słońce grzało. Cieszyłam się, że włożyłam słomkowy kapelusz z szerokim rondem i cienką, bawełnianą sukienkę.

Jasper miał na sobie bryczesy, długie buty oraz rdzawą marynarkę; właściwy strój dla wiejskiego dzentelmena, ale zbyt ciepły na takie sierpniowe popołudnie.

- Jeśli chcesz, to zdejmij marynarkę. Nie mam nic przeciwko temu - powiedziałam.

- Tylko jeśli obiecasz, że nie powiesz mojej mamie - odparł. Rozśmieszyło mnie to.

- Czy to ten sam bohater, który bez trwogi rzucał się w sam środek walki?

- Chodzi o to, że mama robi zawsze taką pełną rozczarowania minę, kiedy ktoś nie dorasta do jej oczekiwań - wyjaśnił, zsuwając z ramion marynarkę.

- Muszę sobie zapamiętać tę strategię, żeby ją wykorzystać wobec Gilesa.

Patyk schwyciła Portia i oba psy wyskoczyły z jeziora, żeby jeszcze raz skłonić Jaspera do zabawy. Zauważyłam, że nie zawdzięczał szerokich ramion żadnemu wotowaniu swoich strojów, jak to się działo w przypadku wielu londyńskich dandysów. Dał mi marynarkę i jeszcze raz rzucił patyk moim ulubieńcom. Złożyłam ją starannie i umieściłam w bezpiecznej odległości od psów.

Tym razem Medin pierwszy dopłynął do patyka. Patrzyłam na dwa czarne bliźniacze łby moich spanieli, płynących w naszym kierunku.

- Co teraz zrobisz, kiedy wojna się skończyła? - zapytałam Jaspera.

- Nie wiem - odparł po prostu. Spojrzałam na niego spod runda kapelusza.

- O ile pamiętam, zawsze chciałeś służyć w wojsku jako oficer. Czyżbyś miał już dość?

Na jego twarzy pojawił się mroczny, zamyślony wyraz, jakiego nigdy nie widziałam.

- Chyba tak. Właściwie miałem dość już po Burgos. Tyle śmierci... - Potrząsnął głową, jakby chciał się pozbyć złego wspomnienia.

Spojrzałam na jezioro.

- Tak. Za dużo śmierci.

- Przykro mi z powodu Geralda - powiedział ochryple.

- To dla nas okropny wstrząs.

- Żałuję, że nie mogłem być przy tobie.

- Bardzo ci dziękuję za list. Pomógł mi, naprawdę. A twoi rodzice są dla mnie tacy dobrzy. - Merlin ostrożnie położył patyk u stóp Jaspera, który jeszcze raz rzucił go do jeziora. - Co będziesz robił, jeśli nie zostaniesz w wojsku? - zapytałam z ciekawością.

Zawahał się.

- Tata ma niewielki majątek w hrabstwie Northamptonshire - wyznał w końcu. - Chce mi go przekazać.

- Nie wiedziałam, że wuj Adam ma posiadłość w Northamptonshire - odparłam zaskoczona.

- Niedawno wszedł w jego posiadanie. Zdaje się, że należał do jakiegoś dalekiego krewnego matki. Dom jest w dobrym stanie. Do majątku należy też kilka farm.

Od strony jeziora powiał lekki wietrzyk i zburzył płowe włosy na skroniach Jaspera. Stephen był jedynym Grandvillem z ciemną czupryną.

- Northamptonshire. - Z szacunkiem wymieniłam tę nazwę•

- Tam są wspaniałe tereny łowieckie.

- Nie stać mnie na polowanie w innych hrabstwach - odparł krótko.

Zagryzłam wargę, zła na samą siebie za brak wrażliwości. Opłaty za polowanie na terenie hrabstw były dla niego zbyt wysokie. Powinnam mieć tyle rozsądku, żeby nie paplać bez namysłu.

- Jestem teraz na bezterminowym urlopie - ciągnął Jasper.

- Mam więc sposobność, żeby się zastanowić nad przyszłością.

Tymczasem zamierzam odpoczywać i Cieszyć się pobytem w domu.

Psy wróciły, ale Jasper nie zwrócił na nie uwagi, tylko patrzył na mnie. W kącikach jego szarych oczu pojawiły się delikatne zmarszczki, jakby od wielogodzinnego mrużenia powiek w ostrym hiszpańskim słońcu. Skórę miał lekko ogorzałą. Rozpięty kołnierzyk koszuli ukazywał mocną, umięśnioną szyję.

Oto następny, który wyjechał jako chłopiec, a wrócił jako mężczyzna, pomyślałam.

- Weston zawsze pozostanie dla mnie domem - powiedział stłumionym głosem.

Uśmiechnęłam się do niego otwarcie.

- Byliśmy takimi szczęśliwymi dziećmi. Czasami żałuję, że nie można cofnąć zegara i wrócić do dzieciństwa, kiedy naszym największym zmartwieniem było to, ile babeczek uda się nam wydusić od kucharki twojej mamy.

- Wiecznie uśmiechnięta pani Sprague. - Nigdy nie miała nam za złe, że stale płataliśmy się jej w kuchni pod nogami. - Uśmiechnął się.

- Ty zawsze dostawałeś największą babeczkę - przypomniałam mu. - Stephen i ja zawsze uważaliśmy to za niesprawiedliwość.

- To był mój dom - usprawiedliwiał się Jasper.

Psy zrozumiały, że już po zabawie i otrząsnęły się z wody.

Cofnęliśmy się, żeby uniknąć mokrego prysznicza.

- Przejdźmy się do pawilonu wędkarskiego - zaproponowałam. Ruszyliśmy spacerem wzdłuż jeziora. Psy pobiegły przed nami. - Pamiętasz nasz letni klub? - zapytał nagle Jasper.

Ten „klub” założył Gerald w dwa lata po moim przybyciu do Weston. Często słyszał, jak ojciec opowiada o swoim londyńskim klubie (hrabia należał do White'a), postanowił go naśladować i założyć własny, ekskluzywny klub w Weston. Zapisał do niego siebie, Jacka,

Stephena i Jaspera. Namówił moją matkę, żeby mu pozwoliła używać jednej z pustych sypialni jako siedziby klubu.

Byłam wściekła, że nie pozwolił ani mnie, ani Nell przyłączyć się do zabawy.

- Osoby płci żeńskiej nie mogą należeć do żadnego klubu - oznajmił z pełną wyższości bezczelnością zepsutego młodego panicza.

- Dobrze - odparłam wyniośle. - Nell i ja założymy własny klub i nie pozwolimy wam zapisać się do niego.

Zwerbowałam Susan Fenton (która wtedy oczywiście nazywała się inaczej) oraz Alice Thornton (córkę jednego z najbogatszych dzierżawców) i zajęłyśmy na swoją siedzibę pawilon wędkarski.

Przez całe lato nasze kluby rywalizowały ze sobą, starając się dowieść, że każdy z nich dostarcza lepszej rozrywki niż drugi. Organizowaliśmy eskapadę za eskapadą. Chłopcy skakali z dachu stodoły na czubek stogu siana. Dziewczęta zbudowały tratwę ze związanych sznurem desek i wypłynęły nią na środek jeziora. Chłopcy spędzili noc na wiejskim cmentarzu. Dziewczęta „pożyczyły” jeden z wozów ojca Susan i śmiało przejechały nim przez wieś, tuż pod nosem chłopców. Miałam wtedy dziesięć lat.

- To cud, że nikomu z nas nic się nie stało - powiedziałam.

- Kiedy sobie pomyślę, że Giles któregoś dnia mógłby wziąć udział w takich zabawach, krew zastyga mi w żyłach.

Jasper roześmiał się.

- Przecież świetnie się bawiliśmy. Wciąż pamiętam całą naszą czwórkę, stłoczoną w ciasnym kręgu w sypialni, planującą jakiś nowy wybryk. I bez względu na to, co wymyśliliśmy, ty zawsze wpadałaś na lepszy pomysł.

- Rzeczywiście, bawiliśmy się świetnie - przyznałam ze śmiechem.

- Ognisko było chyba naszym największym osiągnięciem - stwierdził Jasper.

- Mnie najbardziej się podobało, jak udawałyśmy duchy - odcięłam.

Jasper przeczesał palcami włosy.

- W Hiszpanii często wspominałem to lato. Wczesnie rano, przed bitwą, jeszcze raz przeżywałem je w myślach. To stało się moim talizmanem, takim wspomnieniem „na szczęście”.

Poczułam, że smutek otula mnie jak peleryna.

- Wszyscy bardzo oddaliliśmy się od tamtych czasów - powiedziałam. - Ty poszedłeś na

wojnę. Stephena wysłano na Jamajkę. A Gerald ... nie żyje.

Jasper wolno potrząsnął głową.

- Wciąż nie mogę do końca uwierzyć, że odszedł. I to właśnie Gerald, ten słoneczny dzieciak, złoty chłopak. Wszystko to, czego reszta z nas pragnęła, jemu samo wpadało w ręce. - Szedł ze spuszczoną głową, wbijając wzrok w ziemię pod nogami. - Wydawało się, że Gerald będzie żył wiecznie.

- Przynajmniej ty i Stephen wróciliście bezpiecznie do domu.

- Spróbowałam na lżejszą nutę.

Posłał mi spojrzenie, którego nie potrafiłam rozszyfrować.

- Tak - odparł. - Szczerze mówiąc, byłem zaskoczony, że Gerald wyznaczył Stephena na opiekuna Gilesa. Nigdy nie byli ze sobą zbyt blisko.

Wzruszyłam ramionami. Okrążyliśmy niewielką kępę drzew i oczom naszym ukazał się pawilon wędkarski. Portia i Merlin ruszyły na wyścigi w jego stronę.

- Są jeszcze inne dobre wiadomości. Jack wygrał ostatnio dużą sumę pieniędzy, a Nell oświadczyło się czterech konkurentów, ale jestem pewna, że już o tym słyszałeś.

Na te słowa uśmiechnął się.

- Tak, coś o tym słyszałem. - Oboje wybuchnęliśmy śmiechem.

- Ktoś jest w pawilonie - stwierdził po chwili.

Psy szczekały i piszczały. Wtem drobna postać podbiegła do nas przez trawę.

- Mama! - wołał Giles. - Złapał żem jeszcze jedną rybę! Wpadł na mnie z takim impetem, że lekko się zachwiałam. - Złapałem, nie złapał żem - poprawiłam go.

Jasper chwycił mnie pod ramię i pomógł odzyskać równowagę.

- Uważaj, brzdącu. O mało nie przewróciłeś swojej mamy.

- Przepraszam. - Giles patrzył na mnie uradowany, jego jasnoszare oczy błyszczały, jak zawsze wtedy, gdy był szczęśliwy. - Wuj Stephen i Eugenia nic nie złowili, a ja tak!

Spojrzałam na pawilon, który był po prostu letnim domkiem, składającym się z jednego pokoju, otoczonego zadaszoną werandą. Mężczyzna i kobieta stali na stopniach werandy i patrzyli na nas. Psy przybiegły z powrotem do mnie. Para zeszła ze stopni i czekała na nas przed pawilonem.

- Dzień dobry. - Jasper powitał Stephena i pannę Stedham.

- Z przykrością słyszę, że nie złowiliście ani jednej ryby.

Panna Stedham roześmiała się. Wyglądała ślicznie w słomkowym kapeluszu i sukni z lawendowego muślinu.

- Giles ma chyba szczególny talent do łowienia ryb - odparła. Mały wybuchnął radosnym śmiechem.

Portia wróciła do Stephena, usiadła u jego stóp i spoglądała mu w oczy. Stephen, podobnie jak Jasper, z powodu upału zdjął marynarkę i podwinął rękawy koszuli. Był wyższy i szczuplejszy od Jaspera, a przy bieli koszuli jego twarz, szyja i ramiona wydawały się jeszcze bardziej ogorzałe.

- Mamo, opowiedziałem wujowi Stephenowi o człowieku, którego spotkaliśmy dzisiaj przed południem - powiadomił mnie Giles.

Położyłam dłoń na ramieniu syna.

- Tak, Jem Washburn wrócił - oznajmiłam chłodno. - Jego ojciec zmarł dziś rano.

- Już to wujowi opowiadałem - zawołał Giles z irytacją. Stephen i Jasper spojrzeli na niego, najwyraźniej zaskoczeni tonem jego głosu. Zaciśnęłam palce na ramieniu Gilesa. Jeśli chcę rozpieszczać swojego syna, to moja sprawa i nikomu nic do tego. - Jem mówił, że jeśli nie chcesz go widzieć, to on to zrozumie.

- Ton mojego głosu z chłodnego zmienił się w lodowaty.

Giles niespokojnie podniósł na mnie wzrok, więc z wysiłkiem rozluźniłam palce zaciśnięte na jego ramieniu. Uśmiechnęłam się do niego uspokajająco.

- Skąd mu przyszło do głowy, że nie chciałbyś się z nim widzieć? - ' zapytał Stephena Jasper. - Kiedyś tak bardzo się przyjaźniliście.

Stephen potrząsnął głową, najwyraźniej zdziwiony.

- Nie mam pojęcia, dlaczego tak powiedział. Ja miałam pojęcie, ale nic nie powiedziałam.

- Nie wiem, czy słyszałeś, ale wkrótce po twoim wyjeździe Jem uciekł z domu - oznajmił Jasper. - Nie mieliśmy o nim żadnych wiadomości, dopóki nie pojawił się nagle kilka miesięcy temu. Pewnie się dowiedział, że ojciec jest umierający. - Stephen miał całkiem nieobecny wyraz twarzy. Kiwnął tylko głową. - Wpłacił mojemu ojcu zaległe sumy za dzierżawę - dodał Jasper.

To wzbudziło zainteresowanie wszystkich obecnych. - Jem zapłacił za dzierżawę? - zapytałam.

- Tak twierdzi mój ojciec. Zapytał Jema, co porabiał przez ostatnie lata, ale odpowiedział wymijająco.

- Susan Fenton mówiła mi, że Jem chce przejąć farmę po ojcu - wtrącałam.

- Tak też powiedział mojemu ojcu - potwierdził Jasper.

Giles szurał nogami, zniecierpliwiony rozmową, w której nie mógł wziąć udziału.

- Cóż, jeśli Jem chce przejąć farmę, to musi ją dostać - powiedział Stephen.

- Oczywiście, że musi - potwierdziłam. Tym razem wszyscy spojrzeli na mnie.

- Mamo, nie lubisz Jema Washbuma - zapytał z niepokojem Giles. Prawdę mówiąc, nie znosiłam go.

- Nigdy o nim nie myślę - odparłam. - A gdzie jest twoja ryba, synku? Chcę ją zobaczyć.

Natychmiast zapomniał o swoim pytaniu.

- Jest w wiaderku! - Chwycił mnie za rękę i zaczął ciągnąć za sobą. - Chodź, zobacz!

Wszyscy z radością przyjęliśmy zmianę tematu, a najbardziej zadowolony był Giles, że doceniono jego osiągnięcie wędkarskie.

Wędkarze zebrali sprzęt i wszyscy razem ruszyliśmy do domu.

Stephen niósł wędki, Giles swoją rybę. Syn zaskoczył mnie, ponieważ wolał iść między Stephenem i panną Stedham, a nie z Jasperem i ze mną.

Nasza dwójka wraz z psami szła przodem, w milczeniu słuchając prowadzonej z tyłu rozmowy.

Było to w zasadzie bardziej przesłuchanie niż rozmowa. Giles nie ustawał w zadawaniu pytań Stephenowi. Większość z nich zaczynała się od słów: „Wuju Stephenie, czy widziałeś kiedyś ...”, Stephen odpowiadał na wszystkie pytania z prawdziwie bohaterską cierpliwością.

Żwir chrzęścił mi pod butami, ramię Jaspiera delikatnie ocierało się o mnie. Po obu stronach ścieżki rozciągały się połacie trawy i las. Stado jeleni stało w cieniu kępy wspaniałych kasztanowców. Za nimi, w oddali, można było dostrzec ledwo widoczny kamienny budynek - starą łaźnię.

- Giles, to bardzo nieładnie mówić ciągle samemu i nie dopuszczać do głosu innych - usłyszeliśmy za sobą łagodny głos guwernantki. - Och - zmieszał się mój syn, ale zaraz dodał z wdziękiem:

- Jeśli chcesz zadać wujowi Stephenowi jakieś pytanie, Eugenio, to proszę, pytaj.

Cichy śmiech Stephena sprawił, że poczułam dziwny skurcz mięśni brzucha. Słońce piekło mnie w głowę i na mojej górnej wardze zebrały się kropelki wilgoci.

- Proszę bardzo, panno Stedham, niech pani pyta - odezwał się Stephen.

Poznałam po tonie głosu, że guwernantka też się uśmiecha.

- Prawdę mówiąc, bardzo chciałabym się czegoś dowiedzieć o moim bracie, panie Grandville. Nie widziałam go od sześciu lat.

- A co chciałaby pani wiedzieć?

Jelenie wyszły z cienia kasztanowców i szły po wysokiej trawie, pasąc się z gracją.

- Chcę wiedzieć, czy grozi mu utrata pracy - odparła wprost.

- W swoich listach przedstawia coraz bardziej ponury obraz stanu tamtejszej gospodarki.

- Niestety, to prawda, że z punktu widzenia ekonomii na Jamajce dzieje się nie najlepiej - potwierdził Stephen.

- Właśnie tak słyszałam. Ale co to właściwie znaczy „nie najlepiej”? - W głosie panny Stedham usłyszałam napięcie i po raz pierwszy zdałam sobie sprawę, że szczerze martwi się o brata.

~ Dam pani przykład - odparł Stephen. - Plantacja mojej rodziny na początku wieku przynosiła dwanaście procent zysku, a kiedy przybyłem tam pięć lat temu, ledwie zarabiała na siebie. A Westover to była jedna z najbardziej dochodowych plantacji na wyspie.

Jasper gwizdnął. Odwrócił głowę i zapytał:

- A jak przedstawiała się sytuacja, kiedy wyjeżdżałeś? Tak samo? A może gorzej?

- Nie pamiętasz, że wycofałem się z produkcji cukru? - Przypomniał mu Stephen.

- Racja - mruknął Jasper.

- Jednak wszystkim innym wiedzie się coraz gorzej.

Wysunęłam język i zliziałam kropelki potu z górnej wargi. Miał słony smak. Zerknęłam w bok i spostrzegłam, że Jasper patrzy na mnie. Natychmiast odwrócił wzrok. Stephen mówił dalej:

- Od przełomu wieków ponad sto plantacji zostało przejętych za nie spłacone długi, a obecnie toczy się postępowanie przeciwko stu piętnastu innym. - Zamilkł na chwilę, a potem odezwał się łagodnym tonem: - Obawiam się, panno Stedham, że wśród nich jest również plantacja lorda Northrupa.

Znałam ten łagodny ton. Zacisnęłam mocno wargi i wbiłam wzrok w żwir pod stopami.

- Właśnie tego się obawiałam - powiedziała cicho guwernantka. Jasper znów odwrócił głowę do idących za nami.

- Ale czy zakończenie wojny nie pomoże plantatorom cukru? Napoleon został pokonany, więc rynki zbytu na całym kontynencie znów stoją przed nami otworem.

- To z pewnością pomoże plantatorom na Kubie i w Brazylii, którzy mają dostęp do nie kończących się dostaw niewolników - odparł Stephen z goryczą. - Dla Jamajki nie będzie to miało większego znaczenia.

- Ponieważ Jamajka jest brytyjska, a zatem nie może sprowadzać nowych niewolników? - domyślił się Jasper.

- Właśnie.

Giles uznał, że nie zwróci już na siebie uwagi Stephena, więc w podskokach podbiegł do przodu i wziął mnie za rękę. Trochę wody wychlapało się przy tym z jego wiaderka, więc schylił głowę, żeby sprawdzić, czy ryba nadal jest w środku.

- Niech się pani nie martwi o brata, panno Stedham - rzuciłam przez ramię. - Jeśli straci zatrudnienie, Stephen mu pomoże. Zawsze pomaga przyjaciółom.

Powiedziałam to niezwykle słodkim głosem i nie rozumiałam, dlaczego wszyscy nagle na mnie spojrzeli. Poczułam, że się rumienię, ale chyba nikt tego nie zauważył, dzięki szerokiemu rondu kapelusza.

- Prawdę mówiąc, mamy już z Tomem gotowy plan co do jego przyszłej pracy - uprzejmie wyjawiał Stephen. - Nie musi się pani martwić o jego przyszłość, panno Stedham.

- Co za wspańska wiadomość. - Ulga w głosie guwernantki była aż nazbyt wyraźna. - Czy ... myśli pan, że Tom wróci do domu?

- Zostanie na Jamajce do oficjalnego zamknięcia plantacji. Spodziewam się jednak, że zobaczymy go na święta.

Kątem oka spostrzegłam rozpromienioną twarz panny Stedham.

Stephen uśmiechał się do niej. Odwróciłam od nich wzrok. Spojrzałam na Jaspera i wygłosiłam jakiś banalny komentarz na temat pogody.

Dzięki Bogu, Jasper coś mi odpowiedział i przez resztę drogi do domu gawędziliśmy o niczym.

W nocy obudziła mnie burza.

To dobrze, pomyślałam sennie, przewracając się na plecy. Może jutro nie będzie tak gorąco.

Okna miałam otwarte tak szeroko, jak tylko się dało, więc chłodne burzowe powietrze wpływało do pokoju. Ziewnęłam i niechętnie wstałam z łóżka, żeby sprawdzić, czy deszcz nie moczy draperii. Upewniwszy się, że nie, zostawiłam okna otwarte i wróciłam do łóżka.

Błyskawica rozświetliła niebo, po kilku sekundach rozległ się grzmot.

Teraz raczej lubiłam burze, chociaż swojego czasu bardzo się ich bałam.

Sypialnię wypełniła ostra, charakterystyczna woń, jaką zwykle przynosi ulewa. Wtuliłam głowę w poduszkę, zamknęłam oczy i ten zapach przeniósł mnie w przeszłość.

Znów miałam dziewięć lat, za oknem mojej sypialni huczały grzmoty, a ja się bałam.

Burzy zaczęłam się bać po śmierci ojca. Przedtem nie pamiętam, żeby przerażały mnie pioruny. Ten lęk jeszcze się pogłębił po/ przeprowadzce do Weston, gdzie szalały gwałtowne burze ze względu na bliskość kanału La Manche.

Obezwładniający strach ogarniał mnie już przy pierwszym, odległym grzmocie. Jeśli zdarzało się to po południu, kiedy otaczali mnie ludzie, potrafiłam to znieść. Najgorzej było nocą, gdy zostawałam sama.

Lipcowy dzień był duszny. Odgłos grzmotu obudził mnie w środku nocy. Niebo przecięła błyskawica, tak jasna, że na krótką chwilę rozświetliła moją dziecięcą sypialnię. Wyraźnie zobaczyłam wielką komodę z orzecha, wiszące na ścianach obrazy przedstawiające konie i półkę z moimi ulubionymi książkami. Łoskot, który potem nastąpił, niemal mnie ogłuszył.

Naciągnęłam kołdrę na głowę i skuliłam się, cała drżąc pod bawełnianą nocną koszulką.

Następna błyskawica była tak jaskrawa, że rozjaśniła nawet panujący pod kołdrą mrok. Zaszlochałam.

- Annabelle. - Musiał dwa razy powtórzyć moje imię, zanim go usłyszałam. - Nie bój się. Niedługo się skończy.

Ostrożnie wyjrzałam z ukrycia: Zobaczyłam go wyraźnie w następnym rozbłysku. Stephen stał obok mojego łóżka, włosy miał zmierzwiłone od snu i patrzył na mnie z troską.

- Nie lubię burz z piorunami - powiedziałam.

- Wiem. Ale w domu jesteś całkiem bezpieczna. Nie stanie ci się tu żadna krzywda.

Skinęłam głową.

Z wyrazu mojej twarzy mógł odgadnąć, że mu nie wierzyłam. Na łoskot grzmotu podskoczyłam. Spojrzałam błagalnie na Stephena.

- Chcesz, żebym przy tobie został, dopóki to się nie skończy? - zapytał.

- Tak!

- No, to się posuń.

Odsunęłam się na drugi koniec łóżka, a on ułożył się obok. Ze względu na upał miał na sobie jedynie spodenki i w świetle następnej błyskawicy jego tors zajaśniał bielą jak świeczka. Stephen podłożył sobie pod głowę jedną z moich poduszek, odwrócił się do mnie plecami, zwinął się w kłębek i po dwóch minutach już spał.

Położyłam dłoń na jego ciepłych, nagich plecach.

Rozległ się grzmot. Rozbłysła błyskawica, ale z jego szczupłych, kościstych chłopięcych pleców promieniował na mnie spokój i poczucie bezpieczeństwa. Jeszcze przed końcem burzy ja również zapadłam w sen.

Następnym razem, kiedy nocą rozpętała się nawałnica, nie czekałam, aż Stephen do mnie przyjdzie. Wzięłam poduszkę i poszłam do jego sypialni, znajdującej się tuż obok mojej.

Spał głęboko, leżąc na brzuchu po środku łóżka. Musiałam nim potrząsnąć, żeby otworzył oczy.

- Grzmi, Stephen - powiedziałam. - Czy mogę z tobą zostać do końca burzy?

- Mhm - zgodził się, mrugając sennie powiekami.

Za oknem przetoczył się grzmot, Burza była coraz bliżej. Stephen przesunął się na kraniec łóżka, a ja wsunęłam się pod kołdrę.

Po pięciu minutach oboje spaliśmy.

Dopóki nie skończyłam szesnastu lat, Stephen i ja zajmowaliśmy pokoje dziecinne niemal sami, nie licząc panny Archer, guwernantki. Moja sypialnia sąsiadowała z jego sypialnią, u szczytu schodów. Od pokoju zabaw z drugiej strony dzielił mnie dawny pokój Geralda. Obok sypialni Stephena było wejście do łazienki. Sypialnia guwernantki znajdowała się w głębi korytarza, między pokojem zabaw a salą lekcyjną.

W późniejszych latach dziwiłam się, dlaczego matka była tak niedomyślna i pozwoliła nam przez wszystkie te lata przebywać tak blisko siebie w pokojach dziecięcych. Rzecz jasna,

miała względem mnie własne plany. Już na samym początku zdecydowała, że mam poślubić Geralda.

Zapewne po prostu nie przyszło jej do głowy, że mogę być aż tak głupia, żeby wybrać młodszego syna hrabiego.

Teraz, w wieku dwudziestu trzech lat, nie bojąc się już grzmotów, leżałam bezsennie w ciemnościach, wspominając, aż burza przeszła przez dolinę. W moim sercu szalał zamęt uczuć. Kiedyś kochałam Stephena ponad wszystko, a on mnie zawiódł. Oskarżałam go o to z pełnym goryczy żalem. Pewnie nigdy mu nie przebaczę. Ale kiedy myślałam o tym, co było między nami, moje serce krwawiło bezustannie.

Pragnęłam, żeby tamte czasy wróciły. A to nie było możliwe.

Jak daleko sięgnę pamięcią, śniadanie podawano w jadalni między siódmą trzydzieści a dziesiątą i domownicy mogli się posilić, kiedy mieli ochotę. Toteż gdy następnego ranka weszłam do jadalni o ósmej, ze zdziwieniem zobaczyłam całą rodzinę za nie nakrytym obrusem mahoniowym stołem. Napełniłam filiżankę kawą, wzięłam z kredensu bułeczkę i zajęłam wolne krzesło obok Nell.

Stephen uniósł wzrok znad smażonych cynaderek i oznajmił, że po śniadaniu wyjeżdża na parę dni do Kentu, odwiedzić swojego wuja Francisa.

Nell była zrozpaczona.

Ja poczułam ulgę.

- To bardzo słuszne, że się tam wybierasz - pochwaliła ciotka Fanny. - Pan Putnam jest twoim ojcem chrzestnym i zawsze bardzo cię lubił. Na pewno bardzo chce znowu cię zobaczyć.

- Thornhill to bardzo ładny majątek - odezwał się wuj Adam.

- Pewnego dnia go odziedziczysz. Bardzo dobrze, że się nim interesujesz.

Powinłam tutaj wspomnieć, że widoki na przyszłość Stephena były o wiele lepsze niż w przypadku większości młodszych synów. Matka zostawiła mu pięćdziesiąt tysięcy funtów, a jej brat, Francis Putnam, bezdzietny wdowiec, uczynił Stephena swoim spadkobiercą.

- Wuj Francis przez pięć lat pisywał do mnie regularnie co miesiąc, kiedy przebywałam na Jamajce - rzekł cicho Stephen. - Bardzo wiele mu zawdzięczam.

- Nie sugerowałam, że nie odnosisz się do wuja należycie - odparł sztywno Adam.

- Tak, wiem. - Przez twarz Stephena przemknął nikły uśmiech.

- Na jak długo wyjeżdżasz? - zapytałam.

Spojrzał na mnie znad brzegu filiżanki z delikatnej porcelany.

Siedział pomiędzy Adamem i Fanny, naprzeciw Nell, ale kiedy nasze oczy się spotkały, zdało mi się, że jesteśmy w pokoju sami.

Poczułam zdradziecki skurcz mięśni brzucha. Nikt na całym świecie nie miał oczu takich jak Stephen, ciemnych, a jednocześnie tak niebieskich. Opuścił filiżankę.

- Nie jestem pewien. Pojedziemy z wujem do Londynu, spotkać się z kilkoma osobami. Dam ci znać.

- Do Londynu? - powtórzyła zaskoczona ciotka Fanny. - Ależ w sierpniu w Londynie nie ma nikogo. Wszyscy wyjechali do Brighton albo na wieś.

- Odbędzie się tam zebranie abolicjonistów, w którym bardzo chciałbym uczestniczyć - wyjaśnił Stephen.

Adam skończył swój kotlet jagnięcy i odłożył widelec.

- Abolicjoniści to przeciwnicy niewolnictwa? - upewnił się.

- Tak - potwierdził Stephen. - Teraz, kiedy wojna dobiegła końca, słyszy się pogłoski o tym, że Francuzi chcą przywrócić handel niewolnikami. Właśnie w tej chwili trzeba z całych sił dążyć do zniesienia niewolnictwa we wszystkich krajach. Wszystkie komitety abolicjonistyczne wznawiają działalność. Szczególnie interesują się zbieraniem informacji o wpływie zniesienia niewolnictwa przez prawo brytyjskie na społeczności niewolników na Karaibach. Właśnie dlatego bardzo chcą ze mną porozmawiać.

- Kilka dni temu opublikowano w „The Times” list popierający działalność abolicjonistów - odezwał się Jasper. - Coś w rodzaju:

„Jeśli wreszcie głośno zabrzmi głos narodu brytyjskiego, to handel afrykańskimi niewolnikami zniknie z powierzchni ziemi”.

- To nie będzie takie proste - oznajmił Adam.

- Nie, nie będzie - zgodził się Stephen. - Jednak Thomas Clarkson jedzie na kongres do Wiednia, więc istnieje nadzieja, że zdoła wywrzeć wystarczająco silną presję moralną, żeby wymusić międzynarodową ugodę delegalizującą handel niewolnikami.

- Widzę, że świetnie się w tych sprawach orientujesz - stwierdził Jasper.

Stephen oparł się o krzesło i powiedział cicho:

- Od pierwszego roku pobytu na Jamajce pozostaję w kontakcie z Clarksonem.

Na chwilę zapadła cisza, podczas której zastanawialiśmy się nad znaczeniem tej

informacji.

- Drżycie, narody, Stephen ruszył do walki o sprawę - oznajmił nagle Jasper.

Żartował tylko w połowie.

- Myślałbyś podobnie, gdybyś widział to, co ja - odparł Stephen.

Wszyscy patrzyli na Stephena, więc i ja przez kilka minut mogłam mu się przyglądać bez zwracania niczyjej uwagi. Przeciwnie do panującej obecnie męskiej mody, która nakazywała nosić krótkie fryzury, Stephen miał dłuższe włosy, zaczesane za uszy. Moje dłonie wciąż pamiętały ich jedwabistą miękkość. Zacisnęłam pięści na kolanach, aż paznokcie wbiły się w nadgarstek.

- Ja również widywałem okropne sceny w Hiszpanii - powiedział Jasper niespodziewanie szorstko. - Jednak nie jestem takim altruistą jak ty. Teraz chcę od życia tylko trochę spokoju dla samego siebie.

Przez moment wszyscy milczeliśmy, jak mi się wydaje nieco zmieszani niekłamanym bólem brzmiącym w głosie Jaspera.

Przerwałam tę niemą scenkę odsuwając krzesło i wstając od stołu.

- Annabelle, kochanie, nie zjadłaś swojej bułeczki - zauważyła z naganą ciotka Fanny. - Nie jestem głodna.

- Idziesz do stajni? - zapytał Jasper normalnym tonem.

- Tak.

- Pójdę z tobą, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Skinęłam głową i Jasper wstał z miejsca.

- Pokaż mu konie, które masz na sprzedaż - powiedział wuj Adam. - Na sezon myśliwski będzie potrzebował co najmniej dwóch.

- Ależ wuju, Jasper nie musi ich ode mnie kupować. Z przyjemnością udostępnię mu je na cały sezon.

- Zawsze jesteś taka szczodra, kochanie - odparł wuj. - Ale stać mnie jeszcze na konie dla własnego syna. - Jasper zmierzył ojca dziwnym, badawczym spojrzeniem. Adam ciągnął fałszywie urażonym głosem: - Oczywiście, jeśli nie chcesz sprzedać mu koni, zawsze możemy zwrócić się do kogoś innego.

- Jeśli to zrobicie, dostaniecie gorsze konie - odcięłam się błyskawicznie. - Adam odrzucił głowę i roześmiał się. Musiałam się do niego uśmiechnąć. - Nie ma co, wuju Adamie. Wiesz, jak

ze mną postępować - przyznałam.

- Wszyscy wiedzą, że konie myśliwskie z Weston są najlepsze w całym kraju - powiedział ugodowo Adam. - Uznałbym to za wielką uprzejmość, gdybyś się zgodziła sprzedać Jasperowi dwa z nich.

Ten komplement sprawił mi przyjemność, zwłaszcza że nie był tak całkiem pochlebstwem. Ostatnio miałam więcej amatorów kupna niż koni do sprzedania. Mogłam sobie pozwolić na przebieranie w kontrahentach, i zwykle to robiłam.

- Dostaniesz je, ale tylko jeśli nadal będziesz je trzymał w moich stajniach - oznajmiłam. W Dower House nie było stajni.

- Umiesz się targować - przyznał mi Adam.

Do jadalni wszedł lokaj z dzbankiem świeżej kawy i kolejnym talerzem bułeczek.

- Nie wiedziałem, że Annabella zajęła się interesami - oznajmił Stephen, nie zwracając się do nikogo w szczególności.

- To nie są interesy! - zaprotestowała ciotka Fanny. - Annabella po prostu wynajduje dobre konie, szkoli je do polowań, a potem odsprzedaje wybranym przyjaciołom. To nie są żadne interesy.

Lokaj wyszedł cicho, zabierając ze sobą pustą srebrną tacę. Stephen popatrzył na mnie.

- Masz z tego dochód? - zapytał.

- Tak.

- Dla mnie brzmi to zupełnie jak interes - oświadczył ciotce Fauny.

Ciotka miała nieszczęśliwą minę. W towarzystwie absolutnie nie aprobowano dam, które „prowadzą interesy”.

Prawda wyglądała tak, że w ciągu ostatnich lat zarobiłam na swoich koniach całkiem sporo pieniędzy. To bardzo miłe, napawające spokojem uczucie, kiedy się wie, że ma się pieniądze, które zawdzięcza się wyłącznie sobie.

Oczywiście, weszłam w posiadanie znacznych sum po śmierci męża. To uczucie wcale nie było miłe.

- Chodźmy, Jasper - ponagliłam, zmierzając do drzwi. - Pokażę ci niektóre z moich koni.

Część ogrodu na południe od domu była poprzecinana kilkoma długimi alejami, wysadzonymi cisami i grabami. Jedna z tych alej prowadziła do stajni, inne biegły ku zalesionym, górzystym terenom w dali.

Grupa buków przesłaniała stałme Weston od strony domu.

Weszliśmy w ich cień, minawszy starannie utrzymane, barwne klomby astrów, petunii, floksów i lwich paszczy. W lecie, kiedy drzewa pokrywały się gęstym listowiem, zawsze czułam miłe zaskoczenie, kiedy wychodziłam spod ich zielonej osłony i nagle moim oczom ukazywały się zbudowane z szarego kamienia stajnie oraz całe akry ogrodzonych wybiegów. Medin i Portia pobiegły przed nami, przemknęły przez mostek nad strumieniem i skierowały się do koryta, skąd zawsze piły wodę.

Z powodu burzy spałam dłużej niż zwykle, więc Grimes, nasz starszy stajenny, czekał na mnie zniecierpliwiony.

- Och, jest pani, panno Annabello - powitał mnie z wymówką w głosie, kiedy przekroczyłam otwartą bramę, prowadzącą na wyżwirowany dziedziniec stajni. Dla Grimesa zawsze już będę „panną Annabellą”. Nauczył mnie jeździć konno i był bardzo dumny z moich jeździeckich osiągnięć, które zresztą przypisywał swoim talentom pedagogicznym. Zauważył, że przyszedł ze mną Jasper, więc powitał go uprzejmie:

- Dzień dobry, kapitanie.

Grimes nauczył jeździć konno również jego. Stary stajenny był uszczęśliwiony, kiedy Jasper wstąpił do kawalerii i od tego czasu nie mówił o nim inaczej niż „kapitan”.

Jasper przywitał Grimesa, a potem wymienili kilka grzecznościowych uwag o pogodzie.

Obok nas przeszedł chłopak stajenny, niosąc do stajni dwa wiadra studziennej wody. Uśmiechnął się do mnie i skinał głową.

- Dzień dobry, Frank - pozdrowiłam go.

- Dzień dobry, milady .

Burza oczyściła powietrze, niebo było jednolicie czystoniebieskie.

Dzień wstał przyjemnie ciepły, a nie upalny i duszny jak wczoraj.

- Grimes, kapitan Grandville poszukuje koni do polowania - oznajmiłam. - Obiecałam jego ojcu, że mu sprzedam dwa ze swoich.

- Dwa! - zawołał Grimes. Na jego szczupłej, ogorzałej twarzy malował się niepokój. - Zdaje mi się, że nie znajdziemy dwóch koni, które nie byłyby już zamówione.

- Być może wszystkie moje konie są już zamówione, ale żaden z nich jeszcze nie został sprzedany - przypomniałam mu. Zawsze czekałam ze sprzedażą do rozpoczęcia sezonu polowań na młode lisy. - Sądzę, że kapitan Grandville zasługuje na pierwszeństwo przed innymi

klientami, prawda, Grimes?

Stary stajenny uśmiechnął się szeroko.

- Ty rzeczywiście prowadzisz interes - rzekł ze zdziwieniem Jasper.

Grimes z dumą wyprężył swoje drobne, chude jak patyk ciało.

- Każdy łowczy w kraju pragnie mieć konia z Weston - oświadczył.

- To zadziwiające. - Jasper spojrzał na mnie. - Tak regularnie pisywałaś do mnie do Hiszpanii, ale ani razu nie wspomniałaś, że zajęłaś się hodowlą koni.

Przeszedł następny stajenny, pchając taczki z końskim nawozem. Wymieniliśmy pozdrowienia.

- W zasadzie nie hoduję własnych źrebiąt. Najczęściej kupuję konie pełnej krwi, które nie sprawdziły się na wyścigach, i przysposabiam je do polowań.

- Konie pełnej krwi angielskiej? Folbluty? - Spojrzał na ogrodzone wybiegi za stajniami i rozpoznał charakterystyczne smukłe kończyny pasących się tam wierzchowców.

- Teraz myśliwi chcą koni, które biegają szybko i skaczą wysoko, a folbluty mają właśnie takie cechy.

- Ale są również bardzo kapryśne i nerwowe - odparł Jasper, przenosząc wzrok na mnie. - W kawalerii używaliśmy wielu koni krwi mieszanej, ale bardzo rzadko folblutów.

- Tommy, zabierz się do naprawy uprzęży - nakazał Grimes chłopcu stajennemu, który grabił już uporządkowany żwir na dziedzińcu.

Chłopak pobiegł do wozowni, a Grimes znów skupił się na naszej rozmowie.

- Panna Annabella umie wybrać odpowiednie konie, panie kapitanie - wyjaśnił. - Potem przez jeden sezon sama ich dosiada i uczy właściwego zachowania. Po takim treningu są jak marzenie.

W drodze do stajni zastanawiałam się, które konie zaproponować Jasperowi, a teraz zwróciłam się do Grimesa:

- Zobaczmy najpierw Snapa. Wydaje mi się, że jest odpowiednio duży dla kapitana Grandville'a.

Grimes z namysłem przyjrzał się Jasperowi, potem wolno skinął głową.

- Jest na drugim wybiegu.

Cała nasza trójka ruszyła zwirową ścieżką prowadzącą z dziedzińca stajni. Przeszliśmy przez szeroką bramę, przy której rosły barwne zioła, i skierowaliśmy się na zachód do wybiegów.

Na pierwszym z nich zobaczyliśmy dwie z moich klaczy. Jedna z nich podbiegła do ogrodzenia, kiedy tylko mnie spostrzegła.

- Witaj, moja piękna - zawołałam do Nimfy.

Psy zaczęły ją obwąchiwać.

Nimfa postawiła uszy, tak że niemal się stykały. W porannym słońcu jej kasztanowata sierść połyskiwała jak wypolerowana miedź. Usiłowała skubnąć mnie wargami.

Druga klacz, w obawie, że coś ją ominie, również do mnie podbiegła. Kupiłam ją wiosną i zamierzałam wytrenować ją w tym sezonie. Była tarantowatej, ciemnoszarej maści, miała krótki kark i mocny zad. Spodziewałam się, że będzie dobrze skakać.

Klacz podążyły za nami wzdłuż ogrodzenia tak daleko, jak mogły, a potem przyglądały się nam, kiedy doszliśmy do następnego wybiegu, gdzie stały dwa wałachy.

- Snap to ten kasztanek - wyjaśniłam. Drugim koniem był Topper.

Oparliśmy się o ogrodzenie, a oba wałachy podbiegły do nas.

- Zawsze miałaś wręcz magiczny wpływ na konie - powiedział Jasper. - Pamiętam, że twój kuc wszędzie za tobą chodził jak pies.

Poklepałam Toppera po szyi.

- Bounce - powiedziałam ze smutkiem. - To był wspaniały kucyk. Kiedy padł, omal nie pękło mi serce.

Nimfa, obrażona, że nie dostała żadnego poczęstunku, zarżała, wierzgnęła i pogalopowała w głąb wybiegu. Szara klacz, właśnie z powodu umaszczenia nazwana przeze mnie Cień, poszła w jej ślady.

Snap odbiegł od nas i stanął przy ogrodzeniu, oddzielającym go od klaczy. Rżał, żeby zwrócić ich uwagę, ale go zignorowały.

Topper dotykał nosem mojej dłoni w poszukiwaniu czegoś do zjedzenia, więc wyjęłam z kieszeni kawałek marchewki.

Jasper patrzył z rozbawieniem, jak Topper wsuwa nos między belki, starając się wyjąć z mojej kieszeni następny kawałek swojego przysmaku.

- Powiedz mi, jak twoja matka odnosi się do tego, że prowadzisz interes - zagadnął.

Grimes prychnął niezbyt grzecznie.

- Grimes bardzo dobrze to wyraził - odparłam ze śmiechem.

- Nie podoba jej się to, ale nic nie może zrobić.

- Czy mam zaprezentować Snapa, panno Annabello? - zapytał stajenny.

- Chcesz zobaczyć, jak się rusza? - zaproponowałam Jasperowi.

- Bardzo proszę.

- Pokaż go nam, Grimes - poleciłam.

Patrzyliśmy, jak stajenny podszedł do Snapa, który wciąż wpatrywał się w klacze. Przymocował lonżę do jego uździenicy i poprowadził konia na środek wybiegu.

- Wejdę do środka, żeby przytrzymać Toppera - powiedziałam Jasperowi, żeby przejść między belkami ogrodzenia, musiałam unieść spódnicę, ale miałam na sobie wysokie buty, więc przyzwoitości stało się zadość. Mocno chwyciłam Toppera za uździenicę.

Jasper również wszedł za ogrodzenie i stanął obok mnie, kiedy Grimes ze Snapem na lonży zataczał duże koło w środku wybiegu. Oboje z uwagą patrzyliśmy na wierzchowca. Topper jeszcze raz usiłował wsunąć nos do mojej kieszeni.

- Jaki ma wzrost? - zapytał Jasper.

- Siedemnaście dłoni.

- To bardzo ładny koń, Annabello.

Topper prychnął i chciał opuścić łeb, żeby skubnąć trawy, ale mocno go trzymałam.

- W zeszłym sezonie polowałam na nim. •Pięknie chodzi, jak sam widzisz, i doskonale skacze. Jego wadą jest brak pewności siebie. Trzeba mu wydawać bardzo zdecydowane polecenia. Cały czas musi wiedzieć, czego dokładnie się od niego wymaga. To nie jest koń, któremu można zostawić wolną rękę, żeby sam się domyślił, co robić. - Jasper skinął głową. - Właśnie z tego powodu nie byłam pewna, czy go sprzedać. Pod nieodpowiednim jeźdźcem bardzo by się znarowił.

Dałam Grimesowi znak, żeby przestał biegać. Zwolnił i poprowadził Snapa do nas.

Topper oparł łeb na moim ramieniu i dmuchnął mi w ucho.

- Ile dostałabyś za takiego konia? - zaciekawiał się Jasper. Zawahałam się.

Grimes znalazł się już wystarczająco blisko, żeby usłyszeć pytanie. Kiedy spostrzegł moje niezdecydowanie, oznajmił stanowczo:

- Osiemset gwinei.

Jasper gwałtownie zwrócił do mnie głowę.

- Ile?

Skinęłam głowę, trochę zażenowana.

- Oczywiście, od ciebie nie zażądam takiej ceny.

- Czy ludzie rzeczywiście tyle płacą za jednego konia myśliwskiego? - zapytał z przerażeniem.

- Owszem, za konia z Weston, tak - z satysfakcją potwierdził Grimes.

Jasper przebiegł wzrokiem liczne wybiegi. Na każdym z nich pasły się dwa konie.

- Czy wszystkie te konie są tyle warte?

- Jasne, że nie - odparłam. - Konie do powozu i zwykłe konie pod wierzch są tańsze.

Tylko myśliwskie tyle kosztują.

- A ile masz koni myśliwskich?

- Zwykle trzymam szesnaście, ale dwa są moje, nie do sprzedania za żadną cenę.

Widziałam, że Jasper w myślach dodaje kolumny liczb.

- Jakim cudem udało ci się rozkręcić taki dochodowy interes? - zapytał.

Grimes odpiął lonżę od uźdźienicy Snapa, ja również uwolniłam Toppera. Oba wałachy zaczęły się paść w pobliżu. Ruszyliśmy z powrotem do ogrodzenia.

- Największą przeszkodą była moja pleć - wyznałam szczerze.

- Bardzo niewiele kobiet poluje, jak sam wiesz. Zdaje się, że tylko lady Salisbury, pani Farley i ja polujemy regularnie, w stałym towarzystwie.

Głównym powodem, dla którego tak mało kobiet polowało był fakt, że jazda na damskim siodle nie jest zbyt pewna i bezpieczna. Ja polowałam siedząc po męsku, ubrana w obszerną spódnicę, włożoną na bryczesy.

- Dobry Boże! - wykrzyknął Jasper. - Nie powiesz mi, że lady Salisbury nadal poluje! Ma już chyba ze sto lat.

- Jeszcze nie. - Prychnęłam rozbawiona. - Jednak jest już prawie całkiem ślepa. W zeszłym roku Gerald i ja polowaliśmy z jej towarzystwem. Stajenny wie gdzie jej konia na lonży.

- Jest ślepa i poluje?

- Kiedy się zbliżają do płotu, stajenny krzyczy: „Skaczemy, do diabła, jaśnie pani, skaczemy!”. No i ona wtedy skacze.

- Zadziwiające. - Jasper śmiał się, potrząsając głową.

Oparłam się plecami o ogrodzenie i wróciłam do jego pytania. Kiedy po raz pierwszy zdałam sobie sprawę, że mam kilka dobrych koni do sprzedania, nikt nie chciał kupować od kobiety. - Snap wrócił na swoją dawną pozycję przy ogrodzeniu wybiegu dla klaczy, lecz nadal

go ignorowały. Spojrzałam na Jaspera, który stał do mnie bokiem i przyglądał się koniom.

- Bardzo mnie to irytowało.

- Jak ci się udało przezwyciężyć uprzedzenia? - zapytał, nie odrywając wzroku od Snapa.

- Dzięki wytrwałości.

Grimes nie pozwolił mi się wykpić taką wymijającą odpowiedzią.

- Panna Annabella polowała z klubem Quarn - wyjaśnił Jasperowi. - Wzięła cztery folbluty i zapolowała z samym Ashetonem Smithem. Z początku jej nie chciał, a na koniec oddał jej swoją odznakę, zaprosił na następny raz i zaproponował, że kupi od niej dwa konie!

- Dobra robota, Annabello! - Jasper uśmiechnął się do mnie. Odpowiedziałam mu uśmiechem.

- W świecie myśliwych, jeśli prezes klubu Quarn uzna twoje umiejętności, to jesteś wart tyle złota, ile wazysz. Od tamtej pory nie miałam żadnych kłopotów ze sprzedażą koni.

- Chciałby go pan wypróbować, kapitanie? - zapytał Grimes.

- Zaraz każę go osiodłać.

Jasper zawahał się.

- Tak; zrób to, Grimes - odpowiedziałam za niego. - Każ również osiodłać Toppera.

Pojedziemy razem.

Grimes skinął głową i ruszył do stajni, żeby wydać stajennym polecenie osiodłania koni.

Kiedy znalazł się poza zasięgiem naszych głosów, odezwał się Jasper: .

- Mój ojciec nie jest w stanie zapłacić osiemset gwinei za konia.

- Powiedziałam już, że nie zażadam tyle od wuja Adama.

Jasper ściągnął brwi. Jego usta ułożyły się w twardą linię.

Przez chwilę w jego twarzy nie było nic z chłopca, z którym dorastałam.

- Nie pozwolę, żebyś poniosła na tym koniu jakąkolwiek stratę.

- Kupiłam Snapa rok temu, za sto gwinei - wyjawiałam szczerze.

- Nie przyniesie mi straty.

Szare oczy zaokrągliły się ze zdumienia. Jasper znów przypominał chłopaka, którego kiedyś znałam.

- W ciągu roku osiągnęłaś taki zysk?

- Kiedy go znalazłam, wyglądał okropnie. Biedakowi sterczały wszystkie zębra. W niczym nie przypominał konia, na którego teraz patrzysz.

Oboje spojrzeliśmy na Snapa, którego wypielegnowana sierść lśniła rudawo w jasnym słońcu. Szedł wzdłuż ogrodzenia, nie odstępując klaczy. Widzieliśmy grające pod jego skórą mięśnie.

- A co Gerald myślał o tym, że jego żona prowadzi koński interes? - zapytał Jasper. - Zawsze bardzo dbał o pozory, a przecież trudno zaprzeczyć, że to, co tu prowadzisz, to jednak jest interes.

Oparłam się wygodniej o ogrodzenie.

- Och, nigdy sobie z Geraldem w niczym nie przeszkadzaliśmy - odparłam lekko. Szare oczy Jaspera patrzyły na mnie poważnie. - Posiadanie konia z Weston stało się modne - tłumaczyłam. - Być może Gerald nie był zachwycony, kiedy zaczęłam je sprzedawać, ale wkrótce się z tym pogodził. - Wzruszyłam ramionami. - Wiesz, jaki był pogodny. Nic nie było w stanie na długo zepsuć mu humoru.

- Gerald nigdy nie miał powodu, żeby tracić dobry humor - odarł ponuro Jasper.

- Zawsze starał się dostrzegać we wszystkim dobre strony - broniłam męża. - Takie usposobienie ma wiele dobrych stron.

Klaczę w sąsiednim paddocku zaczęły skubać trawę. Snap nadal stał przy ogrodzeniu i patrzył na nie.

- Biedaczysko - powiedział dziwnym głosem Jasper. - Dobrze wiem, co czuje.

8

Kiedy wróciliśmy z przejażdżki do domu, u frontowych schodów stała dwukółka. Stajenny trzymał konie za uzdę. W holu zobaczyliśmy Stephena, który się żegnał z wujem Adamem i ciotką Fanny. Jego kufer stał przy drzwiach.

- Jeszcze nie wyjechałeś? - zdziwiłam się.

Zerknął na mnie przelotnie. Atmosfera w holu nie była przyjacielska.

- Wstąpił tu dzisiaj Jem Washburn - oświadczył wuj Adam z wymuszoną lekkością. - Rozmawiał ze mną i Stephenem na temat przejęcia dzierżawy po ojcu.

Czułam, że przybieram sztywną, wyprostowaną postawę. Nie życzyłam sobie Jema Washburna w moim domu.

Stephen obserwował moją reakcję, ale zwrócił się nie do mnie, tylko do Adama.

- Po powrocie zaraz się wezmę za przeglądanie ksiąg rachunkowych. Zapewniam cię, wuju, że zamierzam poważnie traktować swoje obowiązki. - Adam spojrzał na niego wyraźnie zdziwiony. - Tak, znam się na buchalterii. - Stephen uśmiechnął się, starannie omijając mnie wzrokiem. - To jedna z użytecznych rzeczy, jakich nauczyłem się na Jamajce.

- Mój system księgowania może się trochę różnić od tego, do którego jesteś przyzwyczajony - ostrzegł wuj.

- W takim razie przejrzymy księgi razem i wytłumaczysz mi wszystko, czego nie zrozumiałem.

- Wiesz, że przed domem czeka dwukółka? - odezwał się Jasper stojąc w drzwiach.

- Tak - odpad Stephen. - Właśnie miałem odjeżdżać, kiedy nadeszliście.

Złożyłam ramiona na piersi.

- Nie wiedziałam, że chcesz wziąć kariolkę - powiedziałam. Stephen szedł już do wyjścia, ale przystanął. Odwrócił się do mnie.

Spojrzał mi prosto w oczy i powiedział:

- Sądziłem, że nigdy jej nie używasz. - Jego głos był uprzejmy, zbyt uprzejmy. Ciągnął tym samym dziwnym tonem: - Wolałabyś, żebym wziął bryczkę albo powóz?

Prawdę powiedziawszy, kariolka należała do Geralda i nigdy jej nie używałam.

- Rzeczywiście, chyba będzie najlepiej, jeśli pojedziesz kariolką - zgodziłam się niechętnie.

Ciotka Fanny załamała ręce. Adam spoglądał to na mnie, to na Stephena, wyraźnie nie rozumiejąc, dlaczego powstało między nami takie napięcie. Zerknęłam na Jaspera, ale nie potrafiłam rozszyfrować wyrazu jego twarzy.

Lokaj wziął kufer Stephena i zaniósł do dwukółki. - Odprowadzę cię, Stephen - zaproponował Jasper.

Stephen skinął głową i jeszcze raz pożegnał ciotkę i wuja. Na krótki, znaczący moment nasze oczy znów się spotkały.

- Żegnam, Annabello - powiedział obojętnie Stephen i wyszedł za Jasperem.

Powtarzałam sobie w myślach, że bardzo się cieszę z jego wyjazdu.

Ojciec Geralda zapoczątkował w Weston tradycję urządzania przez hrabiego i hrabinę corocznego festynu w sierpniu, dla służby, pracowników, dzierżawców, ludzi z miasteczka i okolicznych chłopów. Jak wielu angielskich arystokratów hrabia przeraził się okropności rewolucji francuskiej i coroczna zabawa dla niższych stanów miała dowiedzieć, że hrabia Weston jest całkiem inny od tych dekadencjonalnych Francuzów, których głowy w pudrowanych perukach tak gwałtownie rozstały się z ciałem.

Jako że Giles urodził się dwudziestego trzeciego sierpnia, od czterech lat łączyliśmy festyn z przyjęciem urodzinowym dziedzica rodu.

W tym roku nie zamierzałam niczego organizować. Nikt tego ode mnie nie oczekiwał.

Nie upłynęła nawet godzina od odjazdu Stephena, kiedy zdecydowałam, że jednak urządzę festyn.

Natychmiast zaczęłam szukać ciotki Fanny, żeby podzielić się z nią moją decyzją. Hodges skierował mnie do dużego salonu, gdzie zobaczyłam Nell, grającą na fortepianie. Ciotka Fanny siedziała z tyłu na kanapie i pisała listy na mahoniowym, składanym stoliku. Cherubiny namalowane na medalionach na suficie spoglądały z aprobatą na ten spokojny obrazek.

Kiedy oznajmiłam ciotce, co zamierzam, wpadła w przerażenie.

- Annabello, jeszcze nie minęło nawet pół roku od śmierci Geralda! - Opadła na oparcie kanapy i załamała ręce, jak to zwykle czyniła w chwilach zmartwienia. - Ludzie będą oburzeni, jeśli tak szybko zaczniesz podejmować gości.

Nell przerwała grę i zaczęła przysłuchiwać się rozmowie.

Psy położyły się pod stolikiem o białe w formie szachownicy, ich ulubionym miejscu w salonie.

- W tym roku zaproszę tylko naszych dzierżawców i służbę - uspokajałam ciotkę. -
Zawsze tak dobrze się bawią i czekają na festyn przez cały rok. Wydaje mi się, że
niesprawiedliwie byłoby pozbawić ich tej przyjemności.

Ciotka nadal załamywała ręce.

- Nikt nie oczekuje w tym roku festynu, więc też nikt nie będzie ci miał tego za złe.

Wybrałam mahoniowe krzesło z wysokim oparciem, stojące blisko kanapy i usiadłam,
składając dłonie na kolanach.

- Giles jest bardzo rozczarowany, że w tym roku nie będzie przyjęcia z okazji jego
urodzin - powiedziała Nell.

Zaskoczona spojrzałam na nią. Przypomniałam sobie, że istotnie, Giles mówił wyjątkowo
mało o swoich urodzinach.

Nell spostrzegła moją minę.

- Pewnie nie powiedział ci tego, żeby cię nie martwić. Doskonale rozumie, dlaczego nie
możesz urządzić festynu, ale nie byłby normalnym dzieckiem, gdyby nie czuł rozczarowania.

- Zapewne tak jest. - Nie podobało mi się, że Giles zwierza się Nell, a nie mnie.

Ciotka Fanny wciąż miała zmartwioną minę.

- Nie zaprosisz własnych gości?

Gerald i jego ojciec zawsze zapraszali na festyn cały dom przyjaciół.

- Nie - zapewniłam ją. - Zaproszę tylko naszych ludzi.

- Dzieci dzierżawców też są niepocieszone, że w tym roku nie będzie urodzin Gilesa -
dodała Nell. - Annabella ma rację, mamó. Dzieci cały rok czekają na przejażdżki na kucu i
zabawy.

- A pastor? - dopytywała się ciotka.

- Pastora, rzecz jasna, trzeba zaprosić.

Ciotka Fauny złożyła usta w ciup. - A pan Matthew? - drażyła dalej.

- Pan Matthew też musi przyjść - oznajmiłam stanowczo.

- I pewnie poczujesz się zobowiązana zaprosić resztę członków klubu?

- Tylko pana Matthew, obiecuję - uspokoiłam ją.

Usta ciotki ułożyły się w swoją zwykłą linię. Przestała też załamywać ręce.

- No, cóż. Jeśli zaprosisz tylko naszych ludzi, to chyba wszystko będzie w porządku.

- Nie masz żadnego powodu do zmartwienia, mamó - zapewniła ją Nell. - Rozumiesz

chyba, że nikomu w okolicy Weston nie przyjdzie nawet do głowy, żeby krytykować Annabellę.

Wydawało mi się, że wyczułam w jej głosie nutę goryczy i już drugi raz w ciągu minuty spojrzałam na nią z zaskoczeniem.

Ciotka najwyraźniej usłyszała tylko treść jej wypowiedzi, a nie ton.

- Droga Annabello. - Uśmiechnęła się do mnie. - Nell ma rację. Wszyscy cię w Weston kochają.

- Cieszę się, że apróbujesz mój pomysł, ciociu - powiedziałam wolno.

- Drogie dziecko. - Ciotka poklepała mnie po rękach. - Jesteś panią tego domu; nie potrzebujesz mojego zezwolenia na urządzenie festynu. Tylko z wrodzonej dobroci zapytałaś mnie o zdanie.

- Zawsze ceniałam sobie twoją opinię, ciociu. Roześmiała się wesoło.

- Żartujesz sobie ze mnie, kochana. Liczysz się tylko ze zdaniem Grimesa i pana Matthew. No, może jeszcze Stephena, kiedy byliście dziećmi. - Chciałam zaprotestować, ale uciszyła mnie ruchem dłoni. - Urządzisz festyn, skoro tak zdecydowałaś, a Nell i ja pomożemy ci, jak tylko będziemy potrafiły.

Spojrzałam na Nell.

- Jeśli chcesz, zorganizuję zabawy dla dzieci - zaproponowała.

- Dziękuję. - Byłam jej naprawdę wdzięczna. Od dwóch lat organizowała zabawy dla dzieci i nikt nie potrafił robić tego lepiej i bardziej pomysłowo .. Doskonale umiała postępować z maluchami.

Kiedy spojrzałam w jej skośne oczy, pomyślałam sobie, że ton goryczy w jej głosie podsunęła mi moja wyobraźnia.

Giles wpadł w szal radości, kiedy mu powiedziałam, że jednak będzie miał swój festyn urodzinowy. Dopiero gdy zobaczyłam szczęście na jego twarzy, zdałam sobie sprawę, jak bardzo przedtem musiało mu być przykro.

- Zaprosimy jedynie służbę i dzierżawców - wyjaśniłam. Zastanawiałam się, czy nie powinnam jednak zaprosić tylu gości, co zwykle.

- Nic nie szkodzi, mamó - uspokoił mnie syn. Byliśmy w pokoju zabaw, więc chwycił swojego konika na patyku, dosiadł go i zaczął w podskokach biegać wokół, wyśpiewując: - Będę miał przyjęcie urodzinowe! Będę miał przyjęcie!

- Nie miałam pojęcia, że on tak to przeżywał - zwróciłam się do panny Stedham .

- Chyba nie chciał pani martwić, lady Weston. Rozumie, że nie jest pani w nastroju do wydawania przyjęć.

Dokładnie to samo powiedziała Nell.

Spojrzałam na małego chłopca, wesoło biegającego po pokoju, i pomyślałam, że jego reakcja nie powinna mnie dziwić.

Nie chodziło o to, że Giles nie czuł żałoby po śmierci Geralda, ale po prostu Gerald stanowił niewielką część życia mojego syna. Co najmniej pół roku spędzał w Londynie, a kiedy go tam nie było, to odwiedzał przyjaciół lub przyjmował ich w Weston. Zawsze mi się wydawało, że właśnie dlatego Giles tak lubi swój urodzinowy festyn, że wtedy, chociaż na krótko znajdował się w centrum uwagi Geralda.

Gerald był takim samym ojcem, jak mężem: miłym, życzliwym, niewymagającym, nieobecny.

- Pomyślałam sobie, że moglibyśmy pojechać dzisiaj do doliny i zawiadomić dzierżawców, że urządzamy festyn - powiedziałam do małej figurki podskakującej wokół mnie. Konik na patyku zatrzymał się jak wryty.

- Obaj, mamó?

- Oboje - poprawiłam go.

- A czy Eugenia może z nami pojechać? - zapytał. - Tak rzadko wychodzi z domu.

Spojrzałam na pannę Stedham akurat wtedy, gdy rumieniec wypełzał na jej policzki.

- To nieprawda, Giles - zaprotestowała szybko. - Codziennie spaceruję po ogrodzie. Często wychodzimy gdzieś razem. Przecież byliśmy też na rybach z twoim wujem! - Spojrzała na mnie i dostrzegłam niepokój w jej brązowych oczach. - Twoja mama pomyśli sobie, że się skarżę.

Patrząc na tę śliczną młodą kobietę, poczułam wyrzuty sumienia. Panna Stedham przyszła do nas zaledwie dwa miesiące przed śmiercią Geralda, a przez ostatnie pół roku byłam tak pochłonięta własnymi przeżyciami, że nie zastanawiałam się nad jej sytuacją.

Najwyraźniej martwiła się, żebym nie uznała, że manipuluje Gilesem.

- Panno Stedham, jeździ pani konno? - zapytałam.

- Ależ naprawdę, milady, nie ma potrzeby ...

- Giles ma rację. Musi pani więcej wychodzić na świeże powietrze. Jeśli nie umie pani jeździć konno, weźmiemy bryczkę. Zmieścimy się we troje na ławeczce, jesteście wszyscy dość

szczupli.

- Prawdę mówiąc, jeżdżę konno - przyznała cicho guwernantka.

- Wspaniale. - Zdałam sobie sprawę, że pewnie nie ma odpowiedniego stroju. - Jeśli nie ma pani nic przeciwko włożeniu jednej z moich spódnic do konnej jazdy, pojedziemy konno.

Jej policzki wciąż się rumieniły. Miała taką cerę, jaką czasami się spotyka u rudowłosych: tak jasną, że aż przezroczystą.

- Chyba nie wypada, żebym nosiła pani stroje - protestowała.

- Przecież pani wie, jak wyglądają moje spódnice do konnej jazdy - odparłam wesoło, pokazując na znoszoną spódnice, którą właśnie miałam na sobie. - Jeśli pani nie ma nic przeciwko temu, żeby się tak pokazywać, to ja z chęcią coś pani pożyczę. - Moje słowa wywołały uśmiech na jej twarzy. - A buty?

- Mam parę wyższych trzewików.

- Świetnie. Każę jednej z pokojówek, żeby przyniosła pani spódnice. - Uśmiechnęłam się do syna. - Możesz iść teraz ze mną, Giles. Spotkamy się z panną Stedham w holu za dwadzieścia minut.

Wciąż podskakując jak konik, stanął przy moim boku. W podskokach schodził po schodach. Zaczekałam, aż zejdziemy na pierwsze piętro, i dopiero tam powiedziałam do niego:

- Jestem z ciebie dumna, ponieważ zatroszczyłeś się o pannę Stedham.

- Naprawdę, mam? - zapytał, zwracając w górę twarzyczkę.

- Tak. Miałeś rację. Spróbujemy częściej wywabiać ją z domu.

- Lubię Eugenię - wyznał. - Jest taka wesoła.

Właśnie dlatego zatrudniłam młodą guwernantkę, że nie chciałam, by Gilesa uczył ktoś sztywny i ponury. Jeszcze raz pomyślałam o tym niepokoju w oczach panny Stedham.

Biedna dziewczyna, pomyślałam. W przyszłości będę musiała zwracać na nią więcej uwagi.

Perspektywa poszukiwania nowej pracy, w wypadku utraty zatrudnienia u mnie, była niewesoła dla takiej młodej kobiety jak panna Stedham. Uroda jest zaletą, kiedy szuka się męża, ale przeszkadza w znalezieniu posady guwernantki. Niewiele jest pracodawczyń, które umieściłyby taką twarz i figurę w otoczeniu swojego męża.

Prawdę mówiąc, panna Stedham została zwolniona z poprzedniej pracy bez podania powodu. Wyznała mi, jękając się i płonąc rumieńcem, że pewnej nocy pan domu się upił i

próbował wejść do jej sypialni. Kiedy wieść o tym karygodnym zachowaniu dotarła do pani domu, niczemu nie winnej pannie Stedham pokazano drzwi.

Zatrudniłam ją, ponieważ uznałam, że będzie dobra dla Gilesa.

Byłam też pewna, że Gerald będzie się trzymał od niej z daleka. Nie dlatego, żeby jej nie zauważył; zawsze dostrzegał ładne kobiety. Jednak nigdy nie wykorzystałby dobrze wychowanej młodej panny, pozbawionej wszelkiej ochrony.

Poza tym, zawsze byłam na miejscu i miałam go na oku.

- Trzeba myśleć o innych. To bardzo ważne - powiedziałam synowi. Zatrzymaliśmy się obok stolika, na którym stała bezcenna chińska waza z czasów dynastii, której nazwy nie udało mi się nigdy zapamiętać. - Tobie w życiu dopisało szczęście - ciągnęłam. - Urodziłeś się w rodzinie o wspaniałej pozycji w społeczeństwie i pewnego dnia odziedziczysz wielki majątek. Właśnie dlatego ważne jest, żebyś zwracał uwagę na innych, bo możesz albo im pomóc, albo zaszkodzić.

Zeszliśmy jeszcze niżej i dotarliśmy do parteru. Giles nie podskakiwał już jak konik. Twarz mu spoważniała. Odezwał się dopiero, gdy dotarliśmy do moich pokojów.

- Chcę być taki sam jak ty - oznajmił nagle. - Wszyscy cię kochają, bo jesteś taka dobra. - Staliśmy przed drzwiami do mojej garderoby. Syn patrzył na mnie ufnie, z uśmiechem. - I taka ładna.

Spojrzałam w jego oczy, które były lustrzanym odbiciem moich.

- Dziękuję, kochanie - Z wymuszonym wdziękiem przyjął komplement, na który nie zasługiwałam.

Objazd doliny i zapraszanie gości zajęło nam całe popołudnie.

O czwartej byłam zgrzana, rozdrażniona i miałam już dość lemoniady. Żałowałam z całej duszy, że nie kazałam służącemu rozwieźć zaproszeń.

Żony i dzieci naszych dzierżawców niezmiennie cieszyły się na widok Gilesa i mnie, i właśnie dlatego zdecydowałam się na tę wyprawę.

Ominięłam tylko jedno miejsce - farmę Washburnów. Udało mi się uniknąć wizyty tam, ponieważ poprosiłam Susan Fenton, żeby jej mąż przekazał Jemowi wiadomość o festynie. Susan zgodziła się i zaprosiła nas na lemoniadę.

Panna Stedham okazała się doskonałą amazonką, co wzbudziło we mnie poczucie winy, że nigdy wcześniej nie dałam jej okazji do przejażdżki. Starłam się nadrobić swój brak

wrażliwości i powiedziałam guwernantce, że może brać konia ze stajni, kiedy tylko będzie miała ochotę, ale ona tylko odpowiedziała coś wymijająco.

- Mówię jak najbardziej poważnie - zapewniłam ją, kiedy stałyśmy na dziedzińcu i patrzyłyśmy, jak stajenni odprowadzają nasze konie. - Mam pięć koni niedawno wycofanych z wyścigów, które nie mogą już wytrzymać w boksach. Bardzo potrzebują regularnego ruchu. Dosiadając ich, wyświadczyłyby mi pani grzeczność.

Uśmiechnęła się grzecznie, podziękowała, ale ja wiedziałam, że nigdy nie dosiądzie żadnego z moich koni, chyba że na moje specjalne zaproszenie.

Do licha, pomyślałam zirytowana. Dlaczego tak się boi, że nadużyje mojej dobroci? Nie zamierzałam brać sobie na barki jeszcze jednej troski, tym razem o to, czy panna Stedham ma możliwość pojeździć konno. I tak już troszczyłam się o wiele osób.

Spróbowałam jeszcze raz.

- Zwłaszcza Ciebie potrzebuje długich, niezbyt szybkich spacerów. Mogłaby pani pojechać na niej na wzgórze Downs.

Jej oczy rozbłyły. Taka wycieczka sprawiłaby jej wielką radość. Błysk w oczach zgasł i jeszcze raz pojawił się uprzejmy uśmiech. Nie zrobi tego.

- Może Eugenia wybrałaby się tam razem z nami - odezwał się Giles.

Lubiłam spędzać czas sam na sam ze swoim synem. Nie chciałam, żeby towarzyszyła nam guwernantka.

- Świetny pomysł, synku - odparłam.

Twarz mu pojaśniała. To było naprawdę szczodre, dobre dziecko. Byłam z niego dumna.

- To było wspaniałe popołudnie - powiedziała panna Stedham.

- Dziękuję pani, lady Weston, była pani dla mnie bardzo dobra.

Udało mi się odpowiedzieć coś niezobowiązującego. Wysłałam syna z panną Stedham na obiad. Sama chwilę zostałam w stajni, żeby porozmawiać z Grimesem, a potem skierowałam kroki do domu.

Ze zmarszczoną brwią szłam zwirową ścieżką w cieniu buków.

Tyle osób powiedziało mi dzisiaj, że jestem dobra, a mnie zaczęło dręczyć sumienie.

Giles był dobry. Stephen był dobry.

Ja nie byłam dobra. Prawdziwa dobroć płynie z serca. Ja dbałam o ludzi z poczucia obowiązku.

Łatwo przychodzi hrabinie robić wrażenie osoby dobrej. Bez kłopotu wydaje przyjęcia, wysyła lokaja do dentysty, daje wolną sobotę młodej pokojówce, która tęskni za domem. Łatwo jest obdarzyć kogoś koniem, jeśli ma się ich pełną stajnię. Łatwo jest być miłą dla ludzi, kiedy żyje się spokojnie, z poczuciem finansowego bezpieczeństwa.

Wysłałam z cienia buków, a przede mną wyrosło południowe skrzydło domu, obramowane ogrodem i skąpane w złotym blasku słońca, stojącego nisko na niebie: Szary kamień, z którego wzniesiono dom, promieniował ciepłem i światłem, połyskiwały duże okna o wielu małych szybkach. Nagle przypomniałam sobie, jakie Weston wydało mi się groźne, kiedy pierwszy raz je ujrzałam.

Zatrzymałam się w popołudniowym słońcu i patrzyłam na dom, który był moim schronieniem od ósmego roku życia. Do mojej świadomości dotarł szmer wody w marmurowej fontannie, znaczącej środek ogrodu różanego. Odwróciłam głowę w jej stronę.

Promień słońca odbił się od czegoś błyszczącego w trawie, po lewej stronie ścieżki, więc zaintrygowana sprawdziłam, co to. Znalazłam sześciopensówkę. Kierowana impulsem podniosłam monetę, podeszłam obramowaną klombami alejką do fontanny, zamknęłam oczy, wypowiedziałam w duszy życzenie i rzuciłam monetę do wody.

Poczułam mocny zapach róż i postanowiłam usiąść na jednej z czterech kamiennych ławek, ustawionych w okrąg. Fontanna składała się z marmurowego basenu i trzech figur młodych greckich bogów morza, stojących w środku. Każdy z nich przykładał do ust róg, z którego tryskała woda.

Słońce grzało mnie w plecy, zapach róż uderzał w nozdrza. Patrzyłam na marmurowe postacie i myślałam o słowach, które wczoraj przy kolacji wypowiedział Jasper: „Stephen rusza do walki o sprawę”.

Kiedy dorastaliśmy, Stephen zawsze przejmował się jakąś sprawą, ale wiedziałam, że tym razem jest inaczej. Stephen był teraz mężczyzną, a nie bezsilnym chłopcem. Dzięki pieniądзом matki i przyszłemu spadkowi po wuju Francisie osiągnął to, czego zawsze pragnął: pozycję, która pozwalała mu ściągnąć na siebie uwagę ludzi i powodować zmiany.

Skoro poświęcił się sprawie zniesienia niewolnictwa na terytoriach brytyjskich, to nie miałam wątpliwości, że dni niewolnictwa są już policzone. Jego ojciec nie wiedział, do czego się przyczynia, wysyłając syna na Jamajkę.

Nie widziałam już otaczającego mnie ogrodu. Oczyma duszy zobaczyłam o wiele

młodszeo Stepheno. Zamknęłam oczy i schyliłam głowę.

Znów miałam jedenaście lat, a okrytego niesławą Stepheno właśnie odesłano ze szkoły do domu.

Stephen poszedł do Eton dopiero kiedy skończył dwanaście lat.

To było niezwykle, ale on w ogóle nie chciał wyjeżdżać do szkoły, więc hrabia zezwolił mu pozostać w domu, ponieważ w ten sposób zapewniał mi towarzystwo. Razem z moją matką prowadzili bujne życie towarzyskie i żadne z nich nie chciało obciążać się opieką nad dzieckiem, czyli mną. Myślę, że to hrabia miał poczucie winy, że zostawia mnie sarną na długie miesiące, i właśnie dlatego zgodził się, żeby Stephen nadal mieszkał w Weston i kontynuował edukację u pastora.

Jednak' w końcu nadeszła chwila, w której hrabia zdał sobie sprawę, że nie wolno mu już przedłużać tej sytuacji i Stephen musiał wyjechać do Eton.

Pierwszym sygnałem dla hrabiego, że coś jest nie tak, było nadejście listu od dyrektora szkoły, z prośbą o przyjazd na rozmowę w sprawie Stepheno. Hrabia opuścił dom pełen gości i pojechał do Eton, a kiedy wrócił, miał wyjątkowo ponurą minę.

Sądę, że opowiedział mojej matce, co zaszło między nim a dyrektorem, ale nie chciał nic powiedzieć nikomu innemu. Dla mnie nie miało to znaczenia, ponieważ i tak wszystko wiedziałam z listów Stepheno.

W jego opisie ta droga, ekskluzywna szkoła wyglądała jak barbarzyńskie piekło. Mieszkało tam około siedmiuset chłopców z wyższych sfer, a ponieważ zwykle nikt ich nie nadzorował, silni wykorzystywali słabych z okrucieństwem, które Stephen określał jako absolutnie niecywilizowane. Twardzi rządźili, słabsi żyli w strachu i rozpaczę.

Stephen nie potrafił tego znieść. Płacz wystraszonego, poniżonego dziecka, zasypiającego ze szlochom na ustach, doprowadzał go do szaleństwa. A ponieważ Stephen był, jaki był, postanowił coś zrobić, żeby zmienić tę sytuację.

Zaczął od złożenia oficjalnej skargi do dyrektora. Ten nie lubił być ganiony przez własnych uczniów i właśnie dlatego posłał po ojca Stepheno.

Hrabia skarcił syna za bezczelność, a dyrektor polecił chłopca wychłostać.

W miarę upływu semestru, Stephen coraz zaciekłej bronił słabych i w rezultacie tego dostawał regularne cięgi od szkolnych łobuzów.

Jednak fizyczny ból nigdy nie był w stanie powstrzymać Stepheno. Napisał list do

premiera i ministra spraw wewnętrznych. Na oznaczonym rodowym herbem papierze listowym swojego ojca.

Zagroził premierowi, że napisze do gazet. Miał wtedy dwanaście lat.

Eton nie mogło się doczekać, kiedy się go pozbędzie. Hrabia zabrał syna na stałe do domu na dwa tygodnie przed świętami.

Nigdy nie zapomnę, jak wyglądała jego twarz, kiedy wszedł do sali lekcyjnej w dziecięcej części domu. Oczy miał podbite, a jego uprzednio prosty nos był bardzo spuchnięty, tak samo jak wargi. Jedno ramię trzymał wyżej niż drugie, jakby go bolało.

Na jego widok podskoczyło serce w mojej piersi z radości.

- Mam nadzieję, że nie wybili ci zębów - powiedziałam. Poklepywał właśnie Gałgana, ale podniósł na mnie wzrok.

Chociaż jego twarz pod sińcami była blada, oczy jasno błyszczały.

- Nie obchodzi mnie, co mówi tata - oznajmił wojowniczo.

- Wcale nie jest mi przykro z powodu tego, co zrobiłem. Żałuję tylko, że nikt mnie nie wysłuchał.

Siedziałam na starej, niebieskiej kanapie, która stała tutaj od piętnastu lat.

- Pewnego dnia wszyscy będą cię słuchać - stwierdziłam z głębokim przekonaniem.

Spojrzał na mnie, zacisnął usta w prostą linię. Teraz wcale nie wyglądał chłopięco.

- Wysłuchają mnie, Annabello. Kiedyś będą musieli. Nie wątpiłam w te słowa. Zawsze w niego wierzyłam.

- Brakowało mi ciebie - przyznałam. - Nie miałam z kim rozmawiać.

Z głębokim westchnieniem wypuścił powietrze z płuc i usiadł obok mnie na kanapie.

- Wiem, mnie również ciebie brakowało - odparł.

Wziął mnie za rękę. Zauważyłam, że kostki na jego dłoniach też są spuchnięte. Stephen nigdy nie poddawał się bez walki.

Delikatnie zacisnęłam palce na jego rękę i oparliśmy się wygodnie o kanapę. Nasze ramiona się stykały, kiedy opowiadał mi wszystko, co się zdarzyło w Eton.

Byłam całkowicie szczęśliwa. Stephen znów należał do mnie.

Głos jednego z ogrodników przywrócił mnie do rzeczywistości.

- Proszę wybaczyć, milady, nie chcę przeszkadzać, ale pani Nordlem prosiła, żebym ściał kilka róż na stół do jadalni.

- Oczywiście, Simon. Na mnie i tak już czas - odpowiedziałam wstając.

Zostawiłam go pochylonego nad różami i wolno poszłam do domu, powtarzając sobie, że dzisiejsza nieobecność Stephena przy kolacji sprawi mi ulgę.

Miałam niespełna tydzień. na przygotowanie festynu urodzinowego Gilesa, więc zabrałam się do pracy z determinacją generała, organizującego ważną kampanię. Razem z Nell i ciotką Fanny spędzałyśmy wszystkie poranki w moim biurze, sporządzając listy potraw i innych rzeczy, które należało zamówić. Po południu rozdzielaliśmy się i każda z nas zajmowała się zadaniami, do wykonania których się zobowiązała.

Utrzymywała się dobra pogoda i modliłam się, żeby tak zostało do końca tygodnia. Dotychczas jeszcze nigdy nie padało w dniu festynu. Oczywiście, to się kiedyś musiało zdarzyć, ale błagałam Boga, żeby to nie było w tym roku.

Oczywiście, co roku wznosiłam do nieba takie błagania. Jedzenie dla niższych sfer było zawsze wystawiane w rozstawionym na trawniku namiocie, natomiast goście z rodziny jedli w domu. Jednak w tym roku nakazałam, żeby jedzenie dla wszystkich podano w domu.

- Tylu ludzi z pewnością naniesie błota na podłogi - zaprotestowała ciotka, kiedy usłyszała, że chcę wykorzystać długą galerię, z której przeszklone drzwi wychodziły prosto na wschodni trawnik, gdzie zwykle odbywała się główna część festynu.

- Zwiniemy chodniki - odparłam. - Nie zapominaj ciociu, że tym razem będzie mniej gości niż zwykle. Wiesz przecież, jak dzierżawcy lubią być podejmowani w naszym domu.

- Mamo, służbie będzie łatwiej serwować jedzenie w domu - poparła mój pomysł Nell.

Uśmiechnęłam się do niej z wdzięcznością.

- Nikt z nas nie korzysta z galerii - przekonywałam ciotkę.

- Wreszcie na coś by się przydała.

Ciotka Fanny w końcu uległa „swoim dziewczętom”, jak zawsze, i wszystkie trzy poszłyśmy do galerii, żeby się zastanowić, jak zorganizować wydawanie jedzenia.

- Spójrzcie, jakie to będzie łatwe - powiedziałam, kiedy stanęłyśmy w środku długiej, wąskiej sali, która biegła przez całą szerokość wschodniego skrzydła domu. - Drzwi wychodzą prosto na taras i trawnik. A chodniki ... - Wskazałam na tureckie chodniki ułożone w regularnych odstępach wzdłuż galerii. - Chodniki można stąd zabrać, więc nawet jeśli podłoga się zabrudzi, łatwo się ją wyczyści.

- Stoły można ustawić pośrodku - odezwała się Nell. - W ten sposób ludzie będą mogli obsłużyć się z obu stron.

- Nie będzie tak tłoczno jak w namiocie - dodałam.

- Tak, macie rację, dziewczęta. Tutaj łatwiej będzie wydawać jedzenie - zgodziła się ciotka. - Ludzi można wpuszczać tymi drzwiami - wskazała na przeszklone drzwi na końcu zewnętrznej ściany - a wypuszczać tymi. Dzięki temu ruch będzie się odbywał spokojnie.

- Trzeba zostawić wystarczająco dużo miejsca, żeby goście mogli obejrzeć obrazy - powiedziała Nell.

Na długiej wewnętrznej ścianie galerii wisiały portrety Grandville'ów, dawne i współczesne.

- Naprawdę myślisz, że ktoś będzie zainteresowany naszymi rodzinnymi obrazami? - zapytałam z powątpiewaniem.

- Ludzie z Weston interesują się wszystkim co ma związek z Grandville'ami - stwierdziła dziewczyna. - Jestem pewna, że wielu gości zechce przyjrzeć się portretom.

- Będą zainteresowani zwłaszcza twoją podobizną - zapewniła mnie serdecznie ciotka. - Jednak nadal nie rozumiem, dlaczego nie zostawiłaś swojego portretu w salonie.

Odszukałam wzrokiem obraz, o którym mówiła ciotka Fanny. . Wykonał go Lawrence, wkrótce po moim ślubie, a Gerald zawiesił go na honorowym miejscu w dużym salonie. Kilka miesięcy temu kazałam go przenieść do galerii i teraz wisiał obok portretu Geralda, namalowanego zaraz po ukończeniu przez niego Oxfordu.

- Nigdy nie lubiłam na siebie patrzeć, kiedy grałam w karty albo piłam herbatę. Galeria z portretami innych Grandville'ów to dla niego najlepsze miejsce.

- Jednak wszyscy inni bardzo lubią na ciebie patrzeć - powiedziała Nell. I znowu usłyszałam w jej głosie dziwną gorycz.

Tym razem również ciotka Fanny musiała to zauważyć, bo zmierzyła córkę uważnym spojrzeniem.

Nell odeszła kilka kroków od nas, żeby poprawić jakiś obraz, i rzuciła przez ramię:

- Czy zawiadomiłaś Stephena o festynie, Annabello? W końcu jest opiekunem Gilesa. Jeśli nie przyjedzie, będzie to dziwnie wyglądało.

- Wysłałam wiadomość do domu wuja Francisca, ale wraz ze Stephenem wyjechał już do Londynu - odparłam.

- Ten obraz wisi całkiem prosto, a poza tym, to nieładnie odwracać się plecami do osób, z którymi prowadzi się rozmowę - skarciła Fanny córkę.

Nell odwróciła się.

- Przepraszam, mam. - Spojrzała na mnie. - Nie wysłałaś im wiadomości do Londynu?

- Nie wiem, gdzie się zatrzymali.

- Jestem pewna, że służba pana Putnama zna adres - naciskała Nell.

- Zdaje się, że zamieszkali w domu przyjaciela.

Psy spostrzegły na trawniku wiewiórkę i zaczęły szczekać, prosząc, żeby je wypuścić. Nell ze zmarszczoną brwią otworzyła dla nich przeszkłone drzwi. Kiedy oba spaniele wypadły na zewnątrz, zamknęła drzwi i powiedziała z ledwie ukrywanym zniecierpliwieniem:

- No i co, nie udało ci się wytropić domu tego przyjaciela?

- Nie mam zamiaru wysyłać służącego do Londynu w poszukiwaniu Stephena. Wie, kiedy urodził się Giles. Jeśli woli spędzić urodziny bratanek w Londynie, to jego sprawa .

W pokoju zaległa cisza. Był to tak nie zwykły stan rzeczy w obecności ciotki Fanny, że spojrzałam na nią zaskoczona.

Wbiła wzrok w dywanik na podłodze, unikając mojego spojrzenia. Zwróciłam się do Nell, która z uwagą śledziła biegające po trawniku psy.

- O co chodzi? - zapytałam ostro.

- O, mój Boże - jęknęła ciotka Fanny.

- Z pewnością ktoś poinformował Stephena, kiedy urodził się jego bratanek - powiedziałam. - Bez wątplenia zainteresowało go, że nie jest już głównym spadkobiercą Geralda.

Cisza nieznośnie się przedłużała. W końcu ciotka Fanny nie mogła dłużej wytrzymać.

- Stephen dowiedział się o narodzinach Gilesa - Na chwilę nasze oczy spotkały się, ale ciotka natychmiast odwróciła wzrok. - Jednak co do daty, to może nie mieć pewności.

Patrzyłam na odwróconą twarz mojej ciotki. Zaczął mnie ogarniać ponury nastrój.

- A dlaczego to nie ma pewności co do daty urodzin Gilesa? - zapytałam.

- O, mój Boże - powtórzyła. Załamała ręce. - To był pomysł Geralda. Zrobił to tylko dlatego, że Giles urodził się o pięć tygodni za wcześnie i Gerald nie chciał, żeby brat wyciągnął z tego pochopne wnioski.

Czułam, jak krew odpływa mi z twarzy. Wycedziłam przez zeszywniałe wargi:

- Czy wolno mi zapytać, jaką wymyśloną datę urodzin podał Stephenowi Gerald?

- O, mój Boże. Annabello, rozgniewałaś się.

Owszem, wkrótce miałam wpaść w gniew, ale to nie złość sprawiała, że cała się trzęsłam

a serce waliło mi jak oszalałe. Przełknęłam ślinę.

- Wydaje mi się, że jest powód do gniewu.

- Gerald miał na względzie tylko twoją reputację i spokój duszy Stephena. - Skośne oczy Nell błyszczały, kiedy spoglądała na mnie w popołudniowym słońcu. - Gerald wiedział, że Stephen bardzo by się zdenerwował, gdyby podejrzewał, że jego brat cię uwiódł - oznajmiła bez ogródek. - Zgodziliśmy się wypełnić prośbę Geralda, żeby nie denerwować Stephena.

- Nie poszłam z Geraldem do łóżka przed ślubem - wycedziłam przez zęby.

- O, mój Boże. O, mój Boże - zawodziła ciotka. - Nell, jak możesz tak mówić? Młodej dziewczynie nie wypada! - Zwróciła się do mnie: - Annabelle, nikt z nas nawet nie pomyślał, że zrobiłaś coś tak okropnego!

Nell zignorowała protesty matki i dalej mówiła do mnie.

- Gerald od miesięcy starał się o twoją rękę. Stephen dobrze o tym wiedział. Znał też reputację brata, jeśli chodzi o kobiety. Jak już powiedziała mama, Gerald nie chciał, żeby Stephen wyciągnął pochopne wnioski. To jedyny powód, dla którego podaliśmy Stephenowi nieprawdziwą datę urodzin Gilesa.

Starałam się oddychać wolno i głęboko. Tylko jeden fakt miał w tej chwili dla mnie znaczenie i musiałam się co do niego upewnić.

- Jaką datę urodzin Gilesa podano Stephenowi? - zapytałam dobitnie.

Ciotka Fanny znów załamała ręce.

- Gerald mu powiedział, że to się stało na początku października. Stephen sądził, że Giles urodził się na początku października. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że nie zna prawdziwej daty urodzin mojego syna.

Inteligentne oczy Nell przyglądały mi się uważnie i musiałam bardzo uważać, żeby nie zdradził mnie wyraz twarzy.

- , Cóż, teraz nie ma to już znaczenia - powiedziałam z udawanym spokojem. - Do festynu pozostało jeszcze kilka dni. Stephen bez wątpienia wróci na czas.

- Jestem tego pewna, droga Annabelle - przytaknęła ciotka Fanny. Głos jej drżał z ulgi, że nie ciągnęłam dłużej tego tematu. - Jestem tego pewna.

Jednak to. nie Stephen, ale Jack pojawił się niespodziewanie w moim biurze na dzień przed urodzinami Gilesa. Podszedł do biurka, przy którym sporządzałam menu dla kucharza, ucałował mnie w policzek i wypomniał mi, że nie zawiadomiłam go o festynie.

- Dopiero w zeszłym tygodniu zdecydowałam, że go urządzę - tłumaczyłam. - Posłałam ci wiadomość do Londynu, ale w twoim mieszkaniu nikogo nie było i nie wiedziałam, gdzie mogłabym cię znaleźć.

- Byłam w Rudely - wyjaśnił.

Stał opierając się biodrem o biurko. Spojrzałam na niego, unosząc ze zdziwienia brwi. Rudely było niewielkim majątkiem w Hampshire, który dziadek Geralda kupił wiele lat temu dla ojca Jacka, czyli swojego młodszego syna. Kiedyś stanowił on ładną posiadłość, tak przynajmniej mówił mi Gerald, ale po śmierci matki Jacka, jego ojciec bardzo go zapuścił. Właśnie dlatego Jack wychowywał się z kuzynami w Weston, a nie w swoim własnym domu.

- Usiądź, Jack. Nie wiedziałam, że się tam wybierałeś. Wzruszył ramionami i leniwie rozparł się w wygodnym starym fotelu, stojącym naprzeciwko biurka.

- Nie byłem tam od czasu, kiedy ojcu w zeszłym roku udało się zapaść na śmierć. Pomyślałem sobie, że najwyższy czas przyjrzeć się tej ruinie i dowiedzieć się, co trzeba zrobić, żeby ją uratować. - Nie miałam pojęcia, że twój ojciec zapał się na śmierć! - zawołałam wstrząśnięta.

Uśmiechnął się do mnie ponuro.

- To jeden z tych małych sekretów, które Grandville'owie wolą ukrywać przed resztą świata.

- Ja nie jestem resztą świata - zaprotestowałam oburzona. - Też należę do Grandville'ów!

Znowu wzruszył ramionami.

- Pewnie nikt nie chciał kłaść twoich delikatnych uszu tak ponurą opowieścią.

Wydałam z siebie pełen irytacji okrzyk; spojrzał na mnie posepnie . i nic nie odrzekł. Skruszona zrozumiałam, że moje zachowanie było nietaktowne.

- Czy dom rzeczywiście jest w takim złym stanie? - zapytałam pośpiesznie.

- Tak - odparł stanowczo.

Jego wargi ułożyły się w jeszcze twardszą linię niż zwykle.

Odwróciłam się od niego, wzięłam pióro i zaczęłam machinalnie rysować coś na brzegu kartki z menu.

- Gerald mówił mi, że Rudely było ładną posiadłością, kiedy twój dziadek je kupił - odezwałam się. - Może uda ci się przywrócić je do dawnego stanu.

- Można dokonać napraw, ale na to potrzeba pieniędzy - powiedział Jack głosem równie

twardym, jak wyraz jego ust. - Nawet jeśli wyremontuję dom tak, że będzie można w nim zamieszkać, nie zdobędę środków na jego utrzymanie.

Dodałam kilka zakrętasów do narysowanego wzoru.

- Czy do majątku należą jakieś farmy? - zapytałam. Wiedziałam, że pieniądze na utrzymanie Weston pochodziły głównie z opłat za oddane w dzierżawę farmy.

- Kiedyś należały - odparł ponuro. - Sprzedałem je w zeszłym roku, żeby spłacić długi, jakie ojciec zaciągnął pod hipotekę domu. - Ojej - jęknęłam.

- Właśnie. - Usłyszałam, że poruszył się w fotelu. - Dom, ogrody i okoliczna ziemia nie są już obciążone, ale bez opłat dzierżawnych nie będzie można ich utrzymać.

Położyłam pióro na podstawce i spojrzałam na Jacka. Jeszcze nigdy nie omawiał ze mną swojej sytuacji finansowej, więc czułam się zobowiązana spróbować coś mu doradzić.

- Może mógłbyś sprzedać Rudely i kupić coś mniejszego - zasugerowałam.

Z wyrazu jego twarzy natychmiast wyczytałam, że moja rada nie była pomocna.

- Rudely jest małe - odparł. - Mniejszy dom nie mógłby już uchodzić za rezydencję dżentelmena.

Zagryzając wargę rozważałam, czy nie zapewnić Jacka, że w Weston zawsze znajdzie gościnny dom, ale wiedziałam, że to nie pomoże. W świecie, w którym żyjemy, dżentelmen musi mieć własny dom. To oznaka tego, że jest godny szacunku. Jack musiał być „panem Johnem Grandville z Rudely”, a nie Jackiem Grandville, ubogim krewnym, rezydującym w Weston.

Byłam pewna, że reszta rodziny również to rozumiała.

- Nie rób takiej zmartwionej miny, Annabello - odezwał się. - Nie chciałem cię obarczać swoimi kłopotami.

- Czy Gerald wiedział, że musiałeś sprzedać farmy, żeby spłacić dług? - zapytałam.

Przytaknął ruchem jasnej głowy, tak podobnej do głowy Geralda. Gerald wiedział i nic nie zrobił.

- A wuj Adam? - dociekałam. - Wie o tym?

- Omawiałem z nim swoją sytuację. To on mi poradził, żebym sprzedał farmy, spłacił długi i ocalił dom.

- Na litość boską, Jack! - zawołałam zirytowana. - Czy żaden z nich nie zaoferował ci pomocy?

Spojrzał na mnie, jakby się zastanawiał, co mi powiedzieć.

- Udzielili mi rady - oznajmił w końcu.

- Jakiej rady? - zaciekałam się.

- Powiedzieli mi, żebym się ożenił z majątną panną.

Drugi raz w ciągu tej rozmowy jego słowa mną wstrząsnęły.

- Co takiego?

Roześmiał się - naprawdę!

- Szkoda, że nie możesz zobaczyć swojej miny, Annabelle. To święte oburzenie!

- Zrobisz to? - zapytałam śmiało.

- Sam nie wiem. - Mięsień na podbródku zadrżał mu delikatnie, jakby Jack zacisnął zęby.

- Jedyna dziewczyna, którą - kiedykolwiek kochałem, poślubiła kogoś innego. Jeśli muszę się żenić bez miłości, to równie dobrze mogę sobie wybrać pannę z pieniędzmi.

Spuściłam wzrok na ozdobione zawijasami menu i powiedziałam, z trudem dobierając słowa:

- Jestem chyba romantyczką, ale wierzę, że ślub należy zawierać z miłości.

- Droga Annabelle - odparł Jack wolno i z namysłem. - Kto jak kto, ale ty powinnaś rozumieć, że czasem trzeba to zrobić z rozsądku.

Zastygłam w bezruchu jak zahipnotyzowana patrząc na swoje nie dokończone menu.

Cisza zdawała się trwać bardzo długo, aż wreszcie odezwał się Jack:

- W stajni powiedziano mi, że Stephen wrócił do domu.

- Tak. - Chrząknęłam, żeby odzyskać głos. - Jednak w tej chwili go nie ma. Pojechał z wizytą do Francisa Putnama.

- Jak wygląda?

- Jest bardzo ogorzały - odparłam i uniosłam wzrok.

- Mmmm?

Niebieskie oczy, wpatrujące się we mnie, wiedziały zbyt wiele.

- Kupiłam już wszystkie zaplanowane na ten rok konie - powiedziałam.

Litościwie przystał na zmianę tematu.

- Czy już je wypróbowałaś w terenie?

- Trochę na nich jeździłam po lesie. Fizycznie są bardzo sprawne, ale nic nie potrafią.

- Na początku zwykle tak jest - przypomniał mi. Odchyliłam się na krześle.

- Za chwilę nadejdzie sezon polowań na młode lisy. Z hodowli Egremont kupiłam dużego

gniadosza. Myślę, że ci się spodoba.

- Czy to zaproszenie?

- Raczej prośba. Wiesz, jak bardzo cenię sobie twoją pomoc przy polowaniach na młode lisy.

Sezon polowań na młode lisy zaczyna się późnym latem i trwa do wczesnej jesieni. Wtedy to pierwszy raz zabiera się na polowanie młode psy, żeby się uczyły od swoich starszych pobratymców. W polowaniach tych nie uczestniczył cały klub, jedynie właściciel sfory i kilku pomocników. Stwierdziłam, że jest to doskonała okazja do zapoznania nowych wierzchowców z lasem i pracą ze sforą. Jack był jedną z nielicznych osób, do których miałam tyle zaufania, żeby im powierzyć nie wyszkolonego konia do przyuczenia. Folbluty, które przez całe życie musiały jedynie biegać tak szybko, jak tylko umiały, mogły być bardzo nerwowe, a Jack doskonale dawał sobie radę z takimi końmi.

- Rozumiem w takim razie, że jestem członkiem klubu Sussex, tak? - zapytał kwaśno.

- Ależ oczywiście.

- Stephen zgodził się opłacić moją składkę?

- Ja to zrobiłam.

Wyprostował się w fotelu.

- Do licha, Annabelle! Nie wyraziłem na to zgody!

- Ale ja naprawdę potrzebuję twojej pomocy - oznajmiłam stanowczo. - Twoją składkę zaliczam do wydatków na prowadzenie stadniny.

Patrzyłam na niego spokojnie, więc po chwili opuściło go napięcie. Uniósł gęste, jasne brwi.

- No, skoro wliczasz mnie w koszty prowadzenia interesu ... - oznajmił przeciągle.

Wzięłam pióro z podstawki.

- Powiedz pani Hodges, żeby ci przygotowała twój pokój - poleciłam. - Nie mogę już dłużej z tobą gawędzić. Muszę przygotować menu dla kucharza.

- Tak jest, proszę pani - odparł żartobliwie i wstał. - Adam i Fanny też chwilowo mieszkają u ciebie?

- Owszem. Również Jasper i Nell.

W kącikach jego powiek pojawiły się drobne zmarszczki.

- Jak cudownie!

- Obiad o zwykłej porze - oświadczyłam i przeniosłam wzrok na menu.

- Czy Giles jest w pokoju dzieciennym?

- Dlaczego pytasz? - Spojrzałam na niego zaskoczona.

- Przywiozłem mu prezent urodzinowy - wyjaśnił Jack. - Właśnie dlatego przyjechałem.

Nie wiedziałem, że się zdecydowałaś wyprawić festyn i myślałem, że biedaczek będzie niepocieszony.

Poczułam falę ciepła wokół serca. Zawsze mnie radowało, kiedy ktoś myślał o Gilesie.

- Jak to miło z twojej strony.

Miał spuszczone powieki, więc nie widziałam wyrazu jego oczu. - Jest w pokoju dzieciennym? - powtórzył pytanie.

- W tej chwili chyba nie - odparłam. - Razem z panną Stedham poszedł nad jezioro na ryby. Nie widziałam psów, więc pewnie jeszcze nie wrócili.

- Właśnie się zastanawiałem, gdzie się podziały te wszędobylskie psiska - wyznał.

- Może pójdziesz nad jezioro? - zaproponowałam.

- Chyba pójdę. - Jego odpowiedź mnie zaskoczyła.

Patrzyłam na jego szerokie plecy, dopóki drzwi się za nim nie zamknęły, a potem z westchnieniem wróciłam do układania menu.

Był wieczór tuż przed urodzinami Gilesa, a Stephen nadal się nie pojawił. O jedenastej zgromadzona w salonie rodzina rozeszła się, więc i ja udałam się do swojej sypialni. Jednak nie rozebrałam się, tylko oznajmiłam Mariannie, że idę na spacer z psami. Często tak robiłam przed snem, więc nikomu nie wydało się niezwykle, że wychodzę z domu bocznymi drzwiami, znajdującymi się między biurem a salonem.

Księżyc był w pełni i wszystko widziałam wyraźnie, kiedy szłam ścieżką przecinającą południową część ogrodu, a psy wiernie nie odstępowały moich nóg. Słyszałam plusk wody w fontannie w różanym ogrodzie. Skręciłam na ścieżkę wiodącą w kierunku wzgórz.

Nic nie mąciło spokoju letniej nocy. Zapach sierpniowych róż wisiał ciężko w powietrzu. Pod stopami słyszałam chrzęst żwiru. Gdzieś w ogrodzie odezwał się słowik. Psy wyprzedziły mnie i zniknęły w ciemnościach.

Kiedy w końcu dotarłam do lasu, wciąż nie było ich widać. Żwirowa ścieżka skręcała tutaj pod kątem prostym i biegła prosto na wschód, tworząc granicę między ukształtowanym przez człowieka parkiem a naturalnie zalesioną okolicą. Wąska dróżka zniknęła w lesie - po

kilkunastu kilometrach dotarłabym nią do małej, odosobnionej zatoczki u brzegu kanału La Manche.

Ponad pięć lat temu, zimną styczniową nocą, na tej ścieżce zaskoczył Stephena patrol oficerów straży celnej. Prowadził trzy konie, objuczone ładunkiem brandy, przemyconej z Francji. Ktoś zawiadomił władze, że tej nocy przybędzie do zatoki nowy transport, więc strażnicy już czekali. Pozostali przemytnicy, doświadczeni zawodowcy, uciekli. Osiemnastoletni wówczas Stephen sam musiał ponieść konsekwencje.

Szmuغيل był tradycyjnym, i szeroko rozpowszechnionym zajęciem w Sussex, ale władze umocniły swoją obecność u wybrzeży kanału na wypadek, gdyby Napoleon spróbował inwazji na Wielką Brytanię. Byliśmy w stanie wojny, więc siły rządowe zawzięcie tępiły przemytników, o których wiadano, że szmuglują złoto do Francji, żeby Napoleon miał czym opłacać swoich najemników. Gdyby Stephen nie był synem hrabiego, mógłby zawisnąć na szubienicy.

Miałam na sobie wieczorową suknię i pantofelki, więc nie chciałam wchodzić do lasu. Skrzyżowałam ramiona dla ochrony przed nagłą chłodną bryzą i czekałam na psy na skraju ścieżki. Jasny księżyc w pełni wisiał na rozgwieżdżonym letnim niebie, a liście na drzewach szeleściły cicho, jakby chciały wyrazić niepokój, który mnie ogarniał, gdy położyłam dłoń pod lewą piersią, wyczułam bicie swojego serca.

Raz i drugi wolno, głęboko wciągnęłam w płuca wilgotne powietrze nocy. Wydawało mi się, że czuję zapach morskiej soli z kanału. Przypomniałam sobie słony smak soli na mojej skórze i to, jak szczypała mnie w drobne rany i zadrapania, które we wczesnej młodości stale mi się przytrafiały. Zamknęłam oczy; moje zmysły wypełniał zapach i smak soli.

Znów miałam piętnaście lat. Poszliśmy ze Stephenem do zatoki, żeby psy mogły popływać w morzu.

Merlin i Portia miały dwa miesiące, kiedy pan Matthew podarował je hrabiemu jako prezent dla mnie. Już w wieku dziesięciu lat pomagałam panu Matthew przy sforze, a kiedy skończyłam dwanaście, jeździłam z klubem na polowania. Pan Matthew zobaczył dwa atramentowoczarne szczeniaki w domu przyjaciela i od razu przyszło mu do głowy, że sprawi mi nimi wielką radość.

Ponieważ stary pies Stephena zakończył życie rok przedtem, dałam mu Portię, a Merlina zatrzymałam sobie. Teraz spaniele były już dorosłe, miały rok i dwa miesiące. W czasie upałów często zabieraliśmy je nad zatokę, żeby popływały w zimnym morzu. Wolały to od kąpieli w

letnich wodach jeziora.

Był gorący sierpniowy dzień, więc zdjęłam buty i uniosłam cienką spódnicę sukni. Stałam obok Stephena po kolana w wodzie i patrzyłam, jak rzuca kij podekscytowanym psom.

Słońce odbijało się od połyskliwej powierzchni wody, a w oddali sunął wolno jakiś jacht.

- Nie znoszę, kiedy wyjeżdżasz - powiedziałam.

Poprzedniego dnia wrócił z całomiesięcznej wizyty u wuja Francisca w Kencie.

- Wiem - odparł z roztargnieniem. Mrużąc oczy przed słońcem patrzył na czarne głowy pływających spanieli. Wiatr od wody zwiewał mu włosy z czoła, twarz miał zatroskaną.

Nachyliłam się, żeby zanurzyć dłonie w wodzie, i zamoczyłam skraj podwiniętej spódnicy.

- Co wuj sądzi o Oksfordzie? - zapytałam. Stephen nie spojrzał na mnie.

- Według niego powinienem jechać. Twierdzi, że jeśli chcę zostać aktywnym reformatorem, muszę szkolić umysł.

Dwie mewy unosiły się na wodzie jakieś dziesięć metrów od brzegu, obserwując psy.

- Ty już masz wyszkolony umysł - odparłam ostro. - Pastor mówi, że nie zna bystrzejszego człowieka niż ty.

Uśmiechnął się kwaśno.

- Pastor nie jest obiektywny.

Odwróciłam się, z pluskiem wybiegłam z wody, jeszcze bardziej mocząc przy tym sukienkę, i ze spuszczoną głową, wpatrzona we własne nagie stopy, ruszyłam wzdłuż brzegu na zachód.

- Annabelle! - Usłyszałam okrzyk Stephena. - Zaczekaj!

Nie chciałam, żeby zauważył, że płaczę, więc kiedy usłyszałam, że idzie za mną, zerwałam się do biegu. W wieku piętnastu lat miałam już długie nogi i ciało przyzwyczajone do ośmiogodzinnego przebywania w siodle. Dogonienie mnie zajęło Stephenowi dłuższą chwilę.

- Annabelle ... - wydyszał, kiedy udało mu się mnie zatrzymać.

Nie patrzyłam na niego, tylko wbiłam wzrok w jego rękę, spoczywającą na moim nagim ramieniu. Drugą dłonią dotknął słonej wilgoci na moich policzkach - nie była to woda morską.

- O, Boże - powiedział tonem, jakiego u niego jeszcze nigdy nie słyszałam.

- Co my zrobimy?

Na te słowa uniosłam ku niemu wilgotną od łez twarz, a on nachylił się i pocałował mnie.

Staliśmy tak przez długą chwilę, ponieważ śmiałość naszego uczynku sparaliżowała nas. Potem Stephen podniósł głowę i spojrzał mi badawczo w oczy.

- Stephen - wyszeptałam. Położyłam mu ręce na ramionach. Jego usta poruszyły się, bezgłośnie wypowiadając moje imię.

Znów pochylił się nade mną. Zamknęłam oczy. Przywarłam do niego i poczułam jego krzepkie, młode ciało tuż obok siebie. Obejmowaliśmy się ramionami, a nasze usta zwały się z żarliwym zapalem.

Nie wiem, do czego by między nami doszło, gdyby nie nadbiegły psy. Zaczęły biegać wokół naszych stóp, gwałtownie przerywając naszą pierwszą oszałamiającą podróż do krainy dorosłych namiętności.

Roześmialiśmy się niepewnie i odstępiliśmy od siebie. Merlin ocierał się o moje nogi, jego mokra sierść laskotała mnie w nagie łydki.

Stephen przeczesał palcami wilgotne, słone włosy na czole.

Śmiech nagle zniknął z jego twarzy.

- Dlaczego jesteśmy tacy młodzi? - zapytał z desperacją. Mewa zatoczyła nad nami krąg, a psy szczekały na nią i wyskakiwały w górę. Patrzyłam na Stephena, nie znajdując odpowiedzi.

Teraz psy wybiegły z lasu, przerywając moje rozmyślenia, jak wiele lat temu przerwały ten pierwszy pocałunek.

Jeszcze raz pomyślałam o zaskakującym fakcie, o którym się dzisiaj dowiedziałam.

- On nie wiedział - oznajmiłam psom. - Nic nie wiedział.

- Merlin, zawsze wyjątkowo wrażliwy na moje nastroje, podniósł na mnie wzrok i zaskomlał pytająco.

- Idziemy - poleciłam. - Pora spać.

- Wróciliśmy do domu, wdychając wonne powietrze letniej nocy.

W dzień urodzin Gilesa obudziłam się wcześniej i stwierdziłam, że w nocy chmury nad kanału La Manche zasnuły niebo.

- W południe się przejaśni - zapewnił mnie Hodges, spotkany na schodach. Uważał się za eksperta od spraw pogody i modliłam się, żeby dzisiaj jego prognoza okazała się trafna. Oczywiście, zrobiłam plan awaryjny na wypadek deszczu, ale przeniesienie festynu do domu zepsułoby dużą część zabawy.

Poszłam na górę, do dawnego pokoju Stephena, który teraz zajmował Giles. Mój syn już się obudził, ale nadal był w łóżku. Kiedy tylko mnie zobaczył, zerwał się i zaczął podskakiwać w pościeli, wyśpiewując:

- Dziś są moje urodziny! Dziś są moje urodziny!

Roześmiałam się.

- Masz już pięć lat. Mój Boże, chyba widzę, jak starzejesz się w oczach.

- Nie, mam! - zawołał. - Wcale nie. - Zeskoczył z łóżka, jednym susem znalazł się przy mnie i objął mnie w talii.

Przyglądałam zmierzwiłone jasne włosy.

- Ubierz się, skarbie, a potem razem zejdziemy na dół, na śniadanie.

Zadarł głowę.

- A co z moim prezentem?

- Z prezentem? - Uniosłam brwi. - Z jakim prezentem?

- Mam!

- Jeśli się ubierzesz i zejdiesz ze mną na śniadanie, być może znajdziemy dla ciebie jakiś prezent. - Podeszłam do krzesła, na którym poprzedniego wieczora pokojówka ułożyła jego ubranie.

- Pomogę ci.

Ustaliłam z resztą rodziny i panną Stedham, że wszyscy zbiorą się w jadalni i zaczekają na nasze przyjście. Kiedy się zjawiliśmy, jednocześnie zawołali „Wszystkiego najlepszego!”. Giles rozpromienił się uradowany. Nell i ciotka Fanny ucałowały go, a mężczyźni uścisnęli mu rękę, czym był bardzo uszczęśliwiony. Przygotowałam dla niego miejsce obok siebie, natomiast na jego krzesło piętrzyły się prezenty urodzinowe.

Giles nie posiadał się z radości na widok darów. Dostał nowe wędki ode mnie, uprząż od wuja Adama i ciotki Fanny, drewniany gwizdek od Nell, kij do gry w krykieta od Jaspera, kilka niezwykłych kamieni do swojej kolekcji od panny Eugeniei oraz rzeźbioną statuetkę konia pełnej krwi od Jacka.

Jego radość udzieliła się innym i wszyscy krążyliśmy wokół stołu, śmiejąc się i rozmawiając. O dziesiątej trzydzieści do jadalni wszedł Hodges i przyniósł wiadomość, która skutecznie zburzyła nasz świąteczny nastrój.

- Milady - oznajmił przeciągle. - Przybyli książę i księżna Saye. Cisza, ciężka jak mokra końska derka, zaległa w jadalni, do której wkroczyła moja matka, a tuż za nią podążał jej mąż. Tworzyli imponującą parę. Książę był dziesięć lat starszy od mamy, ale zachował dobrą figurę i chociaż włosy mu posiwiały, brwi pozostały zaskakująco czarne. Nigdy nie spotkałam bardziej wyniosłego, aroganckiego człowieka. Doskonale do siebie z mamą pasowali.

. - Nie możesz urządzić tego festynu~ Annabello - stwierdziła moja matka. - Od śmierci Geralda nie minęło nawet pół roku.

Giles spojrzał na mnie z niepokojem.

- Jako że zabawa ma się zacząć za niespełna dwie godziny, festyn z pewnością się odbędzie - odparłam.

- Co ty sobie myślałaś? - oburzała się. - Ta wiadomość dotarła do nas, kiedy byliśmy z wizytą u Ashetonów. Wszyscy są bardzo zgorzeleni!

- Na litość boską, Regino - odezwał się dobrotliwie Adam.

- Jak, u licha, wiadomość o skromnej uroczystości w Weston dotarła tak daleko, i to tak szybko? Annabella postanowiła zorganizować festyn zaledwie tydzień temu.

- Zdaje się, że jakiś farmer z Weston ożenił się z córką dzierżawcy Ashetonów - pogardliwie wyjaśniła matka.

Te słowa odświeżyły mi pamięć.

- To prawda - potwierdziłam. - Siostra Boba Fentona, Alice, wyszła za mąż za dzierżawcę jednej z farm Ashetonów.

- Doprawdy, Annabello - zgaśniła mnie matka. - Śluby dzierżawców mnie nie interesują. Za to bardzo obchodzi mnie twoja reputacja. Nie powinnaś urządzać tego festynu!

Uśmiechnęłam się do niej twardo.

- Cóż, już go urządziłam .

Jeszcze raz zapadła cisza. Usłyszałam, jak Jack mamrocze pod nosem:

- Brawo, Annabello.

Giles wsunął swoją małą rączkę w moją dłoń i uściśnął ją.

- To oburzające - wtrącił się książę.

- Zostaniecie na dłużej? - zapytałam książęcą parę. - Zjecie z nami śniadanie? A może nie chcecie ani chwili dłużej przebywać w domu naznaczonym piętnem skandalu?

- Wcale nie jesteś dowcipna - powiadomiła mnie matka. - Oczywiście, że zostaniemy. Nasza obecność w pewnym stopniu złagodzi oburzającą niestosowność dzisiejszego festynu.

- Jestem tego pewien, Regino - poważnym tonem przytaknął Adam.

- Powiedziałam Hodgesowi, żeby zaniósł nasze bagaże do czerwonego apartamentu - ciągnęła. - Jesteśmy w podróży od siódmej rano i herbaty napijemy się w naszym pokoju.

Czerwony apartament to najbardziej luksusowe pokoje gościnne w całym Weston, w których kiedyś raczył nawet gościć pewien członek rodziny królewskiej. Mama zagarnęła je po moim ślubie z Geraldem, przez który musiała opuścić część domu przeznaczoną dla gospodarzy.

- Festyn zaczyna się w południe - poinformowałam nowo przybyłych.

Książę zrobił zdeglustowaną minę.

Dopóki drzwi nie zamknęły się za nieoczekiwanymi gośćmi, w jadalni panowała cisza.

Nell odezwała się pierwsza.

- Książę to chyba najmniej sympatyczny człowiek, jakiego zdarzyło mi się w życiu spotkać.

- Kiedyś słyszałem, jak tata nazwał go „starym prykiem” - oznajmił Giles.

Wszyscy wybuchnęliśmy nieopanowanym śmiechem.

Giles wesoło klaskał w dłonie, zadowolony, że jego słowa wywołały taką wspaniałą reakcję.

- Ojej - westchnęła ciotka Fanny, ocierając łzy. - Nie powinniśmy go zachęcać, żeby mówił takie rzeczy.

- Nie ja to powiedziałem, ciociu, tylko tata - tłumaczył się mój syn.

- Słońce właśnie wyszło. Dzięki Bogu. - Zmieniła temat Nell. Wstałam i podeszłam do okna.

- Niebo na południu jest błękitne - zakomunikowałam. Giles stanął obok mnie.

- Babcia przywiozła ze sobą słońce - powiedział.

To chyba najśłodsze dziecko na ziemi. Otoczyłam go ramieniem i przytuliłam do swojego boku.

- Co my z nimi pocznjemy? - zapytałam ciotkę z rozpaczą w głosie. - Żaden z pozostałych gości nie jest wystarczająco dobrze urodzony, żeby ich sobą zainteresować.

- Mogą rozmawiać z panem' Matthew - oznajmił złośliwie Jack. Posłałam mu zagniewane spojrzenie. Mama i pan Matthew nie znosili się nawzajem i Jack o tym wiedział.

. - Nie widzę powodu, dla którego ty czy moja mama miałybyście się martwić zabawianiem ich książęcych mości L zwrócił się do mnie Jasper. - W końcu twoja matka dobrze zna Weston.

- Ich książęce mości. To do nich pasuje - stwierdził Jack. Uśmiechnęli się do siebie porozumiewawczo.

- Jasper ma rację - stanowczo poparł syna Adam. - I tak jesteście wystarczająco zajęte. Regina może sama zająć się sobą i swoim mężem.

- Nie obawiaj się, Annabello. Nikogo nie urazi - uspokoiła mnie Nell. - Dzierżawcy ją znają aż nazbyt dobrze i nikt nie traktuje jej poważnie.

Westchnęłam.

- Święta prawda.

Nell odłożyła serwetę; wstała.

- Lepiej sprawdzę, czy przygotowano wszystko do zabaw dla dzieci.

- A ja zobaczę, czy przygotowania w kuchni idą jak należy.

Ponieważ festyn był świętem zarówno dla służby, jak i dzierżawców, wynajęłam dodatkowych ludzi do pomocy, żeby nasi pracownicy mogli sobie zrobić wolne.

- Będę szczęśliwa, jeśli moja pomoc na coś się pani przyda, lady Weston - powiedziała panna Stedham w swój zwykły miły, kulturalny sposób.

- Jestem pewna, że Nell potrzebuje kogoś do pomocy przy organizowaniu gier dla dzieci.

- Spojrzałam pytająco na kuzynkę. - Ależ oczywiście. Chodźmy, panno Eugenio - odparła Nell.

- Ja też! Ja też! - Giles podbiegł do Nell i cała, trójka razem wyszła z jadalni.

- Upewnię się, czy namioty są dobrze ustawione - odezwał się Adam.

- A ja pójdę nadzorować prace w galerii - zaproponowała Fanny.

- Sprawdzę, czy spuszczone na jezioro dodatkowe łódki - zgłosił się Jasper.

- Mój Boże - westchnął Jack, patrząc na pustoszejącą jadalnię.

- Gdyby na czele armii zamiast Wellingtona postawiono Annabelle, pokonalibyśmy Napoleona już kilka lat temu.

- Annabelle, nie zapomnij wydać rozkazów również Jackowi - odciął się Jasper na odchodnym.

- Możesz pójść do stajni i sprawdzić, czy przygotowano powóz, Jack. - Co roku wyprowadzaliśmy wielki czarny powóz, ze złotym herbem na drzwiach, i urządzaliśmy przejażdżki po posiadłości. Ta rozrywka cieszyła się wielkim wzięciem.

Jack zasalutował żartobliwie i wyszedł. Przez chwilę stałam w pustej jadalni, patrząc na stos prezentów obok krzesła Gilesa.

Ogarnęło mnie uczucie samotności i ukryłam twarz w dłoniach.

Boże, myślałam z rozpaczą, czy to nigdy się nie skończy?

W progu stanął Hodges.

- Czy już skończyła pani śniadanie, milady? Opuściłam ręce i uniosłam głowę.

- Tak, możesz sprzątać talerze.

Zeszłam na dół, do kuchni, żeby sprawdzić, jak postępują prace.

O trzeciej festyn rozkręcił się na dobre. Hodges rzeczywiście okazał się doskonałym znawcą pogody. Popołudniowe słońce oświetlało jaskrawym światłem dwa wielkie namioty w niebieskie pasy, które rozbito na północnym trawniku, na wypadek przelotnego deszczu. Jelenie przyglądały się z bezpiecznej odległości zaciętej grze w krykieta, a w ogrodzie po zachodniej stronie domu dzierżawcy i ich żony próbowali swoich sił w łucznictwie.

Ku mojemu zaskoczeniu, wiszące w galerii portrety Grandville'ów wzbudziły tak duże zainteresowanie, jak przewidywała Nell. Budząc wielką uciechę w rodzinie, mama robiła bardzo kwaśną minę, ponieważ nikt nie podziwiał jej portretu. W końcu zmusiła biedną ciotkę Fanny, żeby eskortowała grupki gości do jadalni, gdzie mogli obejrzyć bliźniacze portrety mamy i hrabiego.

Pięć łódek spuszczonej na jezioro było zajętych przez całe popołudnie, tak samo jak powóz. Grimes musiał nawet w połowie festynu zmienić konie. Przejazdźki konne również znalazły wielu chętnych. Zachwycone dzieci jeździły po frontowym podejździe na dwóch kucach Gilesa i starym, spokojnym koniu myśliwskim.

O piątej, kiedy muzycy zajęli swoje miejsca na tarasie przed galerią, a na trawniku zgromadzili się słuchacze, poszłam do domu w poszukiwaniu chwili spokoju w saloniku.

W holu natknęłam się na Nell, która najwyraźniej miała te same zamiary. Spojrzałyśmy na siebie i roześmiałyśmy się.

- Byłaś wspaniała, Nell - powiedziałam z żarliwą wdzięcznością.

- Wszystkie dzieci wygrały jakieś nagrody i uśmiechały się od ucha do ucha. Pewnie jesteś zupełnie wyczerpana.

- Trochę mnie to zmęczyło - przyznała. - Chciałam chwilę odpocząć w saloniku.

- Czy jadłaś ... - zaczęłam, ale ktoś zakołatał do frontowych drzwi. Ponieważ w pobliżu nie było nikogo ze służby, sama poszłam otworzyć.

Na progu stał mój syn.

- Mamo! - zawołał. - Zgadnij, kogo spotkałem na podjeździe. Moje palce zacisnęły się kurczowo na gałce drzwi. Znałam odpowiedź, ale mimo to zapytałam?

- Kogo?

- Wuja Stephena! - triumfalnie oznajmił Giles.

Serce podskoczyło mi do gardła i zaczęło bić jak oszalałe.

Usłyszałam za sobą uradowany głos Nell.

- Stephen przyjechał? To cudownie.

Kostki zaciśniętych na gałce palców zbieleły mi z wysiłku.

Spojrzałam w błyszczące, bystre oczy Gilesa, żałośnie starając się udawać wesołość.

- Co za miła niespodzianka.

Nell podeszła do drzwi, stanęła obok mnie i rozejrzała się po pustym podjeździe.

- Nigdzie go nie widzę.

- Zaprowadził dwukółkę do wozowni. - Giles z przejęcia podskoczył w miejscu.

Wyciągnął przed siebie ramię. - Zobaczcie, już idzie! - Cała nasza trójka posłusznie spojrzała tam, gdzie wskazywał palec Gilesa i zobaczyła samotną postać, nadchodzącą ścieżką ze stajni. - Wuj Stephen! - krzyknął mój syn tak głośno, że chyba było go słychać w całej dolinie. - Tutaj jesteśmy!

Stephen, zmierzający do bocznych drzwi, zmienił kierunek i ruszył do nas.

- Na podjeździe widziałem dzieci jeżdżące na kucach - powiedział, wchodząc do domu. Był bez kapelusza i nasadę nosa miał zaczerwienioną od słońca. - Zupełnie zapomniałem o sierpniowym festynie.

- Annabella posłała gońca do pana Putnama, żeby cię zawiadomić, ale ty już wyjechałeś

do Londynu - poważnie wyjaśniła Nell.

Zamknęłam drzwi i z wysiłkiem oderwałam dłoń od gałki.

- To już nie zwykły festyn, wuju. Teraz to jest również moje przyjęcie urodzinowe - oznajmił Giles.

Między brwiami Stephena pojawiła się delikatna zmarszczka.

Skupił uwagę na moim synu. - Twoje urodziny?

- Nie wiedziałeś? - zdziwił się Giles.

- Giles skończył dzisiaj pięć lat - oznajmiłam cicho.

Zmarszczka na czole Stepheera pogłębiła się. Spojrzał na mnie.

- Sądziłem, że Giles urodził się w październiku - powiedział ostro.

- Wiem, niedawno mi powiedziano.

- Dlaczego sądziłeś, że urodziłem się w październiku? - zaciekawił się Giles.

- Wyjaśni to twoja kuzynka Nell - odrzekłam.

Dziewczyna spojrzała na mnie z niedowierzaniem. Pozostałam nieugięta. - Bardzo proszę - nalegałam. Położyłam ręce na ramionach syna.

- Właśnie - wycedził Stephen. W jego głosie pojawiło się napięcie. - Wyjaśnij mi to, Nell.

Bawiła się jednym z jasnych loków, spadających jej na policzki.

- To był pomysł Geralda - odezwała się w końcu z wyraźną niechęcią. - Wolał, żebyś myślał, że to się stało w październiku, a nie w sierpniu, ponieważ ... - Nerwowo okręcała lok wokół palca i z troską spoglądała na Gilesa.

- Mów dalej - ponagliłam ją. Zagryzła wargę.

- Po prostu Gerald nie chciał, żebyś doszedł do fałszywych wniosków.

Cisza. Pod palcami wyczułam, że Giles poruszył się, ale nic nie powiedział.

- A jakież to miałyby być wnioski - zapytał Stephen groźnym tonem.

Nell jeszcze raz zerknęła na mojego syna.

- Wiesz, jaką twój brat cieszył się reputacją. Nie chciał, żebyś sobie pomyślał, że ... że nie ... uszanował Annabelli.

- Stephen w napięciu zmarszczył brwi.

Z jego twarzy zniknęła słodka, chłopięca łagodność. Zaskoczona spostrzegłam, że wygląda jak człowiek przyzwyczajony do wydawania rozkazów.

- Gerald nie chciał cię martwić, zwłaszcza że byłeś tak daleko od domu - ciągnęła Nell.

Podeszła do Stephena i w przeproszającym geście na sekundę położyła mu dłoń na ramieniu. - Tyl/m o to chodziło, zapewniam cię.

Ostrzegawczo zacisnęłam dłonie na ramionach Gilesa, dając mu sygnał, że ma się nie odzywać. Obserwowałam Stephena. Dokładnie widziałam moment, w którym wszystko zrozumiał. Gwałtownie uniósł głowę, jakby ktoś wymierzył mu cios w szczękę, i poszukał oczami mojego wzroku. Przez krótką chwilę nabrzmiałej, wibrującej ciszy spoglądałam w pełne zaskoczenia niebieskie oczy ojca mojego dziecka.

- Dowiedziałam się o tym dopiero kilka dni temu - oznajmiłam.

- Dotychczas sądziłam, że znasz prawdziwą datę.

Wyraźnie pobladł pod opalenizną, a na skroni, pod niemodnie, gładko zaczesanymi włosami, zaczęła mu pulsować żyłka.

Ciszę przerwał Giles.

- Nie szkodzi, że nie masz dla mnie prezentu, wujku. Przecież nic nie wiedziałeś.

Stephen spojrział na syna.

- Przepraszam cię - powiedział z powagą.

- Dobrze się czujesz? - zaniepokoiła się Nell. - Zbladłeś. Jeśli całe popołudnie jechałeś bez kapelusza, to słońce mogło ci zaszkodzić.

- W galerii jest lemoniada - pośpieszył z pomocą Giles. - Bardzo dobra. Razem z Georgim żeśmy ją pili przez cały dzień.

Nawet nie próbowałam poprawiać jego gramatyki.

- Stephen? - odezwała się Nell.

- Nic mi nie jest - odparł zniecierpliwiony, nadal wpatrując się w Gilesa ..

Mój syn oczywiście uznał to zainteresowanie za zaproszenie do rozmowy.

- Dostałem w prezencie nową wędkę - zaczął. - I jeszcze... Pozwoliłam mu mówić w nadziei, że jego paplanina odciągnie uwagę Nell od wyrazu twarzy Stephena.

Hodges, który nigdy nie chciał brać wolnego dnia podczas festynu, z powagą wkroczył do holu.

- Milady, na tarasie oczekują pani obecności - oznajmił.

- Dziękuję, Hodges. Już idę.

- Ojej - jęknęła Nell. - Czy to już czas na wręczenie kwiatów?

Co roku dzierżawcy obdarowywali mnie olbrzymim bukietem w podziękowaniu za

festyn.

- Chyba tak - odrzekłam. - Nell, może zadbasz, żeby Stephen dostał jakiś poczęstunek?

- Nie jestem głodny - zaprotestował.

Nell wzięła go za łokieć i łagodnie popchnęła w stronę biblioteki. - Nadal jesteś blady. Chodź, usiądziesz sobie wygodnie, a ja przyniosę ci coś do jedzenia i picia.

Zostawiłam Stephena pod czułą opieką Nell i umknęłam na taras, gdzie już na mnie czekał pełen galanterii Edmund Burres, senior naszych dzierżawców.

O ósmej orkiestra przestała grać, sierpniowy dzień dobiegał końca i goście zaczęli się rozchodzić. Nie miałam ochoty znośić towarzystwa mamy w salonie, więc zabrałam psy z biura, gdzie spędziły większość dnia, i poszłam nad jezioro, żeby się upewnić, że nikt już nie został na wodzie.

Jezioro było opustoszałe. Ktoś wyciągnął łódki na brzeg. Spoczywały dnem do góry przed lodownią. Zwykle w lecie trzymaliśmy na wodzie tylko jedną łódź, resztę zaś przechowywaliśmy w pawilonie wędkarskim, do użytku w razie potrzeby.

Usiadłam na schodkach do pawilonu i patrzyłam na psy. Co jakiś czas podbiegały do mnie, jakby się chciały upewnić, że rzeczywiście tu jestem, a potem znów hasały wzdłuż jeziora, wynagradzając sobie czas spędzony w ciasnym wnętrzu. Zachodzące słońce wisiało nisko na niebie, znacząc czubki drzew czerwonym blaskiem. Otoczyłam kolana ramionami i słuchałam cichego plusku wody omywającej brzeg.

Oczywiście znów zobaczyłam minę Stephena. Naprawdę nie wiedział.

Ciąśniej objęłam kolana i zastanawiałam się, co zrobi. Portia przybiegła na krótką kontrolę.

- Wciąż tu jestem - zapewniłam ją łagodnie, więc uspokojona dołączyła do brata. Oba psy były już mokre. Na ich widok mama dostałaby apopleksji.

Od strony domu usłyszałam głosy. Psy pomknęły na spotkanie przybyszów. Wstałam i drżącymi palcami wygładziłam suknię. Jeden z głosów należał do Stephena.

Towarzyszyli mu Jasper i Nell.

- Czy wszyscy ukrywają się przed mamą? - zapytałam wesoło, kiedy się zbliżyli.

Nell potrząsnęła głową.

- Nie chodzi o twoją mamę. Do niej przywykliśmy. Chodzi o księcia.

- Szkoda, że nie słyszałeś Gilesa przy śniadaniu - zwrócił się Jasper do Stephena. -

Powiedział nam, że Gerald nazwał kiedyś księcia „starym prykiem”!

Stephen uśmiechnął się, tak jak należało. Zdałam sobie sprawę, że wpatruję się w jego usta, więc szybko przeniosłam wzrok na Jaspera. Nie widziałam go od rana, ponieważ stał na posterunku nad jeziorem i pilnował, żeby wszyscy zachowywali się w łódkach należycie.

- Spisałeś się bohatersko - pochwaliłam go. - Dzięki tobie przez cały dzień nikt nie 'wpadł do wody.

Jasper parsknął śmiechem.

- Przed wejściem do łodzi udzielałem instrukcji rozkazującym głosem oficera. Nawet najzadziorniejsi chłopcy bali się wstawać z ławeczki, kiedy wiedzieli, że groźnie patrzę na nich z brzegu.

- Byłeś tu przez cały dzień? - zapytał go Stephen.

- Jack na chwilę mnie zastąpił.

- To jedna z moich najgorszych obaw, że podczas festynu ktoś utopi się w jeziorze - wyznałam.

Merlin otrząsnął się, mocząc nas wszystkich deszczem wody z jeziora. Nell pisnęła i odskoczyła do tyłu.

Rozmawialiśmy jeszcze przez chwilę, ale do mnie nie dotarło ani jedno słowo. Wszystkie zmysły skupiłam na Stephenie. Nie patrzyłam na niego, ale wyczuwałam jego bliskość. Nigdy nie musiałam na niego patrzeć, żeby wiedzieć, gdzie się znajduje.

- Właśnie się zastanawiałem, gdzie się wszyscy czworo podzialiście!

To Adam pojawił się na ścieżce wiodącej z domu.

- Ojej - jęknęłam. - Czyżbyśmy zostawili ciotkę Fanny na pastwę mamy i księcia?

Adam prychnął rozbawiony.

- Przez większość dnia pastor wypełniał ten obowiązek, ale odjechał mniej więcej godzinę temu. Powiedziałem mu, że zapracował sobie na aureolę. - Wszyscy wybuchnęliśmy śmiechem. - Panna Stedham prosiła, żeby ci powiedzieć, że Giles źle się czuje i czeka na ciebie, Annabelle - dodał.

Wyczułam u Stephena nagłe napięcie.

- Za dużo jedzenia i wrażeń. - Westchnęłam. - Teraz pewnie nie może zasnąć. Poczytam mu trochę, to zwykle pomaga.

- Cały dzień biegał z Georgim Millerem - powiedziała Nell.

- I za każdym razem, kiedy ich widziałam, mieli coś w ustach.

Podeszłam do Adama i razem ruszyliśmy z powrotem do domu.

Jasper szedł z drugiej strony, a Nell i Stephen podążyli za nami.

Słońce zaszło, niebo' przybrało lekko szary odcień, jak zwykle zanim zapadnie prawdziwa ciemność nocy. Szłam między Jasperem a wujem Adamem, słuchałam głosu Nell gawędzącej ze Stephenem i zastanawiałam się, w jaki sposób doprowadzi do naszego spotkania sam na sam.

Zbliżała się dziesiąta, kiedy wróciłam na dół. Zajrzałam do salonu i zobaczyłam tam matkę, księcia, ciocię Fanny i wuja Adama; pili herbatę. Weszłam tam, zamierzając tylko powiedzieć wszystkim dobranoc, ale ciotka spojrzała na mnie tak żałośnie, że ugięłam się i niechętnie przyjąłam od mamy filiżankę herbaty.

- Jak się miewa Giles? - zapytała ciotka.

- Śpi. Za dużo wrażeń jak na jeden dzień, i to wszystko.

- Nie powinnaś mu pozwalać tak się bratać z dziećmi dzierżawców. - Księżciu udało się jednocześnie spoglądać na mnie z góry i balansować stojącym na kolanie porcelanowym talerzykiem z kawałkiem ciasta. Zadziwiające.

Wypiłam łyk herbaty i odparłam łagodnie:

- To jeszcze dziecko i potrzebuje towarzystwa innych dzieci. Książęce brwi zbiegły się nad groźnie patrzącymi oczami .

- Nie jest zwykłym dzieckiem. Jest przede wszystkim hrabią Weston. Trzeba go nauczyć, żeby nigdy o tym nie zapominał.

- Saye dobrze ci radzi - poparła go moja matka. - Zawsze miałaś nadmierną skłonność do zadawania się z gminem. Mam nadzieję, że nie zachęcasz syna Geralda do podobnego postępowania. Gerald nigdy się nie pospolitował, udając równego farmerom.

- Gerald mógł się bawić z braćmi i kuzynami - odparłam uprzejmym tonem. - Giles nie ma takiego szczęścia.

Patrzyłyśmy na siebie ponad dzbankiem do herbaty.

- Wszystko tak pięknie się udało, Annabelle - odezwała się zdyszany głosem ciotka Fanny.

Adam szlachetnie poparł wysiłki żony.

- Tak. Wielu ludziom dałaś dzisiaj radość. To była trafna decyzja, żeby jednak urządzać festyn.

Kochani Fanny i Adam. Uśmiechnęłam się do nich z wdzięcznością.

- Wszystko przebiegło gładko, prawda? - powiedziałam.

- Nie wiem, co cię opętało, że wpuściłaś tych wszystkich ludzi do domu - skrytykowała mnie matka.

- Cały czas się bałam, że coś rozbiją. Albo ukradną!

- Zjadłbym jeszcze kawałek ciasta, Regino - oświadczył Adam. Mama zręcznie nałożyła mu kawałek cytrynowego ciasta na talerzyk.

- Oprócz jedzenia w galerii znajdowały się jedynie portrety - tłumaczyłam.

Prawdę mówiąc, nakazałam usunięcie wszystkich innych przedmiotów z galerii nie dlatego, że obawiałam się kradzieży, ale dlatego, iż wiedziałam, jak trudno jest rodzicom zapanować nad . ciekawskimi dziecięcymi palcami, które wszystkiego chcą dotknąć.

Nie żałowałabym rozbitej wazy, ale gdyby się coś rozbiło, rodzice małego winowajcy byłiby przerażeni.

Ciotka Fanny jeszcze raz mężnie włączyła się do rozmowy.

- Jakże wielkie zainteresowanie budziły te obrazy. Przez całe popołudnie ludzie ustawiali się w kolejce, żeby je obejrzeć.

- Ci ludzie poszli też do jadalni, gdzie w kredensie stoją srebra Westonów! - oburzyła się matka.

Uniosłam brwi, odgrywając wielkie zdumienie.

- Nie zamierzałam wprowadzać ludzi do jadalni. Kto ich tam wpuścił? - zapytałam.

Moja matka wcale nie zrobiła skruszonej miny, tylko odparła z królewską godnością:

- To zrozumiałe, że ludzie chcieli zobaczyć portrety hrabiego Weston i mój. Upoważniłam Fanny do wprowadzenia ich do jadalni.

Adam puścił do mnie oko znad ciasta i musiałam zagryźć wargę, żeby się nie roześmiać.

- Wraz z księżną czuliśmy się w obowiązku pozostać w jadalni i czuwać nad srebrami - oznajmił książę.

Myśl o książęcej parze spędzającej całe popołudnie na pilnowaniu srebrnej figurki kaczki była tak zabawna, że musiałam udać atak kaszlu, żeby zamaskować śmiech.

- Dołączył do nas pastor Davies - opowiadała mama. - To zapewne uczony człowiek, ale rozmowy z nim nie można nazwać ożywioną.

Zapisałam w pamięci, żeby zrobić szczodry datek na ulubioną organizację dobroczynną pastora. Nie wiedziałam, że biedaczysko musiał znosić towarzystwo mamy przez całe popołudnie.

Ciotka Fanny bohatercko tłumiała ziewanie.

- . Chodźmy, moja droga - zwrócił się do niej Adam. - Musisz być zmęczona,

Potrzebujesz odpoczynku.

- Tak, jestem trochę znużona - wyznała ciotka i z pomocą męża wstała z fotela.

- Ja też udam się na spoczynek - oznajmiła mama. - Pójdiesz ze mną, Saye, czy kazać, żeby ci przyniesiono trochę wina?

Księżę wyglądał na zmęczonego.

- Pójdę z tobą na górę, Regino. To był długi dzień. - Jego ton mówił dobitnie, że słowo „długi” powinniśmy zastąpić słowem „okropny”.

Razem wyszliśmy na korytarz.

- Śpijcie dobrze - pożegnałam całą czwórkę u podnóża schodów.

Matka zacisnęła usta i zaszczyliła mnie jedynie chłodnym skinieniem głowy.

Wiedziałam, co się za tym kryje. Chociaż bardzo chciała, żebym wyszła za mąż za Geralda, o mało nie padła trupem, kiedy musiała opuścić główną sypialnię. Nadal się irytowała, kiedy szła na górę, podczas gdy ja zostawałam na dole.

Mijając bibliotekę usłyszałam męski śmiech dobiegający zza zamkniętych drzwi. Otworzyłam je, zajrzałam do środka i zobaczyłam Stephena, Jaspera oraz Jacka zgromadzonych wokół biurka, na którym stało kilka butelek trunku, na oko wyglądającego na porto. Jedynie Jasper, rozparty wygodnie w fotelu za biurkiem, był zwrócony ku drzwiom, więc wstał na mój widok.

- Na Jowisza, toż to nasza szcudra dobrodziejka we własnej osobie. - Chwycił do połowy napełniony kieliszek. - Zdrowie Annabelli! - Wysunął kieliszek w moją stronę. - Zdrowie najpiękniejszej damy całej Anglii.

Mówił trochę niewyraźnie i zdałam sobie sprawę, że to nie jest jego pierwszy kieliszek wina. Jack i Stephen pół stali, pół siedzieli po obu stronach biurka. Jasna głowa Jacka zwróciła się ku mnie. On również podniósł kieliszek, uprzejmie wtórując Jasperowi.

- Zdrowie Annabelli.

Stephen też uniósł kieliszek, ale patrzył na głęboki fotel.

- I zdrowie Nell - oznajmił - najmilszej panny w całej Anglii. Dopiero teraz zauważyłam, że w głębokim fotelu naprzeciwko biurka ktoś siedzi. Usłyszałam cichą odpowiedź Nell:

- Dziękuję, Stephen.

- Zdrowie Nell - odezwał się jej brat, unosząc kieliszek w jej kierunku tak zamasztyłym gestem, żeomal nie rozlał jego zawartości.

- Zdrowie Nell - powtórzył Jack.

Wszyscy trzej opróżnili kieliszki, a ja daremnie starałam się zdusić ukłucie zazdrości. Nie podobało mi się, że Stephen nazwał Nell „najmilszą”.

Wolno przeszłam po tureckim dywanie i stanęłam obok Jacka, po przeciwnej stronie biurka niż siedział Stephen.

- Nell, czy ci niegodziwcy nie podzielili się z tobą winem? - zapytałam.

Dziewczyna zwinęła się w fotelu, podwinawszy nogi pod siebie. - Nie chciałam wina - wyjaśniła. Jej drobne, giętkie ciało i egzotycznie skośne oczy sprawiały, że przypominała senną kotkę.

Zerknęłam na Stephena i stwierdziłam, że patrzy na mnie. Jego mina nie była przyjazna.

Pomyślałam sobie, że trochę wina dobrze mi zrobi, więc poprosiłam Jaspera, żeby mi nalał.

- Potrzebuję tego - oznajmiłam. - Ostatnie pół godziny spędziłam pijąc herbatę z mamą i księciem. - Obrzuciłam szybkim spojrzeniem zgromadzonych wokół kuzynów. - Powinniście się wstydzić, że tak porzuciliście ciotkę Fanny i wuja Adama.

Jasper postawił przed sobą na biurku świeżo napełniony kieliszek, wstał i gestem zaprosił mnie do zajęcia swojego miejsca, co uczyniłam. Stał obok i napełnił własny kieliszek.

- Jack? Stephen? - zapytał ..

Jack wyciągnął kieliszek po dolewkę.

- Nie, dziękuję - odmówił Stephen.

Siedział na skraju biurka, tak blisko, że mogłam go dotknąć.

Spojrzałam na niego wyzywająco i jednym haustem wypiałam połowę swojego porto. Mocne wino sparzyło mi gardło i żołądek.

- Ho ho, Annabello! - zawołał Jasper. Pochylił się i objął mnie w talii. - Tto ... niedobrze ... tak szybko pić.

Spojrzałam w jego szare oczy, pociemniałe od zbyt dużej ilości trunku. Nachylał się tak nisko, że mogłam wyczuć porto w jego oddechu.

- Jasper - powiedziałam czule. - Chyba jesteś wstawiony. Czuję, że jego dłoń zaciska się na mojej talii, a głowa pochyla coraz niżej ku mnie.

- Lepiej puść Annabellę, zanim stracisz równowagę i upadniesz jej na kolana - odezwała się trzeźwo Nell.

Jasper cofnął rękę; wyprostował się.

- Nie jestem wstawiony - oznajmił wolno i wyraźnie.

- Tylko trochę wyrzuciło cię z orbity, staruszk - wtrącił uspokajająco Jack.

Jasper starał się nie chwiać na nogach.

- No, dobrze - zgodził się. - Mmm ... może trochę.

Spojrzałam po zgromadzonych w bibliotece towarzyszach dzieciństwa i poczułam nagły przyływ miłości.

- Dawno już nie zbieraliśmy się wszyscy razem tak jak teraz - powiedziałam. - To przywołuje tyle pięknych wspomnień.

Spojrzeli na mnie zaskoczeni.

- Nie jesteśmy już dziećmi - odezwała się Nell. - Nie możesz oczekiwać, że pozostaliśmy tacy sami jak dawniej.

Jej ton rozzłościł mnie. Przecież wiedziałam to lepiej niż ktokolwiek inny. Nie rozumiałam, dlaczego Nell ostatnio ciągle mi się przeciwstawia.

Jack wstał z biurka, dopił wino i oznajmił:

- Idę spać.

- Jeśli choć minutę dłużej posiedzę w tym fotelu, to zostanę tu na całą noc - powiedziała Nell i wyprostowała nogi. Wstała i ziewnęła, o ułamek sekundy za późno osłaniając różowe usta ręką. Jej drobna figurka i zmierzwiłone loki bardziej niż kiedykolwiek przywodziły na myśl kotkę.

Stephen znalazł się u jej boku. Delikatnie ujął jej ramię. - Chodź, Nell. Odprowadzę cię do pokoju.

- Dzięki. - Uśmiechnęła się do niego sennie.

Odpowiedział jej uśmiechem.

- Zdaje się, że Jasperowi potrzebna będzie pomoc - zwróciłam się do Jacka.

Wyjął z rąk Jaspera w połowie pełny kieliszek.

- Chodźmy, staruszk. Czas na ciebie.

- Nie chcę jeszcze odchodzić - upierał się Jasper.

- Już późno. Annabella jest zmęczona.

Jasper westchnął.

- Tak dobrze się teraz czuję - oświadczył z żalem. - A rano miałem taki okropny nastrój.

Jack prychnął rozbawiony.

- Wiemy o tym, staruszk, wiemy.

- Wszyscy spisaliście się dzisiaj wspaniale - odezwał się ze swojego miejsca za biurkiem. - Nie wiem, jak wam dziękować za pomoc.

- Dla ciebie wszystko, droga Annabello - zadeklarował żartobliwie Jack i skierował Jaspera do drzwi.

- Tak. - Jasper na chwilę oparł się ponaglącemu naciskowi kuzyna, spojrzął na mnie i kiwnął głową. - Wszystko dla Annabelli. - Dziękuję wam obu.

Nell uśmiechnęła się do mnie sztywno.

- Dobranoc - powiedział Stephen. W ogóle na mnie nie patrzył. Kiedy wyszli, pozostałam za biurkiem i zastanawiałam się, czy pozostać w bibliotece, czy raczej poszukać schronienia w swoich pokojach. Nie wątpiłam, że Stephen wróci. Nie wiedziałam tylko, czy chcę z nim dzisiaj rozmawiać w cztery oczy.

Złożyłam dłonie i przyglądałam się im w zamyśleniu. Palce widziałam trochę niewyraźnie, więc zamrugałam, żeby odzyskać ostrość widzenia. Zamrugałam jeszcze raz. W końcu zdałam sobie sprawę, że jednak wypięłam porty zbyt szybko.

Prędzej czy później będę musiała porozmawiać ze Stephenem. Może lepiej załatwić to dzisiaj, kiedy chroniło mnie to miłe, wywołane winem poczucie oderwania od rzeczywistości. Oparłam łokcie na biurku, rozwarłam dłonie i ukryłam w nich twarz. Zamknęłam oczy.

Dwadzieścia minut później usłyszałam cichy odgłos zamykanych drzwi do biblioteki. Wolno podniosłam głowę. Stephen stał przed zamkniętymi drzwiami i spoglądał na mnie. Całe wino natychmiast wyparowało mi z głowy pod wpływem jego płonących oczu. Spodziewałam się jego gniewu, ale nie aż takiego.

- Jak mogłaś mi to zrobić!

Słowa te wypowiedział z taką intensywną, zapamiętałą furia, że uderzyły mnie niczym cios. Wciągnęłam powietrze w płuca i starałam się znaleźć odpowiedź.

Ruszył w moją stronę.

- Giles jest mój, prawda? - Siedziałam nieruchomo jak ścigane zwierzę, próbujące się skryć przed drapieżnikiem. Nie odpowiedziałam mu. Nie mogłam. Oparł się o blat biurka i pochylił, przysuwając do mnie twarz. - Prawda, Annabello?

Wielokrotnie wyobrażałam sobie tę scenę. Ileż to razy rozważałam gorzkie, okrutne

słowa, jakie chciałam mu powiedzieć, kiedy wreszcie dojdzie między nami do szczerzej rozmowy o Gilesie.

Żadne z tych słów nie przychodziło mi do głowy, kiedy stał przede mną rzeczywisty, rozwścieczony Stephen.

- T ... tak - udało mi się wyjąkać cichym, drżącym głosem.

- Giles to twój syn.

Zamknął oczy, żeby ukryć przede mną ich wyraz, wyprostował się i odsunął ode mnie.

- Chryste! - Wypowiedział to słowo jak modlitwę o pomoc.

Wyrzucił ręce w powietrze znajomym gestem, który wywołał bolesne drżenie w moim sercu.

- Chryste, Annabello! - Wokół jego ust pojawiła się biała obwódka, która u niego zawsze stanowiła zły znak. - Dlaczego?

Głos miał udręczony.

Czułam w żołądku ciasny supeł. Nie spodziewałam się, że tak zareaguję na nasze spotkanie.

- Już ci mówiłam, że nie wiedziałam, co o urodzinach Gilesa powiedział ci Gerald - przypominałam z trudem chwytając powietrze. - Zakładałam, że znasz prawdziwą datę, a ponieważ do mnie nie pisałeś, doszłam do wniosku, że nic cię to nie obchodzi.

- Nie to miałem na myśli - powiedział ponuro. - Chcę wiedzieć ... - precyzyjnie wymawiał poszczególne słowa - ... dlaczego wyszłaś za męża za Geralda?

Zacisnęłam splecione na kolanach ręce.

- Spodziewałam się dziecka! Musiałam kogoś poślubić, a Gerald był chętny. Nie wiem, czy pamiętasz, ale ty wyjechałeś wtedy na Jamajkę - dodałam. Moja gorycz zaczęła wreszcie dochodzić do głosu.

Jego oczy przenikały na samo dno mojej duszy. - Czy wiedziałaś o dziecku, zanim wyjechałem?

- Nie, nie wiedziałam.

Odwrócił się gwałtownie i podszedł do okna. Stał odwrócony do mnie plecami, patrząc w ciemność. Na górze zdjął marynarkę i fular, więc pod cienkim płótnem białej koszuli wyraźnie widziałam napięte mięśnie jego barków. To zaskakujące, jak jego ramiona się rozrosły przez te ostatnie pięć lat.

- Jak wytłumaczyłaś sprawę Gilesa Geraldowi? - zapytał, nie odwracając się.

- Gerald sądził, że to jego syn - wyjaśniłam spokojnie.

Na te słowa zwrócił się ku mnie. Włosy opadły mu na czoło, szyja robiła wrażenie bardzo smagłej w porównaniu z białą kołnierzyką. Pożądanie dosięgło mnie - jak niespodziewany cios w żołądek, więc szybko spuściłam wzrok, żeby nic nie zauważył.

- Gerald nie był głupi - stwierdził dobitnie. - Musiał przecież zauważyć, że w dniu ślubu nie byłaś dziewicą.

- Wyjaśniłam mu, że to pewnie od jeżdżenia konno po męsku.

- Wpatrywałam się w przycisk do papierów, stojący na skraju podkładki na blacie biurka.

- Zapewniłam go, że nigdy nie spałam z mężczyzną.

- Dobry Boże - jęknął. Oboje dobrze wiedzieliśmy, że nie straciłam dziewictwa jeżdżąc na koniu w męskim siodle. - Powiedziałaś mu, że dziecko urodziło się przedwcześnie?

- Tak.

- I on ci uwierzył?

- Zawsze sądziłam, że mi uwierzył - odrzekłam wolno.

Podszedł do biurka. Wzięłam gładki, okrągły przycisk z nefrytu i usiadłam głębiej w fotelu, zaciskając w dłoniach zimny kamień tak mocno, że aż zdrętwiały mi palce.

Stephen usiadł w głębokim fotelu, który wcześniej zajmowała Nell. Spoglądaliśmy na siebie ponad rozdzielającym nas biurkiem.

- Zawsze sądziłaś - powtórzył moje słowa, kładąc nacisk na czas przeszły. Przeczesał palcami włosy, odgarniając je z czoła. - A co sądzisz teraz?

- Byłam wstrząśnięta, kiedy usłyszałam, że nie powiedział ci prawdy o dacie urodzin Gilesa - przyznałam.

Biała linia wokół jego ust zniknęła. Wargi układały się teraz w wyrazie bólu, nie gniewu.

- Mało nie oszalałem, kiedy się dowiedziałem, że wyszłaś za mąż za Geralda - oznajmił z wysiłkiem. - Nie mogłem tego zrozumieć. Nie miałem pojęcia, że oczekiwałaś dziecka.

- Chyba nietrudno było na to wpaść - odparłam ponuro.

Z jakiegoś niewiadomego powodu comiesięczna dolegliwość kobieca zdarzała mi się co trzy miesiące. Matka powiedziała mi, że z nią było tak samo i właśnie dlatego pozostałam jej jedynym dzieckiem. Czasami się martwiłam, że nigdy nie będę mogła mieć dzieci, ale trudno zaprzeczyć, że ten niezwykle przypadkowy związek z Stephenem.

- Gerald nie mógł wiedzieć - stwierdził gwałtownie Stephen.

- Dobry Boże, Annabello, przecież Giles był jego spadkobiercą.

Nigdy nie zaakceptowałby dziecka, gdyby miał jakieś podejrzenia co do jego ojcostwa.

- Jeśli rzeczywiście miał jakieś podejrzenia, to dobrze wiedział, gdzie je kierować - odparłam chłodno. - Mógł być pewien, że Giles należy do rodu Grandville. - Stephen zamknął oczy. - W każdym razie, co mogłam zrobić? - ciągnęłam nieubłaganie. - Wszyscy po prostu uznali, że spałam z Geraldem przed ślubem. Wziąwszy pod uwagę jego reputację, trudno się dziwić takim wnioskom. Gerald miał o wiele za dużo dumy, żeby się przyznać przed światem, że został wyprowadzony w pole. Łatwiej mu było dać wiarę moim zapewnieniom, że dziecko przyszło zbyt wcześnie na świat. Wierzył w to, w co chciał wierzyć. - Wzruszyłam ramionami. - Był taki przystojny, czarujący i dowcipny, że większość ludzi nie dostrzegała jego bezwzględnego egoizmu.

- Ale ty tak.

- Ja tak. I przyznaję, że wykorzystałam tę jego cechę. Jednak i Gerald dostał to, czego chciał. Zostałam jego żoną.

Cisza. Patrzyłam na zielony kamień w moich rękach, raz po raz pocierając go kciukami.

Kiedy Stephen wreszcie się odezwał, jego głos był cichy, pozbawiony wszelkiego gniewu.

- Annabello, bardzo cię przepraszam.

Podniosłam wzrok.

- Nigdy ci nie przebaczę, że tak mnie zostawiłeś - powiedziałam z mocą. - Nigdy. - Wstałam. Odłożyłam przycisk na biurko. - Nienawidzę cię. - Powiedziawszy to, wyszłam z biblioteki.

Poszłam do garderoby, odprawiłam czekającą Marianne, rzuciłam się na szezlong i wybuchnęłam płaczem. Te łzy długo czekały, żeby popłynąć, więc ten gwałtowny, niepohamowany płacz stał się dla mnie przełomem i oczyszczeniem.

Szlochałam nad siedemnastoletnią półdziewczynką - półkobietą, którą matka pewnego dnia chwyciła za podbródek i przyglądając się surowo, zapytała:

- Annabello, czy spodziewasz się dziecka?

- Nn ... nie, mamó - wyjąkałam wstrząśnięta. - Jak możesz mnie pytać o coś takiego?

- Twoja cera - powiedziała ponuro. - Jest taka połyskliwa i jasna, wręcz perłowa. Ja też kiedyś miałam taką cerę - kiedy oczekiwałam twoich narodzin”.

Szlochałam nad dziewczyną, która z gniewu i ze strachu poślubiła niekochanego człowieka i okłamała go.

- „Geraldzie, wczoraj się przewróciłam. Nie mówiłam ci o tym, bo nie chciałam cię martwić, ale wydaje mi się, że dziecko urodzi się wcześniej”.

Płakałam nad młodą matką, tulącą w ramionach swoje dziecko, która boleśnie pragnęła, żeby ojciec tego dziecka był przy niej i dzielił jej radość.

Płakałam nad szczęściem, które zniszczył Stephen, kiedy wypowiedział te brzemiennie w skutki słowa:

- „To ja jestem za wszystko odpowiedzialny, tato. Nikt inny.” Kiedy łzy przestały płynąć, byłam zupełnie wyczerpana. Bolała mnie głowa, a nogi nie miały tyle siły, żeby zanieść mnie do sypialni. Skuliłam się więc na szezlongu, zamknęłam oczy i myślami przeniosłam się w przeszłość.

Znów miałam szesnaście lat i w poszukiwaniu samotności poszliśmy razem ze Stephenem nad jezioro.

W kwietniu Weston zawsze wyglądało pięknie. W lesie pełno było dzwonków, dzikich hiacyntów i fiołków, a pomarańczowo - białe tulipany na klombach przed domem witały nowo przybyłych jak kolorowi, wyprężeni na baczność żołnierze. Południowy ogród zamieniał się w kolekcję dywanów o jaskrawych barwach, oddzielonych od siebie starannie wyżwirowanymi ścieżkami. Dęby i wiązy zieleniły się delikatnie młodymi liśćmi, a wiśnie przy warzywniku pieniały się kwiatami.

Był wczesny ranek kiedy wraz ze Stephenem wymknęliśmy się z domu nad jezioro. Idąc do pawilonu wędkarskiego słyszeliśmy śpiew drozdów i kosów. Werandę domku zdobiły pnącza o różowych i białych kwiatach.

Psy odbiegły, żeby spenetrować brzeg. Oparłam się ramionami o balustradę werandy i spoglądałam na jezioro, połyskujące spokojnie w porannym słońcu.

- To cudownie być znowu w domu - powiedziałam.

W połowie marca matka zabrała mnie do Londynu, żeby u londyńskiego krawca kupić mi trochę nowych strojów. Podczas świąt Bożego Narodzenia oznajmiła, że już czas, żebym zaczęła upinać włosy i pozbyła się szkolnych sukienek. Postanowiła uzupełnić moją garderobę.

Byłam wściekła, że ominął mnie sezon polowań. Wydawało mi się, że od dnia, gdy ukończyłam szesnasty rok życia, moje miłe, spokojne życie w Weston ciągle ktoś zakłócał. A kiedy już wracałam do domu, coraz częściej brakowało tam Stephena.

W zasadzie nie widzieliśmy się od stycznia. Po świętach on wyjechał z wizytą do wuja Francisca, a kiedy w marcu wrócił, ja pojechałam do Londynu. Wróciłam poprzedniego dnia po południu i to była pierwsza okazja do rozmowy sam na sam.

- Podobało ci się w Londynie? - zapytał Stephen. Opierał się o balustradę obok mnie, a kiedy zerknęłam na niego, zobaczyłam, że linia jego ust i nozdrzy wyraża napięcie.

- Niektóre rzeczy tak - odrzekłam wolno. - Mama kupiła mi całe sterty ubrań. Mówi, że w tym roku pozwoli mi iść na kilka spotkań towarzyskich i tańców, żebym się przygotowała do swojego debiutu przyszłej wiosny.

Stephen skrzywił się, ale nic nie powiedział. - Nie pomoże nam, tak? - zapytałam.

- Nie, nie pomoże - odparł, nie patrząc na mnie.

- Rozumiem - wyszeptałam.

Tyle wiary pokładaliśmy we Francisie Putnamie, który zawsze bardzo lubił Stephena. Mówiliśmy sobie, że z pewnością pomoże nam przekonać hrabiego i moją matkę, że powinniśmy się pobrać. Na pewno pozwoli nam zamieszkać u siebie, kiedy już zostaniemy mężem i żoną. Przecież uczynił Stephena swoim spadkobiercą. Zawsze mi się wydawało, że mnie lubi. Niewątpliwie stanie po naszej stronie.

To, że będziemy potrzebowali pomocy, żeby przekonać rodziców o tym, iż powinniśmy się pobrać, było jasne dla nas obojga. Plany mojej matki względem mnie w żadnym wypadku nie uwzględniały małżeństwa z młodszym synem hrabiego. Prawdę mówiąc, i ona, i hrabia

oczekiwali, że poślubię Geralda. Oczywiście, matka zdecydowała o tym całe lata temu; hrabia doszedł do tego wniosku dopiero niedawno, kiedy zobaczył, jak Gerald zareagował na widok nowej, dorosłej Annabelli, podczas świątecznej wizyty w domu.

To właśnie reakcja Geralda i wyraźnie widoczne oczekiwania rodziców sprawiły, że Stephen postanowił rozmówić się z wujem Francisem.

Mimo że Stephen miał na sobie starą marynarkę, widziałam, jak bardzo napięte są mięśnie jego ramion. Szczupłe, nie ozdobione żadnym sygnetem dłonie zaciskał na balustradzie werandy.

- Powiedział, że jesteśmy jeszcze zbyt młodzi, żeby dobrze poznać nasze serca, że musimy mieć szansę poznania innych ludzi.

Twierdzi, że powinienem jechać do Oksfordu, a ty w przyszłym roku zadebiutować w towarzystwie. Dopiero potem, kiedy skończę studia, a nasze uczucia pozostaną niezmienione, on nam pomoże.

- Powiedziałeś mu o Geraldzie?

- Uznał, że nikt nie zmusi cię do poślubienia go, jeśli sama nie będziesz chciała.

- On nic nie rozumie - stwierdziłam z rozpaczą. Stephen odgarnął włosy z czoła.

- Staralem się mu wytłumaczyć, co do siebie czujemy, ale nie chciał mnie słuchać! Stwierdził, że hrabia postąpił nierozsądnie, pozwalając nam tak często przebywać w swoim towarzystwie, i że to dobrze, że wyjeżdżam do Oksfordu.

- Może po prostu uciekniemy do Szkocji? - zaproponowałam. W Anglii osoby niepełnoletnie nie mogły się pobrać bez zgody rodziców lub opiekunów, co w Szkocji nie było wymagane. Tam nie było takich ograniczeń. Do zawarcia małżeństwa wymagane było jedynie zgodne oświadczenie w obecności świadków. Uciekające przed rodzinami pary tradycyjnie jechały do przygranicznego miasteczka Gretna Green, leżącego zaledwie szesnaście kilometrów od Carlisle.

- Jeśli spróbujemy uciec do Szkocji i złapią nas, to całkowicie nas rozdziela - oznajmił ponuro Stephen. Wreszcie odwrócił się do mnie. - Czy chcemy podjąć takie ryzyko?

Wargi mi zadrżały, potrząsnęłam głową.

- Nie płacz, najdroższa ...

Stephen wziął mnie w ramiona. Przytuliłam się do niego i całowaliśmy się zapamiętale, obejmując się tak ciasno, jakby od tego zależało nasze życie.

Przez ostatnie pół roku dowiedzieliśmy się o całowaniu wielu rzeczy, lecz takiego

pocałunku jeszcze nie zazналиśmy. Jego żaru nie wywoływała jedynie trzymiesięczna separacja, ale również poczucie beznadziejności, spowodowane odmową Francisa Putnama.

Przez cienką materię sukienki czułam gorące ciało Stephena. To była stara sukienka, zbyt ciasna u góry. Stephen ostrożnie położył dłoń na mojej piersi. Poczulałam dreszcz czystej rozkoszy. Z cichym pomrukiem przytuliłam się do niego jeszcze mocniej.

- Annabello ... - Odsunął usta. Spojrzałam w jego zwężone, błyszczące oczy, pociemniałe z pożądania. - Musimy natychmiast przestać - powiedział chrapliwie, z wysiłkiem. - Jeśli tego zaraz nie zrobimy, za chwilę nie będę w stanie nad sobą zapanować.

- Nie chcę, żebyśmy przestali - powiedziałam. Z drżeniem chwycił powietrze.

- Nie wiesz, co mówisz.

Obiema pięściami wymierzyłam mu kuksańce w kark.

- Jak możesz zwracać się do mnie w ten sposób? Mówisz, jak wszyscy inni. - Znów go uderzyłam, całkiem mocno. - Wiem, czego chcę. Zawsze wiedziałam. Chcę ciebie! - Uderzyłam go jeszcze raz.

Chwycił moje ręce.

- Annabello, dobry Boże, Annabello. Tak bardzo cię kocham.

- Nachylił się i znów zaczęliśmy się całować.

W pawilonie stał stary szezlong i właśnie tam poszliśmy.

Ten pierwszy raz nie poszedł gładko. Żadne z nas nie miało doświadczenia, tylko wielkie, natarczywe pragnienie. Długie lata konnej jazdy nic tu nie pomogły; mimo wszystko krwawiłam.

Jednak ani krew, ani ból nie miały znaczenia. Liczyło się tylko to, że to zrobiliśmy; połączyliśmy się tak nieodwracalnie, jak to tylko mogliśmy sobie wyobrazić. Ja należałam do Stephena, a Stephen należał do mnie.

- Teraz nic już nas nie rozdzieli - powiedział mi, kiedy przytuleni leżeliśmy na wąskim szezlongu, wydzielającym lekką woń wilgoci i ryb.

A ja mu uwierzyłam.

Teraz leżałam na innym szezlongu, obok sypialni, gdzie spędzałam noce z bratem Stephena: Gerald był mistrzem w sztuce kochania - w przeciwieństwie do Stephena miał wiele wprawy - ale jego miłość była jak fałszywa moneta. Moje ciało reagowało na Geralda, ale potem przez długie godziny leżałam bezsennie, przytłoczona falą depresji, tęskniąc z całej duszy za prawdziwym złotem, które utraciłam.

Tego wieczora powiedziałam Stephenowi, że go nienawidzę, i mówiłam prawdę. Rzeczywiście go nienawidziłam. Ale także go kochałam. Zawsze będę go kochała.

W głowie mi huczało, więc zadzwoniłam na Mariannę, żeby przyniosła zmoczony w zimnej wodzie ręcznik, i położyłam go sobie na czole.

Następnego ranka spałam długo. Kiedy się w końcu obudziłam, ból głowy minął, ale czułam, że w każdej chwili może wrócić, więc postanowiłam nie jeść śniadania w jadalni, razem z rodziną. Wypiłam herbatę i zjadłam bułeczkę w swojej garderobie.

Poprzedniego dnia otaczał mnie taki tłum ludzi, że tego ranka wolałam być sama. Wzięłam psy, wymknęłam się bocznymi drzwiami i klucząc po parku poszłam nad jezioro.

Zaskoczona stwierdziłam, że Stephen i Giles już tam byli. Gdy idąc wzdłuż brzegu zbliżyłam się do pawilonu wędkarskiego, zobaczyłam ich obu, stojących po kolana w wodzie, puszczających kaczki.

Czysty, dziecięcy głosik Gilesa niósł się daleko w łagodnym, letnim powietrzu.

- Chyba już wiem, jak to się robi. Popatrz, wujku!

- No, spróbuj - zachęcił go Stephen.

Giles rzucił kamień, wyginając przegub dłoni. Wszyscy patrzyliśmy w skupieniu, kiedy kamień odbił się od wody raz, potem drugi i trzeci, aż wreszcie zniknął pod powierzchnią.

- Widziałeś? - dopytywał się przejęty Giles. - Podskakiwał!

- Doskonale - pochwalił Stephen. - Trzy podskoki to świetny wynik.

Stephen najwyraźniej starał się zaprzyjaźnić ze swoim synem.

Zignorowałam nagły ucisk wokół serca i ruszyłam w ich stronę. Psy zapowiedziały moje nadejście.

- Mama! - Giles z pluskiem wybiegł z wody i podskakiwał przede mną z przejęcia. - Widziałeś? Widziałeś, jak puściłem kaczkę?

- Tak, kochanie. Kamień odbił się trzy razy. Jestem pełna podziwu.

- Wuj Stephen mi pokazał, jak to się robi.

- Nie wiem, dlaczego tak się dzieje, ale jest coś takiego w kamieniach i w wodzie, co w męskim stworzeniu wyzwała nieodpartą chęć puszczania kaczek.

Stephen uśmiechnął się i rzucił kamień daleko na jezioro. Giles aż krzyknął z wrażenia.

- Na szczęście - ciągnęłam surowo - kobiety nie odczuwają tak prymitywnych potrzeb.

Mój lojalny syn poczuł, że nie czuję się w tej sytuacji pewnie i starał się mnie pocieszyć.

- Bardzo dobrze rzucasz, mamó. Jak na dziewczynę.

- Dziękuję, kochanie. - Spojrzałam na Stephena, który wciąż stał w wodzie. - Przyszedłeś nad jezioro tylko po to, żeby nauczyć Gilesa puszczania kaczek?

- Nie. - Brodząc w wodzie, zbliżał się do mnie. - W zasadzie przyszliśmy wypróbować nową wędkę Gilesa. Puszczanie kaczek na chwilę nas od tego odwiodło.

- Wuj Stephen popłynie ze mną łódką na jezioro - oznajmił Giles. - Obiecałem, że złapię mu rybę na kolację.

- Tak szybko łapiesz ryby, że niedługo zabraknie ich w jeziorze - zażartowałam.

Giles roześmiał się radośnie.

- To będę musiał łowić. w oceanie.

Stephen stanął obok Gilesa. Przed rozpoczęciem lekcji puszczania kaczek zdjął niebieski, jednorzędowy surdut, fular, pończochy i buty, i podwinął rękawy koszuli do łokcia. Wydawał się zupełnie nie skrępowany faktem, że jego szyja, ramiona, stopy i łydki są nagie.

Cóż, pomyślałam z irytacją, dlaczego miałoby go to krępować?

Przecież kiedyś widywałam go w jeszcze większym negliżu.

Jednak ja czułam się niezręcznie. Moja zielona suknia, włożona jedynie na cienką koszulkę, była wręcz przejrzysta. Poza tym, nie miałam na sobie pończoch, jedynie buty na płaskim obcasie. Splotłam ramiona na piersiach, jakbym się chciała zasłonić przed bliskością Stephena.

- Jeszcze nie łowiliście? - zapytałam.

- Jeszcze nie - odparł.

- Popłyn z nami, mamó - zapalił się Giles. - W łódce jest miejsce i dla ciebie.

- Wiesz, że nie lubię łodzi.

- Jezioro jest gładkie jak stół - wtrącił Stephen. - Na pewno nie poczujesz się źle na takiej spokojnej wodzie.

Giles spojrzał na swojego ojca i uśmiechnął się z aprobatą. Nagła emocja chwyciła mnie za gardło, odbierając głos, a łzy zakłuły pod powiekami. Osłoniłam oczy ręką i spojrzałam na jezioro, jakbym się wahała.

- Dobrze - zgodziłam się w końcu. - Ale nie chcę wypływać zbyt daleko.

- To małe jezioro - stwierdził Stephen. - Nie można tu wypłynąć zbyt daleko.

Stephen i Giles wzięli wędki i wszyscy poszliśmy do samotnej łodzi, unoszącej się na

wodzie przy końcu drewnianego pomostu. - Wiosła są w pawilonie - oznajmiłam. - Przyniosę je.

Kiedy wróciłam, włożyli już wędki do łodzi, a Giles z przejętą miną usadowił się na wąskiej ławeczce na przedzie.

- Pomóc ci, Annabello? - zaproponował Stephen. Objął mnie w talii, jakby chciał mnie podnieść.

Materiał letniej sukni był cienki, więc nie mogłam ukryć drżenia, jakie przebiegło przez moje ciało, kiedy poczułam dotyk jego ręki. Odskokczyłam od Stephena i oznajmiłam niepotrzebnie piskliwym głosem:

- Nie Stephen, z łatwością sama wejdę do łódki.

Nic nie odpowiedział, tylko stał i patrzył na mnie. Zebrałam spódnice sukni i zrobiłam krok. Łódka zakołysała się pode mną, więc na oślep wyciągnęłam rękę, w poszukiwaniu jakiejś podpory. Stephen chwycił mnie i pomógł odzyskać równowagę.

- Po prostu usiądź - poradził. - Wszystko będzie dobrze. Wciąż trzymając go mocno za rękę, ostrożnie usiadłam na desce służącej za główną ławeczkę. Stephen również wszedł do łodzi, bez trudu utrzymując równowagę, i umieścił wiosła w dulkach. Potem usiadł obok mnie i odbiliśmy od przystani.

- Naprawdę nie znoszę łodzi - wymamrotałam, kiedy gładko oddalaliśmy się od brzegu.

- A ja lubię - poinformował nas Giles. Siedział plecami do dziobu, twarzą do nas. - Czy ja też mogę trochę powiosłować, wujku?

Odpowiedź Stephena zabrzmiała równocześnie z moją.

- Za chwilę.

- Absolutnie nie.

Giles wygiął wargi w podkówkę.

- Dlaczego nie, mamó?

- Ponieważ kiedy ja tu jestem, nikt w łodzi nie będzie wstawał, żeby zamienić się miejscami - wyjaśniłam.

- Ale ... - zaczął Giles.

- Mówię poważnie - ucięłam.

Płynęliśmy jakieś piętnaście minut i trochę się już uspokoiłam, kiedy łódź niespodziewanie zaczęła przeciekać. Pierwszym sygnałem nadchodzących kłopotów był nagły chłód, który poczułam w stopach. Spojrzałam w dół i zobaczyłam, że nogi mam zanurzone w

wodzie głębokiej na co najmniej pięć centymetrów.

- Stephen - odezwałam się zdenerwowana. - Łódź przecieka.

- Zauważyłem - odparł. Wiosłował energicznie. - Płyniemy z powrotem.

- Mówiłam, żeby nie zapuszczać się na środek jeziora - powiedziałam, szacując odległość od brzegu. Był o wiele za daleko.

Stephen nie przerywał wiosłowania. Nic nie powiedział.

- Wody jest coraz więcej - powiadomił nas Giles. Sięgała mi już do kostek.

- Stephen? - powiedziałam z niepokojem.

- Poszukaj dziury, Annabello, i zatkać ją czymś.

Natychmiast osunęłam się na kolana i zaczęłam obmacywać dno łodzi.

- To chyba tutaj, wujku - zakomunikował Giles. Patrzył na podłogę po przeciwnej stronie swojej ławki. - Jedna z desek wystaje. - Możesz ją wepchnąć na miejsce? - zapytał Stephen. Jego głos brzmiał bardzo spokojnie. - Postaw na niej nogę.

Giles wykonał polecenie.

- Postawiłem - oznajmił cienkim, wystraszonym głosikiem. - Ale woda nadal wpływa.

Woda sięgała nam już do kolan i chociaż Stephen wiosłował z wielką siłą, łódź niemal się nie posuwała.

Spełniał się mój największy koszmar.

- Stephen - powiedziałam, starając się, żeby ogarniająca mnie panika nie była słyszalna w moim głosie. - Giles nie umie pływać.

Stephen odepchnął bezużyteczne wiosła.

- Oto, co zrobimy - oświadczył. - Najpierw popłynę z Gilesem do brzegu. Ty będziesz musiała utrzymać się na powierzchni, dopóki po ciebie nie wrócę.

Spojrzałam na niego badawczo. Wiedziałam, że potrafi pływać, ale to zadanie wydawało mi się niewykonalne.

- Dotrzesz do brzegu, trzymając Gilesa? - zapytałam.

- Tak. Na Jamajce wiele pływałem. Doholuję Gilesa do brzegu i wrócę po ciebie. - Niebieskie oczy patrzyły na mnie rozkazująco. - Trochę umiesz pływać, nie pamiętasz?

W dzieciństwie czasami taplałam się w wodzie, pływając pieskiem. Nie miałam pojęcia, czy potrafię utrzymać się na powierzchni dłużej niż kilka minut.

- Oczywiście, że pamiętam - przytaknęłam. Łódź powoli tonęła.

- Giles, musisz leżeć bardzo spokojnie, opierając głowę o moje ramię. Doholuję cię do brzegu. Nie szarp się, bo obaj się utopimy. Rozumiesz?

- Nie możemy zostawić mamy, wujku - odparł przerażony.

- Wrócę po nią, obiecuję ci. Gotów?

Giles spojrział na mnie.

- Nic mi nie będzie, synku - zapewniłam stanowczo. - Proszę, zrób to, co ci każe wuj Stephen.

- Dd ... dobrze - wyszeptał. Popatrzyłam na Stephena.

- Unoś się leżąc na brzuchu, Annabelle - poradził. - Twarz zanurz w wodzie i unoś ją tylko dla nabrania powietrza. Od czasu do czasu poruszaj nogami ..

- Dobrze.

Spojrzeliliśmy na siebie.

- Tylko nie wpadaj w panikę. Wszystko będzie dobrze, jeśli nie wpadniesz w panikę.

Skinęłam głową.

- Zaopiekuj się Gilesem.

Wszyscy wstaliśmy. Łódź wolno pogrążyła się w jeziorze.

- Zawiąz sukienkę wokół talii, żeby nie krępowała ci ruchów - polecił. Podsunął rękę pod brodę Gilesa, odepchnął się od łodzi i zaczął płynąć.

Ledwie starczyło mi czasu, żeby wykonać jego polecenie, zanim łódź zniknęła spod moich nóg i zostałam sama, zdana na własne siły.

Zamykająca się nad moimi ramionami woda była bardzo zimna.

Wymachiwałam rękami i nogami tak szybko, jak potrafiłam, więc udało mi się utrzymać głowę nad powierzchnią wody tak długo, aż zobaczyłam, że Stephen gładko płynie do brzegu, a głowa Gilesa spokojnie spoczywa na jego ramieniu.

Mój syn był bezpieczny.

Dzięki Ci, Boże, modliłam się. Potem znów zaczęłam myśleć o sobie.

Wiedziałam, że nie dam rady zbyt długo poruszać rękami i nogami; to było zbyt męczące. Przypomniałam sobie, że Stephen radził mi zanurzyć twarz w wodzie, ale wszystko we mnie krzychało, że jeśli to zrobię, utopię się.

Połknęłam trochę wody, więc jeszcze bardziej desperacko wymachiwałam rękami i nogami, żeby utrzymać się na powierzchni.

Nie panikuj, Annabello, nakazałam sobie surowo. Cokolwiek robisz, nie panikuj.

Stephen powiedział, żebym położyła się na brzuchu i unosiła głowę tylko dla nabrania oddechu.

Wciągnęłam w płuca powietrze, zacisnęłam powieki i usta, zanurzyłam twarz w wodzie i położyłam się nieruchomo.

Nogi zaczęły mi tonąć.

Nie panikuj, Annabello. Teraz wymach nogami. Twarz pod wodą i wymach nogami.

Zrobiłam to i nogi się uniosły. Przez chwilę poruszałam rękami, potem uniosłam twarz i chwyciłam następny oddech. Znow zanurzyłam twarz w wodzie.

Potrafię to zrobić. Łatwiej utrzymać się na wodzie, jeśli nie podnoszę głowy. Wytrzymam, dopóki Stephen nie wróci.

Ani przez chwilę nie wątpiłam, że po mnie wróci. Byłam w wodzie chyba całe godziny i bardzo, ale to bardzo się bałam. Jednak nie wpadłam w panikę. Unosiłam się na powierzchni i co jakiś czas chwyciłam oddech, bo wiedziałam, że Stephen w końcu do mnie przyplynie.

Dotykając ręką mojego ramienia, dał mi znak, że już tu jest.

Podniosłam głowę i połknęłam trochę wody.

- Twoja kolej - oznajmił. Chwycił mnie, odwrócił na plecy i podłożył mi ramię pod głowę. Potem zaczęliśmy płynąć do brzegu.

Stephen był zmęczony. Czułam napięcie mięśni i leżałam tak spokojnie, jak tylko potrafiłam. Nawet kiedy woda zalewała mi twarz, nie szarpałam się. Wolno, z wysiłkiem podążaliśmy do celu. - Tutaj już mamy grunt - wysapał w końcu i puścił mnie. Twarde dno jeziora pod stopami było teraz dla mnie czymś najcudowniejszym pod słońcem.

- Mamo! Mamo! - krzyczał Giles. Wbiegł do wody, jakby chciał ruszyć mi na spotkanie.

- Zostań na miejscu, Giles - zawołałam schrypniętym, zdyszonym głosem. - Już do ciebie idę. - Zaczęłam chwiejnie brnąć w stronę brzegu.

Giles stał po pierś w wodzie i czekał, aż do niego dotrę. Potem objął mnie w talii ramionami, ciasno się do mnie przytulił i zaczął szlochać.

Kołysaliśmy się razem w tył i w przód.

- Już wszystko dobrze, kochanie - powtarzałam. - Już po wszystkim. Jesteśmy bezpieczni. Dzięki wujowi Stephenowi jesteśmy bezpieczni.

Wreszcie, kiedy emocje ucichły i Giles odzyskał panowanie nad sobą, oboje wyszliśmy z

jeziora i osunęliśmy się na ziemię obok Stephena.

Leżał na plecach, z nogami ugiętymi w kolanach. Jedno ramię wyciągnął w bok, drugim przykrył oczy, jakby chciał je osłonić przed słońcem. Jego pierś gwałtownie unosiła się i opadała, kiedy płytko chwycił hausty powietrza w zmęczone płuca.

Położyłam mu dłoń na sercu i przez mokrą koszulę czułam jego przyspieszone bicie.

- Dzięki Bogu, że umiesz pływać - powiedziałam, nie cofając dłoni.

- To jeszcze jedna dobra rzecz której się nauczyłem ... na Jamajce - wydyszał.

- Dobry Boże, Stephen, dobry Boże.

Odsunął rękę od oczu. Niebieskie oczy spojrzały na mnie spod zlepionych wodą rzęs.

- Chwała Bogu, że nie wpadłaś w panikę. - Pod mokrą koszulą wyczuwałam jego skórę i falowanie piersi, kiedy wdychał drogocenne powietrze. Zamknął w uścisku moją dłoń i powiedział: - Musimy porozmawiać.

- Tak. - Głos mi się trząsł.

- Mamo, zimno mi - odezwał się cienki głosik.

Słońce mocno grzało.

- To reakcja organizmu - wyjaśnił Stephen. - W pawilonie zostawiłem surdut. Okryj go nim i wracajmy do domu.

Próbowaliśmy niezauważenie wślizgnąć się do domu, ale zanim dotarliśmy do bocznych drzwi, natknęliśmy się na Jaspersa, Jacka, Nell i pannę Stedham, zmierzających do stajni. Być może udałoby nam się przemknąć, gdyby nie Giles, który na widok guwernantki natychmiast zawołał:

- Eugenio! Zaczekaj! Opowiem ci, co się stało! O mało się nie utopiłem!

Cała czwórka spojrzała na nas, więc nie mogliśmy się już przed nimi ukryć. Ich wstrząśnięte miny mówiły nam, jak przerażająco musimy wyglądać. Stephen, który niósł Gilesa, postawił go teraz na ziemi, zdjął okrywający go surdut i polecił krótko:

- Włóż to.

Wsunęłam ramiona w rękawy i otuliłam się połami, przykrywając mokrą sukienkę. W ten sposób, mam nadzieję, zachowałam odrobinę przyzwoitości. Włosy spływały mi na plecy, więc wysunęłam je zza kołnierza surduta, żeby mokre kosmyki nie dotykały skóry.

Jasper wpatrywał się we mnie.

- Dobry Boże, Annabello! - zawołał. - Co się stało?

Panna Stedham uklękła przed Gilesem, tak że jej twarz znalazła się na poziomie jego buzi, i zapytała z niekłamaną troską:

- Nic ci nie jest, Giles?

Dziecko skinęło głową.

- Wujek Stephen mnie uratował, Eugenio. Mamę też uratował.

Wyraźnie usłyszałam, jak Nell gwałtownie nabrała powietrza.

- Co się stało? - dopytywał się Jasper.

- Łódź zatoneła, kiedy pływaliśmy po jeziorze - wyjaśnił Stephen.

Wszyscy na chwilę zamarli w pełnej zaskoczenia ciszy. Woda w fontannie w ogrodzie różnym szmerem monotonicznie.

- Zatoneła? - powtórzyła Nell. - To znaczy, całkiem poszła na dno?

- Tak - potwierdził Stephen.

- Na samo dno? - nie dowierzała.

- Tak.

- O, mój Boże.

Kilka kosmyków włosów już wyschło i opadły mi na czoło i policzki, lekko łaskocząc. Podciągnęłam rękawy surduta 'Stephena, żeby odsłonić dłonie, i odgarnęłam włosy z twarzy. Jasper obserwował moje ruchy z pełną skupienia fascynacją.

- Jak daleko wypłynęliście? - zapytał Jack.

- O wiele za daleko - odparłam surowo.

- Wuj Stephen najpierw doholował mnie do brzegu, a potem wrócił po mamę - opowiadał Giles.

Panna Stedham dotknęła mokrego ubrania swojego podopiecznego, wstała i powiedziała:

- Zabiorę go do pokoju dziecinnego, przebiorę w coś suchego i dam mu gorącej zupy, milady.

- Dziękuję, panno Stedham - odparłam. Guwernantka wzięła Gilesa za rękę.

- Ależ miałaś przygodę - powiedziała. - Nie mogę się doczekać, kiedy mi wszystko opowiesz. Pójdziemy na górę i tam posłucham, jak to było.

Giles spojrzał na mnie.

- Ty też przyjdiesz, mamó?

- Jak tylko się przebiorę - zapewniłam.

Odszedł z panną Stedham, zostawiając naszą grupkę na ścieżce do stajni.

Jack mierzył mnie wzrokiem od stóp do głów i byłam bardzo zadowolona z osłony, jaką zapewniał mi surdut.

- Co ty, na litość Boską, robiłaś w łodzi? - zdziwił się Jack.

- Myślałam, że nie lubisz wody.

- Giles chciał wypróbować nową wędkę, a ja postanowiłam na to popatrzeć - odrzekłam. - Nie muszę dodawać, że już nigdy żadna siła nie zmusi mnie do wejścia do łódki.

- Ale co się stało? - powtórzyła Nell. - Jakim cudem łódź zaczęła tonąć?

- Najwyraźniej jedna z desek na dnie obluzowała się i nikt tego nie zauważył - domyślał się Stephen. - Puściła, kiedy byliśmy na środku jeziora. Łódź nabrała wody i zaczęła tonąć. Dopłynąłem do brzegu z Gilesem, a potem wróciłem po Annabellę.

- Dzięki Bogu, że łódź utrzymywała się na powierzchni, dopóki po nią nie przypląnąłeś - powiedział Jasper dziwnie schrypniętym głosem.

Stephen zerknął na mnie, a ja lekko potrząsnęłam głową.

- Bardzo miło tu sobie rozmawiamy - odezwał się - ale muszę was przeprosić i iść się

przebrać.

- Właściwie to wyglądasz bardzo pociągająco - stwierdził Jack z błyskiem w oku.

- Twój dowcip jest zupełnie nie na miejscu - chłodno zganił go Stephen.

Jack uniósł jasne brwi i obrzucił go badawczym spojrzeniem.

- Zobaczymy się przy obiedzie - pożegnałam ich i odeszłam.

Na wieść o naszym wypadku wuj Adam wpadł w przerażenie i natychmiast zaczął wszystkich wypytywać, jak to się stało, że nikt nie zauważył uszkodzenia łodzi.

- Podczas festynu używano jej przez cały dzień i ani trochę nie przeciekała - powiadomił mnie później tego dnia w kantorku w stajni, gdzie przeglądałam wykresy karmienia koni. - To był zwykły przypadek, że właśnie tę łódź zostawiono na wodzie, a inne zaniesiono z powrotem do pawilonu. Nikt nie zdawał sobie sprawy, że jedna z desek nie trzymała się reszty.

- To się stało nagle - wyjaśniłam. - Wyskoczyła cała deska, tak jakby ktoś uprzednio ją obluzował.

Adam zmarszczył brwi.

- Chyba nie podejrzewasz, że ktoś to zrobił celowo?

- Zastanawiam się, czy któremuś z chłopców, korzystających z niej wczoraj, nie przyszło do głowy, że zatopienie łodzi byłoby wspaniałym kawałem - powiedziałam. Odłożyłam pióro i skupiłam na Adamie całą uwagę. - Gdyby to się wydarzyło wczoraj, nie byłoby tak niebezpieczne, bo po jeziorze pływały inne łódki, a na brzegu roило się od ludzi. To zwykły pech, że deska wytrzymała do dzisiaj, kiedy nikt nie mógł nam pomóc.

- Zapewne masz rację - odrzekł wolno. - Zapewniam cię, że przed festynem poleciłem skontrolować wszystkie łodzie i nikt nie zgłosił żadnych usterek. - Poruszył się niespokojnie na wąskim krześle, jedynym w kantorze, oprócz stojącego za biurkiem, na którym siedziałam ja. - Wydawało mi się, że ludziom, którym wyznaczyłem to zadanie, można w pełni zaufać.

- W to nie wątpię. Proszę, nie zwalnij nikogo w związku z tą sprawą. Zerknęłam przez okno, sprawdzając jak wysoko na niebie stoi słońce. - Która godzina, wuju?

Wyjął zegarek.

- Zbliża się piąta, moja droga.

Westchnęłam.

- Czas na obiad.

Z rozbawieniem uniósł brew.

- Ukrywałaś się przed Reginą? Musiałam się uśmiechnąć.

- Jak się tego domyśliłeś?

- Jestem po prostu geniuszem - zażartował.

Razem ruszyliśmy do drzwi.

- Postaraj się, wuju, żeby wszyscy w majątku dowiedzieli się, że omal się nie utopiliśmy przez uszkodzoną łódź. Jeśli to sprawa jakiegoś dziecka z okolicy, to będzie tym tak wystraszone, że w przyszłości nie zrobi już podobnego głupstwa.

Kantorek znajdował się w stajni, więc kiedy szliśmy wzdłuż boksów, konie niecierpliwie wyciągały ku nam szyje.

- Widzę, że już prawie pora na ich posiłek - skomentował Adam.

Koń w ostatnim boksie gniewnie kopał w drzwi, kiedy go mijaliśmy.

- Przestań, Marshall! - rozkazałam stanowczo.

Wyszliśmy ze stajni na popołudniowe słońce.

- Obawiam się, że nie uda mi się dowiedzieć, kto dokładnie wczoraj korzystał z tej łodzi - z zakłopotaniem wyznał wuj.

- Oczywiście, że to niemożliwe. Nawet nie próbuj się dowiadywać. Weszliśmy na ścieżkę wiodącą do domu.

- Możemy tylko dziękować Bogu, że nic ci się nie stało, moja droga. Stephen opowiedział mi całe to zdarzenie. Zachowałaś się bardzo dzielnie.

- Byłam śmiertelnie przerażona - wyznałam szczerze. - Już nigdy żadnych wodnych eskapad. Zostanę przy swoich koniach.

- Skoro mowa o koniach - zmienił temat. - Wiem, że Jasperowi spodobał się ten kasztan, którego mu pokazałaś.

- Snap?

- Właśnie ten. ile za niego chcesz, Annabello?

Przeszliśmy przez mostek i znaleźliśmy się w cieniu buków.

- Nie musisz go ode mnie kupować - odparłam poważnie.

- Wierz mi, że z radością zatrzymam go na ten sezon, żeby Jasper mógł na nim jeździć.

Adam potrząsnął kształtną, lekko posiwiałą głową, stanowczo odmawiając.

- Nawet nie przyszłoby mi do głowy, żeby cię o coś takiego prosić. Skorzystam z twojej propozycji, żeby go trzymać u ciebie w stajni, ale mój syn musi jeździć na własnym koniu.

Najwyraźniej dla Adama było kwestią honoru, żeby jego syn nie jeździł na pożyczonym koniu.

Chyba rozumiałam podejście wuja do tej sprawy. Był to pogodny, przyjacielski człowiek, ale lubił swoją pozycję miejscowej grubej ryby. W naszym małym zakątku świata, był królem. To do niego przychodzili farmerzy, kiedy potrzebowali funduszy na naprawy, nową studnię lub gdy chcieli omówić przedłużenie dzierżawy. To przed Adamem mieszkańcy wioski zdejmowali kapelusze, pastor prosił go o radę w rozwiązywaniu lokalnych problemów, a pan Matthew zapraszał go na wieczorną grę w karty i na szklaneczkę brandy. Zarówno Gerald, jak jego ojciec, trzy czwarte roku spędzali z dala od domu. W tym czasie władza nad okolicą spoczywała w rękach Adama.

Było dla mnie jasne, że wuj uważa, iż jego reputacja zostałaby zrujnowana, gdyby się rozeszło, że nie stać go na konia dla syna.

- Miałam zamiar zażądać za Snapa czterystu gwinei - oznajmiłam.

Szare oczy Adama spojrzały na mnie bystro.

- Zwykle dostajesz więcej.

Dotarliśmy do ogrodu.

- Tak, za niektóre konie - zgodziłam się. - Jednak dla Snapa trudno by było znaleźć odpowiedniego właściciela. Pod Jasperem sprawował się bardzo dobrze i jestem szczęśliwa, że znalazłam dla niego właściwego jeźdźca. Uważam, że czterysta gwinei to odpowiednia cena.

- W takim razie niech będzie czterysta gwinei - odparł. - Dam ci weksel na mój bank. - Uśmiechnęłam się i skinęłam głową. - Być może Jasper nie ma tytułu - ciągnął wuj - ale kiedy opuści armię, zajmie bardzo szacowne miejsce w społeczeństwie. Jakiś czas temu Fanny odziedziczyła bardzo miły mająteczek i Jasper będzie miał dom w Northamptonshire. - Nazwę hrabstwa wymówił z naciskiem. - Będzie miał również dochód zapewniający jego utrzymanie.

- To wspaniale. - Staralam się nie dać po sobie poznać, jak bardzo zdumiały mnie jego słowa. Dlaczego mi to wszystko mówił?

Zauważyłam, że jeden z ogrodników pracowicie przycina ozdobne krzewy, więc zawołałam do niego:

- Trochę się dzisiaj spóźniłeś, prawda John? Na dźwięk mojego głosu odwrócił się.

- Dzień dobry, milady, panie Grandville - powitał nas. - Teraz jest chłodniej niż w środku dnia - wyjaśnił.

- Tylko nie przegap kolacji.

- Nie ma mowy - odparł ze śmiechem.

Dochodziliśmy już do tylnych drzwi, kiedy Adam powiedział:

- Czy przeznaczyłaś dla Jaspera jeszcze jakiegoś konia?

- Właściwie żaden mi już nie został z partii zakupionej w zeszłym roku - odparłam z żalem. - Ale Jasper zawsze może dosiąść któregoś z moich nowych nabytków. Przyda im się trochę przeszkolenia, choć zwykle trochę umieją, więc jazda na nich to również przyjemność. Jack stale jeździ na moich nowych koniach.

- Powinien uważać się za szczęściarza, że w ogóle ma na czym jeździć. - Twardy ton jego głosu, zwykle tak miłego, trochę mnie zdziwił i nie wiedziałam co odpowiedzieć. - Co Jack postanowił względem polowań w tym sezonie? - zapytał Adam. - Rozmawiałaś ze Stephenem o opłaceniu jego składki klubowej?

- Nie. - Dotarliśmy już do drzwi i czekałam, aż wuj otworzy je przede mną. - Postanowiłam, że sama za niego zapłacę.

Ręka Adama odsunęła się od klamki. Zerknęłam na niego skonsternowana; spostrzegłam, że patrzy na mnie z gniewem.

- Nie powinnaś tego robić, Annabello - oznajmił. - To nie uchodzi.

Patrzyłam na niego zaskoczona. - Słucham?

- Jack nie powinien był się zgadzać na przyjęcie od ciebie takiej sumy.

Czułam, że moje plecy prostują się sztywno.

- Mój Boże, wuju Adamie, zaczynasz mówić jak mama. - Staralam się, żeby zabrzmiało to żartobliwie, ale zirytowało mnie, że wuj postanowił wygłosić mi kazanie.

Nie wyczuł mojej irytacji.

- A więc już zapłaciłaś, tak?

- Owszem, zapłaciłam - oznajmiłam zdecydowanie. - Uznałam tę sumę za wydatek na prowadzenie stadniny. Potrzebuję pomocy Jacka przy szkoleniu koni myśliwskich. Bardzo dobrze daje sobie radę z nie szkolonymi wierzchowcami.

Usta Adama ułożyły się w prostą linię i nie wyglądał już tak sympatycznie jak zwykle.

- Annabello, mam nadzieję, że się nie obrazisz za to, co za chwilę powiem. Muszę to powiedzieć, bo cię lubię i nie chcę, żeby ktoś cię zranił.

Patrzyłam na niego całkowicie zbita z tropu.

- Moja droga, od początku byłaś piękną kobietą, a teraz w dodatku jesteś bogata. Nie pozwól, żeby twoje miękkie serce wzięło górę nad wyjątkowo inteligentnym umysłem.

Mój wyjątkowo inteligentny umysł wreszcie zaczął pojmować, o co chodzi.

- Czyżbyś sugerował, że Jack to łowca posagów?

Siwiejące brwi Adama ściągnęły się w pełnym troski grymasie. - Jack desperacko potrzebuje pieniędzy. Nie ma właściwie żadnego prywatnego dochodu i musiał sprzedać farmy należące do majątku Rudely, żeby spłacić hipotekę domu. Jack nie przetrwa, jeśli się nie ożeni z bogatą kobietą.

- Sam mi to wszystko powiedział - oznajmiłam, tym razem nie starając się ukryć irytacji.

Proste brwi, takie same jak u Jaspera, uniosły się.

- Nie podejrzewałem, że jest taki sprytny - oznajmił cicho.

- Powiedział mi też, że to ty mu poradziłaś, żeby się ożenił dla pieniędzy - odcięłam.

- To była bardzo rozsądna rada - odrzekł spokojnie. - Jednak w żadnym razie mu nie sugerowałem, żeby wybrał sobie ciebie za cel.

Nie podobał mi się niepokojący obraz Jacka, jaki odmalował Adam. - Nie życzę sobie dalszej rozmowy na ten temat - powiedziałam dość wyniosłe. Otworzyłam drzwi i szybkim krokiem weszłam do środka.

Kolacja zaczęła się okropnie. Mama zachowywała się denerwująco, a księżę obraźliwie. Oboje winili Stephena za to, że naraził mnie i Gilesa na niebezpieczeństwo.

- Racja, to był mój błąd. Powiniennem był sprawdzić łódkę - zgodził się Stephen. Od dawna znał moją matkę i z doświadczenia wiedział, że przytakiwanie jej jest jedyną metodą przetrwania.

- Mam nadzieję, że zwolniłeś ludzi, którzy zajmowali się łodziami po festynie - zwrócił się księżę do Adama. - To poważne zaniedbanie, że tak niebezpieczna łódź została na jeziorze.

- Wczoraj przez cały dzień używano wszystkich łodzi - wyjaśniał Adam. - Stephen mówi, że kiedy wsiadali, dno było suche. Nie było powodu przypuszczać, że łódź jest uszkodzona.

Ukośne brwi księcia zbiegły się, nadając mu wręcz diaboliczny wygląd.

- Niemniej jednak, kogoś należy obarczyć odpowiedzialnością. Jakże to urocze, pomyślałam. Mąż mojej matki chętnie wyrzuciłby człowieka z pracy tylko dlatego, że „kogoś należy obarczyć odpowiedzialnością” !

- Annabella uważa, że to pewnie dzieci wczoraj poluzowały deskę dla żartu - powiedział

wuj.

Skrzywiłam się lekko. Teraz dopiero się zacznie, pomyślałam.

- Dla żartu! - Moja matka była oburzona. - Hrabia i hrabina Weston omal nie zginęli - dla żartu!

Nie mogłam nie zauważyć, Giles i ja nie byliśmy dla niej córką i wnukiem, tylko hrabią i hrabiną Weston.

- Wuj i opiekun hrabiego był w tej samej łodzi - zauważył Stephen. Nasze spojrzenia spotkały się ponad stołem.

W jego bliskich mi, niebieskich oczach wyczytałam znajomą z dawnych lat wiadomość: „Nie pozwól, żeby wytrąciła cię z równowagi”. Napięte mięśnie na moim karku nieco się rozluźniły. - W takim razie, należy odnaleźć te dzieci i ukarać - zdecydował książę.

- Przez łódź przewinęła się cała gromada dzieci - powiedział Jasper ze źle ukrywaną irytacją. - Wiem, bo to ja nadzorowałam zabawę nad jeziorem. Jeśli Annabella ma rację, że łódź uszkodzono podczas festynu, sporządzenie listy potencjalnych sprawców jest zupełnie niemożliwe.

- Trudno mi uwierzyć, że któreś z obecnych tu wczoraj dzieci mogłoby zrobić coś tak okropnego - odezwała się strapiona Nell.

- Znasz przecież dzieci - uspokajałam ją. - Nie zdają sobie sprawy z konsekwencji swoich czynów. Może jakimś chłopcom się wydawało, że to niezły dowcip, jeśli ktoś się skąpie w jeziorze. Na pewno sądzili, że to zdarzy się wczoraj, kiedy wokół było mnóstwo ludzi w innych łodziach i cały tłum na brzegu, gotów pośpieszyć na ratunek.

- Oburzające - stwierdził książę. - Trzeba odnaleźć tych chłopców i przykładowo ukarać.

Niebieskie oczy Jacka słały łobuzerskie błyski.

- Szkoda, że nie wpadłem na taki pomysł, kiedy byłem mały - oznajmił.

- Chętnie bym ci pomógł - zapewnił Jasper.

Spojrzeli na siebie i roześmiali się.

- Nie pamiętasz naszej tratwy? - zapytałam Nell. - Gdyby zatonąła, wszystkie byśmy się utopiły.

Nell odwróciła się do mnie i przez chwilę znów patrzyła na mnie młodsza siostrzyczka z dawnych lat.

- Zupełnie zapomniałam o tej tratwie - przyznała. Uśmiechnęła się. - Pamiętasz, jakich

dostałaś mdłości, kiedy wreszcie udało się nam dobić do brzegu?

- Tego nigdy nie zapomnę - zapewniłam gorliwie.

- O jakiej tratwie mówicie? - zainteresowała się moja matka.

Ciotka Fanny, która przez większą część kolacji milczała (matka była jedyną osobą, która potrafiła ją uciszyć), odezwała się teraz, równie zaciekawiona.

- Właśnie, Nell, jaka tratwa?

- To pewnie zdarzyło się tego lata, kiedy bawiliśmy się w kluby - domyślił się Stephen.

- Tak było. - Nell skinęła głową.

- Te okropne kluby - powiedziała z jękiem ciotka. - Przez całe lato były z tego same kłopoty.

Wszyscy obecni z mojego pokolenia zerknęli po sobie ukradkiem.

Mamo, historia naszej tratwy z pewnością cię nie zainteresuje - zapewniła Nell.

- A już na pewno nie zainteresuje mnie - odezwał się książę.

- To śmiertelnie nudne.

Wszyscy wiedzieliśmy, kto tu jest śmiertelnie nudny.

Nell nie całkiem skutecznie stłumiła chichot, a ja musiałam z całych sił wpatrywać się w talerz, żeby nad sobą panować. Od wielu miesięcy nie było mi tak lekko na sercu.

- Chyba już czas, żeby panie opuściły jadalnię, Annabello - stwierdziła moja matka.

- Tak, mamo. - Wstałam.

- Czy panowie nie zechcieliby przyłączyć się do dam? - Tym pytaniem Stephen zaskoczył nas wszystkich.

Poważnie naruszył etykietę. Panowie zawsze zostawali w jadalni co najmniej pół godziny dłużej, żeby wypić porto. Stephen, oczywiście, chciał się wykręcić od przebywania w wąskim gronie w towarzystwie księcia.

- Świetny pomysł - z zapalem poparł go Jasper. - W wojsku odzwyczaiłem się od picia porto po kolacji i teraz stwierdzam, że mój organizm bardzo źle znosi ten alkohol.

- A ja obiecałem małemu Gilesowi, że zanim pójdzie spać, zagram z nim w karty - odezwał się Jack.

Adam skrzywił się i jego dzisiejsze opinie o Jacku jako o łowcy posagów odżyły w mojej pamięci.

Nigdy przedtem Jack nie wykazywał zainteresowania Gilesem, pomyślałam. Czyżby się

starał zrobić na mnie dobre wrażenie? Potrząsnęłam głową, jakbym chciała wyrzucić z niej brzydkie podejrzenia.

Książę miał oburzoną minę.

- Ja z chęcią napiję się porto.

- Ja też - bez zapału oznajmił Adam.

- W takim razie oczywiście do was dołączę - powiedział Stephen.

- Ależ chłopcy, nie musicie z nami zostawać, jeśli nie macie ochoty - zapewnił Adam. -

Książę i ja doskonale sami damy sobie radę.

Powiedział to tak, jakby Stephen, Jasper i Jack mieli po dziesięć lat.

Młodzi mężczyźni wymienili spojrzenia. Z wysiłkiem powstrzymałam uśmiech.

- Tato, z przyjemnością dotrzymamy wam towarzystwa - bohaterko zaproponował Jasper.

- Jeśli nie chcesz pić porto, to zrezygnuj - uprzejmie zachęcił go Jack.

Jasper skrzywił się. Wiedziałam, że jeśli zostanę w jadalni minutę dłużej, to skompromituję się wybuchem śmiechu.

- Moje panie - odezwałam się i poprowadziłam całą gromadkę do drzwi.

- Weź psy i przyjdź do pawilonu wędkarskiego - wyszeptał mi do ucha Stephen, kiedy po wieczornej herbacie rozchodziliśmy się do swoich pokoi.

Wysłałam z salonu nie patrząc na niego. W garderobie odprawiłam czekającą na mnie Mariannę. Miałam na sobie tylko jedwabną halkę i białą, muślinową suknię we wzór z gałązek, obramowaną szeroką koronką. Na ramiona, dla ochrony przed chłodem, narzuciłam jedynie starą kurtkę do konnej jazdy i cicho wymknęłam się z psami przez boczne drzwi.

Księżyc spowijała dziwna, zielonkawa poświata, jakiej jeszcze nigdy nie widziałam. Pomyślałam, że pewnie jutro będzie burza.

Psy były zaskoczone, że nie idziemy jak zwykle w stronę wzgórz, tylko okrążamy dom i skręcamy na ścieżkę nad jezioro. Kiedy pojęły, dokąd zmierzamy, uszczęśliwione pobiegły przede mną, od czasu do czasu znikając między drzewami, których wdzięczny rozkład na północnym trawniku rozplanował sam Capability Brown. Szłam wolno, szukając tematu do rozmyślań, żeby nie koncentrować się wyłącznie na spotkaniu ze Step he nem.

Przypomniałam sobie dzisiejszą kolację i to, jak obecność matki i księcia niczym katalizator zjednoczyła wszystkich moich młodych kuzynów, tak że znów byliśmy sobie bliscy jak w czasach dzieciństwa.

Kiedy byłam żoną Geralda, poznałam wielu nowych ludzi, ale przyrodni kuzyni pozostali moimi najlepszy mi przyjaciółmi. Łączyły nas najtrwalsze więzy - wspólne dzieciństwo.

Nagle oczyma duszy zobaczyłam Jacka i jego minę, kiedy po kolacji siedział za stołem w dzieciennym pokoju, śmiejąc się i grając w karty z Gilesem i panną Stedham. Buzia mojego syna promieniała szczęściem.

Znałam Jacka całą wieczność i byłam pewna, że nie wykorzystałby uczuć dziecka dla swoich własnych celów. Byłam wściekła na Adama, że zaszczepił w moim umyśle takie brzydkie podejrzenia.

Portia i Merlin zaszczekały wesoło i pobiegły do pawilonu.

W świetle księżyca zobaczyłam na werandzie jasną plamę białej koszuli. Podążyłam za psami i wspierałam się po drewnianych schodach. Stephen stał opierając się o balustradę. Patrzył na mnie.

- Jak ci się udało zdążyć przede mną? - zaciekawiłam się.

- Wymknąłem się przez drzwi na taras tuż po twoim wyjściu - wyjaśnił.

- Aha.

Wyprostował się, kiedy podeszłam. Staliśmy twarzą w twarz na drewnianej werandzie w niesamowitym, zielonym świetle księżycy i spoglądaliśmy na siebie.

- Wydaje mi się, że oszaleję, kiedy jestem tak blisko ciebie, a nie mogę cię dotknąć - powiedział.

Stężona napiętość brzmiąca w jego głosie wznieciła we mnie ogień, ale opanowałam się. Odparłam tak chłodno, jak tylko zdołałam: - Cokolwiek między nami było, skończyło się pięć lat temu.

Zabiłeś to, kiedy mnie zostawiłeś i wyjechałeś na Jamajkę.

Księżyc świecił na tyle jasno, że spostrzegłam napięcie w rysach twarzy Stephena, jego zaciśnięte usta i błysk w oku, z jakim na mnie patrzył.

- Nie wierzę w to - oznajmił. - Nie wierzę.

- Nie obchodzi mnie, w co wierzysz. - Słyszałam gniew wibrujący w moim głosie. - Zostawiłeś mnie - powtórzyłam. - Wsiadłeś na statek i odpłynąłeś, nawet o mnie nie pomyślawszy!

- To nieprawda - bronił się. Długie, czarne rzęsy rzuciły cień na policzki. - Oczywiście, że o tobie myślałem! Zamierzałem do ciebie napisać tuż po przyjeździe na Jamajkę.

Złożyłam ramiona na piersiach, jakbym chciała się bronić przed zdradzieckimi uczuciami, jakie wywoływała we mnie jego bliskość. - Ale nie napisałeś - powiedziałam z goryczą.

- Chryste, Annabelle! Przecież wysłaś za mojego brata! Co miałem ci napisać? Że życzę ci wszystkiego najlepszego?

Poruszony lekkim wietrzykiem luźny kosmyk włosów opadł mi na twarz, więc podniosłam rękę, żeby go odsunąć. Step hen jęknął i zanim zdałam sobie sprawę, do czego zmierza, znalazłam się w jego ramionach, a jego usta zbliżyły się do moich.

Spodziewałam się, że Stephen spróbuje czegoś takiego i szczerze postanowiłam go odtrącić. Prawdę mówiąc, spodziewałam się, że sprawi mi to wiele przyjemności, jeśli teraz go odrzucę, jak on mnie kiedyś.

Przynajmniej tak sobie wmawiałam, kiedy zgodziłam się na dzisiejsze nocne spotkanie.

Usta Stephena dotknęły moich. Bez przekonania próbowałam go odepchnąć, ale on całkiem słusznie zignorował tę próbę. Wciąż mnie całował, a siła jego pocałunków odchyliła

moją szyję w tył. Jedną ręką podtrzymał mi głowę, a drugą położył na mojej piersi.

Już zapomniałam, co się w takiej sytuacji czuje. Cały gniew ze mnie wyparował. Porzuciłam plany zemsty. Odpowiadałam pocałunkami na jego pocałunki. Wysunęłam jego koszulę zza paska, wsunęłam dłonie pod cienkie białe płótno i gładziłam nagą pierś. Wydawało mi się, że jego ciało parzy mi palce. Wdychałam jego zapach. Lizałam skórę.

- Annabelle. - Głos miał schrypnięty. - Szezlong. W pawilonie ... Usiłowałam rozpiąć stanik sukienki, żeby Stephen mógł włożyć pod nią dłoń, dotknąć mojej nagiej skóry.

- Tak - powiedziałam.

Kolana miałam tak miękkie, że kiedy zrobiłam krok, zachwiałam się. Wziął mnie na ręce i zaniósł do ośmiokątnego pokoju, głównego pomieszczenia w pawilonie.

Oparte o ściany stały tu wędki, leżały linki, dwa puste kubelki i cztery nie zapalone latarnie. W jednym rogu ośmiokąta ustawiono niską skrzynię, w trzech innych rogach stały łodzie. Chociaż okna były otwarte, czuło się woń wilgoci, pleśni i ryb. Poduszki na szezlongu również pachniały wilgocią, ale ani tego nie zauważaliśmy, ani nam to nie przeszkadzało.

Osunęliśmy się razem na szezlong, rozpinając i zdejmując z siebie ubranie, żeby nam nie przeszkadzało, a Stephen cały czas mnie całował. Serce biło mi tak mocno, że drżały mi piersi. Wyjął grzebień z moich włosów i starannie upięte pukle rozsypały się wokół nas. Odsunął spódnicę sukni z moich nóg.

Wygięłam się i uniosłam biodra. Pragnęłam go dokładnie tak samo jak on pragnął mnie. Wszedł we mnie głęboko, raz po raz pograżał się w moim wilgotnym wnętrzu, unosząc mnie siłą swoich pchnięć, wywołując we mnie niewyobrażalne uczucie rozkoszy.

Wypowiedziałam głośno jego imię, które przez pięć długich, jałowych lat mogłam powtarzać jedynie w myślach.

- Stephen. Stephen. Stephen. - Potem, kiedy moim ciałem wstrząsnęła eksplozja ostatecznej rozkoszy, triumfalnie zawołałam jeszcze głośniejszym głosem: - Stephen!

Jedynym dźwiękiem w pokoju były teraz nasze urywane oddechy.

Leżeliśmy tak blisko siebie, jak to tylko możliwe, ciało w ciele. Otaczałam go w pasie nogami, spleśliśmy ramiona.

- Kiedy dzisiaj zostawiłem cię na jeziorze, była to najgorsza chwila w moim życiu - wyszeptał mi do ucha. - Gorsza niż ta, kiedy się dowiedziałem, że poślubiłaś Geralda. - Oczywiście miałam mocno zamknięte, wtuliłam twarz w jego szyję. Wymamrotałam coś, żeby go odwieść od

tego tematu. Jednak Stephen jak zwykle nie pozwolił rozproszyć swojej uwagi. - Czasami budziłem się w nocy i oczami wyobraźni widziałem was razem. Wtedy pragnąłem go zabić. - Poczułam, że przebiegł go dreszcz. - Nikt nie powinien żywić takich uczuć do własnego brata.

Musiałam mu to powiedzieć, więc zacisnęłam jeszcze mocniej powieki i wyszeptałam:

- Za każdym razem, kiedy byłam w łóżku z Geraldem, wyobrażałam sobie, że to ty.

Jęknął i zacieśnił uścisk, chociaż wydawało mi się to niemożliwe.

- O, Boże. Annabello.

Czułam w sobie, że jego pożądanie znów narasta. Uniosłam głowę, tak że moje usta znalazły się przy jego uchu.

- Pocałuj mnie - wyszeptałam.

Tak bardzo siebie potrzebowaliśmy. Noc upłynęła nam wśród porywów dzikiej namiętności. Po jakimś czasie psy zrezygnowały z czekania na powrót do domu, ułożyły się na podłodze i zasnęły.

Tuż przed świtem Medin obudził mnie z głębokiego, wywołanego zmęczeniem snu.

Najpierw ciche skomlenie, potem pisk, sapnięcie i znów długie skomlenie.

Kiedy otworzyłam oczy, zaszczekał wesoło. Najwyraźniej mnie widział, chociaż ja jego nie. Księżyc już zaszedł, a słońce jeszcze nie wstało i czarna głowa spaniela ginęła w ciemnościach zalegających pawilon.

Z wysiłkiem odzyskiwałam całkowitą jasność umysłu. Szezlony był wąski, ale wtuliliśmy się w siebie ze Stephenem, więc udało nam się zasnąć. Kiedyś bardzo często nam się zdarzało spędzać noce na tym właśnie meblu, więc nabraliśmy wprawdy.

Nie mogłam się poruszyć, bo przygniatały mnie jego prawa ręka i noga.

Nie miałam pojęcia, która godzina.

- Stephen - powiedziałam nagłoco. - Stephen! Obudź się. Muszę wracać do domu, zanim ktoś zauważy, że mnie nie ma.

Nie odpowiedział, nie poruszył się. Nikt nie spał tak mocno jak on.

Leżałam na brzuchu, więc spróbowałam się odwrócić, żeby zepchnąć go z siebie. Merlin znów zaszczekał i tym razem dołączyła do niego Portia. Szczekanie w połączeniu z moimi niespokojnymi ruchami wreszcie dotarło do Stephena. Wymamrotał coś pod nosem.

- Stephen, wstawaj!

- Annabello, zasnęliśmy - powiedział. Z chwilą otworzenia oczu, całkowicie się rozbudził.

- Księżyc zaszedł. Musi być bardzo późno. Nic nie widzę, a muszę wracać do domu!

- Nie wpadaj w panikę - uspokoił mnie. Czułam, że się odsuwa, więc z wysiłkiem usiadłam. W ciągu nocy zdjęliśmy z siebie wszystko, więc spróbowałam w ciemnościach odszukać swoje rzeczy na podłodze obok szezlonga.

- Zobaczę, może da się zapalić którąś z tych latarni - powiedział Stephen.

Deska podłogi skrzypnęła pod ciężarem jego kroków. Dla mnie wokół panowały nieprzeniknione ciemności, ale Stephen zawsze doskonale widział w nocy. Usłyszałam, że podnosi wieko skrzyni.

- Znalazłem hubkę i krzesiwo.

- Dzięki Bogu.

Słyszałam, jak podchodzi do miejsca, gdzie stały latarnie. Już po chwili mieliśmy światło.

Zamrugałam i spojrzałam na Stephena, który właśnie wyprostował się nad lampą. Jego męskie ciało, oświetlone żółtym blaskiem płonącej oliwy, miało równie płaski brzuch i wąskie biodra, jak ciało chłopca, które zapamiętałam, jednak pierś i ramiona były o wiele szersze i bardziej umięśnione. Tors miał ogorzały niczym Indianin, ale między pasem a kolanami ciało pozostało białe.

- Czyżbyś na Jamajce stale biegał półnagi? - zapytałam z oburzeniem.

Zerknął na siebie i roześmiał się.

- Mówiłem ci, że dużo pływałem. - Zostawił latarnię i podszedł do mnie. - Plaże na Jamajce są piękne, piasek drobny i biały, a woda ma barwę turkusową.

- To musi wyglądać jak raj.

Usiadł obok mnie na szezlongu i materac cicho zatrzeszczał pod jego ciężarem. Usta Stephena ułożyły się w surową linię.

- Krajobraz rzeczywiście przypomina raj, ale zapewniam cię, że dla mieszkających tam czarnych nieszczęśników warunki życia są dalekie od niebiańskich.

Pochyliłam się i ucałowałam ponuro zaciśnięte usta. Potem naciągnęłam sukienkę przez głowę, nie zaprzatając sobie głowy halką ani pantalonami. Wstałam, wygładziłam fałdy materiału i podniosłam rzuconą na podłogę kurtkę.

- Dzięki Bogu, że miałam na tyle przytomności umysłu, żeby zabrać klucz od tylnych drzwi - powiedziałam, dotykając Kieszeni kurtki, aby się upewnić, że klucz wciąż tam jest. Stephen wstał, żeby zapiąć koszulę. Spojrzał na mnie z domyślnym uśmiechem, ale nic nie

powiedział. Ten uśmiech mnie zdenerwował. - Wcale nie dlatego go wzięłam, że planowałam spędzić z tobą noc - oznajmiłam wyniośle.

- Nie?

- Nie.

- Skoro tak twierdzisz.

Jego ton świadczył o tym, że mi nie uwierzył. Ja sama nie byłam pewna, czy sobie wierzyłam. Dlaczego zabrałam ten przeklęty klucz? Hodges zwykle zamykał wszystkie drzwi o północy, przed pójściem na spoczynek, więc zawsze wracałam z wieczornego spaceru przed dwunastą. Jednak dzisiaj, z jakiegoś powodu, wychodząc z domu zdjęłam klucz z haczyka przy drzwiach i wsunęłam do kieszeni kurtki do konnej jazdy.

W ciszy skończyliśmy się ubierać.

- Chcesz, żebym wziął lampę? - zapytał Stephen.

Gdybyśmy ją wzięli, musielibyśmy potem wytłumaczyć, skąd się wzięła rano w domu.

- Myślisz, że uda ci się doprowadzić nas do domu bez niej? - upewniłam się.

- Tak.

- W takim razie zostaw ją tutaj.

Kiedy opuściliśmy pawilon i przez ciemny park zmierzaliśmy do domu, ptaki zaczynały już się nawoływać. Stephen otoczył mnie ramieniem, a ja przytuliłam się do niego całym ciałem i zrównałam krok z jego krokiem. Słyszałam sapanie psów biegnących u naszych nóg.

Stephen odezwał się, jakby kontynuował przerwana wcześniej rozmowę•

- Musisz czekać rok, zanim powtórnie wyjdiesz za mąż?

- Tak.

- To znaczy jeszcze sześć miesięcy.

- Tak.

Wypuścił powietrze z płuc z długim, świszczącym westchnieniem.

- Annabello, pół roku to piekielnie długo.

Nic nie odrzekłam.

Na niebie pojawiły się pierwsze szare smugi. Świat wokół mnie zaczął przybierać wyraźniejsze kształty i widziałam już wystarczająco ostro, żeby samodzielnie odnaleźć drogę. Jednak nie odsunęłam się od Stephena.

- Giles to bardzo dzielny chłopiec - stwierdził. - Nie chciał cię dzisiaj zostawić na

jeziorze. Powinnaś być z niego dumna.

- I jestem. - Wzięłam głęboki oddech i poruszyłam jeszcze jeden problem, który musieliśmy omówić. - Ty powinieneś zostać następnym hrabią, nie twój syn.

- Nie chcę być hrabią - zaprotestował.

- Zastanawiałam się nad tym - ciągnęłam, jakby nic nie powiedział. - Może udałoby się nam znaleźć jakiś legalny sposób, żeby przywrócić ci utracony tytuł.

Zatrzymał się. Zwrócił moją twarz ku sobie, tak że musiałam na niego patrzeć.

- O czym ty mówisz?

- Cóż ... - Obserwowałam go uważnie, żeby wy badać jego reakcję. - Moglibyśmy sprawić, żeby uznano Gilesa za twojego syna.

Gwałtownie ściągnął brwi. Oczy rozbłysły mu niebieskim ogniem. - Oszalałaś? - zapytał z niedowierzaniem. - To by go napiętnowało jako bękarta. Nigdy bym mu czegoś takiego nie zrobił. - Czułam, że dwie łzy wypływają mi spod powiek i toczą się po policzkach. - Przestań - nakazał ze złością i znów poprowadził mnie aleją do domu. - Nie chcę być hrabią - powtórzył. - Zamierzam zasiąść w Izbie Gmin i nawoływać do reform.

Odwróciłam lekko głowę, tak że moje usta dotykały jego obojczyka.

Dwa jelenie wyszły z mgły i przecięły ścieżkę tuż przed nami.

Ostro krzyknęłam na psy, które szlachetnie zrezygnowały z pościgu.

- Jednej rzeczy w tym wszystkim nie rozumiem - odezwał się Stephen. - Jak myślisz, dlaczego Gerald wyznaczył mnie na opiekuna Gilesa?

- Nie mam pojęcia - odparłam szczerze.

Przeszliśmy kilka kroków. Świt stał się na tyle jasny, że rozróżniłam zarys dachu i kominów domu.

- Zawsze myślałem, że Gerald ma mnie wręcz za idiotę - powiedział Stephen.

To prawda, że Gerald nigdy nie miał zrozumienia dla spraw, o które walczył Stephen. Bardzo się denerwował, zwłaszcza wtedy, gdy Stephen wywołał słynne zamieszanie w Eton. W tym czasie studiował w Oksfordzie, ale słyszał o wybrykach Stephena od tak wielu ludzi, że niełatwo mu przyszło wybaczyć je młodszemu bratu.

- Bardzo się zdziwiłam, kiedy pan MacAllister wyczytał twoje imię - przyznałam. - Jak wszyscy inni, spodziewałam się, że opiekunem zostanie Adam. - Pojawił się różowawy blask. Na niebie nad wschodnim horyzontem.

- Ojej - jęknęłam. - Służba chyba już wstaje. Na pewno ktoś nas zobaczy.

- Wybór Adama byłby najbardziej logiczny. - Stephen nigdy nie dawał się odwieść od głównego tematu.

- Mogę tylko przypuszczać, że Gerald podejrzewał, kto jest ojcem Gilesa i chciał, żebyś miał coś do powiedzenia w sprawie wychowania syna - powiedziałam, starając się załagodzić problem.

- Nie. - Stephen odrzucił ten pomysł. - To by nie pasowało do reszty. Gerald nie próbowałby najpierw mnie zmylić co do daty narodzin Gilesa, żeby potem dokonać nagłego zwrotu i mianować mnie jego opiekunem.

- No ... rzeczywiście, kiedy tak to ująłeś, widać, że to byłoby bez sensu. - Przed wyjściem z pawilonu nie zadałam sobie trudu, żeby ułożyć fryzurę, myśląc, że wrócę do domu, zanim ktokolwiek z jego mieszkańców się obudzi. - Zaczekaj chwilę - poprosiłam. Zatrzymałam się, odszukałam w kieszeni grzebienie wysadzone macicą perłową, które Stephen w nocy wyjął mi z upiętych włosów. Trzymając je w zębach, zaczęłam splatać warkocz, przerzuciwszy go przez ramię.

- Tak się zastanawiam - wolno powiedział Stephen, patrząc na mnie. - Może Gerald podejrzewał, że coś jest nie w porządku z księgami rachunkowymi Weston.

Dopiero po chwili zrozumiałam, do czego zmierza. Wtedy zamarłam w bezruchu i powiedziałam, tak ostro jak tylko mogłam to zrobić trzymając między zębami grzebienie:

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że Gerald nie ufał Adamowi!

- Sam nie wiem. - Stephen przeczesał splątana czuprynę, odsuwając z czoła niesforne kosmyki. - Dlaczego więc nie wybrał Adama?

Ułożyłam zapleciony, gruby warkocz na czubku głowy i upięłam go grzebieniami.

- Przede wszystkim, musisz zdać sobie sprawę, że Gerald z pewnością nie spodziewał się tak rychłej śmierci. Kiedy sporządzał testament, zapewne myślał, że jeśli umrze, zanim Giles skończy dwadzieścia jeden lat, to Adam będzie zbyt stary, żeby dobrze się spisać jako opiekun młodego chłopca. Pewnie wolał wybrać kogoś, kto lepiej by zrozumiał młodzieńca w tym wieku.

- Może i tak - odarł Stephen. Znow ruszyliśmy przed siebie.

- Na pewno tak - oznajmiłam stanowczo.

- Mimo wszystko, bardzo starannie przejrzy książki Adama - zapowiedział.

Znowu przystanąłam i odwróciłam się twarzą do Stephena.

Oparłam ręce na biodrach i powiedziałam:

- Nie mogę uwierzyć, że jesteś taki podejrzliwy! Rozpoznałam znajomy wyraz uporu w jego twarzy.

- Mówimy tu o dziedzictwie mojego syna i nie chciałbym się dowiedzieć, że Adam je trwoni.

- Ależ Adam nie jest utracjuszem!

- Mam nadzieję, że się nie mylisz i nie znajdę żadnych nieprawidłowości. Ale sprawdzę bardzo dokładnie.

Byliśmy już blisko domu.

- Pójdę pierwsza i zostawię tylne drzwi otwarte - rzekłam.

- Zaczekaj co najmniej kwadrans, zanim za mną pójdziesz.

Skinął głową. Spojrzeliśmy na siebie. Lekko się zachwiałam, więc objął mnie i pocałowaliśmy się.

Jak to możliwe, że nasze uczucia tak szybko odżyły?

- Muszę już iść - powiedziałam cicho.

Zobaczyłam, że z wysiłkiem przelyka ślinę. Skinął głową.

- Idź.

Cicho zawołałam na psy i zostawiłam Stephena przy kamiennej umie, pełnej różowych petunii, stojącej u wylotu żwirowej ścieżki nad jezioro.

Spałam tylko kilka godzin i powinnam być wyczerpana, jednak od lat już nie czułam się tak rześka i energiczna. Zjadłam śniadanie z Gilesem, w ten sposób unikając reszty rodziny, a potem udałam się do biura, żeby poczekać na pana Matthew, który miał przyjść na rozmowę o klubowych interesach. Jego pierwsze słowa, kiedy tylko stanął w drzwiach, brzmiały:

- Promiennie dzisiaj wyglądasz, Annabelle.

To nie była dobra wiadomość. Jeśli zmieniałam się aż tak, że zauważył to pan Matthew; to z pewnością nie ukryje się to przed bystrym wzrokiem mojej matki.

- To pewnie dzięki pogodzie - wyjaśniłam. - Chyba czuję już jesień w powietrzu.

Było to z mojej strony bardzo sprytne stwierdzenie, ponieważ każda wzmianka o jesieni niezmiennie sprawiała, że pan Matthew zaczynał myśleć o sezonie łowieckim.

- Naprawdę? - zapytał z nadzieją.

Uśmiechnęłam się.

- Jak się chowają szczenięta?

- Wspaniale. Jestem pewien, że niedługo będziemy mieli najlepszą sforę w całym kraju.

Po chwili pogawędki o psach przeszliśmy do spraw, które sprowadziły dziś pana Matthew do Weston.

- Większości farmerów, na których liczyliśmy, nie udało się opłacić składki - powiadomiłam go.

Z aprobatą wpatrywał się w obraz wiszący nad biurkiem - scenę myśliwską, którą podarował mi jako ślubny prezent - ale na dźwięk moich słów natychmiast zwrócił na mnie wzrok.

- Kto nie zapłacił? - zapytał z mocą.

- Na przykład Roger Whitelaw.

- Whitelaw nie opłacił składki klubowej?

- Nie dlatego, że nie chciał - tłumaczyłam. - Powiedział mi, że nie bardzo go na to stać. Teraz, kiedy wojna się skończyła, zboże nie przynosi już takiego dochodu jak kiedyś.

- To straszne - zmartwił się. Doskonale rozumiałam, że nie chodzi mu o spadek cen pszenicy.

- Nie możemy pozwolić sobie na wykluczenie farmerów z klubu - oznajmiłam. - Ich

dobra wola jest dla nas zbyt ważna.

- Zdaję sobie z tego sprawę - przytaknął rozdrażniony. - Do diabła! Przecież to, że staraliśmy się udobruchać farmerów, a raczej ich żony, doprowadziło do podniesienia wysokości składki!

Westchnęłam.

- Nie ma prostego rozwiązania, prawda? Jestem ciekawa, czy inne kluby mają takie same problemy.

- Nie wiem, jaka jest sytuacja w klubach obejmujących całe hrabstwa, ale małe, lokalne kluby są w równie trudnej sytuacji - odparł pan Matthew. - Przypomnij sobie tylko, jaka okropna rzecz przytrafiła się w zeszłym roku lordowi Hartly w Aldesley Wood.

Lord Henry Hartly był prezesem klubu West Sussex Hounds, a Aldesley Wood, należące do markiza Highdon, stanowiło ważną część jego terenów łowieckich.

- Nic nie słyszałam o sprawie Aldesley Wood - oznajmiłam. Pan Matthew spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

- Nie wiesz, że ktoś podłożył w lesie zatrute mięso i dwa psy ze sfory lorda padły?

- To straszne! - Byłam wstrząśnięta. - Dlaczego ta wiadomość do mnie nie dotarła?

Zabębnił długimi, arystokratycznymi palcami po obitym aksamitem ramieniu fotela.

- Cóż, ja sam dowiedziałem się o tym pod sam koniec sezonu, a w tym czasie ty miałaś inne sprawy na głowie.

Zapadła cisza, podczas której oboje myśleliśmy o Geraldzie.

- Proszę mi opowiedzieć, co się wydarzyło - zapytałam po chwili. - Wszyscy wiedzą, że lord Hartly regularnie poluje w Aldesley Wood. Kto mógł zrobić coś tak okropnego, jak podrzucenie w takim miejscu trucizny?

- Hartly podejrzewa zarządcę markiza - odrzekł pan Matthew złowróżbnym tonem. - Co takiego? Skinął głową.

- Tak. Człowieka o nazwisku Appleby. Skarżył się kiedyś lordowi, że nikt nie odławia lisów, wobec czego stały się plagą dla okolicznych farmerów. Hartly wyjaśnił mu, że nie udaje mu się dopaść żadnego lisa, bo gajowi nie zatykają lisich nor.

Lisy to zwierzęta nocne, które zwykle nad ranem wracają do swoich nor. Jeśli wejścia do nich nie są zatkane, zwierzęta korzystają z kryjówek i myśliwi nie mają na co polować. Wielcy posiadacze ziemscy, tacy jak markiz Highdon, zwykle współpracują z lokalnymi klubami

łowieckimi i nakazują swoim gajowym, żeby zatykali lisie nory w sezonie polowań. Jeśli gajowi markiza zaniedbali ten obowiązek w Aldesley Wood, to oczywiście lord Hartly nie mógł dopaść żadnego lisa. Wszystkie smacznie sobie spały pod ziemią, podczas gdy psy na próżno biegały po lesie, próbując je wytropić.

- Dlaczego lord Hartly podejrzewa, że zarządca markiza jest za to odpowiedzialny? - zaciekałam się.

- Kiedy Hartly dostał pierwszy beczelny list od Appleby'ego ze skargami na nadmiar lisów, oczywiście wpadł w gniew i napisał prosto do markiza, informując go, że jego gajowi nie dopełniają swoich obowiązków względem klubu. Lord nadal polował w Aldesley Wood, czekając na odpowiedź od markiza i właśnie wtedy otruto psy. Możesz sobie wyobrazić, jaki był wściekły.

Na tę myśl poczułam przebiegający mnie dreszcz. Każdy właściciel sfory wpada w gniew, gdy ktoś otruje jego psa, a w dodatku lord Hardy nie słynął z łagodnego usposobienia.

- Co się stało potem? - dopytywałam się.

- Hardy pojechał do Londynu, żeby osobiście rozmówić się z markizem. Highdon jest już stary, poza tym nigdy nie był zapalonym myśliwym, ale zna swój obowiązek względem kraju. Nie chciał zwolnić podstępnego Appleby'ego, ale nakazał swoim gajowym zatykanie nor w Aldesley Wood. - Szczupła, ascetyczna twarz pana Matthew była tak rozświetlona, jak oblicze mnicha, który właśnie miał wizję nieba. - Na miejscu Appleby'ego, nie wchodziłbym lordowi w drogę.

Skinęłam głową z wielkim przekonaniem.

- Wracając do sprawy farmerów - ciągnął energicznie - rozumiem, że żaden z twoich dzierżawców nie zapłacił? - Pan Matthew prychnął.

- Zgadza się. Też jestem niezadowolona - dodałam.

- Cóż, nic na to nie poradzimy - stwierdził gderliwie.

- Możemy tylko zaoferować zniżkę tym, na których ziemi polujemy.

Właśnie takie rozwiązanie przyszło mi już wcześniej do głowy.

- Wspaniały pomysł! - zawołałam z radością w głosie. Spojrzał na mnie zwięzonymi oczami.

- Czy przez to zabraknie nam funduszy?

- Może tak być - przyznałam. - Od czasu naszej ostatniej rozmowy przyjąłm opłatę

jedynie od moich kuzynów, Jacka i Jaspera ..

Pan Matthew miał zaskoczoną minę.

- Nie spodziewałem się po żadnym z nich takiej sumy. Wszyscy wiedzą, że Jack nie ma grosza przy duszy, a Jasper musi zadowolić się żołdem.

- Adam powiedział mi, że Fanny odziedziczyła niewielki majątek - wyjaśniłam. - Dzięki temu kupił również konia, żeby Jasper miał na czym polować.

- No, no, no. - Pan Matthew wydał usta. Zapadła cisza, a mój wzrok, jak to często bywało, powędrował na przeciwległą ścianę i zatrzymał się na obrazie Stubbsa. - A Stephen? - ożywił się pan Matthew. - Teraz pewnie przejął już kontrolę nad pieniędzmi po matce. Myślisz, że udałoby ci się go przekonać, żeby zapisał się do klubu i wpłacił składkę? - Oderwałam wzrok od obrazu i spojrzałam na mojego rozmówcę. - Rozumiem, że raczej nie - domyślił się.

Stephen nienawidził polować. Szkoda mu było lisów. Nauczyłam się już nigdy nie dyskutować z nim na ten temat. Zawsze budził we mnie poczucie winy za to, że tak lubię polowania.

- Chyba mogłabym zapytać księcia - zaproponowałam wolno.

- On również poluje.

Pan Matthew wzdrygnął się.

- Nie rób tego, Annabelle - poprosił błagalnie. - Wolę już raczej borykać się z brakiem pieniędzy, niż polować z księciem Saye.

Moje zdanie było dokładnie takie samo, więc nie próbowałam się spierać.

- Cóż, musimy sobie jakoś radzić z tym, co mamy - podsumował.

- Obawiam się, że tak - zgodziłam się.

Wbrew moim oczekiwaniom, pan Matthew nie zaczął zbierać się do odejścia, tylko usadowił się wygodniej w fotelu i pociągnął łyk wina, którym go poczęstowałam na początku rozmowy.

- Jak się sprawują twoje nowe konie? - zagaił gawędziarsko.

- Uczą się bardzo wolno - odparłam z kwaśnym uśmiechem.

- Ciągle zapominam, jakie zielone są folbluty tuż po zejściu z toru.

- Nie wątpię, że pod koniec sezonu będą uległe jak baranki - zapewnił z zapałem.

- Najpierw muszą je przeszkolić w terenie. Koniecznie potrzebne są jazdy w lesie. Stare konie myśliwskie też muszą się trochę rozkręcić przed sezonem.

- A ja muszę przyuczyć swoje młode psy - oznajmił z zapalem.

Pochylił się ku mnie, balansując kieliszkiem z winem na kolanie. - Właściwie moglibyśmy trochę wcześniej rozpocząć sezon polowań na młode lisy. Nie masz nic przeciwko pobudce o czwartej rano, prawda?

- Oczywiście, że nie - odparłam dziarsko. Główną wadą polowania na młode lisy jest pogoda, wciąż jeszcze ciepła, z powodu której trzeba wyprowadzać psy w las bardzo wcześnie, kiedy powietrze jeszcze jest chłodne, a tropy na ziemi świeże. W końcu sierpnia oznaczało to, że muszę być w stajni o piątej, żeby spotkać się z panem Matthew o szóstej rano.

Nie trzeba dodawać, że niewielu członków klubu zdecydowało się na takie polowanie.

- W zasadzie dobrze by było zacząć sezon już teraz - stwierdziłam. - Jack zatrzymał się u nas i mógłby trochę podszkolić któregoś z nowych koni.

Pan Matthew spojrzał na mnie przeciągle i badawczo.

- Nie powiedziałaś mi, skąd Jack wziął pieniądze na składkę.

- Miał trochę szczęścia przy stoliku karcianym - odrzekłam.

Nie wiem dlaczego, ale postanowiłam nie mówić panu Matthew, że zapłaciłam za kuzyna.

- Hmmm. - Twarz mojego gościa wyrażała niedowierzanie.

- Może uda mi się namówić Stephena, żeby wybrał się z nami.

To tylko szkolenie psów i koni. Zawsze pan pilnuje, żeby nie zabito żadnego lisa, więc wrażliwość Stephena na dołę zwierząt nie ucierpi.

- Ten chłopak ma dziwaczne przekonania - stwierdził pan Matthew z irytacją. - Do diabła, przecież lisy to zaraza!

Nie chciałam dłużej dyskutować na ten temat.

- Mam trochę zastrzeżeń do jednego z ostatnio kupionych koni.

Jest dużo bardziej nerwowy niż te, które zwykle do mnie trafiają. Chciałabym, żeby Stephen go wypróbował. Przy nim każdy koń robi się spokojny.

- Nigdy nie mogłem tego zrozumieć - przyznał niechętnie.

- Ten chłopak po prostu siedzi sobie w siodle jak na kanapie, a koń i tak wszystko dla niego robi.

Rzeczywiście, Stephen nie był wytrawnym jeźdźcem, przynajmniej w pojęciu mojego gościa. Jednak miał naturalny dar wyczuwania nastroju wierzchowca. Można było niemal zobaczyć, jak napięte, spłoszone zwierzę oddycha z ulgą, kiedy Stephen ujmuje wodze.

Drzwi za plecami pana Matthew otworzyły się i do biura zajrzał Jasper.

- Och, przepraszam, Annabelle. Nie wiedziałem, że odwiedził cię pan Matthew. - Już miał się wycofać.

- Wejdz, Jasper - zaprosiłam go. - Skończyliśmy już rozmowy o interesach i jestem pewna, że pan Matthew z chęcią napije się z tobą wina.

- Podejdz tu, mój chłopcze - zachęcił go pan Matthew serdecznie. - Słyszałem, że w tym roku będziesz z nami polował. To wspaniała wiadomość.

- Tak, Annabella wciągnęła mnie na listę członków klubu.

- Podeszedł do szafki, gdzie trzymałam wino i napełnił kieliszek.

- Wystąpiłeś więc z armii? - zaciekawił się pan Matthew.

Jasper usiadł na twardym krześle, jedynym pozostałym miejscu do siedzenia, znajdującym się w biurze.

- Jeszcze nie, proszę pana. Pewnie jednak to zrobię. Ojciec chce, żebym przejął majątek, który odziedziczył.

Pan Matthew uniósł brwi. Zawsze mnie zadziwiało, że wyglądał jak średniowieczny uczonec, chociaż, co doskonale wiedziałam, czytywał jedynie książki o hodowli koni.

- Dzisiaj po raz pierwszy słyszę o tym spadku. Jasper wzruszył ramionami.

- Jakiś wiekowy krewny mojej mamy zakończył życie.

- Aha.

Wzrok Jaspera spoczął na mojej twarzy.

- Wyglądasz dzisiaj wyjątkowo promiennie. Do licha, pomyślałam.

- Postanowiliśmy przyspieszyć sezon polowań na młode lisy - odezwał się pan Matthew. - Myśl o polowaniu zawsze sprawia, że Annabella się rozpromienia. - Podziękowałam mu w myślach i posłałam pełen wdzięczności uśmiech. - Gdzie jest Stephen? - zapytał następnie. - Nie widziałem go od dnia, w którym wrócił z Jamajki.

- Przegląda księgi rachunkowe z moim ojcem.

- Wielkie nieba! Dlaczego to robi?

- Nie mam pojęcia. - Głos Jaspera był bezbarwny, szare oczy spoglądały niezwykle zimno.

- Wie pan, jakie Stephen ma wybujałe poczucie obowiązku - powiedziałam żartobliwie. - Gerald wyznaczył go na opiekuna Gilesa i zarządcę całego majątku, więc oczywiście uznał za

swoją powinność zapoznanie się z księgami.

- To się wydaje całkiem rozsądne - przyznał pan Matthew.

Po raz drugi w ciągu niespełna minuty byłam mu głęboko wdzięczna.

- Sądzę, że Stephen może spokojnie pozostawić mojemu ojcu zarządzanie majątkiem - odezwał się Jasper.

- Oczywiście, że tak - odparłam. - Ale co będzie, jeśli twojemu ojcu coś się przytrafi? Naturalnie, życzę wujowi Adamowi jak najlepiej, ale przecież nie jest nieśmiertelny. Gdyby jutro skręcił kark spadając z konia, nie byłoby nikogo, kto wiedziałby cokolwiek o rachunkach Weston. Ja przecież nie mam o tym najmniejszego pojęcia. Zajmuję się tylko wydatkami domowymi. - Byłam zadowolona, że udało mi się znaleźć takie rzeczowe wytłumaczenie, więc dodałam: - Moim zdaniem to bardzo rozsądnie, że Stephen poprosił wuja, żeby mu wyjaśnił, jak się zarządza majątkiem. - Oczy Jaspera spoglądały trochę cieplej. Posłałam mu swój najbardziej zniewalający uśmiech.

- Chciałbyś się wybrać ze mną na polowanie? - zapytałam.

Jego kwadratowa twarz o mocnych rysach rozpogodziła się w uśmiechu. Pomyślałam, że wyrósł na bardzo przystojnego mężczyznę. Jesienią na okolicznych balach na pewno złamię niejedno serce.

- Z przyjemnością wybiorę się z tobą na polowanie - oznajmił. Spojrzałam na pana Matthew.

- Kiedy zaczynamy?

- Jutro rano - zdecydował.

- Ojej, to rzeczywiście szybko.

- Powiedziałaś, że chcesz zacząć szkolić konie.

- Rzeczywiście. - Westchnęłam.

- Lepiej idźcie dzisiaj wcześniej na spoczynek - poradził.

- Nie bardzo mi się to podoba - odezwał się Jasper. - O której mamy jutro wstać?

- O czwartej - odparłam.

Udał, że krztusi się winem. W dzieciństwie wyćwiczył tę sztuczkę do perfekcji i zawsze mnie rozśmieszała. Teraz też się uśmiechnęłam.

- Nie nabierzesz mnie, chłopcze - powiedział pan Matthew.

- Żołnierze są przyzwyczajeni do wstawania wcześniej rano.

- Dla mnie czwarta to nie jest ranek, tylko środek nocy - odrzekł Jasper.

- Bzdura - odparował szybko mój gość. Dopił wino i wstał.

- Na mnie już czas. Przekażę dobre wiadomości Clintonowi.

Pan Clinton mieszkał na drugim krańcu wioski Weston, w Whiteoak, małym dworku, który od niepamiętnych czasów należał do jego rodziny. Od lat pełnił funkcję zastępcy prezesa klubu.

- Spotkamy się tam, gdzie zwykle? - upewniłam się.

Tam, gdzie zwykle, oznaczało Market Cross, nieopodal wioski. Pan Matthew uśmiechnął się psotnie, co upodobniło go do małego chłopca.

- Tam, gdzie zwykle - potwierdził radośnie.

Kiedy za moim gościem zamknęły się drzwi, Jasper prychnął rozbawiony.

- Wydaje mi się, że to najbardziej nieskomplikowany człowiek, jakiego w życiu spotkałem.

- On nie jest głupi. - Bezzwłocznie stanęłam w obronie przyjaciela.

- Wcale nie to miałem na myśli.

- Bardzo lubię pana Matthew - oznajmiłam surowo.

Proste, jasne brwi zbiegły się w jedną linię.

- Mam nadzieję, że nie rozważasz myśli, czy nie zostać panią Stanhope?

Patrzyłam na niego całkowicie oszołomiona.

- Co takiego?

Policzki lekko mu poczerwieniały, z zakłopotaniem poruszył się na krześle.

- Bardzo cię przepraszam. Sama powiedziałaś, że bardzo go lubisz, więc przez chwilę się zastanawiałem, czy ... - Poczerwieniał jeszcze mocniej i spojrzał mi w oczy. - Do licha, Annabelle. Chciałem się tylko upewnić, że pan Stanhope nie wykorzystuje twojej ... sympatii.

- Pan Matthew żywi do mnie wyłącznie ojcowskie uczucia - oznajmiłam zimno. Rozgniewał mnie sceptyczny wyraz twarzy kuzyna. - Nie zapominaj, że jesteś bratem Nell, a nie moim - warknęłam.

Zerwał się na równe nogi i patrzył na mnie, ściskając oparcie krzesła tak mocno, że pobielały mu kostki na dłoniach.

- Nie musisz mi przypominać, że nie jesteś moją siostrą.

Zapewniam cię, że wiem o tym aż nazbyt dobrze!

W jego głosie słyszałam wielkie wzburzenie i natychmiast ogarnęła mnie skrucha. Przecież Jasper chciał mnie chronić, nie obrazić.

- Nie chciałam zranić twoich uczuć - tłumaczyłam się. - Wiem, że chciałeś dobrze.

Trudno mi było odczytać wyraz jego szarych oczu.

- Jeśli chodzi o ciebie, zawsze chcę dobrze.

Uśmiechnęłam się.

- Wiem. To dla mnie wielka radość, kiedy widzę wszystkich moich kuzynów zebranych w Weston.

Odpowiedział mi uśmiechem, który wydawał się wymuszony. W tej samej chwili do biura zajrzała Nell.

- Przepraszam, że przeszkadzam. Chcę tylko powiedzieć Jasperowi, że mama go szuka. - Jasper odwrócił się do siostry. Uśmiechnęła się słodko i dodała: - Przyszła pani Clinton i mama chce się pochwalić swoim synem żołnierzem.

Jasper jęknął.

- Tak się płaci za miano bohatera - powiedziałam ze śmiechem.

Pani Clinton była żoną zastępcy prezesa klubu i największą plotkarką w całym Sussex.

- Nie mogłabyś powiedzieć mamie, że wyszedłem? - zaproponował Jasper.

Nell spojrzała na niego z miną niewinnej młodszej siostrzyczki.

- Czyżbyś chciał, żebym okłamała mamę?

- Uchowaj Boże - wymamrotał. - Gdzie one są?

- W salonie.

- Wybacz mi, Annabello. - Jasper wyszedł z miną człowieka prowadzonego na szubienicę.

Spojrzałyśmy na siebie z kuzynką i zachichotałyśmy. Nell podeszła bliżej.

- Po południu jadę do wioski odebrać zamówione książki - powiedziała. - Nie miałabyś ochoty ze mną pojechać?

- Z przyjemnością - odparłam ciepło. - Jakie książki zamówiłaś?

Nell usiadła w fotelu. Byłam bardzo zadowolona. Nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności, niż odzyskanie jej przyjaźni.

Spędziłyśmy z Nell bardzo miłe popołudnie, robiąc zakupy we wsi. W powrotnej drodze zapytałam ją, czy zamierza brać udział w jesiennych balach w Brighton. Miałam wyrzuty sumienia, że śmierć Geralda zmusiła ciotkę Fanny do odwołania udziału córki w jej drugim, wiosennym sezonie towarzyskim w Londynie.

- Boisz się, że zostanę starą panną? - odparowała Nell.

- Oczywiście, że nie! - Jednak, prawdę mówiąc, Nell w zeszłym miesiącu skończyła dwadzieścia lat. Jeszcze nie „siedziała na koszu”, ale już za rok czy dwa będzie można tak o niej powiedzieć. - W zeszłym roku z pewnością nie brakowało ci starających się o twoją rękę. I nie ma powodu wątpić, że w przyszłości będziesz miała wielu wielbicieli bardziej odpowiadających twoim gustom. Ale musisz bywać w towarzystwie, żeby ich spotkać!

Nell zadarła okrągłą bródkę.

- A skąd ta pewność, że w ogóle chcę wyjść za mąż?

To była zupełnie absurdalna uwaga. Każda kobieta, żyjąca w Anglii w drugiej dekadzie dziewiętnastego wieku, chciała wyjść za mąż. Po prostu nie miała innych realnych możliwości ułożenia sobie życia.

- Uwielbiasz dzieci, a przecież możesz mieć własne, jeśli tylko kogoś poślubisz - odrzekłam szybko.

Nell westchnęła.

- To chyba prawda.

- A dlaczego nie wybrałaś żadnego z konkurentów z zeszłego roku?

- Bo żadnego nie kochałam - wyjaśniła. - I szczerze powiedziawszy, nie wyobrażam sobie nic gorszego, niż być zmuszoną do intymnego pożycia z mężczyzną, którego się nie kocha.

Moje palce chyba mocniej zacisnęły się na wodzach, bo koń nagle nadstawił uszy, jakby czekając na komendę. Cmoknęłam na niego i spokojnie pobiegł dalej.

- Nikomu bym tego nie radziła - powiedziałam cicho.

- Jeśli nie mogę poślubić tego, którego kocham, to wolę wcale nie wychodzić za mąż. .

Zdradził ją dobór słów i ton głosu. „Ten, którego kocham”.

Zabrzmiało to tak, jakby mówiła o konkretnej osobie.

Dobry Boże! Czyżby Nell skrycie kochała się w kimś z Weston? Patrzyłam na drogę,

widoczną między brązowymi uszami konia i zastanawiałam się nad możliwościami.

Może kuzynka kochała się w synu któregoś z naszych dzierżawców? Wiedziałam, że Adam nigdy by się nie zgodził na ślub córki z kimś z niższej sfery, więc może właśnie dlatego utrzymywała uczucie w tajemnicy.

Na południu burzowe chmury znad kanału gromadziły się ponad wzgórzami i spływały w dolinę.

- Wygląda na to, że będzie dzisiaj padało - stwierdziła Nell.

- Farmerzy się ucieszą.

- Teraz, kiedy festyn już się odbył, może padać, kiedy tylko zechce - odparłam z roztargnieniem.

Połacie żyznych pól ciągnęły się po obu stronach drogi. Przebiegłam w pamięci wszystkich kawalerów w dolinie i nie znalazłam żadnego, który miał jakiegokolwiek szanse na zdobycie serca Nell.

Powietrze pachniało nadchodzącym deszczem. Uniosłam wodze i ponagliłam konia, który posłusznie przyśpieszył kroku.

- Zdażymy do domu na czas - zauważyła dziewczyna.

Jeśli to nie jeden z farmerów, to w takim razie kto? Nadal się nad tym zastanawiałam.

Odpowiedź spłynęła na mnie jak nagły błysk olśniewającego światła.

Jack! Mój Boże, Nell zakochała się w Jacku!

Doszłam do wniosku, że taka jest prawda i to niestety me wróżąca mojej kuzynce nic dobrego.

Jack był znanym uwodzicielem. Gdyby zechciał, oczarowałby nawet przydrożny kamień, a do swojego łóżka zwabił tyle arystokratycznych dam z towarzystwa, że już dawno straciłam rachubę.

„Jack nie uznaje płatnej miłości, bo przecież w każdej chwili może ją mieć za darmo ... „

Pamiętałam, że tak powiedział mi Gerald pewnego wieczoru, kiedy na balu spotkaliśmy kuzyna, towarzyszącego swojej najnowszej kochance, młodej żonie starego arystokraty. Gerald bardzo się przy tym śmiał.

Jack był zbyt wyrafinowany i za mało uczuciowy dla takiej dziewczyny jak Nell.

Nagle jeszcze coś sobie przypomniałam. Przecież kiedy omawialiśmy możliwość zamążpójścia Nell, Jack powiedział mi, że słyszał plotki, jakoby Adam szykował dla córki duży

posag.

A Adam poradził Jackowi, żeby się ożenił dla pieniędzy! Cóż by to była za przewrotność losu, gdyby Jack posłuchał tej rady i upatrzył sobie właśnie córkę Adama.

Skręciliśmy na drogę wiodącą do Weston Park. Warstwa chmur całkowicie przesłoniła słońce.

- Temperatura spadła chyba o kilka stopni - odezwała się Nell.

- Może okryjesz się szalem, który kupiłaś dla mamy? - poradziłam.

- Dobry pomysł. - Nell zaczęła przeszukiwać pakunki ułożone pod ławeczką.

Drzewa po obu stronach drogi szumiały poruszane wzmagającym się wiatrem, a w oddali przetoczył się pierwszy grzmot. Nell odnalazła właściwy pakunek i wyjęła ładny szal w kolorze kości słoniowej, który dzisiaj kupiła dla ciotki Fanny.

- Nie jest ci zimno, Annabello? - zdziwiła się, otulając się miękką wełnianą tkaniną.

- Tak często przebywam na świeżym powietrzu, że nie jestem zbyt wrażliwa na chłód - odparłam.

- Zawsze lubiłaś być poza domem - stwierdziła ciepło Nell.

- Mama kiedyś mi powiedziała: „Wydaje mi się, że Annabella to przebrany za dziewczynę koń”.

- Do licha, odkryłyście mój sekret - odrzekłam ze śmiechem.

- Annabello, moja droga! - powiedziała dziewczyna, udanie naśladując głos ciotki Fanny.

- Proszę, nie wyrażaj się tak. Jest tutaj młoda dama.

Obie wybuchnęłyśmy śmiechem.

Nie chciałam zepsuć panującej między nami harmonii, więc zatrzymałam dla siebie opinię o Jacku. Jednak obiecałam sobie, że zachowam czujność. Nie zamierzałam pozwolić, żeby Jack poślubił Nell dla pieniędzy.

Podjechałyśmy pod frontowe drzwi domu w chwili, gdy spadły pierwsze krople. Jeden lokaj zabrał pakunki spod ławeczki, a drugi odprowadził bryczkę do stajni.

Wbiegłyśmy z Nell po schodach w coraz ulewniejszym deszczu.

Sam Hodges przytrzymał nam drzwi. Pierwszą osobą, którą zobaczyłam po przekroczeniu progu, był Jack.

Rozwiązałam tasiemki słomkowego czepka i powiedziałam beztrąsko:

- Byłyśmy szybsze od deszczu. Hodges wziął ode mnie czeppek.

- Chodźcie obie do salonu - polecił Jack poważnym tonem. Poczułam jedno ostrzegawcze, silne uderzenie serca, a potem jego przyspieszony rytm.

- Co się stało? - zapytałam zduszonym głosem. - Coś z Gilesem?

- Giles ma się dobrze - uspokoił mnie Jack. - Wejdz do salonu, wszystko ci opowiem.

Ruszył przed siebie, więc razem z Nell podążyliśmy jego śladem. Kiedy znaleźliśmy się w zaciszu salonu, Jack zamknął drzwi i oznajmił:

- Ktoś strzelał do Stephena.

Czułam, jak krew zastyga mi w żyłach.

- Nie stało mu się nic poważnego - dodał szybko. - Nawet udało mu się samemu pokonać część drogi do domu. Teraz jest u niego lekarz.

- Ktoś do niego strzelał? - powtórzyłam, nie wierząc. własnym uszom.

- Obawiam się, że tak.

Stojąca obok mnie Nell wydała z siebie cichy jęk, przypominający miauknięcie, ale ani ja, ani Jack nie patrzyliśmy na nią. Ręce same zacisnęły mi się w pięści.

- Gdzie trafiła go kula?

- Otarła się o skroń.

- O, mój Boże! - Przerazona wpatrywałam się w Jacka.

- Tylko się otarła - podkreślił. - Nie przebiła kości. Stephen miał wielkie szczęście.

- Gdzie to się stało?

- Na wzgórzach. Poszedł tam na spacer z Gilesem.

Moje serce, bez żadnej przerośni, przestało bić.

- Jesteś pewien, że Gile sowi nic się nie stało?

- Absolutnie nic - zapewnił Jack. - To właśnie Giles przybiegł po pomoc.

Powtarzałam sobie w myślach: Stephen wydobrzeje, a Giles jest bezpieczny.

Kiedy opadła pierwsza fala przerażenia, ogarnęła mnie nieopanowana furia.

- Co za przekłety idiota strzelał w tym lesie?

Niemal wykrzyczałam te słowa, taka byłam rozwścieczona.

- Ktokolwiek to był, szybko zniknął, kiedy tylko się przekonał, że jego kula zbladziła i trafiła w człowieka - odparł Jack.

Obok mnie odezwał się cienki, słaby głos.

- Chyba muszę usiąść.

Dopiero poniewczasie zwróciliśmy uwagę na Nell. Była blada jak ściana i wyglądała tak, jakby za chwilę miała zemdleć.

Rzuciłam się, żeby ją podtrzymać, ale Jack mnie ubiegł. Wziął ją na rękę tak lekko, jakby była dzieckiem, zaniósł ją na kanapę i delikatnie ułożył. Podeszłam do drzwi i poleciłam lokajowi, żeby pobiegł po sole trzeźwiące.

- Tt ... tak mi głupio - cichutko odezwała się Nell.

- Ależ to nonsens. - Jack przykucnął u jej boku i dla dodania otuchy głaskał ją po głowie. Ja tak czasami głaskałam swoje spaniele. - To był wstrząs dla nas wszystkich.

- Czy Giles jest w swoim pokoju? - zapytałam Jacka. Spojrzał na mnie.

- Tak. Eug ... to znaczy panna Stedham ma go pod swoją opieką.

- Gdzie jest ciotka Fanny? - zapytałam następnie. - Powinna być tutaj, przy córce.

Jack jeszcze raz pogłaskał Nell po głowie i wstał sprężystym ruchem.

- Ciocia jest na gorze, ze Stephenem i doktorem.

- A mama?

- Dzięki Bogu, księżęca para wyjechała dzisiaj na cały dzień do Brighton.

Odczułam tak wielką ulgę, że na chwilę zamknęłam oczy.

- Pójdę na górę i przyślę tu ciotkę Fanny. Zostaniesz tymczasem z Nell?

- Oczywiście.

Wychodząc z pokoju, usłyszałam drżące pytanie dziewczyny: - Jack, jesteś pewien, że Stephenowi nic się nie stało?

Drzwi do pokoju Stephena były otwarte. Przez chwilę stałam w progu nie zauważona i patrzyłam. Stephen siedział na krześle o prostym oparciu, którego obite niebieskim jedwabiem siedzenie przykrywał ręcznik, pewnie dla ochrony delikatnego materiału przed krwią. Doktor Montrose owijał pas białego płótna wokół głowy Stephena, a ciotka Fanny stała przy drzwiach, trzymając tacę. Oboje byli skupieni wyłącznie na ruchach lekarza, ale to Stephen spostrzegł mnie pierwszy.

- Wejdz, Annabelle - odezwał się spokojnie. - Już prawie kończymy.

Na dźwięk jego głosu mięśnie karku, które napięły się nerwowo w chwili spotkania z Jackiem, zaczęły się nieco rozluźniać.

Stanełam obok doktora Montrose i patrzyłam na bandaż, odcinający się jaskrawą bielą od ciemnej karnacji i włosów Stephena.

Zadrżałam na myśl, co by się stało, gdyby kula przeszła choć trochę bliżej.

- Właśnie mówiłem Stephenowi, jakie miał szczęście, że skończyło się tylko na lekkim postrzale - odezwał się lekarz, jakby słyszał moje myśli. Był starszym człowiekiem, który znał Stephena . literalnie od urodzenia, ponieważ przyjmował go na ten świat.

- Nie czuję się jak szczęściarz - odparł Stephen kwaśno.

- Okropnie boli mnie głowa. - Rzeczywiście, wyglądał bardzo mizernie.

- Chcę wiedzieć, co za idiota strzelał w lesie - oznajmiłam z gniewem.

- Wszyscy chcielibyśmy to wiedzieć - odrzekł doktor.

- Adam i Jasper poszli na wzgórze, żeby poszukać jakichś śladów winowajcy - powiadomiła nas ciotka.

Jej głos przypomniiał mi, po co tutaj przyszłam.

- Ciociu, Nell potrzebuje cię w salonie. Zrobiło jej się słabo, kiedy Jack opowiedział nam o tym postrzale.

- Wielkie nieba. - Zmartwiona Fanny zmarszczyła brwi. - Co się stało? Nell nie ma skłonności do omdleń.

- Nie wiem, ale zrobiła się biała jak śnieg. Gdyby Jack w porę jej nie chwycił. upadłaby.

- Natychmiast do niej idę - zdecydowała ciotka.

- Chcesz, żebym przed wyjściem rzucił na nią okiem? - zapytał doktor.

- Bardzo proszę, Martinie - odparła wychodząc.

- Dopilnuj, żeby ten młody człowiek przez następne kilka dni miał wystarczająco dużo snu - polecił mi doktor. - Dzisiaj wygląda, jakby całą noc był na nogach.

Trafność tej uwagi sprawiła, że zerknęliśmy na siebie ze Stephenem, pełni niepokoju i poczucia winy. - Dobrze, doktorze - odrzekłam.

Jego bystre, orzechowe oczy przyjrzały mi się uważnie.

- Cieszę się, że już lepiej wyglądasz. Odzyskałaś trochę tego światła, które promieniowało z ciebie w dzieciństwie.

- Dziękuję.

Chociaż doktora Montrose nie było przy moich narodzinach, odbierał poród Gilesa i znał mnie bardzo blisko. Spuściłam wzrok, w obawie, żeby zbyt wiele w nim nie wyczytał.

- Lepiej pójdę zobaczyć, co z Nell - oznajmił energicznie.

- Do widzenia - pożegnaliśmy go chórem. - Dziękujemy.

Stary doktor wyszedł, zostawiając drzwi otwarte. Po chwili wyjrzałam na korytarz. Nie dostrzegłam tam nikogo, więc cicho zamknęłam drzwi i wróciłam do Stephena.

- Coś mi się tu nie podoba - oznajmił. - Ty promieniejesz, a ja wyglądam mizernie.

Jego słowa były tak dalekie od tego, o czym myślałam, że dopiero po dłuższej chwili zrozumiałam, o co mu chodzi. Kiedy to wreszcie do mnie dotarło, oparłam dłonie na biodrach i odcięłam: - Wydaje mi się, że to dla ciebie komplement, a dla mnie zniewaga.

Uśmiechnął się łobuzersko.

Błyskawica oświetliła trawnik za oknem, a po chwili rozległ się grzmot.

- Boisz się? - zapytał cicho Stephen. - Może chcesz wskoczyć mi do łóżka?

Bałam się nie burzy, ale siły własnego pożądania, które trafiło mnie jak piorun.

- Nie, nie chcę - odpowiedziałam nieco drżącym głosem.

- Opowiedz mi lepiej, co się wydarzyło na wzgórzach.

Westchnął.

- W młodości byłaś bardziej skłonna do zabawy.

- A więc poszliście z Gilesem na spacer. .. - podpowiedziałam mu.

Moje słowa podkreślił kolejny błysk i huk. Przysiadłam na rozłożystym fotelu, stojącym przed kominkiem i wyczekująco spojrzałam na Stephena.

- No, dobrze - uległ mi. - Szliśmy drogą do zatoki, ponieważ obiecałem Gilesowi, że mu pokażę miejsce, gdzie w dzieciństwie wybudowaliśmy z Jasperem dom na drzewie. - Ostrożnie poruszył głową, jakby szukał dla niej wygodniejszej pozycji. - Świetnie się bawiliśmy, opowiadaliśmy sobie głupie żarty i zaśmiewaliśmy się do rozpuku. Dotarliśmy do ścieżki prowadzącej do domku i właśnie odwróciłem głowę, żeby pokazać chłopcu znak na drzewie, jaki często robiliśmy, kiedy usłyszałem huk wystrzału. Na skroni poczułem piekący ból, ale nie zdawałem sobie sprawy, że zostałem trafiony, dopóki krew nie zalała mi oczu.

- Dobry Boże - jęknęłam cicho.

- Chwyćm Gilesa i natychmiast padliśmy na ziemię. Potem krzyknąłem: „Nie strzelać! Tu są ludzie!”

- Ktoś ci odpowiedział?

- Nie. Wydawało mi się, że słyszę jakiś ruch wśród drzew, a potem zapadła cisza. Ktokolwiek to był, pewnie się wystraszył, kiedy zrozumiał, że strzelał do człowieka, nie do jelenia.

- Jelenie nie mówią i nie śmieją się z dowcipów - odparłam ponuro.

Stephen westchnął. Dotknął bandaża.

- Nie ruszaj opatrunku - nakazałam. - Co było dalej? Opuścił rękę na mahoniowe oparcie krzesła.

- Kiedy uznałem, że jesteśmy bezpieczni, wstałem. Nie słyszałem więcej strzałów, więc pozwoliłem się podnieść także Gilesowi. Poszliśmy z powrotem do Weston, ale niestety zaczęło mi się kręcić w głowie. Nie chciałem, żeby Giles szedł sam przez las, ale mnie nie posłuchał. Pobiegnął przede mną i wkrótce wrócił, prowadząc Jacka.

Jeszcze jedna błyskawica. Kolejny huk grzmotu.

- Jak to się stało, że Giles tak szybko odnalazł Jacka? - zapytałam.

Stephen niespokojnie poruszył ręką.

- Natknął się na niego na skraju ogrodu. Patrzyliśmy na siebie.

- W którym miejscu?

Stephen nieco poszarzał na twarzy.

- W zachodniej części, tam gdzie odchodzi droga na wzgórze - odparł.

Alejka wiodąca do stajni, gdzie można się było spodziewać Jacka, znajdowała się we wschodniej części.

- Jack. nigdy by do ciebie nie strzelał - zapewniłam, ale słyszałam niepewność we własnym głosie.

Niebieskie oczy Stephena patrzyły na mnie niewzruszenie. - Wierzę, że nie zrobiłby tego.

- To był pewnie jakiś kłusownik. Zobaczył ruch, wziął was za jelenia albo jakiegoś ptaka.

- To najbardziej prawdopodobne wytłumaczenie.

Wstałam i podeszłam do okna. Ulewny deszcz przyginał kwiaty do ziemi.

Odwróciłam się z powrotem do Stephena i zadałam pytanie, które przerażało mnie najbardziej.

- Co by się stało, gdybyś nie odwrócił głowy, żeby wskazać Gilesowi znak? - Jego milczenie posłużyło mi za odpowiedź. - Gdyby ... ktoś ... rzeczywiście chciał cię skrzywdzić, to wykorzystałby swoją przewagę. Nie miałeś broni. Byłeś łatwym celem - mówiłam zdesperowana.

- Doszedłem do takich samych wniosków - odrzekł Stephen.

Znów popatrzyliśmy na siebie, bojąc się głośno wyrazić swoje podejrzenia, żeby nie stały się przez to jeszcze bardziej rzeczywiste.

Następna błyskawica nie była już tak jaskrawa, a grom przetoczył się gdzieś w oddali.

- Burza mija - zauważyłam. Nagle coś sobie przypomniałam.

- Dobry Boże! Ulewa zaskoczyła Adama i Jaspera gdzieś na wzgórzach!

- Tak czy inaczej, wzgórze nie są dzisiaj zbyt bezpiecznym miejscem, co? - oznajmił Stephen zmęczonym głosem.

Zdecydowanym krokiem podeszłam do łóżka, odsunęłam kołdrę i poprawiłam poduszki.

- Doktor kazał ci się położyć. - Oczy Stephena rozbłysły.

- Masz odpoczywać samotnie - dodałam twardo.

Skrzywił się kwaśno.

- No, dobrze.

Spojrzałam na tacę, którą ciotka Fanny postawiła na nocnym stoliku.

- Czy doktor Montrose zostawił ci coś przeciw bólowi głowy?

- Nic mi o tym nie wiadomo.

Westchnęłam.

- Uwielbiam go, ale zawsze się spodziewa, że jego pacjenci są wytrzymali jak Spartanie.

- Jakoś przeżyję - oświadczył dzielnie Stephen.

- Hmm. - Spojrzałam na niego krytycznie. - Jeśli chcesz, to mam trochę laudanum.

Popatrzył na mnie podejrzliwie. - Po co ci laudanum?

- Sama od czasu do czasu cierpię na ból głowy.

Zmarszczył brwi.

- Kiedyś ci to nie dolegało.

- Ale teraz tak.

Zmarszczki na czole Stephena pogłębiły się. - I zażywasz laudanum, żeby złagodzić ból?

- Cóż ... już tego nie robię. Kilka lat temu dostałam trochę tego środka od londyńskiego lekarza, a kiedy niewinnie poprosiłam doktora Montrose, żeby dał mi więcej, usłyszałam dziesięciminutowe kazanie na temat szkodliwości laudanum. Tak mnie tym wystraszył, że od tamtej pory ani razu tego nie zażyłam.

- Ja też nie chcę - oświadczył.

- Raz możesz sobie na to pozwolić. - Wyraz jego twarzy mówił stanowczo „nie”.

Westchnęłam i podeszłam do drzwi. - Zaraz ci przyślę Matthewsa. - Był to osobisty służący, którego Stephen zatrudnił podczas pobytu w Londynie.

- Może przynajmniej mnie pocałujesz? - zapytał cicho i widząc, że się zawahałam, dodał nalegająco: - Annabelle!

Podeszłam do krzesła, ujęłam jego twarz w dłonie, pochyliłam się i ostrożnie dotknęłam ustami płótna, osłaniającego ranę na skroni. Potem dotknęłam jego warg.

Stephen wyglądał tak mizernie, że namiętność jego pocałunku zaskoczyła mnie. Położył mi dłoń na piersi. Znow owładnęło mną pożądanie i musiałam użyć całej siły woli, żeby się od niego odsunąć.

- Jesteś niepoprawny. - Staralam się zrobić surową minę.

- Pięć lat to bardzo długo - oznajmił.

Odsunęłam się jeszcze dalej.

- Musimy kiedyś porozmawiać. Nie wyobrażaj sobie, że wkroczysz z powrotem w moje życie jak gdyby nic się nie stało. Tak nie będzie.

Patrzył na mnie spod jaskrawobiałego bandaża zmrużonymi oczami.

- A może zaczniemy wszystko do nowa?

Serce waliło mi jak oszalałe, krew szumiała w żyłach. - Idę do Gilesa - oznajmiłam.

- To nie zajmie ci dużo czasu.

Tak bardzo chciałam mu ulec, że aż mnie to przerażało. Potrząsnęłam głową.

- Potrzebujesz wypoczynku, a ja muszę zobaczyć, co się dzieje z moim synem.

Z rezygnacją wypuścił powietrze z płuc.

- No, dobrze. Przyślij mi Matthewsą. Zaraz się położę. Ale pewnie i tak nie zasnę.

- Szantaż to bardzo brzydka rzecz.

Całą jego twarz rozjaśnił niespodziewany, promienny uśmiech. - To prawda, przepraszam. Powiedz Gilesowi, że jest bardzo dzielnym chłopcem.

- Ma to po ojcu - odparłam łagodnie. Wychodząc dokładnie zamknęłam za sobą drzwi.

W pokoju dzieciennym Giles pił herbatę i jadł ciasteczka z panną Stedham. Moim pierwszym odruchem było chwycić go w ramiona i objąć tak mocno, jak potrafiłam, ale tylko pocałowałam go w czubek głowy i powiedziałam beztrzęsio:

- Słyszałam, że przeżyłeś dziś następną przygodę.

- Ktoś strzelał do wujka Stephena - powiedział, patrząc mi poważnie w oczy. - Widziałaś się z nim, mammo? Nic mu nie jest.

- Właśnie od niego wracam. Czuję się już dobrze, skarbie.

Kazał ci powiedzieć, że jesteś bardzo dzielny chłopcem. - Jest ranny w głowę.

- Wiem. Kula przeszła bokiem. Lekarz mówi, że wujkowi nic nie będzie.

Giles odwrócił wzrok i zaczął mieszać herbatę w filiżance, którą zawsze wypełniał do połowy cukrem.

- Mammo, to było straszne - wyznał. - Wuj Stephen pchnął mnie na ziemię, a potem osłonił własnym ciałem. Długo nie pozwalał mi wstać.

- Zrobił słusznie zachowując taką ostrożność. Ten, kto kłusował w lesie, zachował się nieodpowiedzialnie i karygodnie.

- Myślisz, że ten ktoś nie chciał strzelać do wujka? - zapytał Giles cichutko.

- Oczywiście, że nie - zaprzeczyłam trochę zbyt energicznie.

- Mój Boże, Giles! - zawołała panna Stedham. - Dlaczego ktoś miałby strzelać do twojego wuja?

Giles w skupieniu mieszał herbatę, nie patrząc na żadną z nas. - A może ten ktoś strzelał do mnie?

Spojrzałyśmy na siebie z przerażeniem.

Z wysiłkiem nadałam swojemu głosowi spokojny, zasadniczy ton.

- Z pewnością tak nie było. Kto mógłby chcieć zrobić ci krzywdę?

Nie odrywając wzroku od herbaty, wzruszył ramionami. Cisza spowijała pokój jak całun.

- Wuj Stephen mi powiedział, że według niego był to ktoś miejscowy, kto kłusował na jelenie - oznajmiłam z przekonaniem.

Giles skinął głową i wolno wypił łyk swojej przesłodzonej herbaty.

- Ma pani ochotę na herbatę, lady Weston? - zapytała guwernantka.

- Tak, dziękuję. - Przynęłam sobie jedno ze starych krzeseł i usiadłam.

Do końca posiłku z symulowaną beztroską podtrzymywałyśmy ożywioną rozmowę, gdy tymczasem Giles zachował nietypowe dla niego milczenie.

Wychodziłam z pokoju dziecinnego z ciężkim sercem. Zachowanie syna boleśnie mi uświadomiło, że według niego do Stephena nie strzelał żaden kłusownik.

Moja matka z ojczymem wrócili na kolację. Zasiadliśmy do stołu bez Stephena i Nell, więc oczywiście trzeba było wytłumaczyć księżęcej parze ich nieobecność.

Księżę wygłosił komentarz w swoim stylu.

- Kłusowników należy wieszać. Wygnanie nie jest wystarczająco surową karą, żeby kogokolwiek odwieść od takiego przestępstwa. Powtarzam, należy powiesić kilku kłusowników na Market Cross. Wtedy na pewno zmniejszyłaby się liczba przypadków kłusownictwa.

Zobaczyłam, jak Jasper i Jack wymienili spojrzenia ponad stołem.

Żaden z nich nie musiał nic mówić, żeby podzielić się opinią na temat mojego drogiego ojczyma.

- Ależ księżę, chyba parę kuropatw nie jest wartych życia człowieka - łagodnie wtrącił Adam.

- Tu chodzi o zasadę - zaripostował Saye. - Najpierw kradną ci kuropatwy, a potem, ani się obejrzyysz, wyciągną łapy po twój dom. Wystarczy sobie przypomnieć, co się przydarzyło żabojadom.

- Nie znaleźliście żadnych wskazówek, kto to mógł być? - zapytałam Jaspera.

Potrząsnął głową.

- Przykro mi, ale nie. Ulewny deszcz zmył wszystkie ślady, jakie mógł zostawić winowajca.

- Można by przypuszczać, że Stephen trochę wydorósł przez pięć lat spędzonych na Jamajce - powiedziała kwaśno moja matka. - Ale nie, przysparza tyle samo kłopotów co dawniej, kiedy był małym chłopcem.

Wszyscy spojrzeliśmy na nią zaskoczeni i zdziwieni:

- Ależ Regino, nie uważasz chyba, że Stephen sam sobie zawinił - zaprotestował niepewnie Adam.

- Wiem tylko, że leży teraz na górze z raną w głowie - odparowała matka. - A wczoraj zatonała łódź, którą płynął. Takie rzeczy nie zdarzają się nikomu innemu, tylko właśnie

Stephenowi. - Zwróciła się do mnie. - Moim zdaniem nie powinnaś dopuszczać, żeby Giles przebywał sam w jego towarzystwie. Najwyraźniej jest to niebezpieczne.

- Co masz na myśli, mamó?

- Dokładnie to, co powiedziałam - odrzekła. - Stephen nie ma za grosz zdrowego rozsądku. Właśnie dlatego stale przytrafiają mu się takie wypadki! Łódź zatoneła, bo' jej dokładnie nie sprawdził. Strzelano do niego, ponieważ włóczył się po lesie w poszukiwaniu jakiegoś domku na drzewie! Dobry Boże. - Na jej pięknej twarzy malowało się obrzydzenie. - Kiedy dorosły mężczyzna wybiera się do lasu, to bierze ze sobą broń, i to on strzela, a nie wystawia się na strzał.

Nikt nigdy nie umiał mnie tak rozzłościć, jak własna matka.

- Mamó, skoro uważasz, że mieszkający w moim domu członkowie rodziny są tacy okropni, to może powinnaś nas opuścić.

W jadalni zapadła absolutna cisza. Wytrzymałam spojrzenie matki. Wyraz moich oczu nie pozostawiał żadnych wątpliwości. Nie zamierzałam dopuścić, żeby ktoś ubliżał Stephenowi.

Księżę osłupiał słysząc, że nie tylko on potrafi być bezczelny.

- Natychmiast przeproś matkę, młoda damo - zażądał.

- Bezustannie się dziwię, że urodziłam takie głupie dziecko - oznajmiła mama.

- Annabella nie jest głupia. - Ze zdziwieniem przeniosłam wzrok na ciotkę Panny. Bardzo rzadko przeciwstawiała się księżnej. - Owszem, jest głupia - powtórzyła mama z goryczą, przez co się upewniłam, że zauważyła we mnie zmianę.

- Regino, wiesz przecież, że Annabella nigdy nie pozwala, żeby ktoś w jej obecności wyrażał się źle o Stephenie - łagodził konflikt Adam. - Są tak sobie bliscy jak brat i siostra. Może zakończymy tę bezsensowną sprzeczkę i zajmijmy się naszą wyśmienitą kolacją?

Jack i Jasper jeszcze raz wymienili spojrzenia, ale tym razem nie byłam w stanie odczytać tej niemej wiadomości.

- Masz dobre intencje, Adamie, ale jesteś równie niemądry, jak moja córka. - Matka wstała zza stołu.

- Idziemy, Saye. Wyjeżdżamy.

Księżę był przerażony.

- Ależ Regino, nie skończyłem jeszcze posiłku! Ujęłam kieliszek i wypiłam wino do dna.

- Nie musisz wyjeżdżać tak od razu - oznajmiłam.

- Nie ma mowy, żebym została w twoim domu choćby chwilę dłużej, jeśli nie jestem tu mile widziana - odparła wyniośle.

Dobrze wiedziałam, że mówiąc „mój dom”, dotknę ją do żywego. Widząc, że księżna stoi, mężczyźni również się podnieśli. Stali teraz za stołem i zmieszani słuchali naszej wymiany zdań.

- Ależ jesteś tu bardzo mile widziana, mamó. Proszę cię tylko, żebyś się powstrzymała od obraźliwych uwag o innych gościach. To chyba zupełnie rozsądna prośba.

Teraz wpadła w prawdziwą złość. Nigdy nie uważała się w Weston za gościa.

- Saye - ponagliła męża złowróźnie. Księżę nadal nie odkładał serwety.

- Ale dokąd o tej porze pojedziemy - zapytał żałośnie.

- Do jakiegoś hotelu w Brighton - odpowiedziała mu z godnością.

- Ależ Regino ... Nie mógłbym chociaż dokończyć kolacji?

Matka pozostała nieubłagana.

- Zjesz coś, kiedy dotrzemy do Brighton.

Ciotka usiłowała namówić mamę do zmiany planów, ale ją zignorowała. Fanny spojrzała na mnie błagalnie. Siedziałam jak kamień i nie odezwałam się ani słowem, gdy mama, a za nią wzburzony księżę, wyszli z jadalni.

Cisza.

Potem wszyscy panowie, którzy nadal stali ze względu na moją matkę, spojrzeli na mnie. Jack chwycił kieliszek.

- Wznoszę toast za zwyciężczynię - oznajmił ze złośliwym uśmiechem.

- Och, siadajcie wszyscy i skończcie kolację - nakazałam zirytowana.

- Annabelle, kochanie - odezwała się strapiona Fanny. - Przecież nie chcesz, żeby matka w ten sposób wyjechała!

Wskazałam na swój pusty kieliszek. Jeden z lokai otrząsnął się z podobnego do transu stanu, w jaki zapadła cała służba w jadalni na czas kłótni, i nalał mi wina.

- Wybór należał do niej. - Uniosłam kieliszek.

- Nie wierzę, że mówisz poważnie. Zawsze miałaś takie czułe serduszko!

- Annabella, kiedy potrzebuje, umie być równie chłodna i wyrachowana, jak Regina - powiedział Jack z tą samą złośliwością, którą dostrzegłam w jego uśmiechu.

Zirytowana spojrzałam na niego znad brzegu kieliszka. - Przestań, Jack - zganił go Jasper.

- Jaka szkoda, że Nell nie mogła zobaczyć klęski Reginy - nie dawał się uciszyć Jack. -
Będzie wściekła, kiedy się dowie, ile straciła.

Odstawiłam kieliszek nieco zbyt gwałtownie i omal nie wylałam . wina na stół.

- Ciebie również poproszę, żebyś nas opuścił, jeśli natychmiast nie przestaniesz.

- Nie możesz mnie wyrzucić - oznajmił pogodnie. - Jestem ci potrzebny do szkolenia koni.

Adam natychmiast wykorzystał okazję na zmianę tematu.

- Słyszałem, że w tym roku chcecie z panem Matthew wcześniej rozpocząć sezon polowań na młode lisy. Czy to prawda?

Odpowiedziałam mu wyczerpująco, celowo ignorując dowcipy Jacka. Kiedy popadał w taki nastrój, potrafił być bardzo denerwujący.

Mama z mężem wyjechali, zanim skończyła się kolacja. Wyszliśmy z ciotką Fanny z jadalni, zostawiając panów nad kieliszkiem porto.

Może powinnam mieć poczucie winy, że wyprosiłam własną matkę z domu. Jednak nic podobnego nie nastąpiło. Czułam się teraz bezpieczna.

Zostawiwszy panów w jadalni, poszliśmy z ciotką na górę, sprawdzić, jak się miewają chorzy.

Nell siedziała w pościeli i czytała książkę. Na nasz widok zamknęła ją i odłożyła na stolik przy łóżku.

- Jak się czujesz, kochanie? - zapytała Fanny troskliwie i wprawnym ruchem położyła dłoń na czole córki.

- Dobrze, mam. - Spojrzała na mnie przepraszająco. - Nie wiem, co mi się stało, Annabelle. Chyba nigdy jeszcze nie zemdlałam.

Stałam obok Fanny. Nocna lampka oświetlała krótkie, jasne loki kuzynki, zaczesane starannie do tyłu. Siedząc w łóżku, w skromnej białej koszulce nocnej, Nell wyglądała jak mała dziewczynka, którą pamiętałam z dawnych lat. Musiałam się uśmiechnąć.

- Cóż, ta wiadomość była bardzo wstrząsająca - przyznałam.

- Ale i Giles, i Stephen są w dobrej formie.

- Wiem. Niedawno zajrzałam do Stephena. Rzeczywiście, wydaje się, że wkrótce wydobrzeje.

- Nie powinnaś odwiedzać mężczyzny w jego sypialni - natychmiast pouczyła ją matka.

- Ależ mamó! Stephen jest w takim stanie, że na pewno nie udałoby mu się mnie zniewolić - zniecierpliwionym głosem odparła Nell.

Wspomniałam jego namiętny pocałunek i pomyślałam, że kuzynka go nie doceniała.

Ciotka Fanny była dogłębnie zgorzozona.

- Oczywiście, że Stephen nigdy by cię nie zniewolił! Nigdy by mi to nie przyszło do głowy!

- Nell chciała tylko powiedzieć, że w jej wizycie nie było nic niestosownego - pośpieszyłam z wyjaśnieniem.

- Wizyta w nocnej koszuli! - oburzyła się ciotka.

- W nocnej koszuli wygląda bardzo słodko. Jak mała dziewczynka.

- Czoło ciotki się wygładziło, natomiast Nell kwaśno się skrzywiła.

- Sama zamierzam zajrzeć do Stephena. Pójdiesz ze mną, ciociu?

- Na pewno śpi - odparła.

- Jeśli tak, to go nie obudzimy. Upewnimy się tylko, czy wszystko w porządku.

- Dlaczego Annabella może odwiedzać Stephena w sypialni, a ja nie? - zapytała Nell.

Słyszac wojowniczy ton córki, ciotka Fanny zdziwiła się i przeraziła.

- Ależ to jest jej dom - odparła cicho. - Poza tym, Annabella jest mężatką, a nie młodą panną.

Nell ułożyła usta w podkówkę, co jeszcze bardziej upodobniło ją do dziecka.

- Wcale już nie jest mężatką - zaprotestowała.

Drzwi otworzyła pokojówka, która przyniosła dla niej wodę. Na nasz widok zatrzymała się w progu.

- Najlepiej będzie, jeśli zignorujemy tę niewybaczalną uwagę - zwróciła się do mnie ciotka Fanny. - Może do rana Nell przypomni sobie, czym są dobre maniery.

Policzki dziewczyny poczerwieniały. Spojrzałam na nią ze współczuciem. Nieczęste wymówki Fanny zawsze były bardziej przykre niż inwektywy mojej matki, zapewne dlatego, że ze zdaniem ciotki wszyscy się liczyli.

- Dobranoc, Nell - pożegnałam kuzynkę.

- Dobranoc, Annabelle - odparła grzecznie. Jednak nie chciała spojrzeć mi w oczy.

- Możesz już wejść, Mary - oznajmiła ciotka pokojówce. Poszliśmy razem do pokoju

Stephena. Zapukałam cicho do drzwi, a kiedy nie usłyszałam odpowiedzi, otworzyłam je i zajrzałam do środka. W pokoju panowała ciemność, rozświetlona jedynie wpadającą przez okno wąską smugą światła księżyca.

- Stephen? - powiedziałam półgłosem. Nie było odpowiedzi.

Stałam przy jego łóżku, trzymając świecę tak, żebym mogła go zobaczyć. Leżał na plecach, pogrążony w głębokim śnie. Włosy miał splecione, twarz zmęczoną i nie ogoloną. Pomyślałam sobie, że to najpiękniejszy człowiek, jakiego w życiu widziałam.

- Biedny chłopak - wymamrotała stojąca obok mnie Fanny. Zdusiłam w sobie chęć dotknięcia go.

- Pozwólmy mu spać - wyszeptałam. - To dla niego teraz najlepsze. Tak powiedział doktor.

Obie cicho wyszłyśmy z pokoju.

- Może napiłabyś się herbaty w moim saloniku?

Zaproszenie Fanny zaskoczyło mnie. Zgodziłam się, starając się nie robić zbyt zdziwionej miny. Na początku pobytu wujostwa w Weston przydzieliłam im dwie duże, połączone drzwiami sypialnie. Ciotka Fanny zdecydowała przeznaczyć tylko jeden pokój do spania, z drugiego zaś uczyniła salonik. Z radością przemeblowałam dla niej ten pokój. Doskonale rozumiałam chęć posiadania własnego schronienia.

Wyszłyśmy na korytarz i ciotka Fanny otworzyła drzwi sąsiadujące z drzwiami do sypialni Nell. Usiadłyśmy na wygodnych, miękkich fotelach, które kazałam tu wstawić. Ciotka zadzwoniła po herbatę.

Gawędziłyśmy niezobowiązująco o tym i owym, a kiedy na stole pojawiła się herbata i pokojówka już wyszła, Fanny przeszła do sedna sprawy.

- Muszę cię przeprosić za zachowanie Nell - powiedziała. - Nie wiem, co się z nią ostatnio dzieje. W dzieciństwie nigdy nie była krnąbrna.

- Nie musisz mnie przepraszać, ciociu - zapewniłam stanowczo.

- Nell jest dla mnie jak siostra, a między siostrami szczerłość jest dozwolona.

- Szczerłość i grubiaństwo to dwie różne rzeczy, moja droga. Upiłam łyk herbaty.

- Sama czasami zachowuję się niezbyt grzecznie - wymamrotałam. - Nie ma powodu, żebyś się zamartwiała zachowaniem córki. Potrafię to zrozumieć.

- Chcę również prosić cię o radę. Ostatnio Nell zrobiła się bardzo buntownicza. Zupełnie

nie wiem, dlaczego.

- Nie nazwałabym zachowania Nell buntowniczym. To zbyt mocne słowo - odparłam z namysłem.

Ciotka odstawiała filiżankę, złożyła dłonie na kolanach i wpatrując się w nie mówiła o tym, co martwiło ją najbardziej.

- Może i zbyt mocne - zgodziła się. - Jednak z pewnością Nell się zmieniła. Nie jest już dawną grzeczną dziewczynką. Kiedy zorganizowaliśmy jej ten kosztowny pobyt w Londynie, wcale nie była nam wdzięczna. - Fanny zerknęła na mnie przelotnie i znów wbiła wzrok we własne dłonie. - Wiesz, że dostała cztery propozycje małżeństwa. Wszystkie od bardzo odpowiednich kawalerów!

- Wiem - potwierdziłam. Znałam nawet młodych ludzi, którzy oświadczyli się mojej kuzynce. Rzeczywiście, byli bardzo dobrymi partiami. - Nell powiedziała mi, że żadnego z nich nie pokochała - wyjaśniłam. - Nie ma w tym nic złego, że chce wyjść za mąż z miłości. Przecież ty kochałaś wuja Adama, prawda?

Tym razem nie wahała się spojrzeć mi w oczy.

- Uznałam go za bardzo sympatycznego młodego człowieka - odparła oficjalnie. - Był miły, przystojny i dobrze wychowany.

Cieszyłam się, że chce mnie poślubić. Postanowiłam go pokochać, i tak się wkrótce stało.

- Rozumiem - odrzekłam bez przekonania.

- Jeśli młodzieniec jest sympatyczny, a panna mu życzliwa, to tak się zwykle dzieje, że miłość sama przychodzi. Problem polega na tym, że Nell nie chce spojrzeć życzliwym okiem na żadnego ze swoich konkurentów. Prawdę mówiąc, od samego początku była do nich wrogo nastawiona.

- Rozumiem - powtórzyłam.

Ciotka ze zmartwioną miną spojrzała na portret Nell z czasów dzieciństwa, który zawiesiła sobie na ścianie.

- Bardzo się obawiam, że Nell zakochała się w kim innym.

- Wielkie nieba.

- Nie wiesz czasem, kto to może być?

Staralam się przybrać wygląd osoby, która głęboko się nad czymś zastanawia. Nie chciałam wystraszyć ciotki wzmianką o Jacku.

- Może to ktoś, kogo poznała w Londynie? Ktoś, kto się jej nie oświadczył - wysunęłam przypuszczenie.

- Nie sądzę. Wiesz, ona wcale nie chciała jechać do Londynu i debiutować w towarzystwie. Powiedziała ojcu, żeby nie trwonił na to pieniędzy. - Oczy ciotki błyszczały. - Czy przychodzi ci do głowy chociaż jeden powód, dla którego młoda dziewczyna, taka jak Nell, nie skakałaby z radości na myśl o balach i spotkaniach towarzyskich?

Zagryzłam wargę•

- Przykro mi, ale nie potrafię ci pomóc. Co prawda, w dzieciństwie byliśmy sobie bliskie, ale •Nell już od długiego czasu mi się nie zwierza.

- Nie wydaje ci się, że mogła się zadurzyć w Stephenie? - zapytała ciotka.

Z zaskoczenia otworzyłam usta.

- W Stephenie?

Skinęła głową.

- Co miesiąc pisywała do niego na Jamajkę. O tym nie wiedziałam.

- Kiedy wyjechał, miała zaledwie piętnaście lat - wydusiłam.

- To zbyt młody wiek na trwałe uczucia.

- Nie mówiłam o trwałym uczuciu, tylko o zadurzeniu - sprostowała z irytacją Fanny.

Chciałam powiedzieć ciotce, że się myli, ale nie mogłam wymówić słowa.

- Dzisiaj, na wieść, że Stephen został postrzelony, zemdląła - powiedziałam wreszcie.

- O, mój Boże. Mój Boże. - Głos ciotki przeszedł niemal w zawodzenie. - Co ja mam począć?

Wydawała się zrozpaczona myślą, że Stephen mógłby zostać jej zięciem, więc natychmiast stanęłam w jego obronie.

- Czyżbyś uważała go za nieodpowiednią partię? Nie jest przecież biedny. - Kiedy nie odpowiadała, dodałam oskarżycielsko: - Wydawało mi się, że go lubisz.

- Oczywiście, że lubię Stephena. I to bardzo. Nie można go nie lubić. Ale Stephen mężem Nell - nie, nie i jeszcze raz nie.

Prędzej zamordowałabym Nell, niż pozwoliła jej go poślubić, ale ten stanowczy protest ciotki mnie wzburzył.

- Przecież Stephenowi nic nie brakuje! - oznajmiłam zapalczywie.

W końcu Fanny zdała sobie sprawę, że uraziła moje uczucia.

- Nie mam nic przeciwko niemu - zapewniła mnie. - Nie musisz go przede mną bronić. Chodzi mi tylko o to, że choć ma wiele wspaniałych zalet, nie uważam go za odpowiedniego męża dla Nell.

Uwaga o „wspaniałych zaletach” trochę mnie uspokoiła.

- Dlaczego nie? - zapytałam cicho.

- Ponieważ ty na zawsze pozostaniesz najważniejszą osobą w jego życiu - oznajmiła Fanny. Patrzyłam na nią nie znajdując odpowiedzi. - Moja droga, Nell przez całe życie grała przy tobie drugie skrzypce. Właśnie dlatego chciałam, żeby zadebiutowała podczas londyńskiego sezonu i w ten sposób wyrwała się z Weston, z twojego cienia. To był również powód, dla którego nie chciałam, żebyś asystowała przy jej debiucie. Nie chcę też, żeby uczucie do Stephena złamało jej serce.

Przycisnęłam rękę do piersi, jakby jej słowa mnie zraniły.

Zresztą tak właśnie było.

- Mówisz tak, jakbym była niedobra dla Nell - rzekłam.

- Nie robisz tego celowo - wyjaśniła Fanny. - Wiem o tym. Wiem też, że naprawdę lubisz moją córkę. Tak jak i ona ciebie - Odwróciłam głowę i spojrzałam na obraz na ścianie. Dwunastoletnia Nell patrzyła na mnie poważnym wzrokiem. Ubrana w bryczesy siedziała na kosmatym kucu. Dobrze pamiętałam lato, kiedy namalowano ten portret.

- Nic na to nie poradzisz, taka po prostu jesteś - ciągnęła Fanny. - Stanowisz wzorzec, z którym młodszej dziewczynie trudno się mierzyć.

- Wygląd to nie wszystko - zaprotestowałam gwałtownie.

Ciotka Fanny uniosła siwiejące brwi.

- Nie mówiłam o wyglądzie - odparła. Patrzyłam na nią zdumiona.

- W takim razie nie mam pojęcia, o co ci chodziło. Uśmiechnęła się do mnie z sympatią, która wydała mi się niekłamana.

- Moja droga, jesteś wspaniałą, imponującą młodą damą. Tym bardziej, że sama nie zdajesz sobie z tego sprawy.

Ta uwaga wprawiła mnie w zakłopotanie, więc starałam się naprowadzić naszą rozmowę na początkowy temat.

- Przez całą zimę w Brighton będą się odbywały liczne spotkania towarzyskie - powiedziałam. - Powinnas zabierać na nie Nell. Może spotka mężczyznę, który bardziej

przypadnie jej do gustu niż ci londyńscy dandysi.

Ciotka westchnęła.

- Tak, właśnie to zamierzam zrobić. Prawdę mówiąc, myślę o wynajęciu na zimę domu w Brighton. To dobry pomysł, żeby wywieźć Nell z Weston, zwłaszcza teraz, kiedy Stephen wrócił do domu.

Musiałam się zgodzić. Czy moja kuzynka podkochiwała się w Stephenie, czy w Jacku, rezultatem tego mogło być jedynie złamane serce. Zdecydowanie najlepiej będzie, jeśli wyjedzie z matką do Brighton.

Po wyjściu od ciotki Fanny wróciłam prosto do siebie. Marianna nie próbowała nawet ukryć przerażenia na wieść, że ma mnie obudzić o czwartej trzydzieści.

- Pan Matthew będzie czekał na mnie ze sforą o szóstej - oznajmiłam. - A do Market Cross jedzie się pół godziny.

Pobudka o czwartej trzydzieści. - Dobrze, proszę pani.

- Nie rób miny męczennicy - zgaśniłam ją. - Po moim wyjściu będziesz mogła wrócić do łóżka.

Słyszając to, trochę się rozpogodziła.

- Czy mam teraz przygotować pani strój do konnej jazdy?

- Tak. Żadnej z nas nie będzie się chciało szukać brakujących części garderoby o wpół do piątej rano.

Po jej wyjściu zwinęłam się w kłębek w łóżku i przytuliłam policzek do ulubionej poduszki. Jednak chociaż byłam bardzo zmęczona, sen nie nadchodził. Wciąż przeżywałam w myślach ostatnią rozmowę ze Stephenem.

Pół roku to bardzo długo.

Tymi słowami Stephen zupełnie jasno określił swoje zamiary.

Oboje byliśmy teraz pełnoletni i jedyne, co stało na przeszkodzie naszemu związkowi, to pozostałe sześć miesięcy oficjalnej żałoby.

Powiedział mi: „Zacznijmy od nowa”, kiedy mu zarzuciłam, że wkracza z powrotem w moje życie, jakby nic się pięć lat temu nie stało.

Przewróciłam się na plecy, oparłam dłoń na czole i wpatrzyłam się w ciemność nad moją głową. Łagodna nocna bryza szeleściła kartkami otwartej książki, którą zostawiłam na stoliku przyoknie.

Pomyślałam ze smutkiem, że nie możemy ze Stephenem po prostu zacząć od nowa. Jego zdrada na zawsze legnie między nami, jak cień na przejrzystej wodzie naszej miłości.

Wyjdę za mąż za Stephena. Kocham go. Zawsze go kochałam i będę kochała.

Ale nic nie przywróci tych słonecznych lat, kiedy byłam tak pewna i spokojna, bo wiedziałam, że należę do Stephena, a on należy do mnie.

„Zawsze będziesz najważniejszą osobą w życiu Stephena”. Kiedyś ja, tak jak ciotka

Fanny, wierzyłam, że to prawda. Teraz myślałam inaczej. I tego właśnie nie mogłam wybaczyć.

Czwarta trzydzieści nadeszła zbyt szybko. Z trudem wyszłam w ciemnościach z łóżka, a rozdrażniona, senna Marianna pomogła mi się ubrać. Wybiła piąta, kiedy weszłam do jadalni, gdzie Hodges, chwała mu za to, przygotował świeżą kawę i bułeczki. Jack i Jasper już tam byli; popijali kawę, w milczeniu spoglądając przed siebie sennym wzrokiem.

- Dzień dobry - powitałam ich radośnie. Odpowiedzią były jedynie dwa stęknienia.

Wiedziona rozsądkiem zrezygnowałam z żartobliwego wypomnienia im braku grzeczności, napełniłam filiżankę i wypiliśmy kawę, jakby to był nektar bogów.

Kwadrans po piątej, kiedy niebo zaczęło się rozjaśniać, cała nasza trójka poszła do stajni. Konie były już gotowe. Wsiadliśmy i o piątej trzydzieści zdążyliśmy na spotkanie z panem Matthew i jego sforą.

Spędziliśmy bardzo przyjemny ranek. Polowanie na młode lisy daje wiele satysfakcji, chociaż może nie jest ekscytujące. Pan Matthew dobrał każdemu ze swoich młodych psów bardziej doświadczonego partnera, jako że najważniejszym punktem programu było przyuczanie ich do polowania. Konie miały kilka sposobności do kłusa, ale przeważnie jechaliśmy stępą.

Taka powolna, spokojna przejażdżka stanowi doskonałą okazję, żeby zapoznać młode wierzchowce ze sforą i lasem. Snap polował przez cały ostatni sezon, więc Jasper nie musiał się tak koncentrować jak Jack czy ja. Oboje dosiadaliśmy niedoświadczonych folblutów i musieliśmy bardzo uważać, żeby żaden z tych narowistych koni nie dosięgnął podkutytem kopytem psa.

Czułam największą sympatię do Jacka właśnie podczas konnej jazdy. Był bardzo nietolerancyjny) względem większości ludzi, więc nie przestawała mnie zadziwiać jego cierpliwość do koni. Młody wierzchowiec, którego dosiadał tego ranka, bardzo mu się podobał. Co najmniej dwadzieścia razy mi powtórzył że: „ten Aladyn wyrośnie na prawdziwy cud”.

Jasper również świetnie radził sobie z końmi, ale siedział w siodle jak kawalerzysta, którym zresztą był. Nigdy nie było wątpliwości, kto tu kim kieruje. Takie podejście było bardzo odpowiednie dla Snapa, więc patrząc na nich czułam dumę swatki, której udało się dobrać udaną parę.

Młode psy spisały się bardzo dobrze, konie nie sprawiły przykrej niespodzianki i o dziewiątej pan Matthew oświadczył, że uznaje ranek za wyjątkowo udany. Rozstaliśmy się kilka mil od Stanhope, pan Matthew wraz z panem Clintonem odprowadzili sforę do psiarni, a my

podążyliśmy do Weston Hall na śniadanie.

Stephen siedział za stołem w jadalni i zajadał smażone cynaderki.

- Wolno ci już wstawać? - zapytał Jasper szorstkim głosem, którego mężczyźni często używają wobec siebie, kiedy chcą ukryć troskę.

- Czuję się dobrze. - Stephen przeniósł wzrok na mnie. Czułam, że jego spojrzenie wywołuje we mnie dreszcz. Szybko podeszłam do kredensu, żeby ukryć swoją reakcję. Nałożyłam sobie jedzenie na talerz, wróciłam do stołu i nie zastanawiając się nad tym, co robię, usiadłam obok Stephena.

- Głodna? - zapytał mnie cicho. W jego głosie słyszałam rozbawienie.

Wskazałam na swój pełny talerz.

- Wstałam o wpół do piątej, nie tak jak niektórzy.

- Byłem wyczerpany - odparł z wyrzutem i widziałam, że nie miał na myśli swojej rany.

Przełknęłam kawałek bekonu i nic nie powiedziałam. Adam wyjrzał zza gazety, zapytał:

- Czy ktoś chce przejrzeć „Post”?

Jasper wziął od niego kilka stron i oparł je o swoją filiżankę, żeby móc czytać przy jedzeniu.

Do jadalni wszedł Hodges, niosąc na srebrnej tacy kopertę.

Podał ją Stephenowi.

- Ten list przyszedł do pana wczoraj popołudniową pocztą, paniczku Stephenie - oznajmił.

- Obawiam się, że pan o nim zapomniał w tym ... zamieszaniu.

Stephen wziął list i spojrzał na pieczęć.

- Dziękuję, Hodges. - Zerknął na mnie. - Anabelle, nie masz nic przeciwko temu, żebym go teraz przeczytał?

- Oczywiście, że nie.

Zapanowała cisza, podczas której Stephen oddał się lekturze listu, a Adam i Jasper gazety.

Jadłam nie spieszenie i zastanawiałam się mimochodem, gdzie się podziewa Jack.

Stephen złożył list.

- Tom Clarkson przyjeżdża do Brighton jutro po południu - zawiadomił nas. - Odbędzie się tam wiec abolicjonistów. Clarkson chce, żebym do niego dołączył.

Adam odłożył gazetę.

- Chyba nie myślisz o podróży do Brighton. Zaledwie wczoraj zostałeś postrzelony w

głowę! - przemówił niczym surowy ojciec.

- Dzisiaj czuję się dobrze, wuju - odparł w roztargnieniu Stephen. Stukał listem o blat stołu i wyglądał tak, jakby myślami odbiegł daleko stąd.

- Myślałam, że Clarkson wybiera się na Kongres Wiedeński - odezwałam się.

- Owszem - odparł Stephen, wracając do rzeczywistości. - I zabierze ze sobą petycje protestujące przeciwko niewolnictwu, pod którymi podpisało się ponad pół miliona ludzi.

Jasper podniósł wzrok znad gazety.

- To być może brzmi imponująco, ale wątpię, czy do innych narodów europejskich przemówi petycja podpisana wyłącznie przez Brytyjczyków.

Przełknęłam ostatni kawałek bekonu i uniosłam filiżankę z kawą.

- Wszystkie petycje i wiece, jakie zorganizowano tego lata, wywarły olbrzymi nacisk na naszych ministrów. Dzięki temu abolicjonizm stał się jedną z najważniejszych spraw do omówienia podczas nadchodzących rozmów pokojowych - stwierdził Stephen. - Clarkson uważa, że nasz kraj jeszcze nigdy nie wyrażał się tak jednomyślnie, jak w sprawie handlu niewolnikami.

Jasper wciąż wydawał się nie przekonany.

- Nie możesz jechać jutro do Brighton - stanowczo powtórzył Adam ..

Nie traciłam energii na odwodzenie Stephena od decyzji, którą już nieodwołalnie podjął.

- Clarkson chyba nie chce, żebyś z nim jechał do Wiednia? - zapytałam tylko.

- Nie. Uważa, że tutaj, w Anglii, bardziej się przydam.

Według niego jestem zbyt młody, żeby wywrzeć silny wpływ na delegatów.

Nuta goryczy w jego głosie była mi tak boleśnie znajoma.

Dlaczego jestem taki młody? Kiedy miał dziesięć lat, często zadawał sobie to pytanie.

- Nie jesteś zbyt młody, żeby odegrać znaczącą rolę w parlamencie - zapewniłam go. - Spójrz tylko na Pitta. Został premierem w wieku zaledwie dwudziestu czterech lat.

- Będziesz się ubiegał o miejsce w Izbie Gmin? - zaciekał się Jasper.

- Tak - potwierdził krótko Stephen.

Adam położył swoją część gazety obok talerza syna.

- Nie wiedziałem, że masz takie ambicje, mój chłopcze. - Z namysłem zmarszczył brew. - Pettigrew od piętnastu lat reprezentuje Weston, ale jeśli chcesz kandydować, to oczywiście znajdziemy dla niego jakiś inny okręg wyborczy.

- Nie chcę kandydować z okręgu Weston - zaoponował Stephen.

- Nie mógłbym występować jako torys, a Weston od tak dawna jak sięnę pamięcią, głośuje na torysów.

- Tutejsi ludzie głosowaliby na Grandville'a, bez względu na to do jakiej partii by należał - stwierdził trzeźwo wuj.

Trudno było temu zaprzeczyć.

- Będę się ubiegał o miejsce z okręgu, który dotychczas reprezentował w Kencie mój wuj, Francis. Jak wiecie, jest zagorzałym wigiem.

- Zagorzałym, ale dyskretnym - stwierdził z rozbawieniem Jasper. - Coś mi mówi, że jego następcą będzie dobitniej wyrażał swoje poglądy.

Stephen roześmiał się. Serce nabrzmiało mi miłością.

- Założę się, że już napisałeś swoją pierwszą mowę - dodał mój kuzyn.

- Wybrałem już temat - przyznał pogodnie Stephen. Uniósł filiżankę, zobaczył, że jest pusta i znów ją odstawił.

Wzięłam stojący na stole srebrny dzbanek i dolałam mu kawy.

Potem napełniłam swoją filiżankę.

- Czy to tajemnica? - zapytałam. Potrząsnął głową.

- Wcale nie. Chciałbym przemówić za uchwaleniem ustawy o rejestracji niewolników. - Pociągnął łyk gorącego płynu.

- Co dobrego wyniknie z rejestrowania niewolników? - zdumiałam się.

Stephen spojrział na mnie.

- Taki spis umożliwiłby nam zbadanie wpływu zakazu handlu żywym towarem na populację niewolników na wyspach. Stałoby się jasne, czy plantatorzy nielegalnie przemycają nową siłę roboczą na Karaiby. Rozumiesz, Annabello? Spisanie wszystkich niewolników dostarczyłoby danych potrzebnych do zapewnienia wolności wszystkim czarnym niewolnikom w koloniach brytyjskich.

- Plantatorzy nigdy się nie zgodzą na taką ustawę - wtrącił spokojnie Adam.

Na twarzy Stephena pojawił się znany nam wszystkim wyraz uporów. - W takim razie trzeba będzie ich do tego zmusić.

Zapadła cisza.

Wstałam, gestem dając panom znak, żeby zostali na swoich miejscach.

- Gdzie się wybierasz? - zapytał mnie Stephen.

- Do pokoju dziecinnego, sprawdzić, jak się miewa Giles.

Z aprobatą skinął głową.

Spojrzałam na Jaspera, żeby się do niego uśmiechnąć na odchodnym. Niespodziewanie wstrząsnęło mną ponure spojrzenie, jakim mnie mierzył.

- Czy coś się stało, Jasper? - zaniepokoiłam się. Zamrugał i ponury wyraz jego oczu gdzieś zniknął.

- Ależ skąd - zapewnił. - Świetnie się bawiłem podczas naszej porannej wyprawy. Dziękuję, że mnie zaprosiłaś.

- Mógłbyś mi przed południem poświęcić trochę czasu, wuju Adamie? - zapytał Stephen.

- Chyba nie chcesz dzisiaj przeglądać ksiąg! - odrzekł wuj.

- Głowa już cię nie boli?

- Nie tak bardzo.

- Cóż, przykro mi, chłopcze, ale obiecałem Charliemu Hutchinsonowi, że zerknę dziś na jego dach. Twierdzi, że podczas wczorajszej burzy bardzo przeciekał.

Ich głosy ucichły, kiedy wyszłam na korytarz i ruszyłam ku schodom.

Ze zdziwieniem zobaczyłam, że w pokoju dziecinnym śniadanie wciąż stało na stole. Jeszcze bardziej zaskoczył mnie widok Jacka w towarzystwie Gilesa i panny Stedham.

Kiedy weszłam, odsunął stare krzesło i wstał. Popatrzyłam na niego i zapytałam nieuprzejmie: - Co tu robisz?

Uniósł gęste, jasne brwi.

- Po prostu zajrzałem, żeby sprawdzić, jak po wczorajszym wypadku miewa się Giles, a on zaprosił mnie na wspólne śniadanie.

Spojrzałam na stół i stwierdziłam, że śniadanie składa się z takich samych rzeczy, jakie podawano tu dzieciom jeszcze w czasach mojego dzieciństwa. Stał tu dzbanek z gorącą czekoladą, bułeczki, masło i dżem. Pomyślałam sobie o uczcie, jaką naszykowano na dole w jadalni, i z niedowierzaniem spojrzałam na kuzyna.

- Naprawdę pijesz czekoladę?

- Jest bardzo smaczna - odparł z niebezpiecznie uwodzicielskim uśmiechem.

- Jack powiedział, że po południu zabierze mnie i Eugenię do West Haven - oznajmił Giles. - Kupimy latawiec u Fulhama i będziemy go puszczać nad zatoką!

West Haven było portowym miasteczkiem nad kanałem i leżało za wzgórzami, dokładnie

na południe od Weston.

- Oczywiście zamierzałam zapytać panią o pozwolenie - dodała guwernantka. Przyjrzałam się jej uważnie. Jej przejrzysta cera zaróżowiła się, a oczy jasno błyszczały. Spojrzałam na Jacka spod zmrużonych powiek.

Zadawałam sobie pytanie, co on knuje.

Napotkał mój wzrok, a w jego jasnyniebieskich oczach dostrzegłam iskiereki złośliwego humoru, który nie bardzo lubiałam.

- Mamo, możemy? - dopytywał się Giles.

- Możecie się wybrać do West Haven - zgodziłam się, nie odrywając spojrzenia od Jacka.

- Wolałabym jednak, żebyście trzymali się z dala od zatoki.

- Ale ja chcę puszczać latawiec! - zawodził Giles.

Na moją wzmiankę o zatoce, figlarne iskiereki w oczach Jacka zgasły. Zmarszczył brew, chciał mnie o coś zapytać, ale zerknął na Gilesa i zrezygnował. Zwrócił się do chłopca:

- Latawiec można puszczać na plaży w West Haven. Nie ma potrzeby iść aż nad zatokę.

- Nad zatoką bardziej mi się podoba niż w miasteczku - upierało się dziecko.

- Może będzie lepiej, jeśli zostaniemy w domu - odezwała się panna Eugenia swoim spokojnym, rozsądnym tonem.

Giles aż pisnął z rozpaczy, widząc, że jego wymarzona wycieczka rozplywa się we mgle.

- Nie, Eugenio! Mama nie kazała nam zostawać w domu. Prawda, mamo?

- Powiedziałam, że możecie się wybrać do West Haven, ale nie nad zatokę.

- Przecież Jack właśnie tak mówił. Nie nad zatokę, tylko do West Haven, prawda, Jack?

- Właśnie to mówiłem - potwierdził Jack poważnie.

- Widzisz, Eugenio - przekonywał Giles. - Pojedziemy tylko do West Haven.

- W takim razie, dobrze - zgodziła się panna Stedham. Spojrzałyśmy na siebie porozumiewawczo, tłumiąc uśmiech.

Po wyjściu z pokoju dziecinnego wróciłam na dół i poprosiłam Hodgesa, żeby mi przyniósł do biura dzbanek herbaty. Usadawiłam się za biurkiem, żeby poświęcić resztę przedpołudnia na uzupełnienie ksiąg rachunkowych domu.

Przestudiowanie proponowanego przez kucharza menu na przyszły tydzień zajęło mi tylko kilka minut. Szybko nakreśliłam zatwierdzający je podpis. Dokonałam tylko jednej zmiany, proponując zupę rybną zamiast nielubianego przez Stephena przerosło przyprawianego curry.

Potem skupiłam się na rachunkach.

Adam płacił wszystkie należności, ale to ja wpisywałam odpowiednie sumy do ksiąg. Była to czynność bardzo pracochłonna, jednak sumiennie dopełniałam jej co tydzień. Przez moje biurko przechodziły rachunki za wszystkie wydatki dotyczące domu: tygodniówki służby, podatki, rachunki za nabiał i tym podobne. Prowadziłam rachunki miesięczne, kwartalne i roczne. Podzieliłam je na osobne kategorie - żywność, płace, leki i opatrunki, datki na dobroczynność i tak dalej.

Wzięłam pióro, spojrzałam na pierwszy rachunek i zapisałam sumę.

Pięć minut później patrzyłam nieobecny wzrokiem na lipcowy rachunek za świece woskowe. Moje myśli odbiegły daleko od domowych wydatków.

Jack coś knuł. Nie miałam co do tego wątpliwości. Przecież nie dlatego okazywał tyle sympatii Gilesowi, że lubił przebywać w towarzystwie mojego małego synka. Bardzo kochałam Gilesa, ale wiedziałam, że rozmowa z pięcioletkiem nie jest interesująca dla takiego wyrafinowanego młodzieńca jak Jack.

Po namyśle byłam w stanie przedstawić kilka możliwych wyjaśnień nagłego zainteresowania mojego kuzyna Gilesem.

Możliwe, że Adam miał rację. Jack próbował zainteresować mnie swoją osobą. Niewątpliwie był na tyle bystry, żeby wiedzieć, że pewnym sposobem na pozyskanie mojej sympatii było zdobycie przyjaźni Gilesa.

Z drugiej strony, nie znajdowałam wytłumaczenia, dlaczego Jack zwierzył mi się z zamiaru poślubienia majątnej dziewczyny, skoro obrał sobie za cel mnie.

Oparłam się o fotel i popatrzyłam na zgrabne folbluty Stubbsa na obrazie na ścianie. Rozmyślałam dalej.

Jeśli Jack nie interesował się Gilesem po to, żeby zdobyć moją sympatię, to po co to robił?

Odpowiedź na to pytanie rozbłysła jasno i niespodziewanie w moim umyśle. Jacka interesowała panna Stedham!

A ponieważ guwernantka była uboższa nawet od niego, jego zamiary wobec niej nie mogły być uczciwe.

Przypomniałam sobie błyszczące oczy panny Eugenii i jej zaróżowione policzki przy dzisiejszym śniadaniu.

Biedna dziewczyna, pomyślałam ze współczuciem. Nie mogłam jej winić za to, że dała się omamić urokowi Jacka. Jeśli chciał, potrafił być czarujący, no i oczywiście, jak wszyscy Grandville'owie, odznaczał się urodą. W dodatku życie panny Stedham było takie monotonne.

Westchnęłam i potarłam skronie. Tylko tego mi brakowało, stwierdziłam ponuro. Kolejne zmartwienie.

Zmusiłam się do skupienia nad rachunkami, wzięłam pióro i wpisałam do księgi sumę, na jaką opiewał lipcowy rachunek za świece.

Pomyślałam, że twarz panny Stedham jaśniała dzisiaj niczym płomień świecy.

Znów odłożyłam pióro, oparłam się o fotel i wpatrzyłam w mojego ukochanego Stubbsa. Po prostu nie mogłam dopuścić, żeby Jack uwiódł tę nieszczęsną dziewczynę.

Ale jak przeciwdziałać temu nieszczęściu? Zastanowiłam się.

Nie mogłam usunąć panny Eugenie z zasięgu mojego kuzyna przez odprawienie jej z posady. Potrzebowała pracy, żeby zarobić na jedzenie.

Czego jej naprawdę potrzeba, to męża, stwierdziłam ponuro.

Niestety, guwernantka ma niewiele szans na poznanie konkurenta do ręki. Oczywiście, pannie Stedham udało się poznać Jacka, ale w jego planach zapewne nie mieścił się ślub z biedną dziewczyną.

Uświadomiłam sobie, że Jasper jest do wzięcia. A jeśli rzeczywiście rozważy zamieszkanie w Northamptonshire, to będzie musiał znaleźć sobie żonę. Panna Stedham doskonale by do niego pasowała. Myślałam o tym z narastającym entuzjazmem. Lubiła wiejskie życie tak samo jak Jasper.

Jedyną wadą tego wspaniałego pomysłu był fakt, że nie zauważyłam u Jaspera najmniejszej oznaki zainteresowania śliczną guwernantką.

Zerknęłam na mały złoty zegar, ustawiony w rogu biurka i z przerażeniem zdałam sobie sprawę, że zbliża się południe. Zmusiłam się do przestudiowania następnego rachunku.

Była to zapłata za cukier. Spojrzałam na sumę i pomyślałam, że gdyby wszystkie angielskie domy zużywały tyle cukru co mój, to plantacje na Jamajce przynosiłyby milionowe zyski.

Stanowczo muszę porozmawiać z Gilesem o tym, ile cukru należy sypać do herbaty. Zapisałam sumę do księgi i sięgnęłam po następny papier.

Może uda mi się od czasu do czasu tak wszystko ułożyć, żeby Jasper i panna Stedham

zostali sam na sam.

Ta myśl przebiegła mi przez głowę, kiedy ze zmarszczonym czołem patrzyłam na koszt wymiany draperii w małym salonie.

Miałam wrażenie, że wuj Adam nie będzie szczęśliwy, że jego syn poślubia ubogą dziewczynę, ale nie podzielałam tego uczucia. Według mnie każdy mężczyzna, który zdobędzie tak śliczną i dobrą istotę jak panna Eugenia, będzie się mógł uważać za szczęściarza.

Jednak przed wprowadzeniem tego planu w życie, musiałam się pozbyć Jacka. Starłam się nie dopuszczać do siebie myśli, że być może istnieje jeszcze inny powód, dla którego należało usunąć Jacka z Weston.

Kolejny raz odłożyłam pióro i zapatrzyłam się na konie na obrazie. To chyba niemożliwe, żeby Jack chciał skrzywdzić Stephena i Gilesa.

Po bardzo mi potrzebnej poobiedniej drzemce postanowiłam jechać do wsi, żeby kupić parę skórzanych rękawiczek, które poprzedniego dnia widziałam na wystawie sklepu pana Wyatta. Psy wskoczyły na przednią ławeczkę bryczki, uradowane, że też jadą na wycieczkę.

W sklepie spotkałam Susan Fenton. Zostawiłam w bryczce śpiące psy i poszłyśmy razem na plotki do herbaciarni pani Compton.

Susan była wstrząśnięta, kiedy się dowiedziała, że ktoś strzelał do Stephena.

- Ależ w tym lesie nikt nie kłusuje, milady - stwierdziła z przekonaniem.

- Wiesz, Susan, chyba mogłybyśmy dać sobie spokój z tym „milady” - zaproponowałam.

Spojrzałyśmy na siebie. Obie wiedziałyśmy, że zaczęła się do mnie zwracać tak oficjalnie tylko dlatego, że Gerald nie lubił, kiedy dzierżawcy zwracali się do jego żony po imieniu.

- Dobrze - zgodziła się Susan z uśmiechem. - Powtarzam, nikt w tym lesie nie kłusuje, panno Annabello.

Uśmiechnęłam się do niej i przeszłam do tematu, który mnie dręczył.

- Zastanawiam się, czy do zatoki nadal przybijają statki przemytników. Przecież wrócił Jem Washburn - dodałam znacząco.

- Jem nigdy by nie strzelał do pana Stephena - odparła bez wahania.

Zauważyłam, że nie zaprotestowała przeciwko mojej sugestii, że Jem może być zamieszany w szmugiel.

- Nie twierdzę, że to on - tłumaczyłam. - Strzelać mógł ktoś inny, powiązany z gangiem przemytników. Ktoś, kto właśnie ukrywał w lesie przemycony towar i bał się, że Stephen przypadkiem znajdzie jego schowek.

Susan zamieszała herbatę. Między jej brwiami pojawiła się zmarszczka.

- Sama nie wiem ...

- Czy wszystko pani dostała, milady? - odezwał się z boku inny głos. Zobaczyłam panią Compton, właścicielkę herbaciarni, która patrzyła na mnie rozanielonym wzrokiem. Bardzo się cieszyła, kiedy przychodziłam do niej na herbatę i zawsze usadzała mnie przy frontowym oknie, żeby wszyscy przechodnie dobrze mnie widzieli.

- Wszystko w najlepszym porządku - zapewniłam ją. Obdarzyła mnie szczerbatym uśmiechem, który upodabniał jej pomarszczone oblicze do twarzy małego łobuziaka.

- Babeczki upiekłam dziesięć minut temu, milady.

- Są wyśmienite. Dobrze pani wie, że od dziecka przepadam za pani orzechowymi babeczkami.

Uśmiech staruszki zrobił się jeszcze szerszy.

- To prawda, milady. Kiedy była pani małą dziewczynką, zawsze mnie pani prosiła o te babeczki.

Pani Compton odeszła, żeby przyjąć zamówienie od innej klientki, a ja wróciłam do przerwanej rozmowy.

- Wiem, że przemytnicy wciąż działają na tym terenie. Gerald, tak samo jak jego ojciec, kupował od nich całą swoją brandy.

Zawsze mnie to drażniło. Hrabia i Gerald byli tak oburzeni, kiedy odkryli, że Stephen jest zamieszany w interesy z przemytnikami, jednak obaj bez wahania kupowali towary od ludzi, których publicznie potępiali!

- Bob nadal czasem coś od nich kupuje - przyznała Susan. - Jednak nie sądzę, żeby kiedykolwiek ukrywali transporty w lasach na wzgórzach Ridge. Te lasy należą do majątku Weston; wszyscy o tym wiedzą.

- Stephen został złapany na ścieżce na wzgórzach - przypomniałam jej.

Przełknęła kęs babeczki.

- Cóż, może i prawda, że przemytnicy używają tej ścieżki do transportowania szmuglu z zatoki do jakiejś kryjówki - zgodziła się. - Ale jestem pewna, że w lesie nic nie chowają.

- A co powiesz na takie przypuszczenie? Ktoś przynosił szmuglowany towar przez las, usłyszał nadchodzącego Stephena, więc zboczył ze ścieżki i ukrył się. Potem, kiedy się przestraszył, że Stephen też wejdzie do lasu, strzelił do niego.

Susan odpowiedziała bez przekonania, co mnie trochę przygnębiło.

- Może i tak, ale wciąż nie wiem, panno Annabello, co robił szmugler w środku dnia na otwartej przestrzeni.

Wpatrzyłam się ponuro w swoją herbatę. Rozdrażniło mnie, że Susan nie poparła mojego pomysłu. Obawiałam się też, że to ona ma rację, a nie ja. Podniosłam wzrok i zobaczyłam siostrę pana Matthew, która właśnie wchodziła do herbaciarni. Skinęłyśmy sobie głowami na powitanie.

Zaczęłam kruszyć w palcach swoją babeczkę. Susan piła herbatę i czekała. Zawsze wiedziała, kiedy milczeć. Właśnie to zadecydowało, że postanowiłam jej wszystko opowiedzieć.

Wiedziałam, że potrafi dochować tajemnicy.

- Nie chcemy tego rozgłaszać - powiedziałam cicho. - Stephen tylko dlatego uszedł z życiem, że w ostatniej chwili niespodziewanie odwrócił głowę, żeby na coś spojrzeć. - Susan sięgała właśnie po dzbanek, żeby dolać sobie herbaty” ale słysząc moje wyznanie, zamarła w bezruchu. - Trudno uwierzyć, że taki strzał był przypadkowy. - Głos mi się trząsał. - Wygląda na to, że ktoś strzelał, żeby zabić.

Susan opuściła ręce na kolana. Patrzyła na mnie szeroko rozwartymi oczami.

- Och, Annabello - . jęknęła. Zagryzłam wargę.

- To takie ... okropne.

Susan wolno potrząsnęła głową.

- Nie twierdzą, że do zatoki nie zawijają kutry z kontrabandą - powiedziała. - Jednak nie wierzę, żeby jakiś szmugler celowo strzelał do pana Stephena.

- Może nie wiedział, że to Stephen. - Nie byłam jeszcze gotowa do rezygnacji z mojej wersji o przemytnikach. - Może ludzka postać tylko mu mignęła między drzewami, a on ze strachu wystrzelił.

- Jeśli strzelec nie wiedział, do kogo mierzy, to mogło się zdarzyć, że to pani szła by tą ścieżką - stwierdziła śmiało moja rozmówczyni. - A przecież nikt nie odważyłby się strzelać do pani.

Czułam się tak, jakby ktoś kopnął mnie w żołądek. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że mogłam być celem tego zamachu.

- Nie pomyślałam o tym - wyszeptalam. - W dodatku Stephen był wtedy z Gilesem.

Susan wpadła w przerażenie.

- Giles tam był? Czy nic mu się nie stało?

Moja babeczka zmieniła się w stosik okruszków na talerzu. Pani Compton bardzo się zdenerwuje.

- Wystraszył się - odparłam. - Uważa, że ten strzał nie był przypadkowy.

- Nikt nie odważyłby się do pani strzelać - powtórzyła.

- Owszem, jeśli myślał, że zobaczą, jak przenosi szmuglowany towar - upierałam się. - Zwłaszcza jeśli był to ktoś, kto wiedział, że go nie znoszę. - Ktoś taki, jak Jem Washburn, dodałam w myślach.

Bez walki nie zamierzałam porzucić swojej teorii o przemytnikach. Taka możliwość była

przeróżająca, ale inne wydawały się jeszcze gorsze.

- Nie wierzę w to - odezwała się Susano - Nie wierzę, żeby ktoś przynosił szmuglowane towary przez las, a jeśli nawet, to nigdy nie próbowałby zabić ani pani, ani pana Stephena tylko po to, żeby pozostać nie zauważonym.

Prawdę mówiąc, mnie również trudno było w to uwierzyć.

- Jest jeszcze jedna możliwość. - Zrozumiałam, że zostałam przyparta do muru. - Może to wcale nie było przypadkowe spotkanie, tylko ten ktoś się zaczął i czekał właśnie na Stephena. Może był to jeden z przemytników, których Stephen uchronił przed karą pięć lat temu. - Jednym z powodów, dla których sędzia nalegał na tak surową karę, było to, że Stephen nie chciał podać nazwisk swoich współników. - Przemytnik zapewne się boi, że teraz, po powrocie, Stephen go wyda. Może doszedł do wniosku, że najlepiej będzie uciszyć go na zawsze.

- Panno Annabello, nikt, kto zna pana Stephena, nie byłby taki głupi - cierpliwie tłumaczyła Susano Spojrzałam na nią ponuro.

- Więc nie wierzysz, że to był przemytnik? Potrząsnęła głową.

- Ani kłusownik?

Znowu zaprzeczenie.

- Myślisz ... że to kto inny czaił się tam na Stephena?

Oczy Susan nadal były rozszerzone. - Na to wygląda, prawda?

- Ale jeśli strzelec naprawdę chciał zabić Stephena, dlaczego nie wykorzystał swojej przewagi? - zastanawiałam się. - Stephen był nie uzbrojony. Razem z Gilesem stanowili łatwy cel.

- Przecież ten ktoś nie wiedział, czy Stephen ma broń - zauważyła Susano - Większość panów zabiera strzelbę, idąc do lasu. Istnieje też możliwość, że strzelec to był ktoś, kogo Stephen i Giles znali, więc nie chciał ryzykować, że zostanie rozpoznany.

Patrzyłam na nią strapiona. Słyszając, jak wypowiada głośno to, czego obawiałam się najbardziej, poczułam lodowaty ucisk na sercu.

- To mógł być ktoś całkiem nieznanym - upierałam się desperacko. - Teraz, po zakończeniu wojny, wielu żołnierzy i marynarzy wraca do domu. Ktoś może rozbił w lesie obóz i wpadł w panikę, kiedy usłyszał głosy.

Susan spojrzała na mnie z litością.

- Proszę powiedzieć panu Stephenowi, żeby na siebie uważał - powiedziała, wywołując

we mnie dreszcz.

Emily Stanhope, siostra pana Matthew, wychodziła właśnie z herbaciarni i zatrzymała się przy naszym stoliku, żeby zamienić kilka słów. Przywitała Susan i zapytała mnie uprzejmie:

- Jak się udało dzisiejsze polowanie?

- Bardzo dobrze, dziękuję. Pan Matthew też jest chyba zadowolony.

- Och, Matthew jest zawsze szczęśliwy, kiedy może wstać w środku nocy i galopować po lesie ze swoimi ukochanymi psami - stwierdziła ironicznie. Panna Stanhope nie polowała.

Postanowiłam nie poprawiać jej, że w czasie polowania na młode lisy bardzo rzadko się galopuje.

- Pan Matthew świetnie zna się na psach - powiedziałam tylko.

- Jakby się do tego urodził - zgodziła się jego siostra. Ironia nie zniknęła z jej głosu.

Po krótkiej pogawędce wyszła, a Susan i ja znów zostałyśmy same.

- Mam nadzieję, że wczorajsza burza nie narobiła wam żadnych szkód? - zapytałam.

Susan posłusznie zmieniła temat.

- Woda wlała się do chlewa, ale poza tym wszystko w porządku. Jednak nie wszyscy mieli tyle szczęścia.

- Tak, pan Grandville mówił mi, że dach Hutchinsonów zaczął przeciekać. Mam nadzieję, że uszkodzenie jest do naprawienia.

- Emma opowiadała, że wszędzie musiała podstawiać garnki. Charlie od czterech lat nie może się doprosić, żeby pan Grandville nakazał wymianę dachu. Może teraz wreszcie to zrobi.

- Jestem pewna, że tak. - Dałam znać pani Compton, że jestem gotowa do wyjścia.

- Mam wiadomości, które mogą panią zainteresować, panno Annabelle - oznajmiła Susana.

Miała minę, która mówiła „na pewno w to nie uwierzysz”, więc domyśliłam się, że nie chodzi o jakąś zwykłą nowinę, na przykład o kolejnym dziecku w czyjejś rodzinie. Niecierpliwie pochyliłam się do przodu.

- Co takiego? - dopytywałam się.

- Marietta Adams wychodzi za Jema Washburna.

- Nie!

- Tak. Kilka tygodni po powrocie Jema zaczęli pokazywać się razem.

- Nie wierzę, że George Adams zgodził się na taki związek.

- Adams był jedynym kowalem we wsi i jego kuźnia doskonale prosperowała. Córka kowala była uważana za jedną z najlepszych partii w dolinie.

- Najwyraźniej Jem wrócił do domu z pełną kieszenią - powiadomiła mnie Susano - Spłacił wszystkie długi ciężące na farmie i zamierza sam zająć się gospodarstwem. Pan Grandville przepisał na niego dzierżawę.

- Jestem bardzo ciekawa, jak to się stało, że Jem wrócił ... z pełną kieszenią - oznajmiłam kwaśno.

- Cóż, nie wiem, jak zarobił pieniądze, ale teraz prowadzi uczciwe życie - odrzekła Susano - Oczywiście, farma Washburnów jest zaniedbana, ale to dobra ziemia. Jem zapowiedział, że będzie uprawiał chmiel. Ceny zboża spadły tak nisko, że Bob chyba też się na to zdecyduje.

- Kiedy odbędzie się ślub?

- Jak tylko Jem wróci.

Otworzyłam szeroko oczy.

- Wyjechał?

- Tylko na tydzień. Pojechał do Kentu, obejrzeć kilka farm, na których uprawiają chmiel.

Czy rzeczywiście pojechał do Kentu? A może zajmował się jakimś dochodowym interesem przemysłowym gdzieś bliżej domu?

Nigdy nie miałam wątpliwości co do tego, kto pięć lat temu wpłatał Stephena w aferę przemysłową. To przez Jema Washburna Stephen musiał spędzić pięć lat na wygnaniu na Jamajce.

Miałam powód, żeby nie ufać Jemowi i nie lubić go. W przeciwieństwie do Susan, wcale nie byłam pewna, że Jem jest przyjacielem Stephena.

Pani Compton zdążyła do naszego stolika i przygotowałam się na wymówki, które na pewno zaraz usłyszę z powodu pokruszonej babeczki.

Po powrocie zajrzałam do pokoju dziecinnego i zobaczyłam, że Giles wraz z panną Stedham piją herbatę - bez Jacka. Twarz mojego syna była zaróżowiona od słońca. Opowiedział mi ze szczegółami o puszczaniu latawca na plaży w West Haven. Widać było, że świetnie się bawił.

Przed wyjściem zaprosiłam pannę Stedham, żeby zjadła kolację razem z całą rodziną. Chciałam tak wszystko zaaranżować, żeby wuj Adam poprowadził do stołu ciotkę Fanny i mnie,

Jack miał zająć się Nell, a Jasper panną Eugenią.

Potem poszłam do pokoju gospodyni i powiedziałam jej, żeby przygotowała dodatkowe nakrycie dla guwernantki. Utknęłam tam niemal na pół godziny, ponieważ pani Nordlem zarzuciła mnie nowinami o szkodach, jakie burza wyrządziła okolicznym farmerom.

Moja gospodyni jest serdeczną przyjaciółką gospodyni pani Clinton i dzięki temu wszyscy mieszkańcy doliny doskonale wiedzą, co się dzieje we dworze, na farmach i we wsi.

Panna Stedham zeszła na kolację w tej samej sukni, którą miała na sobie, kiedy ją uprzednio zapraszałam, więc zapisałam w pamięci, żeby postarać się o nowe stroje dla tej biednej dziewczyny. Mimo to wyglądała ślicznie i zadowolona spostrzegłam, że rozmowa z nią sprawia Jasperowi wyraźną przyjemność.

Jack wcale nie wyglądał na zadowolonego. Spoglądał groźnie na kuzyna, jakby chciał go zastraszyć. Jasper bardzo się zdziwił, kiedy przypadkiem napotkał wrogie spojrzenie Jacka.

- Wczorajsza burza wyrządziła liczne szkody - odezwałam się ze swojego miejsca u szczytu stołu.

- Owszem, zniszczyła nam kilka klombów - odparł nieco zdziwiony Adam. - Ale większych strat nie było.

- Chodziło mi o farmy, wuju. Pani Nordlem przez niespełna pół godziny opowiadała mi smutne historie o stratach, jakie poniosło wielu dzierżawców.

- Kto konkretnie ucierpiał? - zapytał siedzący naprzeciw mnie Stephen.

- No, oczywiście, Hutchinsonowie. Zaczął im przeciekać dach. Ale Benningtonom przytrafiło się coś jeszcze gorszego. Strumień za domem wystąpił z brzegów i woda zalała cały parter domu. Gospodyni pani Clinton twierdzi, że wszystko pokrywa tam błoto.

Stephen zdjął dzisiaj bandaż, którym doktor opatrzył mu czoło.

Teraz ranę na skroni przykrywał tylko niewielki, przyklejony plastrem opatrunek.

- Wuju Adamie, myślałem, że ten strumień został pogłębiony - odezwał się cicho Stephen.

- Owszem, mój chłopcze, został, ale widocznie niewystarczająco - odrzekł wuj. - Dopilnuję, żeby zrobiono to jeszcze raz.

- Wszystkie meble Benningtonów zostały zniszczone przez wodę i błoto - oznajmił Stephen. - Powiedz Florrie Bennington, że odkupimy jej wszystko, co straciła.

Jego głos brzmiał cicho i łagodnie, nie wiedziałam więc, dlaczego wuj poczerwieniał.

- Dobrze - burknął pod nosem.

Przebiegłam szybko wzrokiem zgromadzone przy stole twarze, sprawdzając, czy oprócz mnie ktoś jeszcze zauważył nagłe napięcie między wujem Adamem a Stephenem.

Jack patrzył na pannę Stedham, która starannie unikała jego wzroku. Nell spoglądała na Stephena. Ciotka Fanny z wyraźną przyjemnością jadła pieczoną baraninę. Moje oczy, spoczęły na Jasperze i tam się zatrzymały.

Jasper spoglądał na swojego ojca z ponuro zaciśniętymi ustami. Pomyślałam z gniewem, że nienawidzę tej sytuacji. Nie znoszę patrzeć na bliskich mi ludzi, jednocześnie rozważając narastające podejrzenia.

Jednak nic nie mogłam na to poradzić. Była jedna sprawa, dotycząca wczorajszego wypadku, o której nie potrafiłam zapomnieć, chociaż bardzo się starałam. Tak bardzo mnie to dręczyło, że nawet nie wspomniałam o tym Susan.

Jedynymi osobami, które wiedziały, że Stephen wybierał się wczoraj do lasu na wzgórzach Ridge, byli mieszkańcy tego domu.

Nalegałam, żeby panna Stedham po kolacji przeszła z nami do salonu, gdzie w przypływie natchnienia zapytałam ją, czy gra na fortepianie.

- Tak, gram, milady - odparła.

Spojrzałam na nią z aprobatą. Nie mizdrzyła się, nie krygowała z fałszywą skromnością. Przyszło mi do głowy, że właśnie taką osobę pragnęłabym mieć za swoją przyjaciółkę.

- Wszyscy z przyjemnością posłuchalibyśmy muzyki - powiedziałam. - Naturalnie, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu. - Oczywiście, że nie. - Usiadła przy fortepianie.

Jack już chciał do niej podejść, ale zastąpiłam mu drogę.

- Jasper - odezwałam się słodko. - Możesz przekładać kartki z nutami pannie Eugenii?

- Oczywiście - zgodził się uprzejmie i stanął obok siedzącej guwernantki.

Jack posłał mi tak mordercze spojrzenie, że drgnęłam zaskoczona.

- Przepraszam, Annabello - powiedział twardo i ze złością.

Kiedy zesłam mu z drogi, podszedł do pianina.

- Może przynieść pani jakieś nuty, panno Stedham? - zapytał zupełnie innym tonem niż ten, którego przed sekundą użył wobec mnie.

- Raczej nie, panie Grandville - odparła z uśmiechem. - Muszę polegać na własnej pamięci. - Odwróciła głowę i spojrzała na mnie. - Czego życzyłaby sobie pani posłuchać, milady?

- Zawsze lubiłam sonatę A dur Mozarta. - Wymieniłam utwór, którego nawet ja się nauczyłam w czasach, kiedy matka zmuszała mnie do lekcji gry na pianinie.

- Zna pani to? - zapytał grzecznie Jasper.

- Tak, kapitanie, znam - potwierdziła cicho. Kilka razy zacisnęła i rozprostowała palce, zanim położyła je na klawiaturze. Zaczęła grać.

Okazała się wspaniałą pianistką. W ogóle nie jestem muzykalna, ale łatwo rozpoznałam, że ma wielki talent. Spojrzałam na Stephena. Siedział na kanapie obok Nell. Oczy miał półprzymknięte i w natężonym skupieniu słuchał gry. Kochał muzykę.

Nagle, jakby moje spojrzenie było fizycznym dotykiem, uniósł powieki i popatrzył na mnie. Na jego ustach pojawił się nikły uśmiech. Potem znów skupił się na muzyce.

Serce zadrżało mi z miłości, a w żołądku poczułam skurcz strachu.

Czy to może być prawda, że ktoś chciał zabić Stephena? Ktoś, kto znajduje się w tym pokoju?

Serce mówiło - nie, ale umysł - tak.

Panna Stedham skończyła grać Mozarta i wszyscy głośno ją nakłaniali, żeby zagrała. coś jeszcze. Uległa z wdziękiem.

Kiedy po jakimś czasie spojrzałam na zegar na kominku, zdałam sobie sprawę, że biedna dziewczyna gra już ponad godzinę. Powiedziałam to głośno i przeprosiłam guwernantkę za to, że tak ją wykorzystaliśmy.

- Jedynym usprawiedliwieniem jest to, że pani gra cudownie i słuchając tej muzyki wszyscy zapomnieliśmy o upływie czasu.

- Mnie to też sprawiło przyjemność - odparła dziewczyna.

- Jestem bardzo szczęśliwa, kiedy mogę grać na fortepianie.

Blask bijący z jej twarzy świadczył o prawdziwości tych słów. - Taki talent, jak pani, wręcz wymaga własnego instrumentu - odezwał się Jasper. Spojrzał na mnie. - Czy w domu nie ma jeszcze jednego fortepianu, który można by wstawić do sali lekcyjnej?

Byłam bardzo zadowolona z tej oznaki zainteresowania potrzebami panny Stedham, więc uśmiechnęłam się ciepło do kuzyna.

- Obawiam się, że dodatkowego fortepianu nie mamy, ale nie ma żadnego powodu, dla którego panna Stedham nie miałaby korzystać z instrumentu w salonie.

Guwernantka zbladła, co mi uzmysłowiło, jak bardzo ważna jest dla niej gra na

fortepianie.

- Nie śmiałybym tak się narzucać, lady Weston - powiedziała sztywno panna Eugenia.

- Przed obiadem nikt nie wchodzi do salonu - wtrącił Jack z napięciem. - Nikomu by pani nie przeszkadzała.

- Jack ma rację - poparłam go. - Tylko Nell gra tu czasem na fortepianie, a jestem pewna, że nie będzie miała nic przeciwko pani ćwiczeniom.

- Jasne, że nie - natychmiast odezwała się Nell. - Prawdę mówiąc, z przyjemnością posłucham ćwiczeń panny Eugenii. Wiele się mogę od niej nauczyć.

Widać było, że fortepian jest dla guwernantki ważniejszy niż koń. Przyjęła moją ofertę.

- Dziękuję, milady. Z wdzięcznością skorzystam z dostępu do fortepianu w chwilach, kiedy Giles nie będzie mnie potrzebował.

- Nie zaszkodzi Gilesowi, jeśli codziennie chwilę posiedzi w spokoju i posłucha muzyki - wtrącił łagodnie Stephen.

- Chyba już czas zadzwonić po herbatę - powiedziała ciotka Fanny.

Przywołałam lokaja. Panna Stedham wstała i chciała się pożegnać, ale nie pozwoliłam jej uciec. W końcu zdecydowała się usiąść na miękkim krześle. Jasper siedział na kanapie z drugiego boku Nell, a Jack wybrał krzesło, skąd mógł dobrze widzieć guwernantkę.

Wniesiono tacę, więc rozlałam herbatę do filiżanek. Zastanawiałam się, jak długo będzie czekał Stephen, zanim odwiedzi mnie dzisiaj w sypialni.

Ktoś już leżał w moim łóżku i nie mógł to być Stephen, ponieważ przed chwilą widziałam, jak z Jasperem i Jackiem wchodził do biblioteki. Poza tym, oświetlony nocną lampką, przykryty kołdrą kształt był zbyt mały jak na mężczyznę.

- Giles? - odezwałam się cicho, zamknawszy za sobą drzwi. - Kształt się poruszył i jasna główka wyjrzała spod kołdry. - Co tutaj robisz? - zapytałam.

- Miałem zły sen i nie mogłem znaleźć Eugenii, więc przyszedłem tutaj, żeby na ciebie poczekać. - W głosie Gilesa nie było dzisiaj słyhać tak charakterystycznej dla niego pewności siebie. Brzmiał w nim lęk.

Usiadłam na łóżku i położyłam synkowi rękę na plecach. - Co to był za sen?

- Śniło mi się, że ktoś mnie gonił. - Światło lampy zamieniało jego zmierzwione włosy w jasną aureolę, a oczy przybrały ciemniejszy odcień, co świadczyło, że jest mocno zaniepokojony.

- Ten człowiek miał broń - ciągnął Giles drżącym głosem. - Wiedziałem, że chce mnie zabić.

Serce zacisnęło mi się z bólu.

- Och, kochanie. To przez ten wczorajszy wypadek w lesie. Właśnie to ci się przyśniło.

- Wiem - odparł, jeszcze bardziej drżąc. Głaskałam go po plecach.

- To był wypadek - przekonywałam. - Ktoś wziął wujka Stephena za jakieś leśne zwierzę.

- Tak chyba nie było - zaprzeczył, nadal zdenerwowany.

- Rozmawialiśmy i śmialiśmy się. Zwierzęta nie rozmawiają.

Moja ręka zamarła na jego plecach.

- Nie, nie robią tego - zgodziłam się.

- Zachowywaliśmy się bardzo głośno. Słyhać nas było w całej okolicy.

Wzięłam jeden głęboki oddech, potem drugi.

- Kochanie, czy myślisz, że ktoś próbował zabić wujka Stephena?

Odpowiedział tak cicho, że musiałam schylić głowę, żeby go usłyszeć.

- Tak. - Przerwa. - Być może chciał zabić także mnie. Objęłam go i mocno przytuliłam.

Wtulił się we mnie, chowając twarz na mojej piersi.

- Jesteś tylko małym chłopcem - powiedziałam tak spokojnie, jak tylko w tej chwili potrafiłam. - Któż mógłby chcieć cię skrzywdzić?

- Nie wiem. - Jego głos był stłumiony. - Ale o mało nie utonąłem. A potem ktoś do mnie

strzelał. - Pochyliłam głowę i oparłam usta na czubku jego złocistej głowy. Zamknęłam oczy.

- Boję się - wyznał. Bardzo się obawiałam, że rzeczywiście miał się czego bać. - Mogę zostać tu z tobą na noc? - poprosił.

- W swoim własnym domu jesteś najzupełniej bezpieczny - odparłam, bo wierzyłam, że to prawda. - Panna Stedham jest już w swoim pokoju, więc nie będziesz sam. Jeśli chcesz, zostawię ci psy.

- Chcę tu z tobą zostać. - Wtulił się mocniej w moją pierś. Nie miałam serca odsyłać go na górę.

- Dobrze, zostaniesz, dopóki nie zaśniesz - zgodziłam się.

- Potem poproszę wuja Stephena, żeby cię zaniósł do twojej sypialni.

- Nie mógłbym tu zostać na całą noc?

- Nie, nie możesz.

- A co będzie, jak znów mi się to przyśni?

- Wtedy Eugenia da ci trochę gorącego mleka, żebyś znów zasnął. To go chyba zadowoliło. Przeszłam do sypialni obok, gdzie Marianna pomogła mi włożyć nocną koszulę i szlafrok. Potem wysłałam ją do dziecinnej części domu, żeby zawiadomiła pannę Stedham, że Giles jest u mnie i zostanie przeniesiony do swojej sypialni, kiedy zaśnie.

Kiedy ułożyłam się obok synka, wyciągnął rękę i zacisnął ją na fałdach mojego szlafroka. Pocałowałam go.

- Dobranoc, skarbie - wyszeptałam.

Ułożyłam się na poduszkach i czekałam na Stephena.

Drzwi do biblioteki znajdowały się niedaleko mojej sypialni, ale ściany domu są zbyt grube, żebym słyszała skrzypienie zawiasów na korytarzu. W pewnej chwili zdało mi się, że na zewnątrz rozbrzmiewa gwar męskich głosów, lecz nie byłam tego pewna.

Pół godziny później drzwi do mojej sypialni cicho się otworzyły i wszedł Stephen. Zatrzymał się jak wryty, kiedy zobaczył w moim łóżku Gilesa.

- Wszystko w porządku - uspokoiłam go. - Śpi.

Stephen wszedł z cienia i stanął w kręgu światła nocnej lampki, przy łóżku. Zobaczyłam, że ma na sobie białą koszulę bez fulara i ciemne spodnie, w które był ubrany podczas kolacji. Przez chwilę patrzył na twarz śpiącego syna, potem podniósł wzrok na mnie.

- Co się stało?

- Przyśnił mu się koszmar. - Opowiedziałam mu, co usłyszałam od Gilesa. - On się boi, że ktoś chce go zabić - stwierdziłam na końcu. - I nie ma wątpliwości, że ktoś czyha na ciebie.

- Gdyby ten strzelec chciał zabić Gilesa, to wczoraj nie zrezygnowałby tak szybko - odparł Stephen. - Zostawił nas w spokoju, a to najlepiej świadczy, że Gilesowi z jego strony nic nie grozi.

Poczułam tak wielką ulgę, że na chwilę zakręciło mi się w głowie. - Naprawdę tak myślisz?

Skinął głową i usiadł na skraju łóżka, nie odrywając wzroku od spokojnej twarzy dziecka.

- Z drugiej strony, być może się przestraszył, że masz przy sobie broń - zastanawiałam się dalej. - Może jego ucieczka nie ma z Gilesem nic wspólnego.

- Każdy, kto mnie zna, wie, że nigdy nie noszę przy sobie broni. Rozważałam to przez chwilę.

- Czy to znaczy, że podejrzewasz kogoś znajomego? - zapytałam.

- Jeszcze nie mam pewności.

Poczułam, że robi mi się mdło.

- Nie mogę przestać myśleć o tym, że jeśli coś stałoby się z tobą i z Gilesem, to Jack jest następnym w kolejce do hrabiowskiego tytułu. Odziedziczyłby Weston. A Jack potrzebuje pieniędzy.

- Gilesowi nic nie grozi - powtórzył Stephen.

- Ale przecież już dwa razy znalazł się w niebezpieczeństwie - odparłam niecierpliwie.

- Moim zdaniem tylko dlatego, że był w moim towarzystwie.

Wypowiedziałam słowo, które czasami słyszę w stajni, kiedy stajenni nie wiedzą, że jestem w pobliżu.

Stephen spojrział na mnie zaskoczony, a potem wybuchnął śmiechem.

- To wcale nie jest śmieszne - odparłam z furią. Uśmiech zniknął z jego twarzy.

- Przepraszam cię. Wiem, że to nie jest śmieszne. Już poczyniłem pewne kroki i wkrótce będę coś wiedział. Wolę się wstrzymać, aż się upewnię co do faktów, zanim coś powiem.

- Mnie mógłbyś powiedzieć.

- Oczywiście, że tak, ale wolę zaczekać. Może się mylę, a wtedy niepotrzebnie bym cię zmartwił. - Toczyłam spór sama ze sobą, czy chcę, żeby Stephen wyjawiał mi imię podejrzanego i doszłam do wniosku, że byłoby mi zbyt trudno zachowywać się normalnie wobec człowieka

podejrzanego o próbę morderstwa. - Pewnie pozwoliłaś Gilesowi spędzić tu całą noc? - zapytał Stephen. Jego twarz była tak ponura, że wręcz komiczna.

- Prawdę mówiąc, powiedziałam mu, że zostanie tutaj, dopóki nie zaśnie, a potem zaniesiesz go na górę, do jego sypialni.

Żałobna mina Stephena zniknęła jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

- Zrobię to z przyjemnością - zapewnił.

- Tak też myślałam - odrzekłam rozbawiona.

- Biedaczysko. - Teraz, kiedy Stephen wiedział, że mały rywal nie będzie mu stał na przeszkodzie, ogarnęło go współczucie.

- Jest pewny, że ten, kto do ciebie strzelał, chciał cię zabić - oznajmiłam ciężkim głosem.

- Właśnie dlatego doszedł do wniosku, że i on jest w niebezpieczeństwie.

- Będę się trzymał od niego z daleka ... dopóki nie rozwiążemy tej ... zagadki.

Delikatnie odsunął kołdrę i wziął Gilesa na ręce. Mały poruszył się i otworzył zaspane oczy.

- Gdzie mama? - zapytał.

- Jestem tutaj, skarbie - uspokoiłam go cicho, podchodząc bliżej. - Teraz zaniemiemy cię do twojego łóżka. Śpij dalej. Będziesz zupełnie bezpieczny z Eugenią i psami.

Oczy Gilesa się zamknęły, a głowa opadła na ramię Stephena.

Otworzyłam drzwi do garderoby i zawołałam na śpiące spaniele, żeby poszły ze mną. Wyszliśmy wszyscy na korytarz i wspięliśmy się dwa poziomy wyżej, do dziecięcego pokoju.

Giles spał, kiedy Stephen ostrożnie ułożył go na łóżku. Przykryłam go kołdrą i ciepło otuliłam. Potem wraz ze Stephenem staliśmy ramię przy ramieniu i patrzyliśmy na śpiącego syna. Czułam, że ręka Stephena zaciska się na mojej.

Radość i ciepło zalały moje serce, oprócz tego jednego miejsca, które pozostało chłodne, bo nie mogło, albo nie chciało, zapomnieć o bólu, jaki sprawił mi wyjazd bez pożegnania i pięć długich lat bez Stephena.

- Ten pokój budzi tyle wspomnień - wyszeptał mi Stephen do ucha.

- Tak - odpowiedziałam równie cicho.

Była to dawna sypialnia Stephena, a łóżko, na którym spał Giles, było zapewne tym samym, na którym został poczęty.

Poczułam nagły, bolesny żal, że nie możemy cofnąć czasu i jeszcze raz stać się dwojgiem

niewinnych młodych ludzi, którzy obejmowali się tak czule i namiętnie w przytulnych ścianach tego pokoju.

Postanowiłam nie myśleć o przeszłości. Tylko na dzisiejszą noc zapomnę o tym, jak Stephen mnie zawiódł i będę się cieszyła, że żyje, jest przy mnie, a ja go kocham. Zachwiałam się lekko, więc objął mnie ramieniem.

- Chodźmy na dół - zaproponował.

- Dobrze.

W domu panowała zupełna cisza. Wróciliśmy do mojej sypialni.

Lampka na nocnym stoliku wciąż płonęła i światło księżyca wpadało przez otwarte okno. Nie potrzebowaliśmy zachęty, żeby zrzucić z siebie ubranie. Chciałam już wejść do łóżka, ale Stephen mnie zatrzymał, odwrócił twarzą do siebie i po prostu stał, pożerając mnie wzrokiem.

Nie znosiłam, kiedy Gerald tak na mnie patrzył. Zawsze miałam wtedy wrażenie, że podziwia swoją własność.

Stephen, tego byłam pewna, widział tylko mnie.

- Cały czas o tobie myślałem - odezwał się drżąco. - A najbardziej zadziwiające, że jesteś jeszcze piękniejsza, niż zapamiętałem.

- Ty też. - Mówiłam poważnie. Sam widok jego ciała sprawiał, że czułam w sobie narastający żar. Nachylił się, żeby mnie pocałować i nasze nagie ciała się zetknęły. Czułam, że przytula się do mnie, wyraźnie podniecony i przez moje lędźwie przebiegł dreszcz.

- Annabelle - wyszeptał. Wsunął język w moje usta. Przebiegł mnie kolejny dreszcz, i jeszcze jeden. Podniósł mnie i położył na łóżku. Zaczął całować moje piersi. Dreszcz zamienił się w falę silniejszego uczucia przyjemności. - Kocham cię - usłyszałam. Powtarzał te słowa, całując moje ciało. Serce biło mi tak szybko, że się bałam, żeby nie wyskoczyło z piersi.

Schrypniętym, jakimś obcym głosem, wypowiedziałam jego imię.

Przesuwałam palcami po jego ramionach, zatrzymując się na znajomej bliźnie nad prawym łokciem, pamiętając po niecelnym strzale z łuku, który oddał Jasper, kiedy Stephen miał jedenaście lat.

Znów całował mnie w usta, tak mocno, że głowa opadła mi na poduszkę. Odpowiedziałam na jego namiętne pieszczoty otwierając się przed nim, żeby we mnie wniknął.

Kiedy to się stało, cichy szloch oczekiwania i spełnienia wyrwał mi się z gardła. Czułam, jak rozluźniam się w środku, żeby przyjąć jego twardość. Trzymając się mocno jego ramion,

uniosłam nogi, żeby mógł dostać się głębiej.

Wydał z siebie jęk.

Jego skóra była gorąca i śliska od potu. Coś w środku mnie samej zaczęło drgać i pulsować.

- Dobry Boże. - Stephen mówił przez zaciśnięte zęby. Chyba zaczęłam szlochać. - Anabello. Teraz? - zapytał tym samym zduszonym głosem.

Mocniej zacisnęłam palce na jego ramionach.

- Tak - odparłam, a on zaczął poruszać się z taką siłą, że popychał mnie w górę łóżka, dopóki moja głowa nie natrafiła na zagłówek i nie mogłam posuwać się dalej. Czułam, jak przetacza się w moim ciele końcowa eksplozja, rozchodząc się wokół z miejsca, w które wniknął Stephen, sprawca tej gwałtownej rozkoszy. Krzyknęłam.

Stephen odpowiedział tym samym, jego schrypnięty głos usłyszałam tuż przy uchu. Jeszcze jeden ruch i poczułam, jak jego napiętość wybucha w moim wnętrzu. Przywarliśmy do siebie, bezradni wobec wzajemnego pożądania jak liście miotane tajfunem. Stephen powoli się rozluźnił i opadł na mnie. Czułam żar jego ciała, słyszałam ciężki oddech, głośnie uderzenia serca i byłam szaleńczo, triumfalnie szczęśliwa.

Otoczyłam go ramionami i mocno przytuliłam. Przez długi czas leżeliśmy razem, nie poruszając się. W moim umyśle była pustka, oprócz świadomości, że jesteśmy razem.

W końcu serce Stephena się uspokoiło.

- Jestem dla ciebie za ciężki - powiedział.

- Rzeczywiście, kiedyś byłeś lżejszy - zgodziłam się. - Położył się na boku i znów mnie objął, tak że mój policzek spoczął na jego ramieniu. Westchnęłam. Zauważyłam, że kilka pasm moich włosów rozsypało się na jego piersi, odbijając się jasno od mocnej opalenizny. - Jak myślisz, czy już zawsze będzie si taki ogorzały? - zaciekawiałam się. Dotknęłam ustami nagiej skóry na obojczyku. Miała słony smak od potu.

Czułam, jak jego pierś drży od tłumionego śmiechu.

- Opalenizna pewnie w końcu zblednie - powiedział. Ucieszyłam się. Nie lubiłam niczego, co mi przypominało o latach, które spędził na Jamajce. - Czy naprawdę musimy czekać jeszcze pół roku? - zapytał.

Nie wiem, dlaczego się zawahałam. W końcu już zdecydowałam, że wyjdę za niego.

- No ... sama nie wiem - odparłam z nietypowym dla mnie brakiem zdecydowania.

- Przecież zupełnie cię nie obchodzi, co sobie ludzie pomyślą - przekonywał mnie. - Sama dobrze wiesz.

Usiadłam. Rozpuszczone włosy okrywały mi ramiona i piersi, dając mi uludę zachowania skromności.

- Dlaczego się ze mną nie skontaktowałeś przed wyjazdem na Jamajkę? - zapytałam bez żadnych wstępów.

Uniósł brwi, jakby to pytanie go zaskoczyło. Odpowiedział łagodnie. - Tata zamknął mnie w pokoju, a następnego dnia wysłał mnie do Southampton, prosto na statek. Przecież znasz tę historię.

Znałam, ale wiedziałam też, że gdyby spróbował, mógłby się ze mną spotkać. A przynajmniej przesłać mi wiadomość. Sama nie próbowałam się z nim zobaczyć, ponieważ nie wiedziałam, że to jego ostatnia noc w domu. Natomiast on o tym wiedział. Wiedział, a mimo to nie starał się ze mną skontaktować.

Spojrzałam w znajomą niebieską głębię jego oczu. Zobaczyłam tam pożądanie, czułość i miłość.

Jak mogłeś mi to zrobić?

Chciałam wykrzyknąć mu to pytanie, ale wiedziałam, że nie udzieli mi odpowiedzi.

Wyciągnął rękę i zanurzył ją w moich włosach.

- Dobry Boże - powiedział z tłumioną gwałtownością. - Patrzę na ciebie i czuję się jak człowiek, który umierał z pragnienia na środku Sahary. Teraz chcę tylko pić, pić i pić ...

Drugą ręką zaczął pieścić moją pierś. Dotyk jego palców był delikatny, ale czułam, że z trudem się opanowuje.

- Wielkie nieba, Stephen - zaprotestowałam słabo. - Nie potrzebujesz chwili przerwy na odzyskanie sił?

- Po pięciu latach posuchy mógłbym to robić całą noc - zapewnił mnie. - I to z łatwością.

Przysięgałam sobie stanowczo, że nigdy go nie zapytam, czy na Jamajce miał jakąś kobietę. Jeśli miał, to nie chciałam o tym wiedzieć. Tak sobie powtarzałam.

Tym bardziej przeraziłam się, kiedy usłyszałam własny głos, pytający:

- Chcesz mi powiedzieć, że przez całe pięć lat żyłeś w celibacie? Jego palce delikatnie pieściły moje sutki.

- Tak. Właśnie tak - odparł w zamyśleniu.

Uwierzyłam mu. W podobnych okolicznościach nie wierzyłabym żadnemu innemu mężczyźnie pod słońcem, ale jemu wierzyłam. Stephen nie kłamał. I właśnie dlatego tak się bałam zadać mu to pytanie. - Dlaczego? - zdziwiłam się. - Przecież nie dlatego, że postanowiłeś być mi wierny, przynajmniej nie po tym, jak się dowiedziałeś, że wyszłam za Geralda.

Przesuwał palcem pod moimi piersiami i ta pieśczość wywoływała we mnie dreszcz.

- Wszystkie białe kobiety były zameżne, a czarne nie miały możliwości swobodnego wyboru - wyjaśnił. - Nigdy nie narzucalibyśmy się kobiecie, która nie może powiedzieć: nie.

Nie wyobrażałam sobie, jaka kobieta chciałaby odmówić Stephenowi, ale ta odpowiedź dziwnie mnie usatysfakcjonowała.

Z uśmiechem nachyliłam się nad nim, a moje włosy spłynęły na nas, tworząc pachnący lawendą namiot. Pokryłam lekkimi pocałunkami jego brodę. Odwrócił się i przywarł ustami do moich ust. Przesunął mi dłońią po biodrze, potem po prawym udzie, aż wsunął ją między moje nogi.

Pożądanie znów we mnie wezbrało.

- Zróbmy to jeszcze raz - wyszeptał. Zanim zdążyłam się zorientować, co się dzieje, odwrócił mnie na plecy, przycisnął do łóżka i znów we mnie wszedł.

Moje ciało zamknęło się wokół niego i poczułam narastającą przyjemność.

- Boże, jak dobrze - powiedział cicho.

Wygięłam plecy i szyję, wysuwając ku niemu biodra.

- Kocham cię, Stephen. - Głośno chwyciłam powietrze. Twarz Stephena była zacięta i skupiona.

- Tylko ty i ja - powiedział. - Zawsze ty i ja, Annabelle.

- Zawsze - powtórzyłam. - Zawsze.

Wyszedł dopiero godzinę przed świtem.

- Nie wiem, co powiedzieć pokojówce - pożałowałam się, kiedy w świetle lampy, która płonęła całą noc, zapinał koszulę. - To łóżko wygląda co najmniej podejrzanie.

Stephen zrezygnował z wkładania koszuli w spodnie. Spojrzał na mnie surowo.

- O wiele mniej byśmy wszystkich zgorszyli, gdybyśmy po prostu się pobrali. Ty i ja, Annabelle. Zawsze ty i ja.

Kiedyś wierzyłam, że to prawda. Gdybym tylko potrafiła znowu w to uwierzyć!

- Pomyślę o tym - odparłam.

Ziewnął tak szeroko, że łzy napłynęły mu do oczu.

- Jak sądzisz, czy Giles miałby coś przeciwko temu? Siedziałam w pościeli i patrzyłam, jak się ubiera.

- Sama nie wiem. Może i tak. Może jednak rozsądniej będzie poczekać.

Łza wywołana ziewnięciem zawisła na jego długich rzęsach.

- Muszę jechać do Brighton na spotkanie z Tomem Clarksonem, ale kiedy wrócę, porozmawiamy o tym.

Złożyłam ręce na piersiach.

- Dzisiaj mieliśmy całą noc na rozmowę.

Przejechał palcami włosy, odsuwając je z czoła; łza oderwała się od rzęs.

- Dzisiaj zajmowały mnie inne sprawy - powiedział z uśmiechem.

- Stephen, czy to rozsądne, żebyś jechał do Brighton, skoro podejrzewasz, że ktoś chce cię zabić? - Głos wyraźnie mi drżał.

- Będę uważał - uspokoił mnie. - Obiecuję. - Włosy znów opadły mu na czoło. Kiedy na mnie spojrzał, jego usta ułożyły się w miękką linię. Znałam go. Żadna siła nie zatrzymałaby go w domu. - Porozmawiamy, kiedy wrócę.

Musiałam zadowolić się tą obietnicą.

Kiedy pięć godzin po naszym rozstaniu zobaczyłam Stephena w jadalni, przywitałam go z taką samą bezosobową uprzejmością, jak Jaspera i Nell. Nałożyłam sobie jedzenie na talerz, usiadłam i zaczęłam łakomie zajadać.

- Wydajesz się dzisiaj nadzwyczaj głodna - stwierdził Stephen.

Siedział obok mnie. Zerknęłam na niego i zobaczyłam w jego zmrużonych oczach lekkie rozbawienie.

- Zażywam dużo ruchu - odparłam, a on jeszcze bardziej zmrużył oczy.

- Ciekawe, gdzie jest Jack - odezwał się Jasper. - Nie ma go w pokoju. Sprawdziłem, zanim zszedłem na dół.

- Poszedł do pokoju dzieciennego. Je śniadanie razem z Gilesem i panną Stedham - powiadomił go Stephen.

Do licha, pomyślałam. Byłam u Gilesa wcześniej, zanim podano mu śniadanie, i nie zauważyłam śladu Jacka.

- A co ty robiłeś w pokoju dzieciennym? - Jasper popatrzył na Stephena ze zdziwieniem.

- Po prostu zajrzałem na chwilę do Gilesa - wyjaśnił Stephen.

Dolał sobie śmietanki do kawy. - Parę dni temu strzelano do nas, a to nieprzyjemne doświadczenie.

- Tak - potwierdził Jasper, weteran wojny w Hiszpanii. - Wiem. Wykorzystałam wyraźne niezadowolenie Jaspera z postępowania Stephena.

- Mój Boże - wtrąciłam beztrosko. - Giles stał się bardzo popularny, od kiedy ma taką piękną guwernantkę.

Oczy Nell natychmiast spoczęły na Stephenie, który spokojnie sączył kawę. Spojrzałam na Jaspera - miał ponurą minę.

Ucieszyłam się na widok tej oznaki jego zainteresowania panną Eugenią.

- Obiecałam Gilesowi i pannie Stedham, że będą mi towarzyszyć w porannej przejażdżce po wzgórzach - powiedziałam do Jaspera. - Miałbyś ochotę przyłączyć się do nas?

Surowe bruzdy na twarzy Jaspera natychmiast się wygładziły, jakby pod wpływem zaklęcia.

- Z wielką przyjemnością - odparł.

- Ja też się dołączę, jeśli można - poprosił Stephen.

Jasper znów zrobił wisielczą minę, ja zaś stłumiłam uśmiech.

Jednak moja radość była krótkotrwała. Zgasiła ją Nell, odzywając się z dziwnym wahaniem:

- Ja również z chęcią się przejadę, Annabello, jeżeli nie masz nic przeciwko temu.

Spojrzałam na nią przelotnie i zobaczyłam, że znów ukradkiem zerka na Stephena.

- Oczywiście, że się zgadzam - odrzekłam uprzejmie, ale w głębi duszy byłam niezadowolona. Wyglądało na to, że ciotka Fanny miała rację. Nell podkochiwała się w Stephenie. Odwróciłam się do niego i powiedziałam: - Jak możesz jechać na przejażdżkę, skoro się wybierasz do Brighton, na wiec przeciwko niewolnictwu?

- Wyruszam dopiero w południe. Zostało mi jeszcze mnóstwo wolnego czasu. - Napotkał moje spojrzenie i dodał ciszej: - W dużej grupie będę całkowicie bezpieczny, Annabello.

Zagryzłam wargę.

- Bezpieczny? - przeraziła się Nell. Westchnęłam i zwróciłam się do Stephena:

- Skoro nalegasz, żeby się z nami wybrać, to mam pewnego konia i chciałabym, żebyś na nim pojechał.

Jasper odłożył widelec.

- Który to koń?

Nalałam sobie więcej kawy i sięgnęłam po cukiernicę. Była pusta. Dałam znak stojącemu przy kredensie lokajowi - natychmiast zabrał ją do napełnienia.

- To koń pełnej krwi. Kupiłam go od lorda Carltona. Nazywa się Kruk - odpowiedziałam Jasperowi.

- Jakie niezwykle imię - wymamrotał.

- Czy Kruk to ten czarny koń z białą strzałką? Zrzucił stajennego, który go przyprowadził, tak? - dopytywała się Nell.

- Jest trochę nerwowy - przyznałam.

- Trochę! Słyszałam, jak stajenny rozmawiał z Grimesem. Ten koń trzy razy o mało go nie zrzucił pod koła powozu!

Nell była wyraźnie zdenerwowana tym, że Stephen miał dosiąść Kruka.

- Pewnie się przestraszył ruchu na drodze - snuł domysły Stephen. - Folbluty są bardzo płochliwe.

- Płochliwe folbluty nie są dobrym materiałem na konie myśliwskie - stwierdził Jasper. Spojrzał na mnie i unióśł brwi. - Dlaczego, u licha, kupiłaś takie zwierzę?

Lokaj postawił pełną cukiernicę na stole.

- Dziękuję, Williamie. - Posłodziłam kawę i wyjaśniłam Jasperowi: - Czasami przy kupnie koni zdarza mi się ryzykować. Kruk jest pięknie zbudowany i ma doskonałe pochodzenie.

- Skoro to taki wspaniały koń, to dlaczego lord Carlton go sprzedał? - zapytała Nell.

- Bo jest płochliwy - musiałam przyznać.

- Na pewno da się wyszkolić - powiedział Stephen, wstał i nałożył sobie na talerz jeszcze jedną porcję ryb.

Nell spojrzała na mnie zatroskana. Do licha, zaklęłam pod nosem.

Godzinę później poszłam razem z Jasperem do stajni.

- Co Stephen miał na myśli mówiąc, że w dużej grupie będzie bezpieczny? - zapytał mnie nagle kuzyn, kiedy wyszliśmy na ścieżkę wiodącą od tylnych drzwi do położonych kilkaset metrów dalej stajni.

Nie widziałam powodu, żeby ukrywać swoje podejrzenia przed członkiem rodziny, więc wyjaśniłam:

- Wygląda na to, że ten strzał do Stephena nie był przypadkowy.

Długi, zdecydowany krok Jaspiera na chwilę stracił rytm.

- Bzdura. - Spojrzał na mnie twardo. - Któż mógłby chcieć zabić Stephena?

Opowiedziałam mu wszystko, co usłyszałam od Gilesa na temat spaceru w lesie.

- Giles jest przekonany, że strzelec musiał wiedzieć, że mierzy do człowieka, nie do zwierzęcia - zakończyłam.

- Dobry Boże. Jeśli to, co mówisz, jest prawdą, to nie szukamy kłusownika, tylko mordercy!

Morderca. Na dźwięk tego słowa ciarki przebiegły mi po plecach.

- Strasznie się tym denerwuję - wyznałam.

W milczeniu przeszliśmy kilka kroków.

- Jak sądzisz - odezwał się Jasper - czy ten strzał może mieć jakiś związek z przemytnikami, w których interesy Stephen był zamieszany pięć lat temu?

- Sama się nad tym zastanawiałam! - Spojrzałam na niego z wdzięcznością. Poczułam wielką ulgę, że nie tylko ja podejrzewam przemytników.

- Ci ludzie potrafią działać bardzo zdecydowanie - oznajmił ponuro kuzyn. - Gdyby chcieli usunąć Stephena ze swojej drogi, nie zawahaliby się przed oddaniem strzału. Ale dlaczego mieliby pragnąć śmierci Stephena?

- Jem Washburn wrócił do doliny - powiedziałam. Wargi miałam sztywne ze zdenerwowania. - Wiem, że to on wciągnął kiedyś Stephen'a w kłopoty.

Jasper spojrzał na mnie przeciągle, z namysłem.

- Czy Jem chciałby skrzywdzić Stephena? Byli przyjaciółmi.

- Nie upieram się przy tym, że to Jem strzelał - tłumaczyłam. - Ale może po powrocie Jema przemytnicy znów zaczęli korzystać ze ścieżki przez las do przenoszenia nielegalnych ładunków z zatoki. Zastanawiam się, czy Stephen nie zaskoczył tam kogoś w takiej właśnie sytuacji.

Proste brwi Jaspera zbiegły się w jedną linię. Patrzyłam na jego zamyśloną twarz tak wyczekująco, że nie uważałam, gdzie stawiam nogi. Nagle potknęłam się o gałąź, całkowicie straciłam równowagę i przewróciłabym się, gdyby nie Jasper, który chwycił mnie i podtrzymał. Dobrze, że był taki szybki.

- Dziękuję. Nie patrzyłam, gdzie idę.

Obejmujące mnie ramię było twarde jak stal. Chciałam się odsunąć, ale Jasper nie rozluźniał uścisku.

- Już w porządku - zapewniłam go. - Muszę powiedzieć ogrodnikom, żeby wysprzątała alejki. Burza połamała bardzo dużo gałęzi.

Wolno opuścił ramię i wreszcie mogłam się odsunąć. Schylił się, podniósł gałąź i rzucił między pobliskie drzewa.

Przez most przeszliśmy w milczeniu.

- Byłabym wdzięczna, gdybyś miał Stephena na oku - odezwałam się po chwili. - Wiesz, że on wcale nie zważa na swoje bezpieczeństwo.

Jasper butem do konnej jazdy kopnął kamień na pobocze.

- Muszę przyznać, że twoja troska o Stephana trochę mnie zaskakuje - powiedział ostrożnie. - Miałem nieodparte wrażenie, że wasza przyjaźń skończyła się przed jego wyjazdem na Jamajkę. Przez te wszystkie lata tak regularnie do mnie pisywałaś i ani razu nawet nie wspomniałaś jego imienia!

Słowa kuzyna bardzo mnie zdziwiły.

- To prawda, że Stephen ... trochę mnie zirytował, kiedy tak niespodziewanie wyjechał - odrzekłam w końcu. - Ale mimo wszystko nie chcę, żeby przydarzyło mu się coś złego.

- Rozumiem - odparł cicho Jasper.

Doszliśmy do dziedzińca. Spojrzałam na grupkę stojącą przed wielkimi drzwiami do stajni. Byli tam wszyscy, których spodziewałam się zobaczyć: Giles, panna Stedham, Nell i Stephen. Mój wzrok zatrzymał się na jeszcze jednej twarzy, której tu nie oczekiwałam. Na twarzy Jacka.

Spojrzałam na niego niezbyt przyjacielsko.

- Czy coś się stało, Annabello? - zapytał pogodnie.

Nie mogłam mu przecież powiedzieć, że go podejrzewam o nieczne zamiary wobec guwernantki mojego syna.

- Oczywiście, że nie - warknęłam.

- Mamo, gdzie są psy? - zapytał Giles.

W tej samej chwili ze stajni wyszedł jeden z pracowników, prowadząc Kruka. Jack uniósł brew.

- Chyba nie chcesz jechać na wzgórze na tym wariacie? - zapytał mnie.

- Nie. Pojedzie na nim Stephen. - Zwróciłam się do Gilesa.

- Zostawiłam psy w domu, żeby nie przestraszyły tego konia.

- Jest taki piękny - zachwycił się mój syn.

- A tak, bardzo piękny, milordzie - odezwał się Grimes, z aprobatą patrząc na malca.

Wszyscy zamilkliśmy z podziwu, jaki zwykle wzbudzał Kruk. Był niezwykle piękny, uosobienie idealnego konia pełnej krwi angielskiej o długich, szczupłych, pełnych gracji nogach, doskonale uformowanych i bez skazy. Sierść błyszczała w słońcu jak heban, a na długiej, starannie wyrzeźbionej głowie jaśniała doskonale biała strzałka. Wyglądał imponująco, ale rzeczywiście w ogóle nie nadawał się do polowania.

- Jest przepiękny, ale chyba bardzo nerwowy - zauważyła Nell. Jakby na potwierdzenie jej słów, Kruk prychnął i rzucił piękną głową w górę i w dół.

- Ile ma lat? - zapytał Stephen.

- Cztery - odparłam.

Kruk uderzył prawą przednią nogą w ziemię.

- Wygląda na to, że jest bardzo szybki - domyślił się Jasper.

- Lord Carl ton zapewniał mnie, że potrafi gnać jak wiatr - odparłam wesoło.

- Więc dlaczego nie bierze udziału w wyścigach? - zdziwił się.

- Kiedy ,wystawiono go pierwszy raz, zrzucił dżokeja, przeskoczył przez płot i przez całe godziny biegał swobodnie po Newmarket Heath - opowiadałam. - To samo zrobił przy drugim i trzecim biegu. Jest tak szybki, że prześcignąłby wszystkich konkurentów, ale po prostu nie chce trzymać się toru. Lord Carlton cieszył się, że mi go sprzedaje, zanim koń odniesie jakąś kontuzję i stanie się bezwartościowy.

- Pewnie nie umieli się z nim obchodzić - odezwał się Stephen. Rozejrzałam się po naszej licznej grupie i zaczęłam wątpić, czy dobrze zrobiłam, że zdecydowałam się dziś na Kruka.

- Może lepiej byłoby, gdybyś dosiadł go pierwszy raz, kiedy wybierzemy się na przejażdżkę tylko we dwoje? - zapytałam Stephena.

- Wszystko będzie w porządku - zapewnił mnie. Spokojnie podszedł do konia i podał mu marchewkę. Uszy Kruka poruszyły się nerwowo, kiedy Stephen wspiął się na siodło, ale koń stał dość spokojnie. Reszta także dosiadła swoich wierzchowców. Procesja siedmiu koni i jeźdźców w uporządkowanym szyku wyjechała z dziedzińca.

Konie poruszające się w grupie mają określone upodobania co do tego, czy wolą prowadzić, czy iść z tyłu. Kruk lubił podążać przodem, więc Stephen i Nell wysunęli się na czoło naszej grupy. Nell dosiadała jednego z moich starych koni myśliwskich, już na częściowej emeryturze. Wiedziałam, że mogę na nim polegać, bez względu na to, co strzeli Krukowi do głowy.

Na razie był potulny jak baranek. Kilka razy wyglądało na to, że .zaraz się spłoszy i poniesie jeźdźca, ale Stephen zawsze zdążył go uspokoić, zanim koń zerwał się do biegu.

Jeździec obdarzony intuicją wyczuwa, kiedy koń zaczyna się bać. To jest jak nagła błyskawica, zakłócająca porozumienie człowieka ze zwierzęciem. Wtedy trzeba odpowiednio zareagować, zanim sam koń zda sobie sprawę, co chce zrobić.

Nie trzeba dodawać, że niewielu jeźdźców ma wystarczającą wrażliwość, żeby na czas zauważyć sygnał ostrzegawczy i zapobiec nieszczęściu. Muszę wyznać szczerze, że znam tylko cztery takie osoby, a przecież jeździłam z najwytrawniejszymi w Anglii.

- Kruk tak grzecznie słucha wujka Stephena! - zdziwił się Giles. Spojrzałam na małą figurkę na kucu obok mnie.

- Wuj Stephen poradzi sobie z każdym koniem - odparłam. Z tyłu odezwał się Jack, który

jechał obok panny Stedham.

- Giles, nikt nie jeździ lepiej z psami, niż twoja mama. Absolutnie nikt.

Giles odwrócił głowę i rzucił przez ramię:

- Nawet wujek Stephen?

- Wuj Stephen w ogóle nie jeździ z psami - odpowiedział Jack.

- Nie lubi polowania? - Giles podniósł głos, najwyraźniej zbulwersowany tą wiadomością.

Zobaczyłam, że Stephen się odwraca. - Ani słowa - ostrzegłam go głośno. Spojrzał na mnie, a potem na Gilesa.

- Spadłbym z konia przy pierwszym ogrodzeniu - powiedział synowi i znów odwrócił się do Nell.

Z ulgą wypuściłam powietrze. Ostatnią rzeczą, której teraz potrzebowałam, była wzruszająca przemowa Stephena na temat losu biednych lisów.

Część drogi cała nasza grupa przebyła galopem, co sprawiło nam wielką przyjemność, a w drodze do domu Kruk zachowywał się niemal tak spokojnie jak staruszek, którego dosiadała Nell. Ogarnęło mnie wielkie zadowolenie, kiedy tak siedziałam w siodle, patrząc na plecy jadącego przede mną Stephena i słuchając rozmowy towarzyszących mi Gilesa i Jaspera. Słońce przeświecało przez korony drzew i rysowało na ubitej drodze wzory ze światła i cienia. Po raz pierwszy wyczułam w powietrzu lekki zapach nadchodzącej jesieni. Zauważyłam, że czarna sierść Kruka pokryła się naturalnym przy takim wysiłku potem, a nie wywołaną nerwami pianą.

Dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, dlaczego kupiłam tego pięknego folbluta. Kupiłam go dla Stephena.

Po powrocie do domu Stephen zdążył jedynie szybko zjeść talerz zupy, zanim podstawiono kariolkę, którą miał jechać do Brighton. Nie chciałam, żeby wyruszał w podróż, ponieważ się bałam, że coś mu się stanie, ale wiedziałam, że nic, co powiem, nie jest w stanie powstrzymać Stephena od tego, co uważał za swój obowiązek. Kiedy tylko jego pojazd zniknął za zakrętem, odeszłam od stołu i nękana bólem głowy położyłam się do łóżka.

Marianna przyniosła mi zmoczony zimną wodą ręcznik, który posłużył mi jako okład na czoło. Całe popołudnie leżałam bez ruchu, znosząc pulsujący ból pod czaszką i rozmyślając ponuro o splątanej sieci uczuć, która spadła na mój dom.

Po kilku godzinach najgorszy ból minął, ale wysłałam ciotce Fanny wiadomość, że czuję się nadal niezbyt dobrze i nie zjawię się w jadalni. Zamiast tego, poszłam do pokoju dziecinnego,

żeby zjeść lekką kolację z Gilesem i guwernantką.

Przynajmniej raz nie zastałam tam Jacka, który w jadalni rozkoszował się jak zwykle wyśmienitą kolacją przygotowaną przez kucharza dla dorosłych domowników. Główny posiłek dziecienny serwowano w środku dnia, a dzisiejsza kolacja składała się z niezbyt gorącej zupy warzywnej, zimnej wołowiny i chleba.

Jeszcze nigdy w życiu nie zdarzyło mi się zjeść w tym pokoju gorącego posiłku. Bez względu na to, jak był gorący, kiedy opuszczał kuchnię, po dotarciu na drugie piętro niezmiennie stawał się zaledwie letni.

Siedziałam przy starym stole nad miseczką zupy i z troską patrzyłam na pannę Stedham. Nie spodobało mi się to, co zobaczyłam. Na jej twarzy zakwitał rumieniec, jaki zwykle mają zakochane dziewczyny.

Rozmawiałyśmy na tematy zrozumiałe dla Gilesa: o koniach, pięknie wzgórz Downs, o tym, że Giles jest już wystarczająco duży, żeby zatrzymać jednego szczeniaka z następnego miotu Portii.

Po kolacji, kiedy zebrano naczynia, powiedziałam Gilesowi, żeby zabrał spaniele do kuchni, gdzie czekał na nie ich wieczorny posiłek. Malec wyszedł, a my zostałyśmy za stołem i prowadziłyśmy dalszą rozmowę.

Kiedy tylko ucichł hałas, wywołany przez Gilesa i psy, przeszłam do sprawy, z którą tu przyszłam.

- Eugenio ... - zaczęłam. - Mam nadzieję, że mogę cię tak nazywać?

- Oczywiście, milady - odparła.

- Może ty też zwracałabyś się do mnie omijając ten tytuł? Znam cię już dość długo i przekonałam się, że chcę być nie tylko twoją pracodawczynią, ale również przyjaciółką. Byłabym bardzo szczęśliwa, gdybyś i ty chciała się ze mną zaprzyjaźnić.

- Ależ ... bardzo dziękuję, milady. - Eugenia była wyraźnie zaskoczona.

- Annabello - poprawiłam ją stanowczo. Spojrzała na mnie z niedowierzaniem.

- Jeśli tak sobie życzysz ...

- Owszem - potwierdziłam. - Jeśli wydałam ci się trochę ... powściągliwa ... to tylko dlatego, że niełatwo się zaprzyjaźniam. - Szukałam słów, które wytłumaczyłyby moją ostrożność.

- Muszę dobrze poznać człowieka, żeby się poczuć swobodnie w jego towarzystwie - powiedziałam w końcu.

- Rozumiem - odparła łagodnie. - Wielka uroda często bywa nie tylko błogosławieństwem, ale i ciężarem, prawda?

Zdumiała mnie jej przenikliwość.

- Niewielu to rozumie - rzekłam po chwili. - Oczywiście, ty sama jesteś wyjątkowo piękna.

- Dziękuję. - Uśmiechnęła się lekko. - Ale wiem, że dla takiej twarzy jak moja nikt nie wywoła wojny.

Patrzyłyśmy na siebie w milczeniu. Niezdecydowana zagryzłam wargę. Postanowiłam jednak powiedzieć jej coś, czego nikomu jeszcze nie wyznałam - nawet Stephenowi.

- Wymyśliłam sobie test, któremu poddaję ludzi. Zastanawiam się, czy jeśli zachorowałabym na ospę i moja twarz zostałaby oszpecona, to czy ta osoba nadal odnosiłaby się do mnie tak samo. - I w ten sposób wybierasz przyjaciół? - zapytała Eugenia swoim łagodnym głosem.

- Tak. Na przykład wiem, że bez względu na mój wygląd, pan Matthew nadal chciałby ze mną polować, Susan Fenton chętnie by ze mną plotkowała, a ... - Zamilkłam. - Rozumiesz, o co mi chodzi?

Miałam zamiar powiedzieć „... a Stephen nie przestałby mnie kochać”, ale zatrzymałam tę myśl dla siebie. - Rozumiem. A czy ja zaliczyłam ten test?

- Jak myślisz? - Z uśmiechem odpowiedziałam jej pytaniem.

- Myślę, że tak.

Wzięłam głęboki oddech i oznajmiłam śmiałym głosem:

- Obawiam się, że nie spodoba ci się to, co ci za chwilę powiem, ale uwierz, że mówię to do ciebie jako przyjaciółka, a nie pracodawczyni.

Jej twarz natychmiast przybrała poważny, trochę czujny wyraz.

- Tak, słucham.

- Jestem zaniepokojona tym, że mój kuzyn Jack poświęca ci tyle uwagi.

- Och!

Miałam wrażenie, że całkowicie zamyka się przede mną. - Nie ufam jego intencjom - wyjaśniłam.

Jej piękne, wygięte brwi uniosły się lekko.

- Tak?

- Eugenio, obawiam się, że on cię uwiedzie, a to chyba ostatnia rzecz, jakiej teraz byś sobie życzyła.

- Czy tak trudno uwierzyć, że jego zamiary wobec mnie są uczciwe? - zapytała zduszonym głosem ..

- Jack nie ma grosza przy duszy - odrzekłam bez ogródek.

- Potrzebuje bogatej żony.

- Wiem, że nie jest zamożny. Sam mi to powiedział.

- W takim razie ... - Położyłam dłonie płasko na blacie stołu ..

- Chyba rozumiesz, dlaczego niepokoi mnie ta sytuacja ..

- Zapewniam panią, milady, że nie mam zamiaru dać się uwieść panu Grandville.

- Widzę, że znów jestem dla ciebie „milady” - powiedziałam smutno. - Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak wyglądasz, kiedy przebywasz w jego towarzystwie. Cała promieniejesz. Taki wygląd nie wróży niczego dobrego. Kobieta, która tak wygląda, jest zdolna do wielu głupstw.

- Chce pani powiedzieć, że wyglądam tak jak pani w towarzystwie pana Stephena? - zapytała uprzejmie.

Czułam, że usta układają mi się w kwaśny uśmiech.

- A więc to takie oczywiste? - ...: zdziwiłam się.

- Dla mnie tak.

- Więc powinnaś wiedzieć, że ja wiem, o czym mówię. - To stwierdzenie nieco ją zdziwiło.

- W swoim czasie też popełniłam wiele głupstw - wyjaśniłam. - Nie radziłabym ci iść w moje ślady.

Eugenia nie patrzyła na mnie, tylko w skupieniu wodziła palcem wzdłuż długiej rysy na blacie.

- W takim razie, co byś mi radziła, Annabelle?

- Potrzebujesz męża - odparłam szczerze. - Jack nie jest odpowiednim kandydatem.

- Chce się ze mną ożenić. - Eugenia nadal nie odrywała wzroku od stołu. Twarz jej pobleła. - Gdyby miał regularny dochód, ożeniłby się ze mną.

- Tak ci powiedział?

- Tak.

- Uwierzyłaś mu?

Spojrzała mi w oczy .

- Tak, uwierzyłam. - Jej duże, brązowe oczy spoglądały śmiało i bez wahania.

Pomyślałam sobie, że być może Jack jest o wiele poważniejszy, niż myślałam.

- A Jasper? - zapytałam. - Ma przyzwoity dochód i gdybyś się postarała, mogłabyś go do siebie przywiązać.

- Och, Annabello. - Uśmiechnęła się. - Przecież Jasper kocha się w tobie.

Zmarszczyłam brwi.

- Nonsens. Przyjaźnimy się od dzieciństwa. Pomyliłaś naturę jego sympatii.

- Nie, nie pomyliłam.

Jej słowa wytrąciły mnie z równowagi.

- Ależ tak. Z pewnością.

- To jest jasne jak słońce dla wszystkich oprócz ciebie. Jack wszystko mi o tym opowiedział. Mówił mi, że w młodości wszyscy się w tobie kochali: i Jasper, i Gerald, i on, ale ty nigdy nikogo nie zauważałaś, tylko Stephena. Według niego, tobie nie przychodzi nawet do głowy, że reszta z nich też jest z krwi i kości.

Patrzyłam na nią z przerażeniem.

- Wyszłam za mąż za Geralda - powiedziałam w końcu.

- I byłaś szczęśliwa?

Patrzyłyśmy sobie w oczy - dwie kobiety, które nagle i niespodziewanie otworzyły przed sobą serca.

- Nie, nie byłam - przyznałam.

- Ja też nie byłabym szczęśliwa, gdybym wyszła za kogokolwiek innego. Kocham Jacka. I sądzę, że byłabym dla niego dobrą żoną.

Powoli wypuściłam powietrze z płuc i oznajmiłam zdecydowanie: - W takim razie będę musiała znaleźć dla niego jakiś stały dochód.

- Żyję w strachu, że Jack będzie próbował wygrać większą sumę w karty ~ wyznała. - Najprawdopodobniej skończy się to tak, że straci Rudely, a to by go załamało.

Drapanie psich pazurów po nie przykrytej dywanem podłodze korytarza doszło wyraźnie do naszych uszu, potem usłyszałyśmy tupot butów Gilesa. Chwilę później mój syn wraz z psami wpadł do pokoju.

- Medin i Portia już zjadły, mamó! - krzyknął. - A kucharz dał mi kawałek ciasta!

- Jestem w tym samym pomieszczeniu co ty - upomniałam go łagodnie. - Nie ma potrzeby krzyczeć.

Zniżył głos ..

- Przepraszam. Zagrasz ze mną w bierki?

- Dobrze, skarbie. Przynieś je.

Gra w bierki z synem miała mi pomóc stłumić okropne podejrzenie, które zaległo się w mojej głowie po wyznaniach Eugenii.

Czy miłość Jacka do młodej guwernantki była tak silna, że popchnęłaby go do morderstwa w celu uzyskania pieniędzy, które umożliwiłyby mu ślub z Eugenią?

Na pewno nie, powtarzałam sobie w duchu, patrząc, jak Giles wraca do stołu z rękami pełnymi drewnianych patyczków. Jack na pewno nie chciałby zostać kolejnym hrabią Weston za tak straszliwą cenę!

- Gotowa, mamó? - zapytał Giles. Zmusiłam się do skupienia na grze.

- Gotowa, synku - odparłam i zaczęliśmy grać.

O północy, nie doczekawszy się powrotu Stephen'a do Weston, zrezygnowana udałam się na spoczynek. Spałam niespokojnie, umysł wypełniały mi okropne lęki i podejrzenia. Obudziłam się gwałtownie i usłyszałam, że ktoś energicznie dobija się do drzwi mojej sypialni. W porę ugryzłam się w język, żeby nie zawołać „Stephen?” .

- Proszę - odezwałam się cicho.

Do pokoju wpadł jak burza mój syn.

- Dzień dobry, mammo!

Psy w garderobie obok usłyszały jego głos i zaczęły szczekać, komunikując, że one również pragną się dostać do mojego pokoju. Giles otworzył drzwi łączące te dwa pomieszczenia. Medin i Portia wbiegły do sypialni, głośno ujadając. Usiadłam i podłożyłam sobie poduszkę pod plecy.

- Wielkie nieba, Giles. - Ziewnęłam. - Co robisz na dole?

- Eugenia powiedziała, że dzisiaj mam wolne i wybierzemy się na przejażdżkę - oznajmił.

- Przyszedłem cię zaprosić. Jedź z nami. - Obdarzył mnie swoim najbardziej zniewalającym uśmiechem.

- Dziękuję, ale chyba nie pojedę.

- Dlaczego? - Buzia mu się wydłużyła.

Chciałam pozostać w domu, żeby się upewnić, że Stephen wrócił bezpiecznie, ale przecież nie mogłam powiedzieć tego Gilesowi.

- Po prostu dzisiaj nie mam ochoty na przejażdżkę.

Giles prychnął z niedowierzaniem. Wdrapał się na łóżko i śmiało popatrzył mi w oczy.

- Przecież ty zawsze masz ochotę na konną jazdę. Zsunęłam z ramienia długi warkocz.

- Ale dzisiaj wyjątkowo nie.

Zmarszczył się.

- Boli cię głowa?

- Nie. - Nagle przyszła mi do głowy niedobra myśl. - Czy jeszcze ktoś się z wami wybiera?

- Jack - odparł Giles.

- Ja też pojedę - oznajmiłam.

Uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Wiedziałem, że się zgodzisz. Powiem Eugenii i Jackowi, żeby poczekał na ciebie przy stajni. - Zeskoczył z łóżka. - Przejazdźka z nimi to żadna zabawa - zwierzył mi się. - Oni cały czas rozmawiają tylko ze sobą, a ze mną wcale! - Ruszył do drzwi.

W zasadzie powinnam się ucieszyć, że mój syn uznawał Jacka za nudziarza, a nie za groźnego złoczyńcę.

- Weź ze sobą psy - zawołałam za nim. - Powiedz lokajowi, żeby je wypuścił.

- Dobrze, mam. - Giles zawołał zwierzęta. Natychmiast podreptały za nim, gotowe do porannej wyprawy w zarośla.

Marianna pomogła mi się ubrać. Wyszczotkowała mi też włosy i zaplotła je na nowo w warkocz, kiedy piłam kawę. Poszłam do stajni z nie odstępującymi mnie psami. Jack, Eugenia i Giles stali na dziedzińcu, a Grimes coś im tłumaczył. Miał chmurny wyraz twarzy i natychmiast zaczęłam się zastanawiać, co za kataklizm dotknął stajnie od wczorajszego wieczora. Zobaczyłam, że zza wozowni wychodzi chłopak stajenny, prowadząc Marlborough - jednego z moich nowych koni. Jasnokasztanowa sierść konia była na prawym boku ubrudzona błotem. Grimes zatrzymał chłopaka i uważnie przesunął dłonią po każdej z czterech smukłych nóg zwierzęcia.

- Wydaje się, że jest w porządku - mruknął. - To już ostatni. Wyczyść go i daj mu mieszanki z otrębami.

Chłopak poszedł do stajni.

- Co tu się, na litość Boską, dzieje? - zapytałam Grimesa. Giles otworzył usta, jakby zamierzał odpowiedzieć, ale zerknął na Grimesa i zaraz je zamknął.

- Dobrze, że pani pyta - odparł ponuro główny stajenny.

Z ulgą spostrzegłam, że był tylko trochę zirytowany, więc pewnie żaden z koni nie doznał kontuzji.

- Co się stało? - zapytałam trochę spokojniej.

- Rano kuc jego lordowskiej mości uciekł z boksu - oznajmił Grimes i złowrogo zamilkł.

- Cracker uciekł? - zdziwiłam się.

- Tak. - Grimes złożył ramiona na piersi.

- To bardzo niedobrze.

- Jakby jeszcze tego było mu mało, pootwierał drzwi do wszystkich boksów po swojej

stronie stajni - dodał z oburzeniem.

Ze zdumienia otworzyłam usta.

- Niemożliwe!

- Naprawdę, mam - potwierdził Giles. Oczy mu błyszczały. - Otworzył zewnętrzne drzwi boksów?

- Tak jest, zewnętrzne drzwi - ponuro odparł Grimes.

Wszystkie boksy miały zewnętrzne drzwi, złożone z górnego i dolnego skrzydła, które wychodziły prosto na dziedziniec, jak również drzwi wewnętrzne, otwierające się na środek stajni. W lecie górne skrzydła zewnętrznych drzwi były zawsze otwarte. Jeśli kuc otworzył zasuwę zamykającą dolne skrzydła, konie mogły swobodnie wyjść na dziedziniec.

Spojrzałam na ciężkie drewniane wrota zamykające główne wejście na dziedziniec.

- Nie mogły odbiec daleko. Czy wrota były zamknięte?

- Owszem, były zamknięte - powiedział Grimes złowrogo.

- Tylko Georgie zapomniał zamknąć zasuwę.

Wyraz twarzy Grimesa nie wróżył Georgiemu nic dobrego.

- Konie wyszły za bramę? - zapytałam.

- Wyszły. - Trochę się już uspokoił, więc postanowił przekazać mi też dobrą wiadomość. - Już wszystkie sprowadziliśmy z powrotem i chyba żadnemu nic złego się nie stało.

- Cóż. - Spojrzałam na Jacka i Eugenię, którzy stali patrząc na mnie spokojnie. - Trzeba wymyślić dla tego kuca lepsze zamknięcie. - Spokojna głowa. Będę go odtąd zamykał na klucz, panno Annabello - zapewnił mnie solennie.

Jakby na zawołanie, ze stajni wyszedł chłopak prowadząc osiodłanego kuca.

- Niedobry konik! - zganił go Giles, klepiąc ulubieńca po szyi. Kuc popatrzył na Grimesa i przewrócił oczami, a ja musiałam zagryźć wargi, żeby się nie roześmiać.

- Złapali go dopiero w ogrodzie różanym - odezwał się Jack.

- Wciąż można wyczuć różę w jego oddechu - surowo powiadomił nas Grimes.

Odwróciłam głowę i zakaszlałam.

Na dziedzińcu rozległ się klekot podkutych kopyt. To trzech stajenni prowadzili konie dla Jacka, Eugenii i dla mnie. Grimes pomógł mi wsiąść na Nimfę.

- Tylko nie zamorduj Georgiego - nakazałam mu. - Pomyśl, jak trudno mi będzie wytłumaczyć jego matce zniknięcie syna.

- Nic nie mogę obiecać. - Grimes zmarszczył się groźnie.

- Gotowa, Annabelle? - zawołał Jack.

Skinęłam głową i ponagliłam Nimfę. Giles ustawił się obok mnie, przed nami dreptały psy, a Jack z Eugenią zostali trochę w tyle.

Jechaliśmy w milczeniu, dopóki nie oddaliliśmy się od stajni poza zasięg słuchu.

- Widziałaś, mamó, jaki mój kucyk jest mądry? - radośnie zapytał Giles.

- Wyobraź sobie tylko, jak ten kuc szedł od boksu do boksu i nosem otwierał zasuwy - odezwał się Jack.

Jednocześnie wybuchnęliśmy śmiechem. Kuc z anielską miną podązał przed siebie.

Otarłam powieki. Kiedy dotarliśmy do głównej drogi, zapytałam Jacka:

- Dokąd zamierzaliście jechać?

- Nad jezioro - odparł. Skinęłam głową i skierowałam Nimfę w odpowiednią stronę.

Kiedy dotarliśmy na północny brzeg jeziora, Gilesowi się wydało, że widzi jakiegoś niezwyklego ptaka, więc wszyscy zsiadliśmy z koni i Eugenia poszła wraz z nim nad wodę, sprawdzić, co to było. Jack i ja usiedliśmy obok siebie na zwałonym pniu przy drodze. Każde z nas trzymało dwie pary wodzy. Patrzyliśmy, jak Eugenia i mój syn idą przez rzadki las nad wodę.

Pierwszy odezwał się Jack, trochę zdenerwowanym głosem.

- Eugenia mi mówiła, że rozmawiała z tobą o nas.

Zerknęłam na niego kątem oka.

- Owszem, rozmawiała.

Profil Jacka na tle błękitnego nieba rysował się ostro i surowo.

- Pewnie twoim zdaniem to bezczelność, że zainteresowałem się taką dziewczyną jak Eugenia - powiedział.

- Nie mam jej nic do zaferowania, sam o tym wiem. Chcę tylko, żebyś wiedziała, że moje intencje, choć może żałosne, są całkowicie uczciwe.

Potarłam osłoniętym rękawiczką kciukiem wodze Nimfy. Giles obejrzał się, zobaczył, że na niego patrzę, i pomachał mi. Eugenia również się do mnie uśmiechnęła.

- Ona cię naprawdę kocha, Jack. A ty ją kochasz?

- Tak. - Urwał, a potem dodał zmienionym głosem: - Kocham ją do szaleństwa.

Eugenia i Giles dotarli do miejsca, gdzie miał skryć się ptak.

Siedzieliśmy w milczeniu, patrząc na szczupłą sylwetkę guwernantki i jej kasztanowate

włosy. Powiedziała coś do Gilesa, usiedli oboje na kamieniu i znieruchomieli.

- Boli mnie, kiedy patrzę na to, jakie życie musi prowadzić - gwałtownie powiedział Jack.
- Nie mówię, że jesteś dla niej niedobra, ale ona nie powinna być niczyją pracownicą! Powinna mieć własny dom i dzieci!

Odwróciłam lekko głowę, tak, żeby go widzieć.

- Żeby to osiągnąć, potrzebuje męża. A ponieważ zawiadomiła mnie, że jedynym, jakiego chce poślubić, jesteś ty, doszłam do wniosku, że trzeba znaleźć jakiś sposób, żeby cię było stać na założenie rodziny z Eugenią.

Jego usta ułożyły się w twardą, zaciętą linię.

- Czyżbyś zajmowała się czarodziejskim spełnianiem życzeń?

- Nie, zajmuję się końmi - odrzekłam. - Ostatnio myślałam tym, żeby działać z większym rozmachem. Gdybyś chciał, mógłbyś mi w tym pomóc.

Palce Jacka musiały zacisnąć się gwałtownie na wodzach, bo głowa jego konia uniosła się pytająco znad trawy.

- Do czego zmierzasz, Annabello? - zapytał sucho. - Chcesz, żebym na stałe dla ciebie pracował przy szkoleniu koni?

- Nie. Myślałam o czym innym. - Zmarszczyłam lekko czoło, zastanawiając się, jak mu to najlepiej przedstawić. W końcu powiedziałam: - Czy przyszło ci kiedyś do głowy, że w zasadzie nikt nie hoduje koni specjalnie do polowań?

Kątem oka spostrzegłam, że odwraca głowę. Spojrzał na mnie po raz pierwszy od początku naszej rozmowy.

- Co chcesz powiedzieć?

Popatrzyłam mu w oczy.

- Chcę powiedzieć, że wszystkie wielkie hodowle zarodowe skupiają się na hodowli anglików wyścigowych, chociaż więcej osób poszukuje koni do polowań, niż do wystawiania w gonitwach.

Jack coś mruknął. Widziałam, że uważnie mnie słucha.

- Przynosiąc konie do polowań, robię zupełnie niezły interes - ciągnęłam. - Zastanawiałam się jednak ostatnio, czy jeszcze lepszym pomysłem nie byłoby założenie własnej hodowli koni, przeznaczonych specjalnie do tego celu:

Oczy Jacka płonęły jak dwa niebieskie kryształy w skupionej, surowej twarzy.

- Stadnina koni myśliwskich - powiedział wolno, niemal z szacunkiem.

Skinęłam głową.

- Większość folblutów, które oglądam nie nadaje się do polowań. Muszę bardzo wytrwale szukać, żeby wybrać sztuki o odpowiedniej budowie i charakterze.

- Chcesz hodować krzyżówki koni pełnej krwi - domyślił się kuzyn. - Żrebięta mają w sobie łączyć szybkość i zwinność folblutów z budową i temperamentem, powiedzmy, koni irlandzkich.

Jeszcze raz skinęłam głową.

- To wspaniały pomysł! - wykrzyknął.

Uśmiechnęłam się na widok jego entuzjazmu.

- Tak, ma pewne zalety. Na moje wyszkolone konie jest olbrzymi popyt. Nie jestem w stanie go zaspokoić. Gdyby pojawiły się konie hodowane specjalnie do polowań, myśliwi natychmiast chcieliby je kupować i, co więcej, daliby za nie dobrą cenę.

- Wiem, że tak by się stało. - Jack patrzył na mnie badawczo rozplómiętym wzrokiem.

- Sugerujesz, że zapłaciłabyś mi za pomoc w założeniu takiej hodowli?

- Nie. - Stanowczo potrząsnęłam głową. - Chciałabym powierzyć ci pieniądze, żebyś sam założył stadninę.

Krew odpłynęła z twarzy Jacka.

- Nie możesz tego zrobić - odparł matowym głosem.

Udałam zdziwienie.

- Wydawało mi się, że twoim zdaniem to cudowny pomysł! Potrząsnął głową, jakby chciał powrócić do rzeczywistości.

- Chodzi mi o to, że nie możesz mi podarować takiej sumy pieniędzy.

Uniosłam brwi w jeszcze bardziej przesadnym grymasie zdziwienia.

- A to dlaczego?

- Choćby dlatego, że ani Adam, ani Stephen nie zgodzą się na zaryzykowanie pieniędzy Gilesa. - Na jego policzkach z przejścia pojawiły się dwie różowe plamy. - I będą mieli rację.

- Żaden z nich nie ma nic do powiedzenia na temat tego, co robię z własnymi pieniędzmi - odrzekłam. - Wiedz, że przez ostatnie lata zarobiłam na swoich koniach całkiem sporą sumkę i zamierzam zainwestować ją w ciebie.

Rumieńce na policzkach Jacka stały się płomiennie czerwone.

- Nie mogę ci na to pozwolić - upierał się.

Pochyliłam się ku niemu, chcąc go przekonać.

- Dlaczego? Zapewniam cię, że nawet nie odczuję braku tych pieniędzy.

W kąciku jego ust zadrżał mięsień.

- Nie mogę przyjąć od ciebie tak dużej sumy.

Patrzyłam na Nimfę, która cierpliwie pasła się przede mną, czekając, kiedy jej znów dosięgnę. Zastanawiałam się, jak przezwyciężyć skrupuły kuzyna.

- Uznałabym tę pożyczkę za inwestycję. W tej chwili nie potrzebuję kapitału. Szczerze mówiąc ... - Zawahałam się, ale postanowiłam wyznać mu prawdę. - Najprawdopodobniej wkrótce ponownie wyjdę za mąż i po prostu nie będę miała czasu na organizowanie nowego przedsięwzięcia. Pieniądze nigdy nie będą dla mnie problemem, więc nie musisz się zadręczać, że odbierzesz biednej wdowie ostatni kęs od ust. Zapewniam cię, że niczego mi nie zabraknie. Nawet jeśli nasz plan się nie powiedzie, nie stracę niczego, bez czego nie mogłabym się obejść.

Zapadło długie milczenie.

- Rzeczywiście, Stephen dostał duży spadek po matce - przypomniał sobie Jack. - Zerknęłam na niego kątem oka, ale nic nie powiedziałam. - Nie zawiodę cię, Annabello - obiecał.

Odwróciłam się do niego z uśmiechem.

- Jestem tego pewna. - Z góry spadł liść i wylądował na skraju mojej spódnicy. Podniosłam go. - Czy masz w Rudely wystarczająco dużo miejsca na założenie niewielkiej stadniny?

- Chyba tak. Stajnie trzeba będzie powiększyć, ale to da się łatwo zrobić. Nie mam takich wybiegów jak ty tutaj, w Weston, ale można je będzie urządzić.

Na wieść o perspektywie mojego ślubu z bardzo zamożnym Stephenem skrupuły Jacka co do przyjęcia pożyczki wyraźnie się ulotniły.

- Potem, kiedy już odniesiesz wielki sukces, pewnie będziesz musiał kupić większą posiadłość, ale teraz lepiej utrzymać koszty na tak niskim poziomie, jak to tylko możliwe.

Roześmiał się niepewnie.

- Opanuj się, Annabello! Jeszcze dużo czasu upłynie, zanim zacznę się zastanawiać nad większą posiadłością.

- Na rozpoczęcie programu zarodowego dam ci Aladyna - oznajmiłam. - Kruk jest zbyt szczupłej budowy jak na konia myśliwskiego, a poza tym przeznaczyłam go dla Stephena.

Jack gwałtownie chwycił oddech, a oczy mu rozbłysły. Uśmiechnęłam się. Wiedziałam, że przepada za Aladynem.

Giles i Eugenia zawrócili znad jeziora i szli w naszym kierunku.

- Nie wiem, co ci powiedzieć. - Jack z trudem dobierał słowa. - Jak mam ci dziękować?

Potrząsnęłam głową.

- Jesteśmy jedną rodziną. Nie ma potrzeby nic mówić.

- Wszystko ci zwrócę, i to z procentem - zapewnił z przekonaniem. - Będzie mi bardzo miło.

Giles z Eugenią podeszli do naszego pnia i Jack wstał.

- Nie znalazłem go, mam - powiadomił mnie syn.

Eugenia spojrzała na Jacka, potem na mnie i znowu na Jacka.

Wyraźnie poznała z jego twarzy, że coś między nami zaszło. Uśmiechnął się do niej krótko i twarz się jej rozpogodziła.

Ja również miałam dziś lekkie serce. Włożyłam nogę w strzemiono i usiadłam w damskim siodle, na którym dzisiaj jeździłam. Kiedy rozwiązałam problem przyszłości kuzyna, poczułam wielką ulgę. Zależało mi na jego szczęściu i to był główny motyw mojego postępowania.

Staralam się nie myśleć o innym motywie.

Byłam ciekawa, czy teraz, kiedy Jack się dowiedział, że nie musi się martwić o własną przyszłość, te dziwne wypadki przestaną nękać Stephena i Gilesa.

Powrót do Weston był bardzo przyjemny. Rano Jack pierwszy zjawił się w stajni, więc w zabawny sposób opisał nam zamieszanie, jakiego dokonał kuc swoją ucieczką.

Dotarliśmy na dziedziniec i zobaczyliśmy, że teraz również panuje tu zamieszanie, chociaż trochę innego rodzaju. Chłopak stajenny prowadził do boksu spienionego Kruka. Ze zmarszczoną brwią patrzyłam na biegnącego do mnie Grimesa.

- O ile pamiętam, powiedziałeś mi, że schwytaliście wszystkie konie - powiedziałam rozgniewana. - Dlaczego Kruk jest taki spieniony?

- Pan Stephen wrócił do domu w piętnaście minut po pani odjeździe, panno Annabello. Postanowił was dogonić. Wyjechał na Kruku, ale koń właśnie przybiegł sam do stajni, z siodłem pod brzuchem!

Czułam, jak krew odpływa mi z twarzy, a serce z przerażenia bije jak szalone.

- Czy wysłałeś ludzi na poszukiwanie? - zapytałam. W ustach nagle zrobiło mi się sucho i z trudem wymawiałam słowa.

- Właśnie miałem to zrobić, panno Annabello.

Staralam się zmusić umysł do pracy, chociaż byłam niemal sparaliżowana ze strachu.

- Powiedział, że jedzie nas szukać?

- Właśnie tak.

- A czy wiedział, że wybraliśmy się nad jezioro?

Grimes potrząsnął głową.

- Pani nie powiedziała, dokąd się wybiera, więc pan Stephen zamierzał najpierw poszukać was na wzgórzach.

- Dobrze. - Zawróciłam Nimfę. - Natychmiast tam jadę.

- Pojadę z tobą - zaofiarował się Jack. - Jeśli Stephen jest ranny, będziesz potrzebowała pomocy:

- Chcesz zabrać psy, Annabello? - zapytała spokojnie Eugenia.

- Jeszcze nie teraz. Idźcie z Gilesem - nakazałam spanielom.

Giles zsiadł z kuca, ukląkł przy Portii i otoczył ją ramionami.

- Dobrze, mamó - oznajmił. - Zatrzymam psy.

Skinęłam głową i ponagliłam Nimfę. Położyła uszy i ruszyła z kopyta, bardzo zdenerwowana, że nie zostanie odprowadzona do swojego miłego boksu, nikt jej nie wyczyści i nie da siana. Lekko uderzyłam batem w jej bok, tam gdzie znajdowałyby się moja noga, gdybym jechała po męsku. Skoczyła naprzód. Rzadko używam bata, ale kiedy już to robię, konie wiedzą, że nie żartuję.

Kiedy tylko wyjechaliśmy z dziedzińca, ruszyłam galopem.

Wiedziałam, że na tym odcinku drogi nie znajdziemy Stephena, bo przecież przed chwilą tędy wracaliśmy.

Jack jechał na Topperze. Ustawił się obok mnie i oboje pogalopowaliśmy do głównej drogi. Tam skręciliśmy na ścieżkę, inną niż ta, która prowadziła nad jezioro. Jack zaproponował, żebyśmy zwolnili do kłusa.

- Jeśli zjechał z drogi między drzewa, to jadąc zbyt szybko możemy go nie zauważyć - wyjaśnił.

Wiedziałam, że ma rację i chociaż wszystkie moje instynkty nakazywały mi galopować z całych sił, zmusiłam się do wolniejszej jazdy. Zwracałam uwagę na prawą stronę ścieżki, a Jack na lewą.

Dotarliśmy do skraju Weston Park i wciąż nie znaleźliśmy nawet śladu Stephen. W ponurej ciszy skręciliśmy na drogę publiczną, która wiodła na wzgórze Downs. Przez następne półtora kilometra wiała się przez las, a potem wychodziła na otwarte tereny. Nie przebyliśmy nawet pół kilometra, kiedy zobaczyliśmy konia, którego prowadziło dwóch mężczyzn.

Jeden z nich był bez koszuli i najwyraźniej podtrzymywał drugiego, idącego niepewnym krokiem.

W rannym rozpoznałam Stephen.

Na jego widok ogarnęła mnie tak wielka ulga, że na chwilę zrobiło mi się słabo. Dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że duchowo przygotowywałam się na widok martwego ciała Stephen, wyciągniętego gdzieś na drodze.

Mężczyźni zatrzymali się i czekali, aż do nich podjedziemy.

Nawet nie spojrzałam na drugiego z nich, dopóki nie zeskoczyłam na ziemię.

Wtedy spostrzegłam, że to Jem Washburn. - To ty! - krzyknęłam z oburzeniem.

- Przestań, Annabelle - odezwał się Stephen. - Nie wiem, co bym zrobił, gdyby Jem mnie nie znalazł.

Jego głos brzmiał dziwnie nisko i niepewnie. Włosy zwisały w nieładzie, zakrywając czoło, a na prawym policzku zaschło błoto.

- Uderzył się w głowę - powiedział Jem do Jacka. - Kiedy go zobaczyłem, leżał nieprzytomny na środku drogi. Zatomowałem koszulą krew najlepiej jak potrafiłem i zczekałem, aż się ocknie.

Stałam przed Stephenem i z uwagą spojrzałam mu w twarz. - Nic mi nie jest - powiedział niepokojąco zmienionym głosem.

- Nie wygląda mi na to. - Delikatnie odsunęłam kosmyki włosów. Rana po kuli na skroni zaczynała się ładnie zablizniać, ale uderzenie otworzyło ją na nowo, a wokół utworzył się groźnie wyglądający siniec. Wyplęzło z niej niewiele krwi, więc sądząc po zakrwawionych włosach, Stephen został ranny jeszcze w jakimś innym miejscu.

Jack stanął za mną.

- Co się stało, Stephen? - zapytał.

Stephen zamrugał i spojrzał na niego ponad moim ramieniem.

Był blady jak duch i wydawało się, że nie potrafi skupić wzroku.

- Musiałem spaść z Kruka - domyślił się.

- Tak pewnie było - przytaknął Jem. - Jechałem z przeciwnika, kiedy usłyszałem rzenie. Po chwili przebiegł obok mnie spłoszony koń bez jeźdźcy. Każdy by się domyślił, że coś się stało, nie? Popędziłem przed siebie i znalazłem Stephena. Leżał bez przytomności, jak martwy. Według mnie, był nieprzytomny przez jakiś kwadrans. Dopiero przed chwilą ruszyliśmy w drogę.

- Dlaczego nie wsadziłeś go na konia? - zapytałam z gniewem.

- Przecież widać, że nie jest w stanie chodzić.

- Nie mogłem wejść na siodło - wyjaśnił Stephen. - Nogi mam jak z gumy.

- Bałem się, że spadnie na drugą stronę i znów uderzy się w głowę - mówił Jem, tak jak poprzednio zwracając się do Jacka.

- Myślę, że razem uda się nam usadzić go na Topperze - odezwał się Jack. - Annabelle, potrzymaj konia za wodze, a my podсадzimy Stephena.

Z przerażeniem zauważyłam, że Stephen ledwie trzyma się na nogach. Jack go podsadził, ale gdyby Jem nie przerzucił jego nogi przez koński grzbiet, Stephen nie dałby rady.

- Utrzymasz się w siodle? - zapytał go nerwowo Jack.

- Tak - odparł Stephen. Jego twarz z białej zrobiła się szara.

Zwróciłam się do Jacka.

- Poprowadzę Toppera, a ty i Jem idźcie po obu stronach Stephena, na wypadek, gdyby potrzebował pomocy.

Droga powrotna do Weston wydawała się nie mieć końca. Jack, prowadzący Nimfę, odezwał się tylko raz. Zapytał Jema, co według niego mogło spłoszyć Kruka.

- Nie mam pojęcia - odparł stanowczo idący przy drugim boku Toppera Jem. Prowadził swojego konia. - Nic nie widziałem.

W połowie drogi spotkaliśmy wuja Adama, który też wybrał się na poszukiwanie.

Widać było, że odczuł ulgę, kiedy zobaczył Stephena w siodle. - Wuju, pojedź do domu i wezwij doktora - poprosiłam.

- Stephen uderzył się w głowę i pewnie ma wstrząs mózgu.

Bez zbędnego słowa, Adam zawrócił i pogalopował z powrotem. Podprowadziliśmy Toppera pod boczne drzwi domu, Jack i Jem zrobili krzeselko ze splecionych dłoni i wnieśli Stephena na górę, do jego sypialni. Ciotka Fanny nadbiegła, kiedy tylko nas usłyszała. - Zaniosłam ciepłą wodę do pokoju Stephena - oznajmiła.

- Będziemy też potrzebować lodu. - Poleciłam jednemu z lokajów, żeby poszedł do kuchni i przyniósł trochę tłuczonego lodu.

Ciotka podążyła za mężczyznami na górę, a ja zwróciłam się do krążącego po korytarzu zaniepokojonego Adama.

- Posłałeś po doktora?

- Tak. Jasper po niego pojechał.

- Dobrze. - Chciałam pójść za ciotką Fanny.

- Dobry Boże, Annabelle! - zatrzymał mnie głos wuja. - Drugi raz w tym tygodniu Stephen przeżył uderzenie w głowę!

Zdawałam sobie z tego sprawę i byłam przerażona. Widywałam już urazy głowy - jak każdy, kto regularnie poluje - i wiedziałam, jakie to może być niebezpieczne.

Nie potrafiłam odpowiedzieć Adamowi. Skinęłam jedynie głową i wbiegłam po schodach.

Stephen siedział na tym samym krześle, na którym opatrywano mu poprzednią ranę, i Jem zdejmował mu wysokie buty. Ciotka Fanny stała obok z miską wody, czekając, aż będzie mogła wziąć się do oczyszczenia rany.

Stephen spojrzał na mnie. Jego źrenice były tak rozszerzone, że niemal zniknął błękit tęczówki. Skóra wokół oczu miała siną barwę. Zmusiłam się do uśmiechu.

- Ktoś chyba koniecznie chce dostać się do twojej głowy - zażartowałam i podeszłam bliżej.

- To prawda - odparł. Mówił niewyraźnie, niczym pijany.

Jem wstał i odstawił buty Stephena pod ścianę. Ciotka przystąpiła do rannego z miską wody i ręcznikami. Zaczęła oglądać czubek jego głowy, szukając źródła krwawienia. Stanęłam z drugiej strony i delikatnie przechyliłam jego głowę, aż wsparła się na mojej piersi.

- Pewnie trzeba będzie ogolić włosy, żeby się dostać do rany - poradził Jem. - Widziałem grubą gałąź na drodze, tuż obok niego.

Poczułam lekką ulgę. Gałąź nie była tak niebezpieczna jak kamień.

Spojrzałam na Jema ponad zakrwawioną, ciemną głowę, którą przytulałam do piersi. Nikt

nie dał mu nowej koszuli, więc we wpadającym przez okno świetle widziałam jego umięśniony tors, niemal tak ogorzały, jak Stephena. Jem spoglądał na towarzysza z dawnych lat z wielkim niepokojem w głęboko osadzonych oczach.

- Pamiętasz, co się stało, Stephen? - zapytałam chmurnie. Jego głowa poruszyła się niespokojnie na mojej piersi.

- Przypominam sobie, że usłyszałem w lesie jakiś głos, jakby skomlenie szczeniaka. Zsiadłem, przywiązałem Kruka i poszedłem sprawdzić, co tak piszczy. Nic nie znalazłem. Pamiętam, że wróciłem do Kruka, odwiązałem go, a potem już nie wiem, co się działo. - Głowa jeszcze raz drgnęła niespokojnie.

- Wszystko w porządku - zapewniłam łagodnie i nie zważając na obserwujące mnie oczy, pochyliłam się i pocałowałam go w ucho. - Nie przejmuj się, jeśli nic nie pamiętasz.

- Panowie mogą teraz wyjść - nakazała uprzejmie ciotka.

- Dobrze, już schodzimy ci z drogi - odparł Jack. - Chodź, Jem.

Pożyczę ci jakąś koszulę. Wszystkie okoliczne dziewczyny zemdlałyby z wrażenia, gdyby zobaczyły te męskie muskuły.

Ruszyli do drzwi. Ciotka Fanny odłożyła miskę i zakrwawione ręczniki i wzięła małe nożyczki do wyszywania. Jem odwrócił się w drzwiach i zapytał gwałtownie:

- Stephen, nie pamiętasz, żebyś rozluźniał popręg, kiedy poszedłeś szukać tego szczeniaka?

- Nie. Nie pamiętam, żebym to robił.

Wargi Jema zacisnęły się w wąską linię. Podążył za Jackiem na korytarz. Stephen uniósł głowę i zawołał za nim:

- Dlaczego, Jem? Czy popręg Kruka był poluzowany?

- Czy mógłbyś przestać się wiercić? - upomniała go surowo ciotka. - Nie chcę cię skaleczyć nożyczkami.

Ruchem głowy nakazałam Jemowi, żeby wyszedł, i sama odpowiedziałam na pytanie Stephena, jednocześnie znów układając jego głowę na swojej piersi.

- Kruk przygnał do stajni z siodłem zwisającym pod brzuchem.

Najwyraźniej popręg był rozluźniony. Pewnie siodło się przesunęło, kiedy wsiadałeś, Kruk się spłoszył i zaczął stawać dęba, próbując się go pobyć.

- Nie pamiętam, żebym rozluźniał popręg - stwierdził Stephen. - Ale może to zrobiłem.

Sądziłam inaczej. Zwykle nikt tego nie robił, jeśli za chwilę zamierzał z powrotem wsiąść na siodło. Jednak nie chciałam go teraz martwić, więc powiedziałam:

- Może i tak.

Ciotka Fanny odsłoniła ranę na głowie Stephen. Obficie krwawiła, ale nie była zbyt poważna. O wiele groźniej wyglądał siniec na skroni. Wstrząs jakiego doznał mózg Stephen, i to po raz drugi w tak krótkim czasie, był bardzo niebezpieczny.

Zdecydowałyśmy z ciotką zostawić ranę bez opatrunku do czasu przyjazdu doktora. Przyniesiono lód z kuchni. Zawinęłam go w ręcznik i przyłożyłam Stephenowi do skroni. Nie mógł powstrzymać grymasu bólu, kiedy dotknęłam siniego miejsca.

- Zimny okład jest dobry na opuchliznę - powiedziałam.

Jeśli jakiś koń okulał, zawsze wkładałam mu nogę do kubła z zimną wodą.

Głowa Stephen na mojej piersi robiła się coraz cięższa i cięższa.

Postanowiłyśmy położyć go do łóżka, więc przywołałyśmy służącego, żeby go rozebrał. Jednak przed nadejściem Matthews zjawił się doktor Montrose, zadyszany po wspinaczce po schodach.

Obudziłam Stephen, szepcząc mu jego imię do ucha.

- Co ty wyprawiasz najlepszemu, młody człowieku? - odezwał się doktor, podchodząc do krzesła, na którym siedział Stephen. Ranny próbował się uśmiechnąć, ale nie bardzo mu się to udało. Doktor uważnie spojrział na ranę i oświadczył: - Bardzo staranna robota, Fanny. Pięknie to oczyściłaś. Wystarczy, że założę opatrunek, żeby ukryć to wygolone miejsce.

- Zgoliłam tak mało włosów, jak tylko możliwe - zapewniła ciotka.

- Dobrze, że nie jestem próżny - powiedział niewyraźnie ranny. Ta próba dowcipu nappełniła mnie optymizmem. Podczas zabiegów ciotki był taki spokojny i posłuszny, że zaczynało mnie to poważnie niepokoić.

Doktor Montrose spojrział na brzydkie zasinienie na skroni.

- To samo miejsce, co zeszłym razem - stwierdził beznamiętnie.

Przytaknęłam. Uniósł głowę Stephen i zająrzył mu w oczy. - Hmmm. Czy stracił przytomność, Annabello?

- Tak. Jem Washbum twierdzi, że leżał nieprzytomny przez co najmniej piętnaście minut.

- Jak głowa, Stephen? - zapytał lekarz.

- Boli jak diabli. W uszach słyszę jakieś dzwonięcie.

Doktor wystawił dwa palce.

- Ile palców widzisz? Stephen zmrużył powieki.

- Cztery? - odparł niepewnie.

Lekarz spojrział na mnie.

- Niewątpliwie jest to wstrząśnienie mózgu. Połóż go do łóżka i każ mu tam zostać co najmniej trzy dni.

Stephen był przerażony.

- Nie mogę spędzić w łóżku trzech dni!

- Możesz i zrobisz to - odparłam surowo.

- Czy to poważna sprawa, Martinie? - zaniepokoiła się Fanny.

- Bardzo poważna, jeśli się ją zaniedba. Zapytaj Annabelli.

Wie, co się stało z Henrym Marlieldem.

- Kto to jest Henry Marfield? - zwróciła się do mnie.

- To przyjaciel pana Matthew, który kilka lat temu wybrał się z nami na polowanie. Próbował przeskoczyć zwałony pień, spadł z konia, uderzył głową o inne drzewo i na chwilę stracił przytomność. Tak samo jak Stephen. Doktor Montrose zalecił mu odpoczynek w łóżku, ale on nie usłuchał. Dwa dni później zmarł w drodze ze Stanhope do domu. Po prostu padł martwy w swoim powozie.

- Udar mózgu - wyjaśnił lekarz.

- Ta historia napawa mnie otuchą - wymamrotał Stephen.

- Właśnie dlatego zostaniesz w łóżku przez trzy dni - oznajmiłam.

Od drzwi odezwał się pełen szacunku głos.

- Przepraszam, milady, czy nadal mnie pani potrzebuje?

- Jak najbardziej, Matthews - odpowiedziałam osobistemu służącemu Stephena. - Wejdz.

Rozbierz pana i połóż go do łóżka.

- Martinie, przed wyjazdem zapraszam cię na kieliszek porto - zaproponowała Fanny.

- Nie mogę. Muszę jeszcze zajrzeć do kilku pacjentów, zanim będę mógł pozwolić sobie na picie wina.

- W takim razie dostaniesz herbaty.

- Bardzo chętnie - zgodził się doktor.

Oboje ruszyli do drzwi, ale zanim wyszli, ciotka zwróciła się do mnie:

- Przyłączysz się do nas?

- Za chwilę. Będziecie w małym salonie?

- Tak - potwierdziła ciotka i wraz z doktorem wyszli z sypialni, zamykając za sobą drzwi.

- Chcę, żebyś został w pokoju pana Stephena, kiedy już położysz go 'do łóżka -
oznajmiłam Matthewsowi. - Pod żadnym pozorem nie zostawiaj go samego.

Wypukłe szare oczy służącego wyszły na wierzch, upodabniając go do ryby.

- Tak jest, milady.

- To wcale nie jest konieczne - wymamrotał Stephen.

- Pozwól, że ja o tym zadecyduję.

Zmarszczył brwi. Wyglądał tak słabo, że znów poczułam rosnący lęk. Podeszłam do niego i delikatnie objęłam dłońmi jego twarz.

- Proszę, odpocznij trochę - powiedziałam. - O niczym nie myśl. Po prostu odpoczywaj. -
Uniósł pociemniałe oczy. Wciąż marszczył brwi. - Będę spokojniejsza wiedząc, że Matthews
został z tobą. Proszę.

Odwrócił wzrok od mojej twarzy, jakby zbyt długo nie mógł skupiać spojrzenia na jednym punkcie.

- Dobrze - zgodził się słabym głosem. Nachyliłam się i dotknęłam ustami jego ust.

- Kocham cię - wyznałam tak cicho, że służący nie mógł mnie usłyszeć.

Kąćki ust Stephena drgnęły lekko, jakby próbował się uśmiechnąć.

Na parterze, w korytarzu na tyłach domu, spostrzegłam Jema Washburna, teraz przyzwoicie ubranego w koszulę Jacka. Otwierał właśnie tylne drzwi, kiedy go zawołałam. Odsunął rękę od klamki i odwrócił się do mnie, z bardzo czujnym wyrazem twarzy.

Zatrzymałam się o metr od niego i zmierzyłam go wzrokiem, od zmierzwionej ciemniej czupryny po czubki starannie wyczyszczonej butów. Splotłam ramiona na piersiach.

- Chciałabym wiedzieć, co robiłeś dzisiaj rano na tej właśnie ścieżce? - Miałam zamiar zapytać miłym głosem, ale wcale mi się to nie udało.

Jem zacisnął wargi.

- Jechałem właśnie w odwiedziny do Marietty Adams - odparł po chwili. Jego ton był równie wrogi jak mój. - Mamy się pobrać, jeśli jeszcze pani o tym nie wie, milady.

- Owszem, wiem - odparłam. - To wspaniale, że przez te pięć lat, kiedy Stephen przebywał na Jamajce, tobie zaczęło się dobrze powodzić. I to tak dobrze, że George Adams

uznał cię za odpowiedniego kandydata do ręki swojej córki.

Przez małe, okrągłe okno nad drzwiami wpadała smuga światła słonecznego, na tyle rozświetlając korytarz, że zobaczyłam, jak Jem pobladł na dźwięk moich słów.

- Panno Annabello, oskarża mnie pani o to, że Step hen został wysłany na Jamajkę? - W zdenerwowaniu nazwał mnie tak, jak za dawnych czasów.

Podeszłam krok bliżej.

- A nie ty jesteś temu winny? - zapytałam twardo. Choć trudno w to uwierzyć, pobladł jeszcze bardziej. - Tak - wyznał zduszonym głosem. - Jestem winny.

- To ty byłeś wtedy w nocy na ścieżce w lesie, prawda? - stwierdziłam z pogardą. - Stephen nie miał nic wspólnego z przemytem.

- Tak - jeszcze raz potwierdził moje słowa. - Ja byłem na tej ścieżce. - Potrząsnął głową, żeby odrzucić z czoła kosmyk czarnych włosów. Ten ruch przywołał w mojej pamięci jego obraz z dzieciństwa.

- Stephen był twoim przyjacielem - ciągnęłam z pasją. - Twoim jedynym przyjacielem. Jak mogłeś tak go wykorzystać?

Jem miał znękaną minę.

- Zmusił mnie od tego - odparł. Prychnęłam z niedowierzaniem.

- To prawda, panno Annabello. Wydaje się taki łagodny i miękki, ale sama pani wie, jaki jest, kiedy coś sobie postanowi. Końmi nie można by go odciągnąć od jego zamiarów.

Musiałam przyznać, że to prawda. Jem mówił dalej, słowa wylewały się z niego, jakby długo czekały na tę chwilę.

- Wiedział, że byłem zamieszany w szmugiel i usłyszał, że ktoś doniósł strażnikom o transporcie brandy, który tamtej nocy miał dotrzeć do zatoki. Wyszedł mi na spotkanie do lasu na wzgórzach i kazał mi iść do domu na piechotę. Powiedział, że sam ukryje wóz z alkoholem. Nie chciałem się z nim zamieniać, ale on nie ustępował... no i w końcu pozwoliłem, żeby mnie zastąpił.

Zawsze podejrzewałam, że tak właśnie było.

- Co za szlachetność - powiedziałam z pogardliwą ironią.

- To był postęp tchórza. Nie musi mi pani tego mówić! - odciął Jem. - Ale Stephen ... w jego ustach brzmiało to tak rozsądnie. Twierdził, że jeśli mnie złapią, ześlą mnie do karnej kolonii, albo nawet powieszą, natomiast jemu, synowi hrabiego i tak dalej, nie grozi nic oprócz

upomnienia. Właśnie to mówił, a ja mu uwierzyłem i pozwoliłem, żeby tamtej nocy zajął moje miejsce. Byłem wstrząśnięty, kiedy się dowiedziałem, że został wysłany na Jamajkę!

Podeszłam jeszcze bliżej, przesywając go spojrzeniem niczym sztyletem.

- Jednak nie byłeś na tyle wstrząśnięty, żeby wziąć na siebie odpowiedzialność za swoje własne czyny.

Jem przecesał palcami splecione włosy i zauważyłam pod jego paznokciami zaschniętą krew Stephena.

- Widzi pani, Stephen przemyślił do mnie wiadomość przez jednego z lokai.

Patrzyłam na niego w martwej ciszy.

- Przemyślił do ciebie wiadomość? - zapytałam w końcu. Jem skinął głową.

Poczułam ból w sercu. Stephen przesłał wiadomość do Jema, a do mnie nie.

- Co to była za wiadomość? - z trudem wydusiłam.

- Pisał, że mam siedzieć cicho. Jeśli będę próbował się przyznać, on nazwie mnie kłamcą.

Powie, że tylko staram się mu pomóc.

Musiałam się upewnić, że dobrze go rozumiałam.

- Wysłał ci wiadomość po tym, jak go zamknięto w pokoju?

Jem skinął głową.

Stephen wysłał wiadomość do Jema, ale nie do mnie.

- Podobno mu powiedziano, że będzie musiał pozostać na Jamajce tylko przez rok. -

Ciemne oczy Jema wbiły się we mnie, a głos przybrał oskarżycielski ton. - Został tam tak długo tylko dlatego, że pani wyszła za męża za jego brata.

Popatrzyłam na niego przerażona. - Co takiego powiedziałaś?

- Został tam dłużej tylko dlatego ...

- Nie - przerwałam mu ostro. - Chodzi mi o to, że miał przebywać na Jamajce tylko przez rok.

- Tak mi napisał.

„Co najmniej pięć lat”. Tak powiedziała mi matka. Wściekłość wypierała przerażenie z mojego serca.

- Jak pani mogła mu to zrobić? - Jem rzucał we mnie słowami jak kamieniami. - Ja byłem jego przyjacielem, ale kochał tylko panią. Nigdy nie widziałem dwojga tak bliskich sobie ludzi jak pani i Stephen. Jak mogła pani tak postąpić?

Jak pani mogła?

Stephen pytał mnie o to samo.

Cofnęłam, się kilka kroków. Odwróciłam wzrok od pełnych wyrzutu oczu Jema i spojrzałam na mosiężny stojak na parasole obok drzwi.

- To, co jest między mną a Stephenem, nie powinno cię obchodzić - powiedziałam drżąc.

W ciszy, która potem nastąpiła, nadal wpatrywałam się w stojak, jakby zmuszała mnie do tego jakaś magiczna siła.

- Owszem, pani sprawy mnie nie obchodzą, ale Stephena tak. I powiadam pani, panno Annabello: w tym lesie ktoś się na niego zaczął.

Czar nagle przestał działać i oderwałam spojrzenie od mosiężnego stojaka.

- Skąd ta pewność? - zapytałam ostro.

Jem potarł dłonią twarz.

- Przede wszystkim Stephen sam nie poluzowałby popręgu. Po drugie, w tym lesie nie było żadnego szczeniaka. Tak, słyszałem jakiś hałas, kiedy kłęczałem na drodze obok Stephen a, ale brzmiało to raczej jak podzwanianie upręży konia prowadzonego przez las.

Chwyciłam się za gardło.

- Wiedziałam. - Z trudem chwytałam oddech. - O, Boże. Ktoś poluzował popręg, kiedy Stephen szukał szczeniaka.

- Założę się, że tak było. Prawdę mówiąc, mam straszne podejrzenie, że gdybym wtedy nie nadjechał, ten ktoś uderzyłby Stephena w głowę, żeby dokończyć swoją robotę.

Twarcz Jema nagle się rozmyła i przed oczami ujrzałam białe płatki. Potrząsnęłam głową, zamrugałam, starając się odzyskać ostrość widzenia. Czułam, że obejmuje mnie jakieś ramię i pozwoliłam się poprowadzić do krzesła, które ustawiono tu dla gości zbyt niskich rangą, żeby wchodzić przez frontowe drzwi. Usiadłam wdzięczna za pomoc i pochyliłam nisko głowę.

Po chwili krew znów napłynęła mi do mózgu i wszystko widziałam wyraźnie. Oddychałam wolno i głęboko.

- Czy mam kogoś zawołać? - zapytał ochryple Jem.

- Nie. - Jeszcze raz wzięłam głęboki oddech. Spojrzałam na stojącego obok Jema. - Nic mi nie jest. Tak podziałała na mnie wiadomość, że sprawdzają się moje najgorsze przeczucia.

- Chryste, panno Annabello - powiedział Jem równie ochryple jak poprzednio. - Kto może chcieć zabić Stephena? Przecież dopiero co przyjechał, nie zdążył się nikomu narazić!

Wyprostowałam ramiona.

- Nie wiem, kto to jest, ale jedno mogę ci obiecać. Na pewno się tego dowiem.

W głosie Jema pojawił się niechętny podziw.

- Dowie się pani. Kiedy pani sobie coś postanowi, jest pani tak samo uparta jak Stephen. -
Usiadłam wygodniej, jeszcze nie ufając swoim nogom. - On nie powinien zostawać sam, nawet w
swojej sypialni, we własnym domu. Chce pani, żebym z nim posiedział?

- Powiedziałam służącemu, żeby ani na chwilę go nie opuszczał.

- Temu londyńskiemu elegancikowi? - Jem prychnął lekceważąco. - Jeśli pani chce, pójdę
się przebrać, wrócę i popilnuję pokoju Stephena.

Spojrzałam na jego zaciętą twarz i w duchu przyznałam, że potrzebowałam Jema jako
sprzymierzeńca. Miał rację, kiedy mówił, że jego obecność na drodze pewnie uratowała życie
Stephena.

Poza tym zdałam sobie sprawę, że poluzowany popręg oznacza koniec .mojej teorii o
przemysłach.

- Myślę, że to ktoś z tego domu, a ty? - powiedziałam cicho.

- Na to wygląda - zgodził się.

Zwilżyłam językiem wyschnięte wargi.

- Ale Jem ... dlaczego?

- Niech się pani tego dowie, a złapiemy złoczyńcę. Nie chciałam tego wiedzieć. Po co się
dowiadzać, że ktoś z mojej własnej rodziny ... Zamknęłam oczy.

- Mam tu wrócić? - zapytał Jem. Otworzyłam oczy.

- Tak. - Otwierał już drzwi, kiedy go zawołałam:

- Jem? - Odwrócił się do mnie. - Przynieś ubranie na zapas. Zostaniesz tu trochę dłużej.

Zdecydowanie kiwnął głową i zniknął za drzwiami.

Jem wrócił, jak obiecał i spędził całe popołudnie w pokoju Stephena. Siedział ze skrzyżowanymi ramionami, nie odrywając wzroku od drzwi. Zajrzałam do niego o piątej i oznajmiłam, że kazałam przynieść kolację do pokoju, który mu przydzieliłam na końcu korytarza. zaproponowałam, że tymczasem ja posiedzę przy Stephenie.

- Mogę zjeść tutaj, panno Annabelle - zaprotestował. Potrząsnęłam głową.

- Przed tobą długa noc. - Kiedy zobaczyłam, że nadal upiera się przy swoim, poprosiłam łagodnie: - Chciałabym na chwilę zostać ze Stephenem sama.

- Dobrze - burknął i wyszedł.

Okna w sypialni były otwarte i wpadał przez nie zapach świeżo skoszonej trawy. Stephen leżał zupełnie nieruchomo. Stałam nad nim i obserwowałam, jak oddycha.

Wydało mi się, że zbyt szybko i płytko chwyta powietrze.

Ogarnęła mnie tak wielka panika, że krew zahuczała mi żyłach. A jeśli to nie jest normalny sen? Może Stephen nigdy się nie obudzi?

- Stephen! - powiedziałam niespokojnie. - Stephen, obudź się! - Nie poruszył się, ale miałam wrażenie, że rzęsy lekko mu drgnęły. Położyłam mu rękę na ramieniu i niezbyt delikatnie nim potrząsnęłam. - Stephen, musisz się obudzić!

Tym razem powieki wyraźnie drgnęły. Jeszcze raz zawołałam go po imieniu i otworzył oczy. Z trudem podniósł wzrok. Wiedziałam, że każdy ruch oznaczał dodatkowy ból pod czaszkę.

- Annabella? - przemówił słabym głosem, ale rozbudził się i rozpoznał mnie. Pochyliłam się nad nim.

- Przepraszam, że cię obudziłam. Wszystko w porządku. Śpij dalej.

Powieki opadły. Kolana mi drżały, więc po chwili usiadłam na krześle, które Jem przysunął blisko do łóżka. Było wyjątkowo niewygodne, o twardym, dębowym oparciu, ozdobionym wypukłą głową lwa. Zapiłam sobie w pamięci, żeby przysłać tu coś wygodniejszego.

Siedziałam prosto, żeby nie dotykać plecami twardego wybrzuszenia, stanowiącego lwią głowę, i zastanawiałam się nad wiadomościami uzyskanymi od Jema.

Z goryczą myślałam o tym, jak matka wprowadziła mnie w błąd co do długości wygnania

Stephena. Pięć lat, powiedziała. Pięć lat, albo stanie przed sądem jako przemytnik.

Ręka Stephena leżała dłonią do góry na kocu. Pochyliłam się i przytuliłam do niej usta. Odwróciłam głowę, tak że jego dłoń obejmowała mój policzek. Zamknęłam oczy.

Jeszcze raz miałam siedemnaście lat, a mama właśnie mi powiedziała, że jestem w ciąży.

Było to nazajutrz po wypłynięciu Stephena w morze. Po obiedzie, którego niemal nie tknęłam, przeprosiłam, wstałam wcześniej do stołu i poszłam do swojej sypialni. Dziesięć minut później w progu stanęła mama i właśnie wtedy przyniosła mi katastrofalną wieść o moim domniemanym stanie.

Patrzyłam na nią niewymownie wstrząśnięta.

- Czyj to dzieciak? - zapytała surowo.

Nie mogłam jej powiedzieć. W ogóle nie byłam w stanie wydobyć z siebie słowa.

- Czy to Geralda?

W milczeniu potrząsnęłam głową. Matka zacisnęła wargi, przez co wcale już nie wyglądała pięknie.

- Nie, wiedziałam, że nie mogę na to liczyć - stwierdziła kwaśno, - To dziecko Stephena, tak?

Zrobiło mi się tak zimno, że na rękach wystąpiła mi gęsia skórka. Objęłam się ramionami.

- Tt... tak - wyjąkałam. - To dziecko Stephena.

Mama przeniosła mnie z dziecinnej części domu, kiedy skończyłam szesnaście lat. Teraz stałyśmy przed kominkiem w mojej nowej sypialni, znajdującej się w połowie korytarza na pierwszym piętrze. To usytuowanie było bardzo niewygodne dla Stephena i dla mnie, ponieważ byłam zmuszona mijać z pół tuzina drzwi, zanim dotarłam do schodów, które prowadziły mnie do względnie zacisznych pomieszczeń na drugim piętrze.

Oczy mamy były twarde i zimne jak szmaragdy.

- Widać, że zbyt długo pozwoliliśmy wam mieszkać w jednej części domu. - Jej doskonale wykrojone nozdrza pobiełały z gniewu. - Zawsze uważaliśmy z hrabią, że jesteście niczym brat i siostra. Pewnie takie właśnie wrażenie chcieliście robić, prawda?

Zwilżyłam usta językiem.

- Tak - przyznałam.

Ręce mamy zaciskały się i otwierały, jakby chciała ścisnąć między nimi moją szyję.

- Kiedy dzisiaj spojrzalam na ciebie przy stole i zobaczyłam, jaką masz cerę .. - Urwała.

Przez dłuższą chwilę nie mogła znaleźć ujścia dla swojej furii. Rozejrzała się dokoła, zacisnęła rozedrgane palce na małej porcelanowej figurce pasterki, stojącej na pobliskim stoliku i cisnęła ją o obudowę kominka, rozbijając delikatną porcelanę na setki kawałków.

Podskoczyłam.

- Boże! - Matka odzyskała mowę, kiedy przez ten gwałtowny akt dała upust wściekłości. - Jak mogłaś być taka głupia?

Uniosłam głowę i odrzekłam dzielnie:

- Kocham Stephena, mammo, a on kocha mnie.

- O, niewątpliwie - powiedziała szyderczo. - Tak bardzo cię kocha, że zaplątał się w interesy z przemytnikami i musiał uciekać na Jamajkę, żeby ocalić własną skórę. - Spojrzała na mnie chłodnym, kalkulującym wzrokiem. - Powiedz mi, Annabelle, czy skontaktował się z tobą przed wyjazdem?

Wbiłam wzrok w czubki butów, żeby nie mogła zobaczyć wyrazu mojej twarzy.

- A więc nie.

W jej głosie usłyszałam dziwną nutę zadowolenia. Podniosłam głowę.

- Nie pozwoliliście mu zobaczyć się ze mną! Zamknęliście go w pokoju i zakazaliście z kimkolwiek rozmawiać! - wykrzyczałam z pasją.

- Taki układ musiał zawrzeć hrabia z władzami - wyjaśniła mama. - Nie chcieli dopuścić do tego, żeby Stephen porozumiał się ze swoimi współpracownikami.

- Przecież nie miał żadnych współpracowników! - zawołałam.

- Gdyby chciał, skontaktowałby się z tobą - oznajmiła drwiąco.

- Nawet jeśli nie mógł się z tobą spotkać osobiście, to mógł ci przesłać wiadomość. - Zamilkła na chwilę i uważnie spojrzała mi w oczy. - Nie zrobił nawet tego, prawda? - Odwróciłam wzrok. - Bezlitośnie wykorzystwała swoją przewagę. - Jak wytłumaczyć takie postępowanie?

Jak wytłumaczyć coś, czego nie da się wytłumaczyć? W milczeniu potrząsnęłam głową.

Po obu stronach kominka, na ciemnoniebieskim tureckim dywanie, stały dwa głębokie fotele. Mama ominęła stolik, na którym niedawno stała figurka, i usiadła w jednym z nich. Nakazała gestem, żebym zajęła drugi. Zrobiłam to chętnie. W żołądku mnie ścisnęło, a nogi miałam jak z waty.

Mama spojrzała na mnie badawczo.

- Nie ma co, ładnie się urządziłaś - stwierdziła pogardliwie.

- Moja córka w ciąży, a ojciec jej dziecka został wysłany na Jamajkę, bo go aresztowano za szmugiel.

- Jak długo będzie musiał tam zostać? - zapytałam słabym głosem, choć bardzo się starałam, żeby brzmiał pewnie.

Mama czubkiem buta odsunęła od siebie kawałek potłuczonej figurki.

- Bóg raczy wiedzieć - odparła. - Oficer straży powiedział nam tylko, że jeśli wróci do Anglii, to zostanie aresztowany. Wiem, że według hrabiego Stephen powinien zostać na Jamajce co najmniej pięć lat, zanim będzie mógł bezpiecznie wrócić do domu.

- Pięć lat!

Pięć lat dla siedemnasto letniej dziewczyny to niemal wieczność. - Będziesz musiała poślubić kogoś innego - oznajmiła matka. Spojrzałam na nią przerażona.

- Nie mogę tego zrobić!

- Chcesz urodzić bękarta?

Przycisnęłam dłonie do skroni, w których czułam pulsujący ból.

- Nie, oczywiście, że nie.

- Chcesz, żebyśmy cię wsadzili na statek płynący na Jamajkę? - naciskała bezlitośnie. - Zniesiesz dwa miesiące choroby morskiej? A może w ogóle nie przeżyłabyś tej podróży? Czy Stephen zasługuje na takie poświęcenie z twojej strony, skoro wyjechał bez słowa pożegnania?

Nad odpowiedzią na ostatnie pytanie nie musiałam się wcale namyślać. Opuściłam ręce, wyprostowałam plecy i uniosłam głowę.

- Nie, mamó. Nie zasługuje.

- W takim razie musisz poślubić kogoś innego.

Nerwowo gładziłam oparcie fotela i zagryzałam dolną wargę.

- Natychmiast przestań! - upomniła mnie. - Nic tak nie zraża mężczyzny jak spękane wargi.

Patrzyłam na nią ze strachem i zdziwieniem.

- Co to znaczy, że muszę poślubić kogoś innego? - zapytałam.

- Kto się ze mną ożeni, jeśli się dowie, że noszę dziecko Stephena?

- Nie ma powodu, żeby twój przyszły mąż kiedykolwiek się dowiedział, że to dziecko nie jest jego - oznajmiła.

W głowie czułam pulsujący ból.

- Mamo, przecież to chyba niemożliwe. Prychnęła zniecierpliwiona.

- Wiesz, Annabelle, czasami mam wrażenie, że twoja głupota przekracza ludzkie pojęcie!

Teraz słuchaj mnie uważnie. Zrobisz dokładnie tak, jak ci powiem.

Pod policzkiem czułam ciepło ręki Stephena. Jeszcze raz ucałowałam jego dłoń.

Powinnam była jechać za tobą na Jamajkę.

Gdyby mama się nie wmieszała, minęłyby tygodnie, może nawet miesiące, zanim bym się domyśliła, że jestem w ciąży. Wtedy byłoby już za późno, żeby kogokolwiek zwieść. Musiałabym jechać do Stephena.

W dodatku przez cały czas wiedziała, że wygnanie Stephena miało trwać tylko rok!

Już przedtem miałam jej za złe to, że się wtrąciła, a co dopiero teraz!

Podniosłam głowę i spojrzałam na twarz śpiącego Stephena. Dlaczego przed wyjazdem ze mną nie porozmawiałaś? Pomyślałam to z bólem, a nie z gniewem. Rozmowa oszczędziłaby nam tyle cierpień.

Z jego twarzy nie mogłam wyczytać żadnej odpowiedzi. Kwadrans później wrócił Jem, a ja poszłam do garderoby, żeby się przebrać do kolacji.

Stephen przespał dwadzieścia cztery godziny. Bałam się, że może umrzeć, więc budziłam go co cztery, pięć godzin, tylko po to, żeby się upewnić, że odzyskuje przytomność i mnie rozpoznaje.

Jem nie pozwolił, by Matthews zastąpił go nawet na kilka godzin, więc kazałam mu wstawić do sypialni Stephena składane łóżko, żeby mógł się trochę przespać.

Nell wyraźnie zamartwiała się stanem Stephena i spędzała stanowczo zbyt wiele czasu krążąc wokół jego pokoju.

Z kolei ciotkę Fanny martwiła reakcja córki i ostro przywołała ją do porządku, starając się odciągnąć ją od Stephena.

Nell przybrała wrogą postawę wobec matki.

Dzień po wypadku Stephen się przebudził, był nawet w stanie usiąść w pościeli i coś przełknąć. Tego samego wieczoru Giles powiedział mi wystraszonym głosem:

- Mamo, ktoś chyba naprawdę chce zabić wujka.

Siedziałam w dużym fotelu bujanym i czytałam synkowi książkę.

Giles siedział ściśnięty obok mnie. Był już zbyt duży, żeby usiąść mi na kolanach, a

jednocześnie wciąż na tyle dziecinny, że do poczucia bezpieczeństwa potrzebował mojej bliskości.

Wolno podniosłam wzrok znad kartek Robinsona Cruoe. Giles niezbyt uważnie słuchał powieści i teraz pojęłam, dlaczego.

- Tak sądzisz? - zapytałam ostrożnie.

Przesunął palcem po skórzanej oprawie książki. Unikał mojego wzroku.

- Tak - potwierdził.

Mój Boże, pomyślałam. Jak się mówi pięcioletniemu dziecku, że ktoś próbuje zabić jego wujka?

- Te wypadki mogą się wydawać podejrzane, ale ... - zaczęłam ostrożnie.

Podniósł głowę, spojrzał na mnie i powiedział ze złością:

- Nie okłamuj mnie, mamó. Nie jestem małym dzidziusiem. Popatrzyłam w oczy tak podobne do moich. Zrozumiałam, że jeśli teraz go okłamię, na zawsze straci do mnie zaufanie. Westchnęłam.

- W takim razie, dobrze. Skoro chcesz prawdy, skarbie, powiem ci, że to rzeczywiście wygląda tak, jakby ktoś chciał zabić wujka.

Kiedy to usłyszał, zadrżał i mocniej się do mnie przytulił.

- Boję się. Kto się nami zaopiekuje, jak coś się stanie z wujkiem Stephenem?

Położyłam książkę na podłodze i otoczyłam synka ramieniem.

- Wujkowi Stephenowi nic się nie stanie - zapewniłam. - Zawsze tu będzie, żeby się tobą opiekować.

Łagodnie kołysałam fotelem. Giles ukrył twarz na moim ramieniu.

- Lubisz wujka Stephena, mamó? - zapytał stłumionym głosem.

- Oczywiście, że go lubię. - Nadal kołysałam fotelem.

- Ale czy bardzo?

Obudziła się we mnie czujność.

- Tak - odparłam spokojnie. - Bardzo go lubię.

- Lubisz go bardziej niż mnie?

Patrzyłam na białe - niebieskie kafle kominka i starannie przemyślałam nad odpowiedzią. Kształt przyszłego związku Stephena z własnym synem mógł zależeć od tego, co miałam za chwilę powiedzieć.

Przestałam się kołysać.

- Nigdy nikogo nie polubię bardziej niż ciebie. Być może lubię wujka tak mocno jak ciebie, ale to zupełnie inne uczucie. Moja miłość do ciebie jest zupełnie wyjątkowa i nikt nigdy jej nie dostanie. Jest wyłącznie twoja.

- Masz taką szczęśliwą minę, kiedy jesteś z wujkiem. - Niewiele brakowało, żeby głos Gilesa zabrzmiał oskarżycielsko.

Ucałowałam czubek jasnej główki.

- Bo jestem szczęśliwa w towarzystwie wujka. Przyjaźnimy się od dzieciństwa i bardzo za nim tęskniłam.

Cisza. Przytulone do mnie drobne ciało było nadal napięte.

Najwyraźniej moje słowa go nie uspokoiły.

- Kiedy dorosisz, zakochasz się w jakiejś dziewczynie i ożenisz się z nią. Czy twoja miłość do mnie się zmniejszy tylko dlatego, że będziesz miał żonę?

Podniósł wtuloną w moje ramię głowę.

- Oczywiście, że nie!

- Mamy dla siebie nawzajem specjalne miejsce w sercu i nikt inny tego miejsca nie zajmie. Prawda?

- No, chyba tak.

Odpowiedź nie zabrzmiała zbyt przekonująco, ale ciało mojego syna trochę się rozluźniło i przywarło do mnie ciaśniej. Jednak to nie był koniec synowskiego przesłuchania.

- Mamo, chcesz wyjść za mąż za wujka Stephena?

Wielkie nieba! Nie miałam czasu na przygotowanie odpowiedzi na takie trudne pytania.

- A jeśli to prawda, byłbyś bardzo niezadowolony? - zapytałam wymijająco.

- Pewnie będziesz w końcu musiała kogoś poślubić - stwierdził z żalem. - Wuj Stephen jest chyba najlepszy. Przynajmniej mnie słucha. Nie tak jak Jack. On słucha tylko Eugenii!

- Nic jeszcze nie postanowiliśmy, więc proszę, żebyś nie opowiadał wokoło, że wujek i ja zostaniemy mężem i żoną•

- I tak już wszyscy wiedzą - odparł pogodnie.

Tym razem ja zeszywniałam.

- Co to znaczy - wszyscy?

- Pani Nordlem, Hodges, kucharz. Wczoraj słyszałem, jak rozmawiają w kuchni.

Byłam przerażona. Giles chyba to wyczuł, bo pośpiesznie dodał: - Byli z tego bardzo zadowoleni. Wszyscy lubią wujka Stephena.

- No, to mi ulżyło.

Ironia nie dotarła do Gilesa.

- Nie wyjdiesz za wujka, jeśli ktoś go zabije - zauważył. - Trzeba znaleźć tego złego człowieka, który chce mu zrobić krzywdę.

- Świetny pomysł, kochanie. - Znów zaczęłam kołysać fotelem.

- Ale jak to zrobić? Weston Park jest taki duży! On mógł się ukryć wszędzie.

Zdałam sobie sprawę, że mojemu synkowi nawet nie powstało w głowie, że poszukiwany nieprzyjaciel mógł się kryć w domu, nie poza nim.

- Wydaje mi się, że żadne z nas nie powinno wychodzić na dwór, dopóki go nie złapią - stwierdził Giles. W jego głosie nie było zwykłej pewności siebie. - To jest niebezpieczne.

- Skarbie, nic ci nie grozi, jeśli tylko nie przebywasz w pobliżu wujka.

- Nie podoba mi się, że jakiś zły człowiek chce skrzywdzić wujka Stephena - oznajmił.

- Mnie też się to nie podoba.

Przez kilka minut kołysaliśmy się w milczeniu, a potem podniosłam Robinsona Cruoe i jeszcze raz zaczęłam czytać.

Dopiero kiedy rozważałam tę rozmowę w ciszy własnej garderoby, uzmysłowiłam sobie dziwną rzecz. Giles ani razu nie zaprotestował, że inny mężczyzna zajmie miejsce Geralda.

Przez dwa dni po wypadku Stephena dom był bardzo cichy.

Remont Dower House dobiegał końca i ciotka Fanny spędzała tam większość czasu, nadzorując prace wykończeniowe. Zatrzymała przy sobie opierającą się Nell.

Adam przez niemal cały dzień krążył po posiadłości. Zabierał ze sobą Jaspersa, żeby jego syn oficer zdobył trochę wiedzy i w przyszłości umiał administrować własnym majątkiem.

Razem z Jackiem spędzaliśmy całe godziny w moim biurze, robiąc plany założenia stadniny.

Stephen pozostawał w łóżku, pod czujnym okiem Jema, który wciąż sypiał na składanym łóżku w jego pokoju, żeby nawet w nocy nie odstępować swojego podopiecznego. Stephen gwałtownie protestował, ale sam fakt, że pozwolił się namówić na odpoczynek, świadczył o tym, że nadal nie czuje się zbyt dobrze.

Wydaje mi się też, że pouczająco podziałała na niego opowieść o Henrym Marfieldzie.

Wieczorem ostatniego - trzeciego - dnia zalecanego przez doktora wypoczynku dzwonięcie w uszach wreszcie przestało dręczyć Stephena. Następnego dnia rano zobaczyłam go przy stole w jadalni. Całkowicie ubrany jadł śniadanie, chociaż bez wielkiego apetytu.

- To dzwonięcie doprowadzało mnie od szału - wyznał.

- A jak tam głowa?

- Lepiej.

- Ból minął?

- Nie całkiem, ale jest dużo słabszy.

Niewątpliwie wyglądał lepiej - jeśli nie liczyć brzydkiego guza na czole i podbitych oczu. Jednak jego cera przybrała zdrowszy kolor, a oczy znów stały się niebieskie.

- To cud, że znowu nie złamałeś nosa - stwierdziłam.

- Zapewniam cię, że wolałbym złamany nos od następnego guza na czole - odrzekł.

- Prawda.

Byliśmy w jadalni jedynie w towarzystwie lokaja, stojącego przy kredensie, na którym stały srebrne półmiski z jajkami, bekonem, cynaderkami, kotletami jagnięcymi i koszyk z bułeczkami.

- James - zwróciłam się do lokaja. - Proszę nam przynieść jeszcze trochę bułeczek.

Srebrny koszyk, stojący pół metra od niego, był pełen bułeczek.

- Oczywiście, milady - odparł James drewnianym głosem.

- I wychodząc zamknij za sobą drzwi - poleciłam.

- Oczywiście, milady - powtórzył.

Kiedy tylko drzwi się zamknęły i zostaliśmy sami, Stephen odezwał się rozbawiony:

- O co tutaj chodzi?

- Nie chcę, żeby służba jeszcze bardziej plotkowała - odparłam ponuro.

- Co chcesz powiedzieć?

- Nieważne. Nie chciałam cię niepokoić, kiedy tak źle się czułeś, ale dłużej już tak nie może być! Następną próbą zamachu na twoje życie może okazać się skuteczna.

Westchnął ciężko.

- Zdaję sobie z tego sprawę.

- Kto to jest? Ty wiesz?

- Tak, wiem - przyznał.

- Powiedz mi - poprosiłam stanowczo.

Zrobił to.

Kiedy skończył, nic nie powiedziałam. Osłoniłam tylko dłonią oczy i wbiłam spojrzenie w łyżeczkę od kawy.

- Wciąż się łudziłem, że to nieprawda - mówił Stephen. - Ale im dokładniej wszystko sprawdzałem, tym jaśniej widziałem, kto jest winowajcą.

Skinęłam głową.

- Kiedy wrócił człowiek wysłany do Northamptonshire, nie miałem już wątpliwości.

Znów skinęłam głową.

- Co ... co zamierzasz zrobić?

- Wiem, że powinnam być wściekła - odparłam. - Przecież próbował cię zabić! Ale w tej chwili czuję tylko wielki smutek.

Stephen potarł czoło, jakby go bolało.

- Wiem.

Z wahaniem zagryzłam wargę.

- Jak myślisz, co powinniśmy uczynić?

- Trzeba się z nim rozmówić.

Skinęłam głową.

- A potem?

- Potem ... potem pomyślimy, jak na zawsze usunąć go z Weston, Annabello. O ile cię znam, nie każesz go aresztować. - Kiedy potwierdziłam, dodał:

- Porozmawiam z nim. Nie musisz być przy tym obecna.

Wyprostowałam się na krześle.

- Nie chcę żebyś sam musiał wykonać tak nieprzyjemne zadanie.

- Dobrze. - Sińce pod oczami Stephena pociemniały. - Porozmawiamy z nim teraz, zanim wyjdzie z domu.

Usłyszeliśmy ostrożne pukanie do drzwi jadalni. Biedny James nie wiedział, czy może już wrócić.

- Proszę wejść! - zawołałam.

Lokaj wkroczył z pełnym koszykiem bułeczek, które postawił obok tego, który już stał na kredensie.

- Bułeczki, milady - zaanonsował.

Tak bardzo ścisnęło mnie w żołądku, że nie mogłam przełknąć ani jednej.

Wydałam Hodgesowi odpowiednie polecenie i poszliśmy ze Stephenem do biblioteki. Opowiedziałam mu po kolei o wszystkich swoich nowych koniach. Słuchał mnie z zaciekawioną miną, a nawet okazywał entuzjazm. Oboje jednak wiedzieliśmy, że to rozmowa dla zabicia czasu.

Drzwi do biblioteki zostawiliśmy uchylone. Czujnie nastawialiśmy uszu i w tej samej chwili usłyszeliśmy odgłos kroków w głębi korytarza.

Siedzieliśmy w pełnej napięcia ciszy i czekaliśmy, ja w fotelu za biurkiem, Stephen po mojej prawej stronie. Dwa pozostałe fotele stały wokół biurka, jeden naprzeciw Stephena, a drugi - mnie.

Kroki zatrzymały się przed biblioteką i drzwi szeroko się otworzyły.

- Annabelle, chciałeś ze mną rozmawiać? - zapytał znajomy głos.

- Tak. Wejdz, wuju Adamie, i zamknij za sobą drzwi.

Domyślił się, że już wiemy. Poznałam to z wyrazu jego twarzy, kiedy wolno wszedł do biblioteki i usiadł w głębokim fotelu naprzeciwko biurka. Twarz mu poszarzała, ale próbował się uśmiechnąć.

- Dobrze cię widzieć znowu na nogach, mój chłopcze - zwrócił się do Stephena.

Poczułam żar pierwszej iskry gniewu. Spojrzałam na Stephena.

Patrzył spokojnie, twarz miał poważną. Przemówił spokojnym głosem:

- Przeglądałem twoje księgi, wuju Adamie. Wyliczyłem, że przez ostatnie dziesięć lat sprzeniewierzyłeś czterdzieści tysięcy funtów z funduszy Weston.

- Och, Stephenie - westchnął smutno wuj. Miał twarz starego, bardzo zmęczonego człowieka.

- Dzięki tej ostatniej gwałtownej burzy obudziły się we mnie podejrzenia. Odwiedziłem wszystkich naszych dzierżawców, żeby zobaczyć szkody.

Adam nie patrzył Stephenowi w oczy. Wbił wzrok w turecki dywan pod nogami. Stephen ciągnął spokojnie:

- Szkody okazały się znaczne. Dach Charliego Hutchinsona przeciekał jak sito, ale według twoich ksiąg dwa lata temu Hutchinsonowie dostali nowy dach. Charlie powiedział mi, że co najmniej dwa razy długo prosił cię o fundusze na remont, ale ty nie chciałeś wydać zgody. Mimo to . w księdze zapisano dość dużą sumę, jaka podobno została wydana na dach Hutchinsonów.

Adam nadal wbijał wzrok w dywan. Z każdym słowem Stephena wydawał się coraz starszy.

- Wystawiłeś rachunek za nową studnię dla Martinów i nowe ogrodzenie dla Thorpów, ale żadnej z tych prac nie wykonano, prawda, wuju?

Adam wolno podniósł wzrok.

- Przecież wiesz, że nie.

- Strumień, który zalał dom Benningtonów, nigdy nie był pogłębiany, a jednak obciążylesz konto Weston sumą za tę pracę.

- Nie musisz szczegółowo wymieniać wszystkich moich ... podstępów. Niczemu nie zaprzeczam.

Nie mogłam się dłużej pohamować.

- Jak mogłeś, wuju? Wszyscy ci ufaliśmy! Polegaliśmy na tobie! Jak mogłeś tak nas zdradzić?

Spojrzał na mnie i po raz pierwszy zobaczyłam w jego oczach iskrę życia.

- Zrobiłem to, bo potrzebowałem pieniędzy. Myślisz, że inaczej byłoby mnie stać na wykupienie patentu oficera kawalerii dla Jaspera albo na wysłanie Nell do Londynu? Za tę nędzną pensyjke, którą wypłacali mi Gerald i jego ojciec?

- Ale nigdy nie odniosłam wrażenia, że brakuje ci pieniędzy ... - zawołałam bez namysłu. Urwałam i zaczerwieniłam się. Przecież Stephen właśnie nam wytłumaczył, dlaczego Adamowi zawsze starczało na wszystko.

Wuj uśmiechnął się ironicznie.

- Dostałem dom i pensję, za którą mogliśmy się ubrać i wyżywić.

- Uśmiech zniknął, usta zacisnęły się w twardą, prostą linię. - Nie chciałem, żeby moje dzieci skończyły jak ich ojciec, ubogi krewny wiszący u rękawa bogatego hrabiego.

- Wuju Adamie! - Byłam zaszokowana. - Nikt nigdy tak o tobie nie myślał.

- Ty może nie, ale ojciec Geralda z pewnością tak - odparł gorzko.

Nie wiedziałam, co mu odpowiedzieć. Zawsze uważałam Adama za ważnego, szanowanego przez wszystkich członka rodziny. Chyba się myliłam!

Spokojny głos Stephena przerwał niezręczną ciszę.

- Ta bogata kuzynka ciotki Fanny nigdy nie istniała, prawda?

To ty kupiłeś majątek w Northamptonshire dla Jaspera. - Tak - przyznał Adam znużonym głosem.

Stephen ciągnął nieubłaganie.

- Systematycznie obciążałeś Weston rachunkami za towary, których wcale nie dostarczano. Dodawałeś wysoki procent do rachunków za produkty spożywcze do kuchni, a różnica szła do twojej kieszeni.

Czułam, że oczy mi się rozszerzają.

- Ale to przecież ja prowadzę rachunki domowe - zwróciłam się do Stephena. - Chyba bym zauważyła, gdyby coś się nie zgadzało.

Adam uśmiechnął się chytrze.

- Zawsze dbałem o to, żebyś dostawała rachunki za wszystkie zakupy.

- Bardzo dobrze prowadzisz księgi, Annabelle - powiedział mi Stephen. - Zawsze jest rachunek odpowiadający wpisywanej sumie, wszystko jest starannie dodane i zbilansowane. - Spojrzał na Adama. - Dopiero kiedy sprawdziłem, czy rachunki są autentyczne, wszystko zaczęło się sypać. Przeprowadziłem wywiad w kilku sklepach w Brighton, które dostarczają żywność do Weston. Zapisana w ich księgach ilość dostarczanych nam towarów była znacznie niższa niż ta w księgach Annabelli.

- Cukier! - wykrzyknęłam nagle. - Zawsze mnie dziwiło, że konsumujemy tyle cukru!

- Regularnie podwajałem rachunki za cukier - przyznał wuj. Widać było, że jest wyczerpany. Bezcelność takiego postępowania zaparła mi dech w piersiach.

- Nie przestaję się zastanawiać, Stephenie, co cię naprowadziło na trop. Było jasne jak słońce, że jak ,tylko wzięłeś do ręki moje księgi, od razu zacząłeś czegoś szukać. Co obudziło twoje podejrzenia?

- Już ci powiedziałem, że szkody wyrządzone przez burzę.

Adam potrząsnął głową.

- Jeszcze przed burzą szukałeś dowodów mojej winy, chłopcze. Stephen wziął z biurka srebrny nóż do papieru i zaczął się nim bawić.

- To prawda - przyznał.

- Dlaczego? - nie ustępował Adam. - Jak sam powiedziałeś, rachunki na papierze się zgadzają.

Niebieskie oczy Stephena poważnie spoglądały na Adama znad noża do papieru.

- Po prostu wydało mi się dziwne, że Gerald wyznaczył na opiekuna Gilesa mnie, a nie ciebie - wyjaśnił cicho. - Mogłem to sobie wytłumaczyć jedynie tym, że Gerald miał jakieś podejrzenia co do sposobu, w jaki zarządzałeś jego majątkiem.

Adam zaśmiał się tak nienaturalnie, że aż się skrzywiłam.

- Ależ to ironia losu, godna greckiego dramaturga - stwierdził. - Tylko dlatego nabrałeś podejrzeń?

Stephen opuścił nóż na biurko.

- Musisz przyznać, że Gerald i ja nie byliśmy bliskimi sobie braćmi.

- O, Boże - westchnął wuj. Oparł siwiejącą głowę o fotel i zamknął oczy. - Nie wyznaczył mnie, ponieważ nie przyszło mu nawet do głowy, że zwykły administrator mógłby zostać opiekunem młodego hrabiego. Tylko o to tu chodziło.

Wyglądał jak stary, zmęczony ... pokonany człowiek.

- Przykro mi, wuju - powiedziałam bez zastanowienia. Co dziwniejsze, rzeczywiście było mi przykro; przykro ze względu na to, co zrobił i że czuł się zmuszony to zrobić. Przede wszystkim, było mi przykro, że odkrycie Stephena zniszczyło długie lata sympatii i zaufania.

Jednak oszustwa wuja Adama były tylko czubkiem góry lodowej.

Druga osoba, która dzisiaj została przez nas wezwana do biblioteki, była nieskończenie bardziej niebezpieczna niż nieszczęsny wuj. Czekaliśmy teraz nie na oszusta, tylko na mordercę•

- Co ze mną zrobisz? - zapytał Adam Stephena. Drzwi do biblioteki się uchyliły.

- Zaczekaj, a sam zobaczysz - odparł Stephen.

Drzwi otworzyły się do końca i w progu stanął Jack. Z miejsca, w którym się znajdował, nie widział wuja Adama, zagłębionego w fotelu z wysokim oparciem.

- Annabelle - powitał mnie z przyjemnością i wszedł do środka.

- Co ty tu, u diabła, robisz? - zapytałam z irytacją. Przystanął zaskoczony, ale zaraz spostrzegł Adama.

- O, bardzo przepraszam. Nie zauważyłem cię, wuju Adamie. Chciałem porozmawiać z Annabellą o naszych planach założenia hodowli. - Spojrzał na mnie. - Przyjdę do ciebie później, dobrze?

Zamilkł, kiedy zdał sobie sprawę, że oboje ze Stephenem patrzymy ponad jego ramieniem na osobę, która zjawiała się w drzwiach.

- Wejdz, Jasper. Zamknij za sobą drzwi - odezwał się Stephen.

Ruchem ręki wskazał na fotel po drugiej stronie biurka, naprzeciw siebie.

- Musimy porozmawiać.

Jack wolno cofnął się pod ścianę, oparł się o nią i splótł ramiona, wyraźnie zamierzając zostać.

~ Jasper, mój chłopcze - serdecznie powitał syna Adam.

Jasper podszedł bliżej, po żołniersku wyprostowany jak struna. - Co to, konferencja rodzinna? - zapytał beztrąsko, ale jego szare oczy, podobnie jak u ojca, spoglądały czujnie.

Kiedy Stephen od razu nie odpowiedział, odezwałam się pośpiesznie:

- Zebraliśmy się tutaj, żeby się dowiedzieć, kto z nas próbował zabić Stephena.

W bibliotece zapanowała szarpiąca nerwy cisza. Przerwał ją Adam.

- Chcesz powiedzieć, że według ciebie to jest któryś z nas?

- Tak, wuju. Właśnie to chcę powiedzieć.

Adam oderwał ode mnie wzrok, spozjrzał na Stephena, potem na Jaspiera, wreszcie na Jacka.

- Jeśli ktoś w tym pokoju jest winien takiej strasznej zbrodni, może to być jedynie Jack - powiedział. - On ma najsilniejszy motyw.

Twarz Jacka pozostała beznamiętna; nic nie odpowiedział.

- Jeśli coś by się stało Stephenowi i Gilesowi, on zostałby kolejnym hrabią - ciągnął wuj. - To naprawdę silny motyw. Zwłaszcza dla kogoś biednego jak mysz kościelna.

- Uważam, że te ataki nie były skierowane przeciwko Gilesowi - stwierdził spokojnie Stephen. - Został w tę sprawę zamieszany tylko dlatego, że w nieodpowiednim momencie przebywał w moim towarzystwie.

Spod ściany odezwał się Jack.

- Gdybym zabił Stephena, a zostawił przy życiu Gilesa, nic by mi to nie pomogło.

- Skąd wiesz, że ataki nie były wymierzone w Gilesa? - zapytał nagle Jasper. - Może łódź została uszkodzona właśnie ze względu na niego. To Giles przez całe lato łowił w niej ryby.

Stephen starannie odłożył nóż na wypolerowany, mahoniowy blat biurka.

- Wiem to, ponieważ kiedy strzelec w lesie chybił, nie wykorzystał okazji. Mógł podejść bliżej i spróbować jeszcze raz. Nie chciał ryzykować, że Giles go zobaczy, bo nie zamierzał zabić chłopca.

- Może nie podszedł bliżej, bo się obawiał, że masz przy sobie broń - odrzekł Jasper.

- Wszyscy tutaj wiedzą, że nigdy nie noszę broni - odparował Stephen.

Jasper poruszył się niecierpliwie.

- Twierdzisz, że możesz zdemaskować tego niedoszłego mordercę. Jestem ciekaw, jak planujesz tego dokonać. Masz jakiś dowód, który wszystkich by przekonał, że to ktoś w tym pokoju, a nie jakiś kłusownik strzelający do złego celu?

- Owszem, mam dowód.

Ktoś ze świstem wypuścił powietrze. Adam czujnie wyprostował się w fotelu.

- Co to za dowód? ~ zapytał dociekliwie.

- Jem znalazł go na ścieżce, niedaleko miejsca, gdzie zostawiłem Kruka - oznajmił Stephen. Ktoś to zgubił, kiedy rozluźniał popręg. Kiedy Jem mi to pokazał, od razu wiedziałem, kogo podejrzewać. - Spozjrzał w szare oczy patrzące na niego z drugiej strony biurka. - To była

rękawica kawalerzysty, Jasper. Od pary, którą u ciebie wielokrotnie widziałem.

Jasper przymrużył powieki. Otworzył oczy, żeby coś odpowiedzieć, ale zanim wydał jakikolwiek dźwięk, wtrącił się Adam. - To ja rozluźniłem popręg Kruka. Jasper zostawił rękawiczki w stajni, ja je tam znalazłem i zamierzałem mu oddać przy najbliższej okazji. Jedna z nich musiała mi wypaść z kieszeni.

- Tato, zamilcz! - wysyczał Jasper z wściekłością.

Adam spojrzał na syna.

- Przykro mi, że cię w to zamieszałem. Ale widzisz, Stephen zaczął podejrzewać, że sprzeniewierzam fundusze Weston. Wiedziałem, że niedługo to odkryje, więc chciałem go powstrzymać.

Twarz Jaspiera przypominała maskę wściekłej furii.

- Tato, przestań! Nie było żadnych rękawiczek w pobliżu Kruka!

Stephen cię nabiera.

- Skąd wiesz, że tam nie było żadnych rękawiczek? - zapytał chłodno Jack. - Jasper spojrzał na niego twardo i nic nie odpowiedział. - Może dlatego, że wiesz, że wczoraj nie miałeś ich na sobie?

- Nie opowiadaj głupstw - odparł wzgardliwie Jasper. - Co bym zyskał, zabijając Stephena?

- Wiedziałeś, że ojciec okrada Weston - wyjaśnił Stephen.

- Tak samo jak ja nie uwierzyłem w tę historyjkę o bogatej krewnej matki. Bałeś się, że odkryję oszustwa Adama i dlatego chciałeś mnie zabić.

- To niedorzeczne. - Jasper spojrzał na mnie. - Annabello, ty na pewno nie wierzysz w tę podłą, zmyśloną opowiastkę.

- Bardzo to dla mnie bolesne, ale ktoś niewątpliwie próbował zabić Stephena i staje się coraz bardziej jasne, że to ktoś mieszkający pod tym dachem.

- Więc doszłaś do wniosku, że to muszę być ja? - Głos Jaspiera przybrał nieopisanie gorzki ton.

- Oczywiście, że to nie ty, Jasper - odezwał się Adam. - Już mówiłem, że ja jestem winien. Zobaczyłem przed sobą widmo kompletnej ruiny i postanowiłem do tego nie dopuścić. - Spojrzał na Stephena. - Bardzo mi przykro, ale taka jest prawda.

- Mnie też jest przykro, wuju - rzekł Stephen.

- Bardzo dobrze wiesz, że to nie mój ojciec próbował cię zabić - oznajmił Jasper twardo.

- Przecież właśnie się przyznał.

Jasper spojrział na ojca.

- Niepotrzebnie dałeś się nabrać na ten fortel z rękawiczkami. Stephen cię oszukał. Nie ma dowodu. - Odwrócił się do Stephena. - Prawda? - upewnił się.

Stephen nie zmienił wyrazu twarzy, ale zauważyłam, jak pod opalenizną jego mięśnie się napinają.

- Nie - przyznał. - Nie mam dowodu.

- Oczywiście, to ja jestem winowajcą - oświadczył Jasper.

- Kiedy zacząłeś sprawdzać księgi taty, wiedziałem, że gra się skończyła.

- Nie słuchaj go, Stephen ... - zaczął Adam.

- Wystarczy, tato - uciszył go syn. Jego oczy nie patrzyły już wzgardliwie ani nawet ze złością. Były chłodne i ponure jak zimowe niebo.

Adam spojrział na niego raz i zamilkł.

Rozejrzałam się wokół, po ukochanych twarzach, które znałam od dzieciństwa. Chyba właśnie wtedy dotarło do mnie, że to wszystko dzieje się naprawdę.

Jasper próbował zabić Stephena.

- Jak mogłeś, Jasper? - wyszeptalam, patrząc na niego z nie ukrywaną zgrozą. - Jak taka rzecz mogła ci przyjść do głowy?

Spojrzała na mnie bezlitosna twarz obcego człowieka. Pomyślałam, że z takim wyrazem twarzy ludzie ruszają do bitwy. Uświadomiłam sobie, że zabijanie nie było dla Jaspera niczym nowym, w przeciwieństwie do reszty z nas.

Głos Jacka przerwał ciszę.

- Podejrzewam, że nie tylko wyczyny ojca skłoniły cię do tego czynu, prawda? - Przez kilka trudnych sekund dwaj kuzyni patrzyli na siebie z przeciwnych końców pomieszczenia. - Ty biedny, zadurzony głupcze.

Ku swojemu zdumieniu, usłyszałam w głosie Jacka nutę szczerego współczucia.

- O czym ty mówisz? - zawołałam. - Przecież Jasper chciał zabić Stephena!

Nikt mi nie odpowiedział, tylko Stephen wstał i stanął za moim fotelem, jakby chciał mnie bronić.

Jack odsunął się od ściany.

- To bardzo proste, droga Annabello. Jasper wiedział, że gdyby Stephen zginął, to on miałby dużą szansę zostać twoim drugim mężem.

Spojrzałam na Jacka, potem na twardą, zamkniętą twarz Jaspera i znowu na Jacka.

- Skąd mu to, u licha, przyszło do głowy? - zapytałam oszołomiona.

Jack wolno szedł w stronę fotela, który opuścił Stephen.

- On cię dobrze zna. Równie dobrze jak ja. Na pewno ponownie wyszłabyś za męża, choćby po to, żeby mieć więcej dzieci. Po śmierci Geralda i Stephena, tylko ja i Jasper pozostalibyśmy kandydatami do twojej ręki. A ponieważ ja znalazłem kogoś innego, przed Jasperem drzwi do twojego domu stałyby otworem.

Jack usiadł w fotelu.

- A dlaczego sądzisz, że nie znalazłabym zupełnie innego kandydata na męża?

Jack wolno pokręcił głową.

- Nie ty, Annabello - odparł. - Nie ty.

Nie musiałam długo nad tym myśleć, żeby dojść do wniosku, że Jack ma rację. W okolicznościach, jakie opisał, najprawdopodobniej wyszłabym za męża za Jaspera.

- Pragnęłabyś poślubić kogoś związanego ze Stephenem, a biedaczysko Jasper spędziłby resztę życia tocząc z góry przegraną walkę z duchem.

Współczucie, jakie okazywał Jasperowi Jack, zaczynało mnie denerwować.

- Na pociechę miałby moje pieniądze - warknęłam. Jack obdarzył mnie swoim zniewalającym uśmiechem.

- Droga Annabello, zapewniam cię, że żadnego z nas nie interesują twoje pieniądze.

Szczupłe, silne dłonie Stephena zacisnęły się na moich ramionach, dodając mi otuchy.

- Wystarczy, Jack - powiedział łagodnie Stephen.

Jack wziął nóż do papieru, którym wcześniej bawił się Stephen.

Światło z okna padało ukośnie na jego włosy, niesamowicie upodabniając go do Geralda.

- Gerald ją kochał - oznajmił Stephenowi Jack. - Jednak ona wcale tego nie zauważała. Wyszła za niego tylko po to, żeby cię ukarać.

Stephen chyba wyczuł napięcie moich ramion.

- Wystarczy, Jack - powtórzył tonem nie znoszącym sprzeciwu i tym razem kuzyn zamilkł. - To zupełnie niedorzeczne, że winisz Annabellę za zbrodnicze próby Jaspera - ciągnął. - Sam to dobrze wiesz. Jasper to dorosły człowiek i nikt inny, tylko on sam, odpowiada za swoje

czyny.

Patrzyłam w skupieniu na niedużą chińską wazę, wypełnioną białymi różyczkami, która stała na drugim krańcu biurka, tuż przede mną. Kciuki Stephena spoczywały na moim odsłoniętym karku, a reszta palców, rozpostartych niczym wachlarz, obejmowała moje ramiona.

Znów zwrócił się do Jacka:

- Jeśli chcesz komuś przypisać winę za zimne okrucieństwo Jaspera, to obwiniaj wojnę, nie Annabellę.

Uniosłam głowę, słysząc, jak mówi to, o czym myślałam przed chwilą.

Jack spojrział na ostry nóż do papieru, który wciąż obracał w rękach.

- To też, oczywiście, prawda.

- Każecie mnie aresztować? - zapytał po jakimś czasie Jasper.

Z wysiłkiem zmusiłam się, żeby na niego spojrzeć.

- Czy to ty uszkodziłaś łódź?

- Nie. - Skrzywił się kwaśno. - Ale ten wypadek podsunął mi pomysł, że pozbywając się Stephena mógłbym rozwiązać swoje problemy.

Przez ułamek sekundy patrzył mi w oczy.

- Ani przez chwilę nie zamierzałem skrzywdzić Gilesa. Błagam, uwierz mi.

Skinęłam głową i odwróciłam wzrok.

- W żadnym stopniu nie ponosisz za to winy - uspokoił mnie.

- Nigdy bym tego nie zrobił, gdyby chodziło tylko o ciebie. Przede wszystkim chciałem ocalić ojca. No i, rzecz jasna, siebie. Nie chciałem stracić wszystkich korzyści, jakie przyniosły mi ukradzione przez ojca pieniądze.

Adam jęknął cicho, boleśnie, i serce zacisnęło mi się ze współczucia.

Przechyliłam głowę tak, żeby widzieć Stephena.

- Nie chcemy, żeby kogokolwiek aresztowano, prawda? - zapytałam.

- Nie - potwierdził. - Nie będzie żadnych aresztowań.

Wuj Adam odetchnął z ulgą, jakby zdjęto mu z ramion wielki ciężar.

Rozmawialiśmy o tym z Annabellą. Doszliśmy do wniosku, Adamie, że najlepiej będzie, jeśli zabierzesz Fanny i Nell, i zamieszkaż z nimi w Northamptonshire, w majątku, który kupiłeś.

- Po ... pozwolisz mi go zatrzymać? - Adam spojrział na niego z niedowierzaniem.

- Tak chce Annabella.

- O, mój Boże - westchnął wuj.

- Uznałam, że rodzina nie traktowała cię odpowiednio - wyjaśniłam. - Poza tym, nie chciałabym zranić ciotki Fanny i Nell.

- A ... co z Jasperem? - zapytał z lękiem.

- Po matce odziedziczyłem, między innymi, plantację w stanie Wirginia. Jestem gotów przekazać ją Jasperowi, wraz z odpowiednią sumą pieniędzy umożliwiającą mu rozpoczęcie życia w Ameryce.

Jasper spojrział ponad moją głowę na twarz Stephena.

- Tuż po przejęciu plantacji dałem wolność wszystkim niewolnikom i musisz mi obiecać, że będziesz 'używał jedynie najemnej siły roboczej. Mam nadzieję, że jeśli inni plantatorzy zobaczą, że i bez niewolników można prowadzić dochodową plantację, to będą skłonni pójść w twoje ślady ..

Proste brwi Jaspera uniosły się.

- Oczekujesz, że odniosę sukces?

- Jestem tego pewien.

Patrzyli na siebie w ciszy.

- Obiecuję, że dam z siebie wszystko - oznajmił trzeźwo Jasper. - Przeniósł wzrok na mnie i zobaczyłam w jego oczach prośbę o wybaczenie, której nie mógł wypowiedzieć głośno. - Annabelle?

- zapytał cicho.

Wspomniałam wszystkie szczęśliwe godziny, które spędziliśmy razem w dzieciństwie. Pomyślałam o listach, jakie do niego pisałam, kiedy służył w Hiszpanii, i o modlitwach o jego bezpieczeństwo.

Szare oczy patrzyły na mnie błagalnie.

Jeszcze raz uzmysłowiłam sobie, że chciał zabić Stephena.

- Już nigdy w życiu nie chcę cię widzieć - powiedziałam.

Mówiłam to z pełnym przekonaniem.

Zostawiłam panów w bibliotece i poszłam na górę, żeby powiedzieć Gilesowi, że znaleźliśmy tego złego człowieka, który chciał zabić wujka Stephena. Uważałam, że jest bardzo ważne, żeby Giles znów poczuł się bezpieczny w swoim świecie.

Mały wysłuchał mnie z rozszerzonymi oczyma.

- Czy Jasper mnie też chciał zabić?

To było jego pierwsze pytanie, kiedy skończyłam mówić.

- Nie, skarbie, nie chciał - oświadczyłam stanowczo.

Przez kilka chwil siedział w milczeniu, uderzając piętami o dolny szczebel krzesła. Ani ja, ani Eugenia nie zwróciłyśmy mu uwagi.

- A jak to było z łódką? - odezwał się w końcu. - A wtedy, kiedy do mnie strzelał w lesie?

- Z łódką rzeczywiście zdarzył się wypadek - zapewniłam go.

- Jasper twierdzi, że nie ma z tym nic wspólnego. I nie strzelał do ciebie, tylko do wujka Stephena. Właśnie dlatego nie strzelił drugi raz, że nie chciał ciebie narażać.

Giles zamilkł. Wyglądał na bardzo zamyślnego.

- Gdzie jest teraz kapitan Grandville? - zapytała cicho Eugenia.

- Jack zawiezie go do Southampton i załatwi mu miejsce na statku do Ameryki. Stephen pozwolił mu przejąć plantację w Wirginii, która kiedyś należała do jego matki. - Westchnęłam. - To rozwiązanie ma podwójną zaletę. Usuwa Jaspера z kraju i chroni nas przed skandalem, którego nikt by sobie nie życzył.

Eugenia poważnie skinęła głową.

Siedzieliśmy za stołem w sali lekcyjnej, przed nami leżały podręczniki Gilesa. Przychodząc tu, przerwałam Eugenie lekcję.

Spojrzałam na syna.

- Słyszałeś, Giles? Wuj Stephen wysłał Jaspера do Ameryki, więc nigdy już nie będzie miał okazji, żeby nas skrzywdzić. W parku nie ukrywa się żaden morderca. Możesz bezpiecznie wychodzić z domu.

- Słyszałem - odparł mój syn, ale czoło wciąż miał zmarszczone i widać było, że nadal coś go niepokoi. - Czy Jasper wyjaśnił, dlaczego chciał zabić wujka Stephena.

Moim pierwszym odruchem było zataić przed Gilesem oszustwa Adama. Nie chciałam,

żeby mój syn pomyślał, że nie może ufać żadnemu z członków rodziny.

- Jasper zazdrościł wujkowi Stephenowi.

- Jak to, zazdrościł wujkowi? - zdziwił się Giles. - Przecież Jasper był żołnierzem, walczył na wojnie!

Najwyraźniej w oczach Gilesa żołnierz stał o wiele wyżej niż Stephen. Zagryzłam wargę, nie wiedząc, jak mu odpowiedzieć, żeby pominąć sprawę Adama.

- Czy Jasper był zazdrosny, bo bardziej lubisz wujka Stephena niż jego? - zapytał po chwili.

Spojrzałam w jego jasne oczy. Zawahałam się.

- Tak było! - zawołał malec triumfalnie.

- No, może trochę - potwierdziłam ostrożnie.

- Biedni państwo Grandville - wtrąciła Eugenia. - Na pewno są zrozpaczeni, że ich syn dopuścił się takiego okropnego czynu.

- Tak. - Wykorzystałam możliwość wybrnięcia z sytuacji, jaką mi dała. - Są tak zrozpaczeni, że postanowili wyjechać z Weston. Będą mieszkali w majątku pana Grandville, w Northamptonshire.

- Nie chcę, żeby Nell wyjeżdżała z Weston - oznajmił Giles zaborczo. - Lubię Nell. Ona się ze mną bawi.

- Nell musi wyjechać z mamą i tatą - tłumaczyłam. - Będą jej bardzo potrzebowali, zwłaszcza że Jasper wyjeżdża tak daleko.

Po jeszcze kilku protestach Giles niechętnie przyznał mi rację i udało mi się zmienić temat rozmowy.

Zjadłam obiad w pokoju dziecięcym, razem z małym i Eugenią, a potem zeszłam na dół, w nadziei, że znajdę Stephena. Hodges zawiadomił mnie, że Stephen wyszedł z wujem Adamem, więc udałam się z psami do małego salonu. Drzwi na taras otworzono, żeby wpuścić trochę porannego słońca, ale teraz niebo się zachmurzyło i w pokoju zrobiło się chłodno. Zamknęłam je, a kiedy się odwróciłam, zobaczyłam wchodzącą do środka ciotkę Fanny.

Do końca życia nie zapomnę widoku jej twarzy. Pobladła jak duch, a jej kości wyglądały tak, jakby za chwilę miały przebić się przez skórę. Doznałam nagłego przeczucia, że właśnie tak będzie wyglądała po śmierci.

Musiała przeżyć okropny wstrząs, kiedy dowiedziała się prawdy o swoim ukochanym

mężu i synu.

Ruszyłam w jej stronę, rozkładając ramiona, żeby wziąć ją w objęcia i pocieszyć, ale wyraz jej twarzy zatrzymał mnie, kiedy tylko zrobiłam pierwszy krok.

- Ciociu, wiem, że dla ciebie to był taki sam wstrząs jak dla mnie - powiedziałam. - Zapewniam cię, że zrobię wszystko, żeby pomóc tobie i Nell.

Odpowiedziała chłodnym i oficjalnym głosem, który brzmiał tak, jakby należał do kogoś obcego.

- Dziękuję, Annabello. Zastanawiałam się, czy mogę zabrać z Dower House trochę mebli do sypialni, tylko do czasu, kiedy się urządzimy. Adam powiedział mi, że dom w Northamptonshire jest prawie nie urządzone. Zwrócę ci je, jak tylko kupię własne.

- Możesz zabrać i zatrzymać, co tylko chcesz.

- To bardzo miło z twojej strony. - Zaczęła zmierzać do wyjścia.

- Ciociu Fanny! - zawołałam zdziwiona. - Dlaczego się tak zachowujesz? Chyba nie myślisz, że winię za coś ciebie?

Odwróciła się gwałtownie; na widok jej błyszczących oczu, głos mi zamarł.

- Ty miałabyś mnie winić? - zapytała. - Oczywiście, że nie. To raczej ja mogę winić ciebie, Annabello!

Patrzyłam na nią osłupiała.

- Nn ... nie rozumiem cię - wyjąkałam.

- Jasper nigdy w życiu by czegoś takiego nie zrobił, gdyby nie kochał się w tobie do szaleństwa - wykrzyknęła gwałtownie.

Odebrało mi mowę•

Zrobiła krok w moją stronę, patrząc na mnie tak, jak pewnie patrzyła Hekuba na Helene, kiedy przypadkiem się spotykały w którymś z pałacowych pomieszczeń w Troi. Przyznam, że było to dość przerażające.

Wzięłam się w garść i przemówiłam we własnej obronie.

- Nigdy nie ośmielałam Jaspera, nie rozbudzałam jego nadziei. Zawsze traktowałam go jedynie jako dobrego przyjaciela. Dobry Boże, ciociu Fanny, jeszcze pół roku temu byłam mężatką!

- To śmierć Geralda dała Jasperowi nadzieję, że ma u ciebie jakieś szanse. - Głos jej się zmienił, stał się twardy. - A potem wrócił Stephen.

Miałam wrażenie, że rozmawiam z kimś obcym.

- Czy nie dociera do ciebie, że Jasper dwa razy próbował zamordować Stephena?

- Ty i Stephen zrujnowaliście życie obojgu moim dzieciom.

Zatrzęsłam się ze zgrozy.

- To nieprawda!

Mówiła dalej, jakby mnie nie słyszała.

- Moim największym życiowym błędem jest to, że pozwoliłam Adamowi przez tak długie lata mieszkać tutaj, w Weston. Ani hrabia, ani Gerald nigdy go nie doceniali. Nie pomyśleli nawet, że pensja, którą mu wypłacają jest niewystarczająca dla dżentelmena mającego na utrzymaniu żonę i dwoje dzieci.

Staralam się mówić spokojnym tonem.

- Czy wuj Adam kiedykolwiek rozmawiał z Geraldem albo jego ojcem o podwyżce?

- Oni go zmusili do tych oszustw - stwierdziła ciotka.

Nie mogłam się zgodzić z tym zdaniem, więc odparłam tylko: - Na pewno nie będę się starała go ukarać.

- Bardzo to z twojej strony łaskawe, moja droga. - Ton ciotki był obraźliwy. Czułam, że czerwienieją mi się policzki. Zaczekałam chwilę, żeby się opanować, i dopiero wtedy się odezwałam:

- Przykro mi, że tak to postrzegasz. Czy coś jeszcze?

- Nie. - Odwróciła się i poszła do wyjścia, Zaczekałam, aż otworzy drzwi i powiedziałam:

- Jeśli kiedyś dojdiesz do wniosku, że potrafisz mi wybaczyć, nie wahaj się, tylko przyjedź z wizytą.

Zobaczyłam, że się zawahała, jakby chciała zawrócić. Jednak tylko skinęła głową i wyszła na korytarz.

Usiadłam na pokrytej kwiecistym obiciem kanapie i zaczęłam się trząść, Spaniele chyba wyczuły moje zdenerwowanie, bo przybiegły i usiadły u moich stóp. Medin trącił nosem moją rękę, więc go pogłaskałam. Dotyk jego jedwabistej sierści działał uspokajająco; stopniowo moje serce zwolniło rytm. Słońce wyszło zza chmur i na plecach poczułam miłe ciepło.

Wciąż tam siedziałam, z psami zwiniętymi obok mnie, kiedy drzwi znów się otworzyły i wszedł Stephen. Natychmiast spostrzegł, że jestem wytrącona z równowagi.

- Chodzi o Jaspiera, czy jeszcze coś się wydarzyło? - zapytał, siadając obok. Czułam, że

jego ramię dotyka mojego, ale nie odwróciłam się. Zacisnęłam ręce na kolanach i wpatrując się w nie powtórzyłam mu rozmowę z ciotką Fanny.

- Sam rozumiesz, że to mnie trochę wzburzyło - zakończyłam, starannie dobierając słowa, Wciąż na niego nie patrzyłam. - To bardzo boli, kiedy się okazuje, że ktoś, kogo miałeś za życzliwą ci osobę, wcale cię nie lubi.

- Ależ ciotka Fanny jest ci życzliwa - oznajmił stanowczo.

- Po prostu teraz bardzo przeżywa sprawę Adama i Jaspera. Wie, że źle zrobili, ale czuje się w obowiązku ich bronić. A może to zrobić tylko obarczając winą kogoś innego, W przypadku Adama winni są Gerald i mój ojciec, W przypadku Jaspera, winę przypisuje tobie.

Nadal patrzyłam na swoje dłonie jak zahipnotyzowana. - Jack też uważa, że to moja wina. Chwył mnie za ręce i siłą odwrócił ku sobie. Musiałam na niego spojrzeć.

- Annabello, nie ponosisz za te zdarzenia żadnej odpowiedzialności.

Potrząsnęłam głową, patrząc na jego fular. Wciąż nie mogłam spojrzeć mu w oczy, Wiedziałam, że to, co powiedział, nie jest prawdą.

- Ciotka Fanny chyba mnie nienawidzi - stwierdziłam łamiącym się głosem.

Słyszając to, wziął mnie w ramiona.

- Wcale tak nie jest, najdroższa - powiedział i oparł podbródek na czubku mojej głowy. - Tylko że Fanny jest matką, więc zawsze na pierwszym miejscu stawia swoje dzieci. Kiedy tylko pogodzi się z wyjazdem Jaspera, znów zostanie twoją przyjaciółką. Zobaczysz.

Moja matka nigdy nie stawiała mnie na pierwszym miejscu, ale nigdy mi to nie przeszkadzało. Zawsze wiedziałam, że jestem najważniejsza dla Stephena.

Ty i ja, Annabello, tylko ty i ja.

Całe swoje życie zbudowałam na tym fundamencie. Kiedy zostało mi to odebrane, świat wokół mnie się zawalił.

Wtuliłam głowę w jego szyję i wdychałam znajomy, ukochany zapach Stephena, którego nie pomyliłabym z żadnym innym. Zamknęłam oczy i wyszeptałam:

- Dlaczego tamtej nocy wysłałeś wiadomość Jemowi, a mnie nie? Czułam, że usłyszawszy to pytanie, drgnął. Nie zapytał, o którą noc chodzi. Podniosłam głowę, żeby widzieć jego twarz. Odwrócił wzrok.

- Kiedy się dowiedziałeś, że wysłałem wiadomość do Jema?

- W dniu, kiedy zrzucił cię Kruk.

- Ach, rozumiem. - Wziął głęboki, niepewny oddech. Starał się mówić normalnym tonem.
- Skoro się dowiedziałas, że przesłałem mu wiadomość, musiałaś się też dowiedzieć, dlaczego postąpiłem tak, a nie inaczej.

- Zawsze wiedziałam, że tamtej nocy zająłeś miejsce Jema. Ani przez chwilę nie podejrzewałam, że wpłatałeś się w aferę przemytniczą. - Zobaczyłam, że na policzku drga mu mięsień. Uparcie mówiłam dalej: - Nie rozumiałam tylko, dlaczego wyjechałeś na Jamajkę bez słowa pożegnania.

Nerwowo przecesał ręką włosy.

- Powiesiliby go, Annabello - powiedział z desperacją. - Zbyt wielu przemytników szmuglowało złoto do Francji i w rządzie zapanowały wobec nich bardzo wrogie nastroje. Jem byłby tylko drobną płotką schwytaną w sieć tak zwanej maszyny sprawiedliwości. Nie mogłem do tego dopuścić.

- Rozumiem, ale nie o to pytałam. Chcę się dowiedzieć, dlaczego przesłałeś wiadomość Jemowi, a mnie nie.

- Dobry Boże. - Nachylił się, oparł łokcie na kolanach i ukrył twarz w dłoniach. - Powinienem był tak uczynić. Wiedziałem, że zrobiłem błąd, jak tylko dotarła do mnie wieść, że wyszłaś za Geralda. To była najgorsza decyzja w moim życiu.

Czekałam. Mówił dalej znękanym, zduszonym głosem.

- Widzisz, nie miałem żadnych wątpliwości, co powinienem zrobić. Wiedziałem, że muszę uratować Jemowi życie.

Nadal czekałam, zastanawiając się, do czego zmierza. Palce obejmujące ciemną głowę były zaciśnięte, kostki pobielale.

- Wiedziałem, że jeśli będziesz mnie błagać, żebym cię nie opuszczał, nie zdołam ci się oprzeć. Musiałem wyjechać bez słowa, jeśli w ogóle miałem wypełnić swoje postanowienie. - Opuścił dłonie i ze zdumieniem patrzyłam na jego zbolalą twarz. - Nie wyobrażałem sobie nawet, że w ten sposób popchnę cię do małżeństwa z kim innym.

Patrzyłam na niego z mieszaniną powątpiewania i zdumienia.

Zawsze zakładałam, że nic, co powiem, nie jest w stanie odwieść Stephena od tego, co nakazuje mu głos duszy. Ciągnął tym samym pełnym cierpienia głosem.

- Pomyślałem sobie, że napiszę do ciebie z Jamajki i wszystko wytłumaczę. I tak nie chcieli pozwolić nam się pobrać. Miałem nadzieję, że jeśli oni zobaczą, że jesteśmy sobie wierni

przez ten rok wygnania, to ugną się i zezwolą na nasz ślub.

„Oni?”. Od lat już nie słyszałam tego zaimka wymawianego z tą szczególną intonacją. W ustach Stephena oznaczał on po prostu wszystkich ludzi na świecie, oprócz nas dwojga. W końcu spojrzał na mnie.

- Byłem głupcem - stwierdził z goryczą. - Cholernym, samolubnym, zaślepionym głupcem.

- Każdy wie, że jeśli coś sobie postanowisz, to stado' dzikich koni nie odciągnie cię od celu.

- Może to prawda, jeśli chodzi o konie, ale nie o ciebie. Spojrzeliśmy sobie w oczy.

Pomyślałam o siedemnastoletniej dziewczynie, którą kiedyś byłam.

- Może bym cię poprosiła, żebyś wydał Jema - wyszeptalam.

- Sama nie wiem. Może.

Skinął głową. Usta miał nerwowo zaciśnięte.

- Nie wiedziałem o dziecku, ale powinienem był pomyśleć o takim prawdopodobieństwie. Źle zrobiłem, że cię zostawiłem. Miałaś rację winić mnie o to. Niemal zniszczyłem twoje życie i swoje. Zrozumiem, jeśli powiesz, że nigdy mi nie wybacysz.

Mięsień na jego twarzy zadrgał jeszcze raz.

Oderwałam od niego wzrok, wstałam i zamknęłam drzwi na taras. Słońce znowu skryło się za chmurami, które napłynęły znad kanału. Spojrzałam na posmutniały dzień za oknem i powiedziałam znużona:

- Nie winię cię zbyt mocno. Wina leży bardziej po mojej stronie, niż po twojej.

Usłyszałam, że podniósł się z kanapy. - Nie, najdroższa, to nieprawda.

Nad nami niebo było szare, ale wzdłuż szczytów wzniesień zaczynało się niebieścić. Po południu wyjdzie słońce.

- Powinam była iść do hrabiego, wyznać mu prawdę i zażądać, żeby wysłał mnie do ciebie na Jamajkę.

- Zrobiłabyś to, Annabello - powiedział czule - gdybym nie zranił cię tak głęboko, wyjeżdżając bez jednego słowa.

Utkwiłam wzrok w pasie niebieskiego nieba i po raz pierwszy uznałam prawdę o motywach swojego postępowania.

- Jack miał rację - wyznałam. - Wysłałam za Geralda, żeby cię ukarać.

- Miałaś powody, żeby uważać, że cię zawiodłem. Potrząsnęłam głową.

- Byłam zazdrosna o to, że myślałeś wtedy przede wszystkim o Jemie. - Czułam, że stanął za mną. Odwróciłam się i spojrzałam mu prosto w oczy. - Obwinałam mamę, że mieszała się w moje sprawy i okłamywała mnie, ale mój ślub z Geraldem wcale nie za sprawą mamy doszedł do skutku. Wiedziałam, że wtedy na ścieżce był Jem, a ty wziąłeś jego winę na siebie.

Stał po drugiej stronie kanapy. Patrzyliśmy na siebie ponad jej garbatym niczym wielbłąd oparciem.

Skrzywdziłam Geralda, wychodząc za niego bez miłości. Skrzywdziłam ciebie, chociaż cię kochałam. Przede wszystkim zaś, skrzywdziłam Gilesa, odbierając mu prawdziwego ojca.

Zapadło między nami milczenie. Promień słońca przedarł się przez chmury, wpadł przez okno i spoczął na dywanie u moich stóp. Stephen podszedł do mnie; powiedział cicho:

- Jesteś dla mnie najważniejsza. Zawsze tak było i będzie. Właśnie dlatego nie chciałem z tobą rozmawiać przed wyjazdem.

Wyciągnął ramiona, a ja niemal rzuciłam się w jego objęcia, wiedząc, że wreszcie dotarłam do domu.

Przywarliśmy do siebie, jakbyśmy nigdy nie zamierzali się rozłączyć.

Zamknęłam oczy i wyobraziłam sobie, co by się stało, gdyby udało mi się namówić Stephena, żeby zrezygnował z bohaterskiego chronienia przyjaciela i został ze mną w domu.

- Może tak, jak się stało, jest najlepiej - stwierdziłam cicho.

- Gdyby Jemowi stało się coś strasznego, nigdy byś sobie tego nie wybaczył.

Kurczowo zamknął mnie w ramionach.

- Annabelle. - Uniosłam twarz, gotowa do pocałunku.

- Tu jesteś, mamó - odezwał się od progu łatwy do rozpoznania głosik.

Ramiona Stephena natychmiast opadły, a ja wolno zwróciłam się ku drzwiom.

- Co robisz na dole? - zapytałam groźnie.

- Eugenia rozmawia z Jackiem, więc pomyślałem sobie, że cię poszukam - odparł Giles z promiennym uśmiechem.

Wyraźnie nadszedł już czas, żeby zmienić Gilesowi guwernantkę.

- Całowałaś się z wujkiem Stephenem? - zaciekawiał się. Zastanawiałam się nad odpowiedzią. Na szczęście Stephen pośpieszył mi z pomocą.

- Tak, Giles. Całowaliśmy się. Zamierzamy się pobrać.

Giles podbiegł do nas w podskokach.

- To dobrze - oznajmił. - Luke będzie zadowolony.

- Luke? - zdziwił się Stephen.

- Jeden z lokajów - wyjaśniłam. - To dobry przyjaciel Gilesa.

- Założył się, że wyjdiesz za wujka we wrześniu - oznajmił nam Giles. - Wszyscy lokaje postawili na jakiś miesiąc. Luke wybrał wrzesień.

- O, mój Boże - jęknęłam. Stephen zaczął się śmiać.

- Pobierzecie się we wrześniu, prawda, mamo? - dopytywał się mój syn.

- Pomyśl o Luke'u, Annabello - powiedział Stephen. - Jesteś mu to winna.

Uśmiechnęłam się.

- Dobrze. Znam swoje obowiązki. Niech będzie wrzesień.

EPILOG

Festyn z okazji szóstych urodzin Gilesa był o wiele większy i huczniejszy niż poprzedni. W ubiegłym roku zaprosiliśmy jedynie służbę, pracowników i dzierżawców; w tym roku doszli ludzie z miasteczka i okoliczni chłopci. To oznaczało, że w dzień festynu w Weston Hall tłoczyło się prawie pięćset osób i musieliśmy ze Stephenem wszystkich zabawić i nakarmić.

Z niewiadomego powodu cały dzień myślałam o wuju Adamie i jego rodzinie. Przez wiele lat ich udział w festynie był tak znaczący, że ich nieobecność była wyraźnie odczuwalna.

Z listów od amerykańskiego prawnika Stephena dowiedzieliśmy się, że Jasper dobrze sobie radzi. Od razu wszedł do towarzystwa i zaręczył się z Amerykanką, której ojciec był jednym z najbogatszych plantatorów w Wirginii. Tę ostatnią wiadomość otrzymałam w liście od ciotki Fanny, który przysłała mi w odpowiedzi na zaproszenie jej męża i córki na urodziny Gilesa. W tym samym liście donosiła mi również o zaręczynach i bliskim ślubie Nell.

To miło, że nas zapraszasz, pisała ciotka, ale myślę, że lepiej będzie nie odnawiać stosunków, które dla nas obu zakończyły się tak smutno.

Jej list utrzymany był w tonie charakterystycznym dla dawnej ciotki Fanny, dzięki czemu poczułam znaczną ulgę w sercu. Pomyślałam też, że pewnie ma rację i postanowiłam nie czynić dalszych prób kontaktowania się z nią. Pewnych rzeczy nie da się cofnąć.

Resztę swojej rodziny miałam pod ręką i wszyscy przyłączyli się do organizowania festynu, żeby impreza przebiegła gładko. Eugenia zorganizowała i nadzorowała gry i zabawy dla dzieci. Wahałam się, czy ją o to prosić, ponieważ była w piątym miesiącu ciąży, 'ale sama nalegała. Ku mojemu zaskoczeniu, Jack uparł się, żeby jej towarzyszyć, więc się nie bałam, że się przemęczy. Wiedziałam, że do tego nie dopuści.

Brat Eugenii, Tom Stedham, spełniał dawne zadanie Jaspera nad jeziorem. Tom wrócił w październiku z Jamajki i Stephen zaoferował mu posadę administratora Weston, którą zajmował dawniej Adam. Przekazał mu także Dower House i wyznaczył godziwą pensję.

Stephen . i Tom byli bliskimi przyjaciółmi i w ciągu ubiegłego roku wiele Czasu poświęcali na próby utworzenia Towarzystwa do Walki z Niewolnictwem.

Tom umiał pływać, więc byłam spokojna, wiedząc, że czuwa nad jeziorem.

Nowa guwernantka Gilesa, panna Manders, sprawowała pieczę nad galerią.

Moja mama i księżę usadowili się na tarasie, gdzie z anielską cierpliwością zabawiał ich

pastor oraz jego żona. Zaszczytu rozmowy dostąpił też wuj Francis i każdy nieszczęśnik, którego mama uznała godnym rozmowy z księżącą parą. Późniejszym popołudniem spotkałam wuja Francisza przy stole z jedzeniem. Powiedział mi, że mama przez długie godziny krytykowała brak galowego przyjęcia w salonach, takiego jak ona zwykła wyprawiać wraz z hrabią dla eleganckich gości z Londynu.

- Najwyraźniej ja i pastor nie dorastamy do jej oczekiwań - stwierdził ze śmiechem.

- Tak mi przykro, wuju - przeprosiłam go. - Ale musiałam ją zaprosić, a ona, nie wiadomo dlaczego, przyjęła zaproszenie.

- Och, znasz przecież Reginę - odparł lekko. - Tak naprawdę jest zadowolona, że nie możesz się z nią równać jako organizatorka wykwintnych przyjęć.

Patrzyłam na jego miłą, uprzejmą twarz. Jego oczy miały dokładnie taką samą barwę jak oczy Stephena.

- Wiesz, nigdy mi to nie przyszło do głowy - odparłam wolno. W jego spojrzeniu pojawiły się iskierki.

- Przyjeżdża, żeby się upewnić, że jej nie przyćmisz. Wybuchnęłam śmiechem.

- Pod tym względem nic jej z mojej strony nie grozi. Mimo to przepraszam, że cię obarczyłam jej towarzystwem, ale nie potrafiłam wymyślić innego wyjścia.

- Nie martw się o mnie - oznajmił pogodnie. - Mam nadzieję, że łaskawy Pan policzy godziny, które spędziłem w towarzystwie Reginy i księcia, jako pokutę za grzechy. Zapytałem pastora, czy to jest możliwe, a on mnie zapewnił, że tak.

Roześmialiśmy się oboje.

Od wielu godzin nie widziałam Stephena, ponieważ zaraz na początku się rozdzieliliśmy, żeby powitać jak najwięcej gości. Sumiennie wypełniałam swoje obowiązki, rozmawiając z setkami uśmiechniętych osób, ale o szóstej dopadło mnie nagle zmęczenie, którego nie mogłam przezwyciężyć, więc poszłam do małego salonu. Tam ułożyłam się na kanapie z nogami opartymi wyżej i poduszką pod głową.

Czułam znużenie, którego już raz w życiu doświadczyłam i wiedziałam, co oznacza.

Spodziewałam się dziecka.

Złożyłam ręce na nadal płaskim brzuchu, zamknęłam oczy i rozmyślałam o tym, jak cudownie będzie jeszcze raz trzymać niemowlę w ramionach. Oczy zaszyły mi łzami czułości.

Pomyślałam, że to jeszcze jedna oznaka mojego stanu. Zwykle z byle powodu nie płacę.

Wyobraziłam sobie, jak całując główkę dziecka wyczuję ustami jego miękkie włoski i znów łzy szczęścia zaczęły mi spływać po twarzy. Pociągnęłam nosem i dłonią otarłam powieki.

Jaki Stephen będzie uszczęśliwiony. Odebrano mu pierworodnego syna, ale to dziecko będzie tylko jego.

Na szczęście przez ubiegły rok Giles bardzo się przywiązał do „wujka Stephena”. Wspomnienie ich bitwy na śnieżne kule podczas ostatnich świąt Bożego Narodzenia znowu wywołało u mnie łzy.

Potem pomyślałam o czterech nowych koniach, czekających w stajni na przeszkolenie, i łzy natychmiast wyschły.

Uważnie przesunęłam ręką po brzuchu.

Ktoś musiał przysposobić te konie do polowania, a Jack był tak zajęty nową stadniną, że nie mogłam oczekiwać z jego strony żadnej współpracy pod tym względem. Stephen zaofiarował swoją pomoc przy polowaniach mi młode lisy, bo podczas nich jeszcze nigdy nie udało nam się dopaść żadnego lisa. Jednak to ja musiałam nauczyć te konie skakać przez ogrodzenia.

Dziecko jest jeszcze bardzo małe, myślałam. Nie ma powodu, dla którego miałabym wyrzec się polowań przed początkiem stycznia.

W styczniu i tak wyjeżdżamy z Weston, ponieważ zaczyna się sesja parlamentu i tak jak się można było spodziewać, w ubiegłym roku Stephen został wybrany na miejsce wuja Francisa. Dlatego właśnie ograniczyłam liczbę zakupionych koni do przeszkolenia. Miałam teraz o połowę mniej czasu, żeby zamienić je w konie myśliwskie.

W zeszłym roku pan Matthew namawiał mnie, żebym pozwoliła Stephenowi samemu jechać do Londynu, ale się nie zgodziłam. Dla mnie dom to nie miejsce, tylko człowiek. W tym roku też zamierzałam towarzyszyć mężowi w Londynie.

Drzwi się otworzyły i usłyszałam głos Stephena:

- Dobrze się czujesz, Annabello?

Odwróciłam głowę, ale poza tym nie ruszyłam się z miejsca.

- Dobrze. Jestem trochę zmęczona, i to wszystko. Jak mnie znalazłeś?

- Hodges widział, że tu weszłaś.

- Wszystkowiedzący, wszechwiedzący Hodges.

Stephen podszedł do kanapy, więc przesunęłam nogi w bok, żeby mu zrobić miejsce.

Usiadł twarzą do mnie i wziął mnie za rękę.

- Przecież nigdy nie jesteś zmęczona - powiedział.
- Mam prawo do zmęczenia tak samo jak inni - odparłam z udawanym oburzeniem.
- Masz energię lwicy. Czy coś się stało?
- Oczywiście, że nie.
- Czy masz takie duże, a policzki takie szczupłe - dociekał nieubłaganie. - Co się dzieje?

Spodziewasz się dziecka?

- Do licha, Stephen! - krzyknęłam i usiadłam. - Mógłbyś przynajmniej dać mi szansę, żebym ci to sama powiedziała.

- Przecież nie chciałaś mi powiedzieć - odrzekł z uśmiechem.
- Sama niedawno się domyśliłam.

Wyprostowałam się i podłożyłam sobie poduszkę pod plecy.

- Zepsułeś całą zabawę - poskarżyłam się.
- Przepraszam, nie chciałem. - Wcale nie miał skruszonyj miny.
- Ta myśl tak mnie ucieszyła, że nie mogłem utrzymać języka za zębami.

Przyłożyłam dłonie do jego dłoni i nasze palce się splotły. - Cieszysz się? - zapytałam.

- Ogromnie. - Znów się uśmiechnął.

- Właśnie myślałam o tym, że odebrałam ci pierwородnego syna, ale to dziecko będzie wyłącznie twoje - powiedziałam cicho.

Objął mnie ramieniem i przyciągnął do siebie. Jego bliskość mnie rozluźniła. Czerpałam energię i siłę z jego szczupłego, mocnego ciała.

- Jedno mnie dręczy - odezwał się w zamyśleniu.
- Czy młody lord Weston nie będzie niezadowolony, że ma konkurenta?

- Dobrze mu to zrobi - odparłam. - Giles musi się nauczyć, że świat nie kręci się wokół niego. - Umilkłam. - No, przynajmniej nie cały czas.

Roześmialiśmy się.

Na chwilę zaległa cisza. Siedzieliśmy spokojnie, mocno przytuleni, każde zagłębione w swoich myślach.

- Co zrobisz z tymi nowymi końmi? - zapytał nagle Stephen.

- Nie ma powodu, żebym zrezygnowała z polowań przed naszym wyjazdem do Londynu - stwierdziłam. - Polowałam, kiedy nosiłam Gilesa.

Czułam, że sztywnieje. Milczałam, siedząc nieruchomo. .

- A co będzie, jeśli spadniesz z konia? - zapytał z napięciem.

- Będę uważała, nie spadnę.

Cisza, która zapadła tym razem, była napięta.

- Chryste, Annabello - powiedział Stephen niskim, stłumionym głosem. - Boję się.

- Nie jestem głupia - tłumaczyłam mu rozsądnie. - Jeśli się źle poczuję, zrezygnuję z polowania. Jeśli zobaczę na drodze płot i nie będę pewna, czy mój koń da radę go pokonać, wyminę przeszkodę. Bardzo chcę tego dziecka i nie zrobię nic, co by mu zagrażało.

- Wiem - odparł. Ramię, którym mnie otaczał, było zupełnie sztywne. - Ale nie tylko dziecko będzie w niebezpieczeństwie, jeśli spadniesz z konia.

Pomyślałam, ile to razy powstrzymywałam się od komentarzy i próśb, kiedy Stephen decydował się na coś, co według mnie było dla niego niebezpieczne. Nic nie powiedziałam.

Milczenie się przedłużało.

Potem, stopniowo, napięcie zaczęło opuszczać jego ciało. Odetchnął głęboko, jakby świadomie chciał się rozluźnić.

- Zrobisz to, co uznasz za konieczne. Wiem, jaka jesteś dumna ze swoich koni. Nie będę cię prosił, żebyś przestała jeździć.

Moje ramiona również się rozluźniły, chociaż przedtem wcale nie czułam, że były napięte.

- Dziękuję, Stephen - powiedziałam cicho.

- Muszę przyznać, że wcale mi się nie podoba, kiedy sytuacja się odwraca o sto osiemdziesiąt stopni - wyznał ponuro.

Wiedziałam, że jego myśli biegły podobnym torem.

- Teraz możesz docenić, jaka byłam bohaterska przez te wszystkie lata - oświadczyłam beztróska.

Uśmiechnął się do mnie otwarcie.

- Zawsze wiedziałem, że masz duszę bohatera.

W drzwiach pojawił się Hodges. Stephen nie zdjął ręki z moich ramion. Odwrócił tylko głowę i zapytał uprzejmie:

- Co się stało, Hodges?

- Czas już na wręczanie bukietu pannie Annabelli - powiadomił nas kamerdyner. - Dzierżawcy przygotowali też jakiś występ.

Stephen westchnął, cofnął rękę i pomógł mi wstać z kanapy. - Powiedz, że zaraz wyjdziemy - polecił Hodgesowi. Ramię w ramię ruszyliśmy na spotkanie gości.